

Kirył Bułyczow

Pupil

przekład : Ewa i Eugeniusz Dębscy



Prolog

Z woli rzadkiego, niemal nieprawdopodobnego przypadku, pierwszy kosmiczny statek przybyszy, których potem przyjęto nazywać sponsorami, wylądował na brzegu Wołgi między Kalazinem i Ugliczem w chwili, gdy Siergiej Siemionow i Klara rozmawiali o latających talerzach.

W tym miejscu brzeg płasko i uroczyście opuszcza się do rzeki ze szczytu wzgórza, na którym stoi odrestaurowana posiadłość Połonieckich, a obok niej, niczym spiczasta świeczka, sterczy dzwonnica przyległej cerkwi. Poniżej i z prawej stoją domy wsi Białe Gorodiszcze, za nią zaczyna się las.

Posiadłość Połonieckich przez długie lata niszczała; najpierw oddana na przedszkole, potem - warsztaty. W końcu, pięć lat temu, przejęła ją na dom wypoczynku-profilaktorium fabryka z Uglicza "Czerwony bojownik". Siergiej Siemionow pracował w tym domu jako instruktor wuefu, a Klara wypoczywała i cieszyła się, że zwrócił na nią uwagę tak znaczący w skali profilaktorium człowiek.

Siedzieli na stojącej nad wodą ławeczce, tam, gdzie zaczynały się pomosty prowadzące na pływający pomost - przystań "Białe Gorodiszcze". Był jasny, przejrzysty wieczór, dźwięczny od nieprawdopodobnej przestrzeni i rzadkich, niezauważalnych w dzień, odgłosów z rzeki. Z daleka dochodziły pluśnięcia ryb, z drugiego brzegu - brzęczenie łańcucha w studni, a z tyłu, z góry - muzyka z dyskoteki. Ale te dźwięki, choć i wyraziste, wydawały się na tyle oddalone, jak gdyby nie istniały w rzeczywistości. Brzęczenie komara, który przyfrunął tu nad wody, był bardziej realny i głośniejszy.

Siergiej Siemionow chciał wywrzeć na Klarze pozytywne wrażenie, dlatego że, bez względu na swój wygląd i stanowisko, był nieśmiałym młodym człowiekiem, co zmuszało go do starannego, wyczerpującego kultywowania reputacji miejscowego donżuana. Ale, pomimo wszystkich swych krótkotrwałych triumfów, Siergiej posiadał dziwną cechę charakteru - każdy romans zaczynał i prowadził tak, jakby wcześniej w ogóle nie znał kobiet.

- Niejednokrotnie widziałem latające talerze - powiedział Siergiej. - Tu mamy dużą i otwartą przestrzeń, a ja o świcie wychodzę na przebieżki. Trzymam formę. Proszę popatrzeć.

Siergiej zgiął rękę w łokciu i - chwyciwszy drugą dłonią posłuszne palce blond-afro Klary - położył je na swój biceps. Potem, przykrywszy je dłonią, docisnął do mięśnia. Klara milczała i nie manifestowała ochoty na wycofanie ręki.

- Czuje pani? - zapytał Siergiej.

- Tak, bardzo - ochryplym głosem powiedziała Klara.

- Pokażę pani potem mięśnie brzucha - uzupełnił Siergiej. - Ani grama tłuszczu.

W tej samej chwili ogarnęło go onieśmienie - pomyślał, że Klara może opacznie zrozumieć jego słowa. Dlatego dodał:

- Przyjdziemy jutro się opalać to pani zobaczy.

- Szkoda, że nie wzięłam ze sobą stroju - powiedziała Klara - skoro już tu przyszliśmy.

- Niektórzy pensjonariusze kąpali się tu w nagiej postaci - oświadczył Siergiej. - Trzeba było usunąć.

- Ależ nie, nie to miałam na myśli - powiedziała Klara i zarumieniła się. Ponieważ jednak całe otoczenie straciło już barwy i w zapadającym zmierzchu nabrało wszelkich możliwych odcieni szarości, to Siergiej odnotował, że twarz Klary pociemniała.

Zapadła niezręczna cisza, Klara postanowiła ją rozładować.

- A jakie były te talerzyki? - zapytała.

- Nie powiedziałbym, że to talerze - W tym momencie Siergiej przypomniał sobie, że wciąż jeszcze przyciska do swojego bicepsa szczupłe paluszki Klary i puścił je. Po sekundzie wahania dziewczyna z lekkim westchnieniem cofnęła rękę.

- A co? - zapytała, najwidoczniej mając na uwadze talerzyki.

- Proszę popatrzeć do góry - powiedział Siergiej.

Klara posłusznie uniosła ku niebu spiczasty nosek - nad głową i od strony, gdzie spoczęło słońce, niebo nie miało barwy, ale po przeciwnej stronie nieba, na ciemnym błękitcie, już rozkwitły gwiazdy, a nieliczne jasne obłoki zachowały odbłask kolorów zmierzchu.

Siergiej objął Klarę a ona posłusznie przyłgnęła do niego.

- Każdy obłok - powiedział Siergiej - jeśli tego chcesz, może wydać się talerzem. O tam, widzisz - malutki, jasny?

- To gwiazda?

- Wyobraź sobie, że to statek - wtedy zaczniesz rosnąć i wyląduje przed nami.

- Och, tak bym chciała! - powiedziała Klara opierając głowę na ramieniu Siergieja. Jej bujne, drobne loczki łaskotały go w policzek i nos, ale nie cofał twarzy, dlatego że włosy były ciepły i pachniały trawą i wodą rzeki.

- Chcesz, żeby przylecieli?

- Dawno o tym marzę - powiedziała Klara. - Już mi się znudziło czekać.

- A po co?

- Bo oni wylądują i powiedzą: po co budujecie fabryki i zatruwacie rzeczkę? Nie wstyd wam? Po co walczyacie między sobą? Natychmiast przestańcie!

Ostatnie słowa Klara powiedziała podniesionym tonem i, skonfundowana, zamilkła.

- A gdyby to były agresywne roboty? - zapytał Siergiej, głaszcząc szeroką dłonią szczupłe gorące plecy Klary. Klara spaliła się na słońcu, plecy lekko piekły. Pieszczota Siergieja wywołał dreszcz.

- Bzdury? - powiedziała. - Po co lecieć poprzez gwiazdy, żeby nas podbijać? Jeśli cywilizacja osiągnęła takie szczyty, to musi być humanistyczną i będzie nam pomagała.

- Nie wiem - powiedział Siergiej. - Wolałbym, żeby się nie śpieszyli.

- Dlaczego? Boisz się?

- A jak zaczną zaprowadzać porządki i powiedzą: a dlaczegóż to Siemionow Siergiej całuje na brzegu Wołgi pensjonariuszkę Klarę Tumanową?

- Jeszcze się nie całowałeś - powiedziała Klara jawnie popychając Siergieja do spełnienia groźby.

Siergiej pochylił się i pocałował Klarę w szczupłą i taką delikatną szyję. Klara odchylił głowę, żeby mógł całować jeszcze, i zobaczyła, że jedna z gwiazd wciąż rośnie i rośnie. Najpierw pomyślała, że wydaje jej się z powodu słodkiego osłabienia ogarniającego całe ciało, ale gwiazda stał się już błyszczącym dyskiem.-

- Talerz! - powiedziała Klara.

- Bóg z nim - powiedział Siergiej, szukają ustami ust dziewczyny.

- Nie rozumiesz! - zawołała Klara wyrywając się. - Przecież to oni! Bracia w rozumie!

Siergiej również popatrzył w górę i zobaczył dysk.

- Szkoda - powiedział.

- Coś ty - nie rozumiesz?

- Teraz nie da się całować...

- Zgłupiałeś zupełnie! - oburzyła się Klara. - Spełnia się odwieczne marzenie ludzkości!

Siergiej nie sprzeczał się. Zrobiło mu się głupio. A nawet dziwnie, że Klara nie odczuwa niczego poza radosnym podnieceniem.

Kiedy na twoich oczach zachodzi Wydarzenie, najpewniej, będziesz stał i gapił się, dlatego że nie wiadomo co robić, skoro takiego Wydarzenia nie było wcześniej.

Stali więc i patrzyli jak, wciąż zwalniając, ogromny, o ponad stumetrowej średnicy, dysk osiadł na ziemi nieco z boku, z drugiej strony pomostu, gdzie na brzegu znajdowała się promowa przeprawa.

Dysk był tak ciężki, że ziemia drgnęła a powietrze uderzyło w uszy; pełne zadziwienia i strachu krzyki, dobiegające przed chwilą z kryształowej ciszy domu wypoczynkowego, gdzie również zauważono dysk, urwały się jak ucięte nożem.

- Pójdę już - powiedziała Klara. - Trzeba ich uprzedzić...

Siergiej chwycił ją za rękę i nie puszczał.

- Może oni czekają, boją się - powiedziała Klara.

- Chodźmy lepiej stąd - powiedział Siergiej.

Chciał odejść, całym ciałem chciał odejść, uciec, schować się, ale Klara nawet o tym nie myślała. Opanowała ją ogromna grzmiąca próżność, własny radosny krzyk, rozlegający się w głowie: "To ja znalazłam! Ja była pierwsza!"

- Chodźmy - powtórzył Siergiej, zastanawiając się, jak by tu najlepiej chwycić Klarę, żeby ją wynieść stąd. Przecież nie mógł jej tu zostawić...

Ale póki się zastanawiał, na obrzeżu dysku odsłoniło się mnóstwo niewielkich otworów, niczym małe iluminatory. To wyglądało ładnie i Klara zdążyła powiedzieć:

- Patrz!

Z tych otworów pod mocnym ciśnieniem, rozprzestrzeniając się po całym brzegu, pełnząc do góry do domu wypoczynkowego, w stronę rzeki, wsi, gdzie zamilkły czekające wcześniej psy, i do pomostu, i do Siergieja z Klarą, runęła fala rozżarzonego do trzech tysięcy stopni dezynfekującego gazu, który miał zagwarantować absolutną sterylność i bezpieczeństwo lądowiska, jak również zneutralizować i zniszczyć całe wrogie i agresywne środowisko, ponieważ z doświadczenia lądowań sponsorów na innych światach wynikało przekonanie: zanim dojdzie do rozmów i badań, należy wysterylizować.

Co się stało.

Siergiej i Klara zdążyło zobaczyć, jak pędzi na nich fala gazu, ale nawet nie zdążyli się ruszyć czy zakryć twarze... Spopieliło ich.

Buchnął ogniem i w kilka minut znikł drewniany pomost, zapłonęły domy w Białym Gorodiszczu, posiadłość Połonieckich i cerkiew - i nawet drzewa, stare lipy, zielone i potężne, zajęły się jak pochodnie. Gorzały chałupy na drugim brzegu Wołgi...

Lądowanie zostało wykonane zgodnie z regułami i zakończyło się pomyślnie.

Upłynęło sto lat.

Rozdział 1

Pupil zakochał się

Dokładnie pamiętam, że po raz pierwszy zobaczyłem ją w piątek szóstego maja zaraz po obiedzie.

Postanowiłem poopalać się nad basenem - na kąpiel jeszcze za zimno, ale, jak się leży obok wody i słońce przygrzewa, można sobie wyobrazić, że nadeszło lato.

Leżałem tak, żeby móc zerkać na sąsiednią działkę - rano przeprowadzili się tam nowi sąsiedzi na miejsce Złośnicy, która poleciała do męża na Mars.

Zamknąłem oczy i zacząłem drzemać, ale nagle obudziłem się, chociaż nie mogłem nic usłyszeć - po trawniku szła rudowłosa dziewczyna.

Ich basen zaczyna się zaraz za niską żywopłotem, dzielącym nasze działki. Dziewczyna usiadła na brzegu basenu, zanurzyła w wodzie piętę i natychmiast poderwała ją - nie oczekiwała, że woda jest taka zimna! Skąd przyjechał, skoro nie wie, że na początku maja jeszcze się nie kąpiemy?

Tak rozmyślając wpatrywałem się w nią, i dziewczyna to zauważyła, rzuciła w moim kierunku ostre spojrzenie i odwróciła się, jakby dopiero co patrzyła nie na mnie, a na muchę.

- Cześć! - powiedziałem. - Witaj w nowym miejscu.

- Ach! - cicho wykrzyknęła. I podniosła lewy łokieć, żeby ukryć przede mną zarys pełnej piersi.

- Pani tu na długo? - zapytałem udając, że nie zauważyłem tego gestu.

- Będziemy tu mieszkać. - Jej ciężkie pasma włosów opadały na białe ramiona.

- Mnie wołają Tim - powiedziałem wstając. Chciałem, żeby zobaczyła, jak jestem zbudowany. Nie nadaremnie robię sto metrów w dwanaście sekund.

- Bardzo mi miło - odpowiedziała z uśmiechem, ale nie przedstawiła się.

I w t ej samej chwili - co za ironia losu! - z domu dało się słyszeć:

- Inna! Inneczko, gdzie jesteś? Chodź tu szybko.

- Widzisz - powiedziała Inna - już się znamy.

Z gracją wyprostował się i pobiegła do domu. Bardzo mi się spodobały jej plecy i nogi - miała długie proste nogi z kształnymi łydkami.

W biegu odwróciła się i pomachała do mnie ręką.

Już się znaliśmy.

Opowiedziałem o niej Wikowi - cynikowi w wieku około dwudziestu, których nikt nie liczył, kędzierzawemu, niebieskookiemu, rasowemu.

Wik - chciwy, bezczelny facet, wiem, co jest wart, ale przyjaźnię się od dzieciństwa.

- Tak, widziałem ją - machnął ręką w odpowiedzi na mój zachwycony opis Inny. - Rzadko bywasz w świecie, siedzisz jak przykuty w domu, ani na wystawie cię nie ma, ani w parku. Tak więc pierwszy ładniutki pyszczek w zasięgu twojego ostrego wzroku i - jesteś gotów.

- Marzę o niej - powiedziałem.

Chrypka w moim głosie wywołała śmiech mojego przyjaciela.

- Romeo! - powtarzał. - Romeo z gołym tyłkiem!

Chciałem mu przyrznąć za słowa, które bolesnym echem odezwały się w moim okaleczonym sercu, ale Wik uchylił się. Z trudem dogoniłem go przed samą bramą, powaliłem na trawę i wykręciłem rękę za plecy.

- Poddaj się! - ryknąłem. - Bo rozszarpię!

Ale tu jak na złość przyniosło panią Jajbłuszko.

- Jak dzieci! - zawołała, wylewając się z flyera. - Natychmiast przestańcie, bo poodrywam uszy! Przecież ziemia jest zimna.!

Rzuciła się za nami, ale gdzie tam dogoni dwóch młodych ludzi!

- No dobrze, dobrze - krzyknęła za nami. - Idę przygotowywać kolację, słyszysz, Timoszka?

Świetnie wie, że nienawidzę tego psiego imienia. Udałem, że nie słyszę.

Pobiegliśmy z Wikiem do starej budki transformatorowej.

Kiedyś, kiedy byłem dzieciakiem lubiłem chować się tu i wyobrażać sobie, że skradam się do niepokonanego smoka w dżungli Eurydyki... Wyrosłem, dżungla została wykarczowana, smok siedzi w ZOO, a budka transformatorowa jak stała tak stoi, od stu lat nikomu niepotrzebna...

- Dzisiaj trzeci odcinek polecą - powiedział Wik.

- Jeśli ma siostrę - powiedziałem - możesz się z nią poznać.

- Jakiś ty cwany - uśmiechnął się ironicznie mój przyjaciel. - Jesteś pewien, że pozwolą ci się z nią kontaktować?

- Nie zamierzam nikogo pytać.

- Aj-jaj-jaj, jacy jesteśmy odważni!

- Timofiej! Timosza! - Jajbłuszko wołała mnie najczulszym ze swojego zestawu głosów. - Jedzenie, jedzonko, chodź tu, moje maleństwo!

- Zwariować można! - roześmiał się Wik. - Ona zamierza karmić cię piersią do trzydziestego roku życia.

No to go wałęnałem pięścią w czubek łba, mało go nie stracił. Jęknął i zamknął się.

A ja poszedłem do domu wcale nie dlatego, że usłuchałem Jajbłuszko, a dlatego, że bałem się ją rozzłościć, a wtedy nie pozwoli mi wieczorem oglądać telewizji.

- Wytarłeś nogi? - zapytała Jajbłuszko, kiedy wszedłem do domu.

Nie odpowiedziałem, a poszedłem do kuchni.

Jajbłuszko siedziała przy stole, przed nią stało naczynie z pićm - lekarz jej przepisał. Na moim talerzu leżał kawałek flądry, posypany zieleniną. Rzadki w naszych czasach przysmak.

Zanim zabrałem się do obiadu podszedłem do okna i wyjrzałem - okno wychodziło na dom Inny. Ale nigdzie nie było widać dziewczyny.

Po obiedzie odpoczywaliśmy, a potem Jajbłuszko wyprowadziła mnie na spacer.

Nie lubię tych rytualnych spacerów, Jajbłuszko nie należy do tych, których człowiek wybierze sam na towarzysza spaceru. Ale ja jej nie wybierałem.

Tego dnia, idąc obok niej, po raz pierwszy poważnie pomyślałem o niesprawiedliwości losu. Przecież każdy z nas jest taki, jakim się urodził, jakim go wychowano. Wolałbym inny los, niechby nie taki pewny i syty, niechby obfitujący w wyrzeczenia i niebezpieczeństwa, jak w przypadku włóczęg i myśliwych. Zresztą, nie widziałem żadnego na oczy.

Im bliżej centrum miasta, tym więcej spotykaliśmy par, podobnych do naszej. Jajbłuszko kłaniała się, przysiadła, kręciła biodrami, brzęczała nićmi żelaznych koralu, a kiedy pochylała do przodu tors wydawało mi się, że zaraz trzaśnie mnie tymi koralami w skroń - i runę martwy na jezdnię.

Pojałem, że Jajbłuszko kieruje się do baru "Olimpia" przy centrum handlowym. Będzie tam ssała niestrawne napoje z podobnymi do siebie damami, a ja pobędę z ludźmi.

Podeszliśmy do baru, i Jajbłuszko, dobra żaba, oświadczyła:

- Timosza, jeśli posiedzisz we wspólnej sali, to pójdziemy potem do kina, dobrze?

Odwróciłem się. Niech myśli, że się tym przejąłem bardziej niż była naprawdę. A przecież nie miałem nic przeciwko temu, żeby pogadać ze starymi przyjaciółmi, póki ty, gołąbeczko, będziesz przyswajać swoje śmierdzące nalewki.

Tak więc w milczeniu popatrzyłem na nią ładnymi, wyrazistymi oczami.

Ale Jajbłuszko wytrzymała moje pełne wyrzutu spojrzenie i wyciągnęła z torebki kaganiec. Zbladłem, ale Jajbłuszko wskazała na obwieszczenie przed wejściem do sali:

SALA DLA DOMOWYCH PUPILI

WPROWADZANIE BEZ KAGANCÓW WZBRONIONE

To było znane mi i ponizające obwieszczenie. Ale nie spierałem się i nie kaprysiłem, nie miałem humoru.

Podstawiłem twarz i Jajbłuszko nie brutalnie, powiedziałbym, że z niezręczną delikatnością umocowała mi na twarzy kaganiec, który zakrywał dolną część twarzy. Zupełnie się zgadzam, że byś może kiedyś, z powodu nieporozumienia, któryś z domowych pupili ugryzł innego człowieka. Ale kto i dlaczego rozciągnął ten przypadek na regułę? Z jakiego powodu uznali, że koniecznie musimy rzucać się na siebie i gryźć się?

W dużej sali, gdzie państwo zostawiają domowych pupili, póki sami piją kawę, plotkują w kawiarni albo wybierają coś w sklepach, było już ze trzydzieści osób, co najmniej. Wszyscy w kagańcach, ale o ile ja miałem taki prosty, niemal niewidoczny - ja i Jajbłuszko staraliśmy się sprowadzić ponizenie do minimum, to inni ludzie mieli na facjatach chwilami niewyobrażalnie absurdalne konstrukcje ochronne: jeden z kutego drutu, drugi w postaci ceramicznej doniczki.

Od razu zobaczyłem Wika, który siedział przed teleekranem; miał na sobie różowy kaganiec, udający hokejową maskę bramkarza Chryzapominajkina - wstydziłbym się pokazać z czymś takim ludziom. Przyjrzałem się obecnym, mając nadzieję, że wśród nich jest Kurt, który obiecał mi gumę do żucia. Bydlak Wik opacznie wytłumaczył sobie moje poszukujące spojrzenie i, poprawiwszy zrobione trwałą kędziory, złośliwie zauważył:

- Tutaj nie przyprowadzają samiczek. Mogłoby się źle skończyć!

- Szukam Kurta.

Sam wiedziałem, że to nie miejsce dla dziewczyn. Wśród domowych pupili zdarzają się bydlaki.

- Nie ma tu Kurta - powiedział Wik.

- A co w telewizorze?

Wik nie odpowiedział. Dawali historyczny film o pierwszym lądowaniu sponsorów na Ziemi.

... #/skąd ... ? wyjaśnić z Kiryłem/ Tłum tubylców w obrzydliwych odzieniach rechocze na widok wychodzących z otwartego luku statku trzech sponsorów. Sponsorzy są masywni, są o wiele więksi i ciężsi od ludzi, niektórzy osiągają cztery metry. Ze skafandrów wysuwają się pokryte łuską zielone łapy z długimi, chwytными, jakby bezkostnymi palcami. Zielone, błyszczące, jakby wysmarowane tłuszczem głowy pokryte są łuską. Przybysze witają się z tubylcami.

- Dziś mamy jubileusz! - rzekł nagle siedzący obok mnie mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jakąś głupią pelerynkę. - Wiek! Wiek pierwszego szczęśliwego kontaktu!

- Zeby tak oblać - rzekł jakiś nędzny parchawiec. Czasami do sali relaksu domowych pupili przenikają z ulicy włączający się ludzie. Ukrywszy się pomiędzy nami mogą liczyć na szklankę lemoniady albo garść orzeszków. - Zeby tak wypić, powiedziałem! Z okazji szczęśliwego jubileuszu!

Patrzył prosto na mnie, jakby spodziewał się, że wyciągnę z zanadru butelkę samogonu.

Zeby uniknąć jego bezczelnego spojrzenia odwróciłem się do ekranu. Nawiedziła mnie dziwna myśl: jak zmieniło się życie na Ziemi w ciągu minionych stu lat! Nie było mnie, co prawda, wtedy na świecie, ale wiem ze starych taśm i czasopism o świecie gwałtu, niepewności, wczesnej śmierci i biedy, o świecie, w którym panowało prawo silniejszego, gdzie ludzie, jakby dążąc do samobójstwa, niszczyli rzeki i zatrawali powietrze... aż strach myśleć, co by było bez Wizyty!

Parchawiec natomiast już uczeplił się Wika, słyszałem jego mendowaty głos:

- Zdobądźże łyk, no zdobądź, bracie. Przecież możesz, jesteś gładziutki!

Dumny patrzyłem na ekran, gdzie spokojnie, z poczuciem własnej dumy poruszali się sponsorzy, chłonąc świecącymi dobrem oczami otaczającą rzeczywistość. Ciekawe, jakie myśli przebiegały w tamtym czasie pod wysokimi zielonymi czołami! Kiedyś Jajbłuszko, głaszcząc mnie po plecach, opowiadała mi o swoim ojcu - jednym z pierwszych sponsorów. Zapewniała mnie, że sponsorzy byli wstrząśnięci tym, co zobaczyli na Ziemi.

- Aj! - rozpaczliwy krzyk przeciął spokojny szum sali relaksu.

Poderwałem się. Wszyscy się poderwali. Tak jak myślałem: Wik, elegancki, miły, wydawałoby się że genetycznie pozbawiony agresji, jak dziki pies rzucił się na parchawca, i turlali się teraz po podłodze, usiłując wpić się zębami w gardło drugiego. Pozostali poderwali się ze swoich miejsc, otoczyli bijących się pierścieniem i oklaskami oraz krzykami ich zachęcali. Takie zachowanie moich kolegów mnie oburzyło.

- Jak wy się zachowujecie! - krzyknąłem. - Wstydzcie się! Zapomnieliście, że nasi sponsorzy nie żałują czasu i sił, żeby nauczyć nas właściwego rozumienia dobra! Nie mamy prawa poniżać się do prymitywnej bójki. Lada moment może to ktoś zobaczyć!

Ale jak na złość nikt mnie nie słyszał. A zwabieni hałasem do sali wpadli dwaj sklepowi milicjanci z elektropałami. Zachowywali się tak, jakby wszyscy byli przestępcami i chuliganami - tłukli pałami, rzucali na podłogę, deptali nogami. Musieliśmy wbić się w kąty, ale i tam sięgały nas razy tych sadystów.

Zawsze mnie oburzali ci ludzie, którzy nie widzą różnicy pomiędzy miłością do naszych sponsorów, współpracy z nimi i usługiwaniem im kosztem swoich współplemieńców. Jak to się mówi, “służę z ochotą, wystugiwać się brzydzę!” Oto moje credo.

Ale credo nie broniło mnie przed ciosami, mnie, który nikogo nie tknął palcem i nie brał udziału w ohydnej bójce, sprowokowanej, jak uczciwie przyznałem Jajbłuszko, kiedy zabrał mnie z sali relaksu, przez szubrawca-parchawca, byś może agenta sił destrukcyjnych, występujących pod fałszywym hasłem: “Ziemia dla ludzi!”

- Gdzie by oni teraz byli - burknęła w odpowiedzi Jajbłuszko, ciągnąc smycz, na której prowadziła mnie do domu, a przeznaczonej, w moim konkretnie przypadku, tylko do tego, by uchronić mnie w przypadku niespodziewanej napaści - gdyby nie nasza ekspansja, wymarliby we własnych brudach.

Oczywiście, całkowicie się zgadzam z moją kochaną, dobroduszną Jajbłuszko, czterometrowym niezgrabnym żabskiem!

Postanowiłem wykorzystać jej zaniepokojenie i powiedziałem:

- Pani, widziałem niedawno trójkolorową elektroniczną obrozę.**
- Po co ci? Masz zupełnie nową.**
- Ta ma wszczepiony system ostrzegania. Jeśli ktoś zechce mnie ukraść, to obroża od razu to zasygnalizuje.**
- Pewnie wściekle kosztuje - burknęła moja pani.**

A ja zrozumiałem, że jej stały strach przed utratą mnie, jej papusia, pieseczka-koteczka, kochanego jej człowieczka, którego szczerze uważała za członka rodziny, zmusi ją do wykosztowania się. Taki tricokor miał już Wik, cała nasza ulica wariowała z zazdrości.

Skręciliśmy do domu. Wkrótce miał wrócić z pracy sam sponsor Jajbłuszko, więc my z panią zawsze z drzeniem czekaliśmy na tę chwilę.

- W czasie kiedy tłukłeś się w zwierzyńcu - kontynuowała Jajbłuszko (próbowałem oponować, ale nie słuchała mnie - po prostu głośno myślała) - właśnie komentowałyśmy z damami wiadomości z Symferopola. To się w głowie nie mieści - napad na uzdrowski autobus! Nie jestem zwolenniczką surowego traktowania, ale każda cierpliwość ma swoje granice. I to bezsensowne hasło...

- “Ziemia dla ludzi!” - powiedziałem, a zabrzmiało to odrobinę bardziej wyzywająco, niż zamierzałem.

W tej samej chwili Jajbłuszko smagnęła mnie po plecach biczem, który zawsze nosiła ze sobą, żeby odpędzać ode mnie wielbicielek.

To mnie głęboko obraziło. Nawet jeśli jesteś większy i silniejszy, to nie znaczy, że możesz używać bata. Położyłem się na gołym zakurczonym asfalcie. Postanowiłem na znak protestu natychmiast umrzeć!

Jajbłuszko szarpnęła za smycz. Nie sprzeciwiałem się. Pociągnęła mocniej i dosłownie powlokła mnie, nie zastanawiając się nad tym, że mogę się podrapać i zacząć się ropienie, od którego już tylko krok do gangreny!

Wstałem. Przecież to nie ona będzie się męczyć przed śmiercią, bydlę tępę! Jeśli zajęli Ziemię, bo mają ogłupiające gazy, laserowe armaty i diabli jeszcze wiedzą jaką broń, to jeszcze to nie oznacza, że ludzie są niewolnikami. Nie, jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa! Też jesteśmy cywilizowanymi ludźmi!

Jajbłuszko, widocznie, poczuła gniew bijący od przedstawiciela ubezwłasnowolnionego, ale nie zniewolonego narodu, dlatego że przestała ciągnąć za smycz i powiedziała z winą w głosie:

- Otrzep się Timosza. Nie wolno tak się zachowywać - ludzie patrzą.

- Niech patrzą - powiedział, ale podporządkowałem się.

Jestem człowiekiem dobrym i nie pamiętliwym.

Nadal szliśmy w kierunku domu.

Czasami spotykaliśmy innych sponsorów i sponsorki, odbywających popołudniowy spacer z domowymi pupilami. Sponsorzy witali się i wymieniali po kilka zdań we własnym języku, a to dawało i nam, pupilom, również przywitać się i poplotkować.

- Słuchaj, Tim - zapytał mnie Iwan Aleksiejewicz z domu Plijbocziko - Sienia ma świerzb. Powieźli go do rakarni.

- Nie może być!

- Miałeś z nim kontakt?

Nie lubię Iwana Aleksiejewicza. Przez całe życie wysługiwał się ponad miarę swoim sponsorom. Nawet biega do sklepu i kołysze ich dziecko. Nie wolno tak się poniżać!

- Chyba pan przesadza - powiedziałem, a sam poczułem jak serce ścisną mi żal z powodu Sieni, uprzejmego, dobrze wychowanego człowieka.

Jajbłuszko nieoczekiwanie pociągnęła mnie dalej, obroża wpiła się w gardło. Dobrze, że nie usłyszała o Sieni. Jeszcze by pociągnęła do weterynarza!

Widok, jaki otworzył się moim nieszczęsnym oczom, odwrócił moją uwagę od fizycznych cierpień.

Na spotkanie szedł żabczak i prowadził na złotym łańcuszku moją ukochaną!

Nie, nigdy nie pomyłę jej z nikim na świecie! Jej świetlisty wizerunek na zawsze zapadł w mój umysł!

- Gdzie? - krzyknęła Jajbłuszko i tak szarpnęła do tyłu, że straciłem równowagę i, żeby nie upaść na ziemię, musiałem opaść na czworaki.

Dziewczyna, która najpierw uśmiechnęła się do mnie jak do starego znajomego, widząc moje nieszczęście roześmiała się - melodyjnie, dźwięcznie i boleśnie. Jej sponsorek zatrzymał się i też zaczął się śmiać, jak śmieją się oni - chrząkając i wypinając brzuch.

- Za co? - zapytałem, wstając i starając się zachować poczucie własnej godności. - Czyżby fakt, że sto lat temu udało się wam ujarzmić Ziemię, daje wam uprawnienia do tak krzywdzącego i bolesnego upokarzania jej ludność?

Widać w sercu tego cielska coś drgnęło, ponieważ Jajbłuszko surowym głosem rozkazała żabczakowi-sponsorkowi, by przestał się śmiać. Zdyscyplinowani to oni są.

Żabczak zamilkł i pociągnął moją ukochaną na boczną ścieżkę. Dziewczyna tak elegancko i lekko biegła obok niego, podskakując w ruchu, linia nóg tak płynnie przechodziła w krągły tyłeczek, rude kędziory tak delikatnie i kusząco spływały po szczupłych plecach, że zaparło mi dech. I wszystkie próby i usiłowania Jajbłuszko, by oderwać mnie od tego podniecającego widoku były próżne. Musiała chwycić mnie na swoje łapy i, przyciskając do twardej piersiowej łuski, odnieść do domu.

Nie rozmawiałem więcej z Jajbłuszko. Ona nie kryła swego niezadowolenia, ja - poczucia krzywdy.

Jak jest dobry dzień to dostaję jeść razem ze sponsorami, w jadalni, ale dziś Jajbłuszko postawił mi miskę w kącie kuchni. Wziąłem ją, usiadłem na parapecie, żeby chłepcząc patrzeć przez okno w nadziei, że moja ukochana wróciła ze spaceru, ale Jajbłuszko zajrzała do kuchni, dała mi klapsa i spędziła z parapetu. Gotów byłem zemścić się na niej i zrezygnować z kolacji, ale strasznie chciało mi się jeść, więc odłożyłem zemstę na inną okazję.

Na tym moje nieszczęścia się nie skończyły. Ni z tego ni z owego żabsko urządziło sprzątanie w komórce i znalazła tam książkę z komiksami o supermanie Iwanowie, którą dostałem od Wika za starą monetę. Więc kiedy w domu pojawił się ponury sponsor Jajbłuszko, ona podała mu jeszcze przed obiadem swoje trofeum.

Głodny i dlatego szczególnie niebezpieczny dla ludzkości przybysz Jajbłuszko wyciągnął mnie spod kanapy, pod którą chciałem się schronić i bezlitośnie wysmagał elektrobiczem. Jego żółte oczka płonęły przy tym wściekłym sadystycznym ogniem, ale podczas egzekucji rozmawiał ze mną, jakby nie sprawiał niewyobrażalnego bólu, tylko popijał herbatkę.

- Czyżbyś do tej pory nie zrozumiał, homo servilus, że czytanie to domena istot rozumnych? Dzisiaj zacząłeś czytać...

- Przecież to tylko komiks! Oj, boli!

- Będzie bolało jeszcze mocniej... Dzisiaj czytasz komiks, a jutro wyjdiesz na ulicę z wypełnioną plastiką bombą!

- Nigdy nie ośmieliłbym się podnieść ręki na swojego żywiciela!

- Nie podniesiesz, dopóki się nas boisz, ale gdy tylko zniknie strach, staniesz się niebezpieczny.

Tak dywagując sponsor Jajbłuszko tłukł mnie.

Ja natomiast, zachłystując się łzami i bólem byłem bliski utraty przytomności, kiedy pani Jajbłuszko wyrwała mnie z rąk małżonka i odniosła na posłanie.

Rozmawiali za drzwiami w swoim zwierzęcym języku, który znałem jak własny. Ciekawe, że żaden sponsor nie wierzy, że ludzie są w stanie opanować ich język - jakoby ta umiejętność znajduje się po za zasięgiem naszych możliwości umysłowych. W rzeczywistości każdy domowy pupil, oprócz najtępszych, rozumie rozmowy sponsorów. Zresztą - jakżeby inaczej? Oni postanowią wysłać cię do rakarni, a ty tylko się będziesz gapił?

- Wydaje mi się, że byłeś przesadnie okrutny, mój panie - powiedziała pani Jajbłuszko.

Jej mąż coś wychrzakał w odpowiedzi.

- Przecież on nie jest obcy.

Znowu niezrozumiale.

Podpełzłem do drzwi, wlokąc za sobą posłanie. Idiotyczny zakaz ubierania się przez ludzi, który wpędził do grobu wiele już tysięcy, szczególnie jest okropny, kiedy jesteś zбитy. Masz dreszcze, a okryć się nie ma czym.

Jako tako naciągnąwszy posłanie na sińce i zadrapania, ułożyłem się przy drzwiach do ich pokoju.

- Ale wzięliśmy go gdy był maluchem! Pamiętasz, jaki był zabawny!

- Ale już nie jest zabawny. Należy pomyśleć, co z nim robić w przyszłości.

- Jest nieszkodliwy.

- Musisz myśleć też o zwierzęciu! On ma swoje potrzeby - rozsądnie i spokojnie mówił sponsor. Tylko dlaczego nazywa mnie zwierzęciem, skoro dawno już udowodniono, że ludzie są rozumni?

- Jakież to potrzeby ma Timosza?

- Potrzeby dorosłego samca!

- No wiesz co!

Potem nastąpiła cisza. Widocznie sponsor kończył kolację, a jego żona zastanawiała się. Zawsze zastanawia się z prędkością ślimaka.

- Masz rację - usłyszałem jej głos. - Dzisiaj pomyślałam sobie o tym samym.

- A co się stało?

- Na widok pewnej... osobnika płci żeńskiej omal nie zerwał smyczy.

- Przecież mówiłem! Odwieziemy go do kliniki. Pięć minut i po kłopotcie.

- Nie! - niemal krzyknęła pani sponsorka. - Tylko nie to!

- Dlaczego? Miliony ludzi przechodzi taką operację. Od razu obniża poziom agresji, pozytywnie oddziałuje na charakter zwierzęcia. Jeśli nie zrobi się na czas operacji to może dojść do tragedii. Przecież wiesz, ilu młodych samców uciekało z domu, trafiało pod samochody, w obławy, do rakarni!

- Tylko nie to! Nie przeżyję tego. Nie wiem, jak będę żyć bez swojego Timoszki!

- Nie jęcz. Będzie ci za to wdzięczny.

Za drzwiami nastąpiła złowieszcza cisza. Fizycznie czułem, jak myśli moja sponsorka. Poważnie rozważa problem: czy zabić we mnie mężczyznę? Ona - istota, z którą żyjemy już około dwudziestu lat, ona, która wstawała do mnie w nocy, kiedy miałem szkarlatynę, której przynoszę pantofle i dogrzany bulion, jeśli cierpi na bezsenność... Czyżby pani Jajbłuszko miała się zgodzić na to, bym ja, najbliższa jej istota, został poddany strasznej operacji? O, nie!

- No, dobrze - usłyszałem głos pani. - Kładźmy się spać. Pogadamy jeszcze jutro.

Drzwi się otworzyły, pani kazała mi iść do sypialni, położyć się na dywaniku przy ich łóżku. Z trudem wykonałem polecenie. Całe ciało bolało. Strach skuwał moje członki.

Państwo zasnęli szybko, ale ja, rzecz jasna, nie spałem. Zamierzali się toporem na najważniejszy dar przyrody, na moje jestestwo! Znam tych nieszczęsnych niewolników, tych domowych pupili, pozbawionych męskiej godności. Znam te żalosne szczęśliwe cienie ludzi, które dożywają swojego biologicznego wieku, nie zostawiwszy śladu na Ziemi.

Bezszelestnie wstałem i podszedłem do okna.

Stąd, z piętra domu, widać było trawnik, oddzielający nasz dom od domu, w którym mieszka Inna. I nagle zobaczyłem w nocnym półmroku, jak ona, lekka, pachnąca, wyszła na ten trawnik, położyła się na plecach i przeciągnęła. Oto jaka jest - delikatność, oczekiwanie miłości, tęsknota, szczęście!

Trzasnęły drzwi, wylał jej żabczak. Kazał iść spać.

Moja ukochana leniwie wstała i wróciła do domu.

A ja byłem gotów umrzeć...

Następnego ranka nikt nawet nie wspomniał o wczorajszych burzliwych wydarzeniach. I ja, obudziwszy się z powodu sennego koszmaru, natychmiast oprzytomniałem słysząc czuły głos sponsorki:

- Timosza, szybko umyj się i chodź na śniadanie! Ugotowałam ci kaszkę!

Pogłaskała mnie po głowie i powiedziała, że zaprowadzi mnie na ondulację, a ja tylko czekałem na tę chwilę, kiedy będę mógł wyjść do ogrodu, a tam spotkam...

Jak na złość długo nie wypuszczała mnie. Najpierw wpadło jej do głowy zrobić mi pedicure, potem uznała, że mam gorączkę, i zmusiła mnie do zmierzenia temperatury. Staralem się nie patrzeć w okno, żeby nie wywołać podejrzeń.

- A na pana Jajbłuszko nie gniewaj się - mówiła sponsorka, przebierając moje loki - bywa surowy, ale zawsze sprawiedliwy. Przecież wiesz, że ma w jednostce wiele organizacyjnych problemów, i nie może pozwolić sobie na osłabienie uwagi. Z wami, ludźmi, przez cały czas trzeba oczekiwać podstępów. Jesteście jak niewychowane dzieci.

- Dlaczego niewychowane?

- Dlatego, że usiłujecie skrycie rozrabiać, dlatego że jesteście niewdzięczni, dlatego, że oszukujecie... dlatego że... miliony przyczyn! Czego się na mnie gapisz? Najadałeś się - idź pospacerować. Ale ani na krok za płot.

Grzecznie ukloniłem się Jajbłuszko i poczekałem aż jej zielona łuskowata tusza wypłynie z kuchni, i natychmiast rzuciłem się do ogrodu. Serce podpowiadało mi, że Inna czeka tam na mnie albo wygląda ze swojego okienka, żeby wyjść, kiedy ja się pojawię.

Przemierzyłem trawnik, przycupnąłem przy basenie, sprawdziłem stopą wodę. Woda był zimna. Poszedłem w kierunku krzaków, co to rosły przy żywopłocie i skutecznie ukryłyby tych, którzy postanowili skryć się przed ciekawskimi oczyma.

Nie było tam nikogo. Pustka ta była nasycona brzęczeniem owadów, szczebiotem ptasząt i podobnymi pokojowymi, zupełnie nie miejskimi dźwiękami. Starsi powiadają, że wcześniej na Ziemi było nie tak cicho i ładnie, ale sponsorzy zakazali używania śmierdzących silników i zburzyli szkodliwe fabryki. Oni sami nie potrzebują większości naszych rzeczy, ludzie również szybko odzwyczaili się od takich przedmiotów jak buty i piece, nawet od ubrań, dlatego że, jak mi mówiono, ludzie żyją tylko w ciepłych miejscach naszej planety.

- Tim - powiedziała Inna zaglądną w krzaki, - Wiedziałam, że cię tu znajdę.

- A ja umyślnie tu przyszedłem - powiedziałem. Byłem szczęśliwy. Ale nie mogłem wytłumaczyć tego uczucia. To nie było to uczucie, o jakie podejrzewali mnie państwo. Chciałem patrzeć na Innę, a jeśli już dotknąć ją to tylko koniuszkami palców.

- Zbili cię? - zapytała Inna.

- Wczoraj - powiedziałem. - Przez ciebie.

- Przeze mnie? - Miała niebieskie, czułe oczy.

- Oni uznali, że jestem za bardzo... za bardzo jestem porywczy. Ze nadszedł czas... - Język nie posłuchał mnie i nie mogłem powiedzieć, o co chodzi, mimo że nie była to tajemnica albo coś niezwykłego - ponad trzy czwarte mężczyzn po dwudziestym roku życia poddawano amputacji tych organów dla ich własnego dobra i pożytku demografii.

- Niemożliwe! - domyśliła się Inna. - Tylko nie to!

- Dlaczego? - wyrwało mi się.

Chciałem usłyszeć przyjemną dla siebie odpowiedź.

Inna odwróciła się. Pytanie jej się nie spodobało. Widocznie wydało się cyniczne.

- Wybacz - powiedziałem. Poczułem się winnym przed tą dziewczyną. Zachwycałem się jej profilem - Inna miała mały nosek, który odrobinę podciągał do góry górną wargę, przez co widoczne były białe ząbki. - Wybacz, zajączku.

- Jesteś dureń - powiedziała Inna. - Pewnie nigdy nie miałeś dziewczyny.

- A niby skąd? - przyznałem się. - Przecież mnie wzięli gdy byłem szczeniakiem, z hodowli. I tak sobie żyję jako domowy pupil. Nie znam innego życia.

- A ja pamiętam swoją mamę! - powiedziała Inna.

- Być nie może!

To było takie dziwne. Nikt nie powinien znać swoich rodziców. To jest przestępstwo. To jest amoralne. Pupil należy do tego sponsora, który pierwszy złożył na niego zamówienie.

- To ona się przyznała - wyszeptwała Inna. - Opowiedzieć ci?

- Oczywiście, opowiedz.

Inna przysiadła się bliżej, nasze ramiona zetknęły się. Położyłem dłoń na jej kolanie, a ona nie rozzłościła się. Dlaczego, pomyślałem, uczyniła mi zarzut, że nie miałem dziewczyny? Czy to znaczy, że ona już kogoś miała?

Myśl ta przepelniła mnie goryczą, jakiej dotychczas nie odczuwałem.

- W naszym domu była jeszcze jedna pupilka, starsza ode mnie - powiedziała Inna. - Wiele mnie nauczyła. Opowiadał mi o ludziach, którzy żyją na wolności.

- Nie wiedziałaś o tym?

- Wiedziałam tylko, że źle się żyje poza domem.

W tym momencie w pobliżu zatrzeszczały gałęzie, rozległy się ciężkie kroki. Nawet nie zdążyłem odskoczyć - obrzydliwy żabczak, synek sponsora Inny, zwałił się na mnie i zaczął wykręcać mi rękę.

- Ach, to tym się zajmujesz! - ryczał.

Zdażyłem zauważyć jak trzepną nożyskiem Innę w bok i jak biedaczka pofrunęła. Ale nie mogłem jej pomóc - żabczak już wyciągał mnie z krzaków, wykręcając rękę, a ja wrzeszczałem z bólu.

Moje krzyki ściągnęły panią Jajbłuszko.

Zacząła oburzona krzyczeć:

- Jak śmiesz! To nie twój pupil! Natychmiast przestań męczyć Timoszkę!

A żabczak, nie zwalniając nacisku, wrzeszczał:

- No to proszę popatrzeć, proszę popatrzeć, czym się zajmował w tych krzakach! Ta nasza dziewczynka jest jeszcze niewinna, gwałcieł przeklęty! Nie ujdiesz żywy!

Nadepnął mi na brzuch, zrozumiałem, że jeszcze chwila i zginę - to samo musiała poczuć moja Jajbłuszko. I, nie zważając na osławioną powściągliwość i rozsądek sponsorów, myśl o ewentualnej utracie pupila tak ją rozgniewała, że rzuciła się na żabczaka i zaczęła bezlitośnie okładać go zielonymi pokrytymi łuskami łapami. Ten się bronił, ale był dzieckiem, i to dzieckiem, które ośmieliło się na cudzym terenie wszcząć bójkę z gospodynią domu, tak więc zostałem uratowany i po kilku minutach, pochlipujący z bólu i poniżenia, nasz sąsiad oddalił się do swojego ogródka i zaczął stamtąd powarkiwac:

- Gdzie jest ta łajdaczka, gdzie ta rozpustne bydlę? Ja jej pokażę... Mamoooo, pani Jajbłuszko mnie zbiła...

- No i widzisz - powiedziała moja sponsorka, pomagając mi wstać i dojść do domu, a ja nie dokonałbym tego bez jej pomocy. - Mieliśmy absolutną rację: bez zabiegu ciągle będziesz wpadał w nieprzyjemne sytuacje. I nie powinieneś się odwracać i płakać. Po co te łezki, mój miły? To się odbywa szybko i pod narkozą. Obudzisz się szczęśliwy, a ja upiekę ci pierożek. Już dawno prosiłeś mnie o pierożek z kapustą.

Milczałem walcząc ze łzami. W gruncie rzeczy Jajbłuszko była dobrą sponsorką. Inni ludzie mieli właścicieli o wiele bardziej okrutnych i brutalnych. Inni nawet by i nie rozmawiali - zawieźli gdzie trzeba, zrobili co trzeba - i żyj sobie szczęśliwy!

Leżałem na posłaniu w swoim kącie, dziwne, poplątane myśli krążyły po mojej głowie. Nagle pomyślałem, że pewnie nigdy nie będę miał kolorowej elektronicznej obroży, jaką ma Wik. Przecież sponsorzy są ze mnie niezadowoleni. Nagle myśli przeskoczyły na moje własne przestępstwo i zrozumiałem, że żadnego przestępstwa nie było. Chciałem nawet wstać i wytłumaczyć pani, że wcale nie usiłowałem skrzywdzić Inny, znaczy - napaść na nią... A - w końcu - to nasza sprawa, sprawa ludzi, jak mamy się kontaktować ze sobą! I nie będą całować sponsorki Jajbłuszko! Nieoczekiwanie dla samego siebie zachichotałem, ale, na szczęście, nie usłyszała tego. Siedziała nad haftem na chorągwi dla pułku sponsora Jajbłuszko, ponieważ stara się postrzepiła na niezliczonych manewrach i defiladach.

Odwróciłem się na plecy, ale plecy bolały - coś mi ten zielony żabczak uszkodził. Musiałem leżeć na boku... Rozumiałem, że jestem skazany - mimo że moje doświadczenie w miłości było takie bardziej kontemplacyjne, ponieważ w ciągu tych dziewiętnastu lat, które przeżyłem, nie byłem blisko z kobietą - inni pupile pokazywali mi obrazki i opowiadali, wiele można się dowiedzieć w salo relaksu dla udomowionych pupili! Wcześniej nie wiedziałem CO stracę w przypadku operacji, której miałem się poddać, zresztą - nawet nie zastanawiałem się nad tym... Ale teraz spotkałem Innę i wszystko się zmieniło - myśl o operacji napelniała mnie strachem... Ale dlaczego? Przecież nie znienawidziłem dentysty po tym, jak bolał mnie ząb? Głupio i naiwnie... Co mnie obchodzi jakaś tam kontynuacja rodu? Nas, domowych pupili, to nie dotyczy. Chociaż kiedyś w sali relaksu opowiadano, że w jednych sponsorów mieszkała razem i spała na jednym posłaniu para pupili, chociaż jest to surowo zakazane. A kiedy podrosli, to zaczęli... w wyniku czego pupilka urodziła małego dzieciaczka. Chcieli go utopić, a rzucili go do rzeki, a on ni utonął, ktoś go znalazł, a potem pewien mądry detektyw rozwiązał tę zagadkę... Zresztą - nie pamiętam, nie będę kłamał.

Zasnąłem... Ponieważ byłem pobity i moralnie potłuczony.

Kilka razy budziłem się tego dnia. Najpierw dlatego, że przyszli sąsiedzi - sponsorka i jej żabczak, który naskarżył na moją panią. Granda była niesamowita, przy tym obie damy straszyły się wzajemnie swoimi mężami, a to było niezwykle. Potem sąsiadka zaczęła krzyczeć, że należy mnie zbadać, na wypadek, gdybym był zakaźnie chory, na co moja pani powiedziała, że to Inna jest zakaźnie chora... W sumie żaby miały zabawę, a ja na wszelki wypadek schowałem się za piecem, bo nie wykluczałem, że oberwę.

Udało się. Sąsiedzi poszli sobie, a pani przyszło do kuchni, ustawiła się przy piecu i zerkając w szczelinę zrobiła mi wykład o tym jakie bywają niewdzięczne stworzenia, w które włożono tyle sił, nerwów, czasu, a one nie odpowiadają tym

samym. Domyśliłem się, kto jest tym stworzenie i zrobiło mi się przykro. Oznaczało to, że powiozą mnie na operację.

Wieczorem otrzymałem potwierdzenie swoich lęków - państwo, jak zwykle przekonani, że żaden pupil nie pozna ich parszywego języka, spokojnie rozważali mój los.

- Jestem przekonana, że nasz Timoszka nawet palcem jej nie tknął - mówiła pani. - Sama go zwabiła w krzaki w wiadomym celu. Przecież wiesz, jak szybko rozwijają się ich samiczki.

- Ale ten dzieciak też jest niezły!
- Mam do siebie żal za porywczość.
- Przecież zaatakował cię na naszym terytorium.
- Ale jest słaby i głupi...

Drzemałem, nieśpieszna rozmowa ledwie docierała do mnie. Ale nagle się obudziłem.

- Zadzwonisz jutro do weterynarza? - zapytała pani.

Nic jeszcze nie było powiedziane, ale w moim sercu już utkwiała igła.

- A sama nie możesz?
- Pewnie jest kolejka na dwa miesiące - ileż tych operacji musi robić!
- To prawda, a ja jestem jednakowoż zwolennikiem humanitarnego punktu widzenia - mruknął mój sponsor - niepotrzebne należy topić. Topić i topić. Wtedy nie będzie problemu z weterynarzami.

- Chciałbyś, żeby Timoszę utopiono?

Pan zrozumiał, że przesadził i wycofał się:

- Timosza to wyjątek - powiedział. - Jest jakby częścią domu, jest mi bliski jak to krzesło...

Porównanie było nieco wątpliwe. Dla mnie, w każdym razie, zabrzmiało dość groźnie. Stare krzesła rzuca się w ogień.

- Dobrze - powiedział sponsor - zadzwonię i umówię się. A ty napisz oficjalny łagodzący sprawę list do sąsiadów. Sam go odniosę. Musimy z nimi współżyć, a on jest drugim adiutantem garnizonu.

Zrobiło mi się smutno, że moi państwo nie są najsilniejsi na świecie. Chciałbym, żeby byli najsilniejsi i nie bali się jakichś parszywych żabczaków... Potem zacząłem wmawiać sobie, że weterynarz jest tak zajęty, że operacja może się odwlec na cały rok... a do tego czasu coś wymyślimy i, na przykład,

uciekniemy z Inną, albo moi sponsorzy ulitują się widząc moje uczucie i kupią Innę od naszych sąsiadów. Będziemy z nią żyli razem i spali na jednym pośłaniu, i kupią nam jednakowe trójkolorowe obroże... Przepelnionym takim szczęśliwymi myślami zasnąłem.

A obudziwszy się, zrozumiałem, że nie ma się z czego cieszyć.

Każdy sygnał telefonu odbierał jak dźwięk pogrzebowego dzwonu, każdy przelatujący flyer wydawał mi się zwiastunem złego losu. Ale los milczał do szóstej wieczorem. Właśnie wtedy zadzwonił gospodarz. Jego zielony pysk zajął cały ekran telefonu; stoją za plecami pani słyszałem każde słowo.

- Wszystko się ułożyło - powiedział sponsor, jakby rozmowa dotyczyła problemu czy kupić mi na zimę nową pelerynkę - przycisnąłem go, powiedziałem, że Timofiej jest niebezpieczny dla otoczenia z powodu nadzwyczajnej agresywności, ale nie chcielibyśmy go usypiać, ponieważ żona jest dość przywiązana... w sumie - zgadza się.

- Kiedy? - zapytała pani Jajbłuszko.

- Dzisiaj o dwudziestej pierwszej trzydzieści!

- Zwariowałaś! Mam zamówiony o dwudziestej drugiej masaż!

- Trzeba będzie się poświęcić - powiedział sponsor - dla dobra domowego pupila.

- To straszne! Nawet nie zdążę przygotować ci kolacji!

- Jak chcesz - ryknął sponsor. - Nie będę się więcej poniżał przed weterynarzem!

- Dobrze, dobrze...

Pani odwróciła się do mnie - domyśliła się, że stoję za jej plecami.

- No i wszystko się ułożyło - powiedziała takim tonem, jakby operacja już się odbyła. - Zrobimy to i już jutro o wszystkim zapomnimy. Nie smuć się, podnieś głowę, mój mały człowieczku! - Pani pogłaskała mnie, a ja byłem gotów ukąsić tę łuskowatą dłoń, ale powstrzymałem się. W końcu - jestem człowiekiem czy nie!

- Idź do ogródka, pobaw się - powiedziała. - Przygotuję kolację i pójdziemy. To niedaleko.

Prosić, błagać - bez sensu. Sponsorzy są pozbawienie naszych ludzkich uczuć. Żyją w racjonalnym świecie, i nawet dziwiłem się, że w swoim czasie, w trakcie Wielkiego Podboju, nie wytrzebili wszystkich ludzi. Byś może właśnie emocje, nasze uczucia, nasze słabości wywołały u któregoś ze sponsorów podobne uczucia? Wszak nie nadaremno ich psycholodzy zalecają trzymanie człowieka w domu, w którym jest zabczak, przepraszam - dziecię.

Nadszedł zimny, marudny wiosenny wieczór. Wyszedłem do sadu. Wiedziałem, że Inny nie będzie - schowali ją za siedmioma zamkami. Ale może patrzy w tej chwili w okno?

Zerwałem stokrotkę i zacząłem ją wachać, demonstrując całym sobą, jaki jestem smutny i przygnębiony. Jeśli Inna patrzy to też zapłacze. Cóż robić, myślałem, gdyby było na Ziemi miejsce albo poza nią, jakiegokolwiek miejsce, w którym mógłby się ukryć i przeżyć skrzywdzony i poniżony człowiek, przedstawiciel dumnej rasy ludzi. Ale przecież nie zamierzał stać się wędrownym psem, który będzie grzebał w śmietniku w oczekiwaniu chwili, kiedy go złapią i zawiozą do rakarni! Nie, lepsza śmierć, lepsza operacja... Widziałem tych parchawców, widziałem jak wiozą ich przez miasto w okratowanej suce, a oni szczerzą zęby na przechodniów, dlatego że nic innego im nie pozostało jak tylko szczerzyć się. Nie, człowiek to brzmi dumnie! Może będę wykastrowany, ale nie pochylę głowy!

Tak dumając, odrzuciłem stokrotkę i spacerowałem po trawniku, założywszy ręce za plecy i opędzając się od gnojowych much, które usiłowały osiąść na moim gładkim, delikatnym ciele.

- Hej, Timosza! - usłyszałem ironiczny głos.

Mój przyjaciel Wik przeskoczył przez płot i znalazł się obok mnie.

- Dlaczego puszczają cię samego spacerować po mieście! - zdziwiłem się.

- Przecież wiesz - moja stara żaba nie jest w stanie mnie upilnować. A zresztą i tak bym się nie posłuchał.

- Wik - powiedziałem - jestem zrozpaczony!

I opowiedziałem mu o tym, że wkrótce poprowadzą mnie do weterynarza.

- Szczerze mówiąc - oświadczył Wik wysłuchawszy mojej krótkiej opowieści - gdyby coś takiego przydarzyło się mi, to ja by uciekł albo się powiesił. Na szczęście wybrano mnie na reproduktora, i na razie nic minie grozi.

- Ale dlaczego miałeś takie szczęście? Dlaczego?

- Jestem z bardzo dobrej rasy. Już w dzieciństwie mierzyli mnie i badali. Cały miesiąc trzymali w ośrodku eugenicznym.

- Gdzie?

- Tam gdzie sprawdzają rasy i hodują nowe.

- A ja mogę do tego ośrodka?

- Za późno przyjacielu, za późno - powiedział Wik. - Zresztą to zajęcie nie dal ciębie. Cały czas trzeba zajmować się sportem, przestrzegać diety, być gotowym do pracy w dowolnym czasie dnia i nocy.

- A dlaczego twoja sponsorka się zgodziła?

- Próżność, próżność - westchnął Wik. - Takich jak ja jest mało, a rasowego dzieciaka chce mieć wiele rodzin. Nie ulicznego, przypadkowego - właśnie rasowego. Przy okazji, nie jestem tu przypadkowo. O dwunastej mam być w tym domu. Do pracy.

- Co? - Jakby mnie poraziło prądem. - Co masz na myśli?

- Inna, która tu mieszka, no ta, która tak ci się spodobała!

- A ty... co?

- Dzisiaj rano jej pani zadzwoniła do mojej i prosi: pilnie potrzebuję waszego samca! Nasza panienka, powiada, dojrzała i dokoła niej kręcą się kawalerzy... Tim, Timka, co ci? Zbladłeś jak ściana.

Odsunął się o krok.

- Właśnie sobie pomyślałem - mówił dalej, odsuwając się, dlatego, że był durniem, który nie może skończyć mówić, póki wszystkiego nie powie. - Ze to śmieszne - ty do weterynarza, a ja do niej. Prawda, że śmieszne?

Wtedy wyrznąłem go w mordę. Między oczy, z całej siły.

Wik był większy, był silniejszy, ale nie oczekiwał, że mogę go uderzyć. Domowi pupile, szczególnie z tych rasowych, z dobrych rodzin, nigdy się nie biją. Sponsorzy będą się gniewali! Wik wyrwał się i zaczął uciekać, ale dogoniłem go i powaliłem na trawnik. Próbował oderwać moje palce od gardła, chrząkał i szarpał się, bił mnie nogami, a ze wszystkich stron już biegli ludzie i sponsorzy. Moja pani zaczęła odrywać mnie od niego, żabczak walił swoimi szponiastymi nogami - nienawidził mnie i chciał zabić. W otwartym oknie mignęła twarz Inna, wykrzywiona przez strach, a ja walczyłem, drapałem, gryzłem - byłem dzikim zwierzęciem, które należało zabić. Gdyby mnie zabili w tej chwili, nie zdziwiłbym się i nie uważał za krzywdzące - dla takiego jak ja nie było miejsca w naszym dobrze zorganizowanym cywilizowanym świecie.

Odciągnęli mnie. Wik leżał bez ruchu na trawniku, nie wiadomo - martwy czy żywy. Coś krzyczeli... A ja istniałem na poziomie zwierzęcych instynktów. Rządził mną instynkt samozachowawczy.

Szarpnąłem się i przeturlałem po trawie.

- Gdzie? - krzyczała pani Jajbłuszko.

Ale już przeskoczyłem przez płot i pobiegłem to skokami, to pochylając się, to robią uniki - oczekując w każdej chwili kuli albo laserowego promienia w plecy; pędziłem gdzie oczy poniosą, prowadził mnie instynkt samozachowawczy - za miasto, do lasu, na stary śmietnik... Widziałem, że mnie złapią, zawsze uciekinierów łapali i nawet pokazywali takie operacje w telewizji, żeby inni mieli nauzki. Ale i tak uciekłem...

Rozdział 2

Pupil na śmietniku

Nigdy jeszcze nie porzucałem naszego miasteczka, które wydawało mi się środkiem Wszechświata, ale miałem jakieś takie pojęcie o otaczającym świecie. Mieliśmy w domu telewizor, a pani Jajbłuszeko pozwalała mi oglądać go razem z nimi. Ale telewizor przeznaczony był nie dla domowych pupili czy innych ludzi - to było widowisko dla sponsorów.

Widziałem, że nasza Ziemia jest dużą planetą, z kontynentami i oceanami. Ziemia wchodzi w skład wielkiej federacji wolnych światów, a państwo sponsorzy zajmują w tej federacji honorowe miejsce. Niosą oni wszelkie prawdy i sprawiedliwość światom, które nie mają prawdziwej wiedzy. Zanim przylecieli do nas, my, ludzie, również nie znaliśmy prawdziwej wiedzy. Teraz wiele już wiemy, ale dużo jeszcze przed nami.

Wcześniej na Ziemi żyło bardzo dużo ludzi, nazywało się to #nadmierną populacją, ludzie mieli mało żywności, denerwowali się i nadali na innych. Silni zabijali słabych, ginęły całe państwa. Kiedy sponsorzy przylecieli na Ziemię, niosąc ze sobą światło wiedzy, wśród ludzi znajdowali się poszczególni osobnicy, którzy nie rozumieli prawdziwego celu sponsorów i starali się im przeszkodzić. Z tymi ludźmi, uzbrojonymi w czołgi i inne środki masowej zagłady, przyszło postąpić z całą surowością sprawiedliwości. Widziałem historyczne filmy telewizyjne, w których drobni, ale straszliwie uzbrojeni ludzie starali się wysadzić w powietrze wojskowe i ideologiczne obiekty sponsorów, a oni, z definicji dobrzy i sprawiedliwi, zmuszeni byli do ciężkich, niczym nie usprawiedliwionych ofiar, zanim zwyciężyli. Pamiętam, jak z oburzeniem oglądałem te filmy, całą duszą będąc ze sponsorami Jajbłuszkami, i nawet odczuwałem wstyd z powodu tego, że urodziłem się w skórze człowieka.

Oglądałem w telewizji również filmy pejzażowe. Pokazywały przyrodę i zwierzęta. Kiedy ludzi było za dużo przyroda znalazła się o krok od zguby. Teraz, kiedy ludzi było mniej, przyroda znów była cudowna. Sponsorzy lubili oglądać długie, wieloodcinkowe pejzażowe filmy - "Dżungla Amazonki", "Pustynie Antarktydy" i inne, dlatego nieźle znałem się na obyczajach i naturze pingwinów i anakond, chociaż nie miałem pojęcia jak ludzie żyją w tych okolicach. I czy w ogóle żyją.

Widziałem też taśmy o życiu w tych światach, skąd przylecieli sponsorzy. Ale, uczciwie mówiąc, niczego z tych filmów nie rozumiałem, bo byłem głupi i niewykształcony. A gdy pytałem o coś panią Jajbłuszeko niezmiennie odpowiadała: "Ty, głuptasie, nie zrozumiesz".

Zresztą, wtedy gdy uciekałem z rodzinnego domu w niewiadome, nie myślałem o Ziemi czy Galaktyce, zastanawiałem się, gdzie mogę się ukryć, gdzie mogę przeczekać pościg. Wiedziałem, że na pewno będą mnie ścigali, byłem świadkiem

takich pościgów, i - sądząc po opowieściach sponsorów i pupili, zbierających się przy supersamie - takie łapanki zawsze kończyły się ujęciem i surowym ukaraniem człowieka, który ośmielił się nadużyć zaufania sponsorów.

Z prawej od domu szeroka betonowa droga prowadziła do bazy sponsorów, gdzie pracował mój pan; uciekać w tamtą stronę to jakby samemu skierować się do rakarni. W lewo, do centrum, sklepów i miejsc zbiorowego wypoczynku sponsorów, też nie wolno. Zostawała droga przez tyły domów, po pustkowiach, na miejski śmietnik, miejsca tajemniczego, wstrętnego, które szefowie bazy wciąż zamierzają zlikwidować i zbudować tam tor do wyścigów na transporterach opancerzonych, ale ciągle nie mogą się zmobilizować, co często krytykował w trakcie domowych rozmów pan Jajbłuszko. Stamtąd, od strony śmietnika, często dochodzą fale ohydnych smrodu, wtedy wszyscy w mieście zamykają okna i włączają klimatyzację. Na śmietniku, jak słyszałem, ukrywają się bandyci i włóczędzy. Czasem urządza się na nich obławy a pojmanyh zawozi do rakarni, a gdy ucieknie pupil albo dojdzie do kradzieży, to na śmietnik kieruje się sprawiedliwy gniew sponsorów.

Mimo to biegłem właśnie na śmietnik - nie znałem innego miejsca, gdzie mógłbym się ukryć. Tym bardziej, że za śmietnikiem, jak mi opowiadali inni pupile, zaczyna się Wielki Las, który ciągnie się aż do Australii, to znaczy strasznie daleko. A w lesie rosną jagody i owoce, więc można zostać Robinsonem i nawet zbudować chatkę - jeden menel, który w ubiegłym roku przedostał się do sali relaksu pupili za chleb opowiadał nam takie stare historie. Wtedy się z niego śmiałem, a teraz, jak widzicie, przydało się!

Już się zorientowali co do mnie: daleko stąd zaczęła wyc syrena, co oznaczało "Człowiek uciekł!", "Niebezpieczeństwo!"; potem przez wieczorne niebo przemknął i zgasł długi promień reflektora. Do moich uszu dotarł hałas silnika śmigłowca.

Będą potrzebowali kilku minut, żeby mnie ująć, zaciągnąć z powrotem i przykładowo ukarać. Najpewniej pošlą mnie "na mydło", jak żartowała pani Jajbłuszko, ale, może, moi państwo poręczą za mnie - w końcu nie jestem im obcy! Wtedy mnie wykastrują i wezmą na łańcuch.

Tylko nie to!

"Co ta dziwny bunt wymyśliłem?" - pytałem sam siebie, uciekają coraz dalej od domu i kątem oka odnotowując jak zapalają się światła w oknach sponsorów, jak zbierają się na długie polowanie: uciekł człowiek!

Śmietnik znajdował się na miejscu, niegdyś istniejącego w tym miejscu ludzkiego miasta Tarusy, leżącego nad rzeką. Miasto było brudne, rzeka przepełniona chemicznymi odpadami - wszystko to zagrażało planecie. Tak więc po przybyciu kosmitów postanowiono miasto, jako źródło zarazy, zamknąć, a ludzi przenieść.

Śmietnik wydezynfekowano, w pobliżu zbudowano bazę o miasteczko dla sponsorów, i stopniowo śmietnik odżył - przecież trzeba gdzieś wyrzucać śmieci sponsorów!

Śmietnik zajmował ogromny płaski stok, który prowadził od bazy do rzeki.

Kiedy, zdyszany, dobiegłem do śmietnika, jego bezkształtne wzgórza w mroku wydawały mi się nie mieć końca.

Zatrzymałem się.

Póki biegłem miałem cel: dobiec do śmietnika, a na miejscu stanie się jasne, co robić dalej.

No więc dobiegłem do śmietnika i nie wiedziałem, co dalej?

Wejść pomiędzy wzgórza, skąd dolatywał mdły ciężki odór gnicia, znaleźć tam jakąś dziurę czy kryjówkę... i umrzeć?

A może, korzystając z ciemności, podążyć do niekończącego się lasu i zostać jego mieszkańcem?

Nie mogąc się zdecydować poszedłem na śmietnik, starając się wpatrzeć jakąś ścieżkę.

Wszedłem do świata, w którym piętrzyły się hałdy puszek po konserwach, kości, połamanych przedmiotów, rozbitych naczyń, kart komputerowych, wyschniętych jakichś trocin - niewiele widziałem w ciemności, ale, rzecz jasna, moja fantazja pozwalała mi widzieć to wszystko jak w dzień.

Całe moje czyste, umyte jestestwo sprzeciwiało się konieczności zbliżenia do stert pomyj - tym bardziej że - nie mając obuwia - najpierw nadepnąłem na coś śliskiego, potem wsadziłem piętę w ciepłą miękką kupę i niemal natychmiast potem trafiłem na brzeg puszek po konserwach.

Po co tu przyszedłem? Czy nie lepiej wrócić do domu i pokajać się? Zgodzić się na operację? Ale natychmiast zrozumiałem, że operacja już teraz nie wystarczy. Pupil-uciekiniery to źródło wirusów i infekcji, psychicznie niestabilny i niebezpieczny dzikus, i nie ma dlań innej drogi - do rakarni!

Pokryty wzgórzami stok zamarł w ciszy i wyczekiwaniu - wydawało mi się, że nie jestem tu sam, chociaż ani dźwięków, ani poruszenia nie odnotowałem.

Zamarłem, zastanawiając się, co robić dalej, i nie wiadomo, ile jeszcze bym się zastanawiał, ale dał się słyszeć zbliżający hurkot śmigłowca - jego reflektor już szperał po ziemi, i zrozumiałem, że za chwilę mnie wymaca.

Przerażony rzuciłem się w kierunku śmietnika, nie zwracając uwagi na ból stóp. Dążyłem do sterty cegieł, z której wystawał fragment ściany - przyłgnałem do niego plecami, mając nadzieję, że odgrodzi mnie od reflektora.

Warkot śmigłowca rozległ się tuż nad moją głową, niczym czarna ryba pojawił się nade mną, a reflektor ustawił przede mną jaskrawą ścianę. Jego promień skręcał ku mnie, zamierzając sprawdzić, czy nie ukrył się ktoś za fragmentem ściany; już chciałem rzucić się na ziemię i spróbować zakopać się w śmieciach, gdy zobaczyłem, że przy samej ścianie, o dwa kroki ode mnie znajduje się czarna dziura. Może bym i nie zobaczył tego, ale w tym momencie z dziury wysunęła się ludzka głowa i schowała się ponownie, ten właśnie ruch przyciągnął moją uwagę.

W takiej chwili trudno jest zapamiętać szczegóły własnego zachowania. Nie pamiętam swoich ruchów, ale znalazłem się w czarnym otworze, upadłem, uderzając o metalowe klamry, plusnąłem w śmierdzącą ciecz, wyprostowałem się, żeby w niej nie utonąć i uderzyłem tyłem głowy o strop podziemnego korytarza. Na kilka sekund straciłem przytomność, potem otworzyłem oczy - uderzyło w nie ostre światło - i krzyknąłem:

- Zabierz, zabierz to światło! Oczy mi wypłyną!

Obok mnie ktoś roześmiał się. Po chamsku, niekulturalnie.

- Niech wypłyną - powiedział głos.

Usiadłem i zwinąłem się w kłębek grożąc paznokciami - chociaż Jajbłuszko przycinała mi pazury, nawet robiła manicure, bo dbała o swego pupila i zamierzała pójść ze mną na wystawę. Może niektórzy mówią, że nie jestem rasowy, ale to się jeszcze okaże, kto rasowy, a kto z plebejskiego rodu!.. Pokazałem pazury i wyszczerzyłem zęby - niech się mnie boją.

Roześmiali się.

Wtedy cicho zawarczałem, żeby wiedzieli z kim mają do czynienia.

- Słuchaj, daj mu w ucho - powiedział kobiecy głos. - Niech się opamięta, szczył śmierdzący!

Nie wytrzymałem i rzuciłem się na te głosy, mimo że nie widziałem ich właścicieli. Gotów byłem rozszarpać ich, choć pani Jajbłuszko zawsze uczyła mnie najpierw pomyśleć, a potem coś robić, i nie raz dała klapsa i nawet złała, kiedy robiłem coś bezmyślnego.

Teraz też postąpiłem bezmyślnie - biłem się z kimś, i - o ile w pierwszej sekundzie uzyskałem jakąś przewagę z powodu zaskoczenia - po chwili musiałem z całych sił bronić swego życia, przed ostrymi zębami i pazurami, nawet nie wiedziałem - ludzkimi czy zwierzęcymi.

- No, dość już! - rozkazał niski kobiecy głos. Polecenie było wydane cichym głosem, ale słowa te wpadły do mojej głowy jak wkręcone śrubokrętem. Na wpół zaduszony, podrapany i zbity, wciskając się plecami w zimną mokrą ścianę, nie przypominałem nawet pewnie człowieka.

Światło już nie biło mi w oczy - druga latarnia zapaliła się z tyłu - zobaczyłem więc, że walczyłem z jednookim, pozbawionym ucha, brodatym włóczęgą. Jego owłosione, wstrętne ciało pokryte było mnóstwem siniaków i blizn. Włóczęga ciężko dyszał, z nosa ciekła mu krew.

- Ja cię... - mamrotał tępo - zaraz cię... zjem z gównem...

Zachciało mi się śmiać. Wszystko... i moja ucieczka, i mój strach na śmietniku pod stożkiem reflektora, i straszna bójka w ciemności - wszystko to skończyło się głupimi słowami jakiegoś bękarta.

- Zdażysz - kontynuował kobiecy głos.

Odwróciwszy się zobaczyłem dziwną istotę.

Wyobraźcie sobie kobiecą głowę - z wyrazistymi, jakby wyrzeźbionymi w marmurze rysami białej, jakby mlecznej twarzy. Oczy tej kobiety były ogromne i wydawały się jasne, ale w tym świetle nie mogłem określić ich barwy. Natomiast włosy były czarne - obfita grzywa ich otaczała twarz i ciężkimi falami spływała do ramion... ale moje oczy na próżno szukały tych ramion: głowa tej kobiety istniała jakby sama, dlatego że ciało, które miało ją podtrzymywać, należało do garbatej karlicy; nawet wyprostowawszy się kobieta nie sięgnęłaby mi do pasa.

Ta zmiana uczuć- od zachwytu do rozczarowania - niewątpliwie odbił się na mojej twarzy, i kobieta zobaczyła to. Jej oczy natychmiast zwęziły się z nienawiści do mnie, a małe, szczupłe piąstki uniosły się do piersi, okrytej brudnym workowym płótnem.

- Nie spodobałam się? - powiedziała, właściwie - wysyczała niczym żmija.

Na jej głowie poruszyły się włosy, jak skupisko gadów.

- Powiedz - nie spodobałam ci się?

- A co mi ta - powiedziałem. - Mnie tam wszystko jedno.

- Nie będzie żył! - wydała wyrok karlica.

- Nie będzie żył! - podchwycili jej przyjaciele, zebrani w podziemnym tunelu.

- Do studni z nim - krzyknęła bezzębna kobieta w łachmanach.

- Nie, do bagna, do bagna, niech go wciągnie! - krzyczał staruszek z długim nosem, na głowie miał wysoki czerwony kaptur.

- Sam go zaniosę do osadnika! - zajazgotał jednooki. - Niech śmierdzi.

W tunelu rozległ się wielogłosy śmiech, jakby znajdowali się tam jacyś ludzie albo inne straszne istoty, które podsłuchiwały naszą rozmowę i radośnie witały wyrok, wydany przez garbuskę.

- A ja to wezmę! - Nieoczekiwanie jednooki włóczęga wyciągnął rękę i szarpnął do siebie moją brozę. Mój jedyny skarb, moją jedyną własność! Pewnie - moja broża nie jest taka cenna i potrójnie elektroniczna jak Wika czy innych bogatych pupili, ale mimo wszystko - jest wykonany z tytanowego stopu, a to powoduje, że na słońcu pięknie się mieni, do niego przymocowany jest mój Certyfikat: pleć, wiek, imię, właściciel, no wszystko, jak się należy!

Ryczałem sprzeciwiając się. Uważałem, że lepiej niech mnie zaduszą, ale nie stanę się bydłem bez imienia i pana!

Drogo bym oddał swe życie, ale nagle ktoś mnie tak huknął w tył głowy, że wyłączyłem się - jakbym umarł.

Ale nie umarłem, jak się okazało, tylko straciłem przytomność. Dlatego, że ocknąłem się... Było ciemno i pusto. Ani żywego ducha. Ale z oddali dochodziły głosy i hałas.

Obmacałem tył swojej głowy - był gorący i mokry.

Skaleczyli mnie w głowę!

Hałas i głosy zbliżały się. Jacyś ludzie szli po tunelu.

Puch! Puch! Puch! - pękały jak bańki mydlane odgłosy wystrzałów.

Na czworaka popęzłem aby dalej od strzałów, pod kolanami i dłońmi miałem szlam... Zeby tak znaleźć wyjście z tej dziury! Niech mnie złapia, niech zabiją, ale nie mogę się dłużej tak męczyć!

Strzały i krzyki zbliżały się.

Poczułem podmuch zimnego powietrza, dotknęło mojej rozbitej głowy... Podniosłem ją - nade mną ział okrągły otwór, migotały w nim gwiazdy.

To był nieoczekiwany ratunek.

Zresztą, jeśli się zastanowić, nie było w tym nic nieoczekiwanego - przez tę dziurę wpadłem do podziemia.

Wymacałem w ciemnościach śliskie żelazne klamry i zacząłem wspinać się na górę - głowa bolała mnie tak, jakby miała z chwilę odpaść.

Powietrze wyraźnie stało się czystsze - mogłem już odetchnąć pełną piersią nie tracąc przytomności.

Z dołu, zupełnie blisko, dały się słyszeć krzyki i strzały. Zacząłem się wspinać szybciej.

- Dawaj łapę! - powiedział ktoś przyjaźnie z góry.

Wyciągnąłem rękę i ten człowiek pomógł mi wyjść na powierzchnię.

Tyle czasu byłem na dole w zupełnych ciemnościach, że moje oczy przywykły do nich na tyle, że, stanąwszy obok człowieka, który mi pomógł, od razu zobaczyłem, że ma na sobie czarny mundur, w ręku trzyma krótki automat, a na głowie ma, podobny do muszli, hełm milicjanta.

Przerażony zamierzałem skoczyć z powrotem do dziury, ale milicjant odgadł mój zamiar, krótkim ruchem uderzył mnie kantem dłoni w szyję. Ledwo utrzymałem się na nogach.

- Stój, śmieciu! - ryknął. - Chcesz żyć, stój, gnoju błotny!

Był zły, ale zrozumiałem, że nie zabije mnie. Nie słyszałem śmierci w jego głosie.

Przykucnąłem u jego stóp.

W pewnej odległości od nas pojawiły się światła dwóch latarek, zbliżały się i połączyły.

To szli inni milicjanci w czarnych mundurach i pędzili przed sobą kilkoro śmietnikowych parchawców - strach było patrzeć na te nieszczęsne, owrzodzone, pyski, na skołtunione kudły, tępe mętne oczy. Scierwa popiskiwały, jęczały i zachowywały się jak żalosne zwierzęta, i z pewnym złośliwym triumfem pomyślałem: dobrze wam tak! - co innego napadać na bezbronnego i pozbawionego praw pupila, co innego - pogadać sobie z prawdziwymi milicjantami, wiernymi druhami porządku, o których nawet Jajbłuszko mówiła, że są godni lepszego losu, niż urodzenie się człowiekiem.

Popchnięto mnie w plecy i nagle okazałem się w grupie tego bydła, ale moje próby zwrócenia na siebie uwagi, żeby okazać swoją przynależność do cywilizowanej części ludzkości, nie przyniosły skutku. Milicjanci nie mieli do mnie głowy - nadal przeczesywali śmietnik. Czasem z daleka spod ziemi dochodziły nas krzyki albo serie wystrzałów. Czasem obok przemykały błyskawiczne cienie, domyślałem się na podstawie widzianych filmów, że to milicjanci z odrzutowymi plecakami. Nieopodal wylądował ciężki śmigłowiec.

Właśnie do śmigłowca nas pognali.

Miał ogromne drzwi, mógłby przez nie wjechać nieduży czołg, a wewnątrz było pomieszczenie wielkości supersamu - zapewne helikopter był zrobiony dla sponsorów, a oni przekazali go milicji.

Wewnątrz było bardzo jasno, musiałem zmrużyć oczy. Wygląd moich towarzyszy podróży w świetle był jeszcze bardziej obrzydliwy, więc ciągle się dziwiłem, dlaczego milicjanci nie zauważają, jak istotnie różni się od dzikiego scierwa. Byłem gotów wyskoczyć do przodu, żeby wszystko wyjaśnić i powiedzieć prawdę, ale jednocześnie coś jak ogromne prerażenie powstrzymywało mnie: - przecież nie mogłem wykluczyć, że całą obławę wszczęto przeze mnie...

Milicjanci byli rzeczowi i milczący. Od czasu do czasu do wnętrza śmigłowca wpychano nową porcję włóczęgów - wkrótce było nas ponad trzydziestu, a ja okazałem się wcale nie pierwszym rzędzie.

Nawet w tej sytuacji nie utraciłem zainteresowania wszystkim zachodzącym i kręciłem głową, mają nadzieję zobaczyć tę zadziwiającą karlicę, ale nie było jej - może zginęła?

- Wzdłuż ściany, wzdłuż ściany! - krzyknął kapral. - W jednym szeregu!

W jednym szeregu stanąć nie było łatwo, ale milicjanci się tym nie przejmowali. Kopniaki i poszturchiwania rozproszyły nas wzdłuż ścian. Wystraszone, spocone, śmierzące wywłoki drżały ze strachu. Ja nie drżałem, chociaż też się bałem, ale wiedziałem, że w najgorszym przypadku przyznam się, że nie jestem zawszonym włóczęgą, a prawdziwym pupilem z dobrej rodziny.

Wysoki, barczysty milicjant, w nasuniętej niemal na nos pilotce zaczął oględziny od pierwszego z brzegu włóczęgi - podniósł mu głowę trącając podbródek, nacisnął na kąciki ust, żeby otworzyć usta, popatrzył na zęby.

- Zamknij! - powiedział. - Śmierdząca zgnilizna!

Podszedł do następnego, którym był staruszek w czerwonym kołpaku.

Obok niego nawet nie zatrzymał się, pchnął go pałką w pierś i zrobił następny krok... Zaczęła mnie boleć głowa, nie zastanawiałem się już kogo szuka pomocnik.

W ten sposób postępując minął pięciu czy sześciu włóczęgów i zbliżył się do mnie, gdy od strony drzwi rozległ się krzyk:

- Hej! Znalazłem!

Milicjanci wciągnęli rozpaczliwie broniącego się jednookiego włóczęgę, zupełnie gołego, jeśli nie liczyć mojej drogocennej obroży. Oto jest, mój grabieżca!

Runąłem w jego kierunku, żeby odebrać podle skradzioną rzecz, ale wyprzedzi mnie milicjant, który sprawdzał więźniów.

On odwrócił się do przybyłych, zrobił dwa kroki do jednookiego i zaszczekał. Słowo honoru, melodia jego mowy najbardziej na świecie przypominała szczekanie:

- Ta gadzina okradła swoich państwa, dokonał podłego występku i myślał, że może uniknąć sprawiedliwej kary!

Jednooki widocznie domyślił się, że przyczyną gniewu milicjanta jest odebrana mi obroża. Wczepił się w nią usiłując ją zerwać, chrypiał:

- To nie ja... to nie moja!

- To moja! - krzychałem w myślach, ale - na szczęście - tylko w myślach.

Nieuchwytnie szybkim ruchem milicjant uniósł pistolet i błękitny promień wyrysował czarną krechę na piersi włóczęgi.

Tamten zwał się na podłogę jak bryła mięsa i kości. Nikt nawet się nie odezwał.

Na znak kaprała ktoś podszedł do martwego włóczęgi, czubkiem buta odwrócił mu głowę i brzydząc się odpiął moją broń. Przekazał ją kapralowi.

To się stanie z każdym - powiedział ten - kto ośmieli się złamać zaufanie, które okazują mu nasi sponsorzy.

Następnie odwrócił się do nas, a ja dopiero teraz mogłem przyjrzeć się jego twarzy, jak gdyby dotąd emitowała ona jakieś śmiertelne światło, które przeszkadzało przyjrzeć się jej.

To była zwykła twarz, powiedziałbym nawet, że mężna - cofnięty podbródek, duży nos i pulchne, pokryte siecią czerwonych żyłek, policzki. Twarz jak twarz. Może tylko wąsy, niezwykle, z długimi końcami sięgającymi kości policzkowych, wyróżniały go z grona milicjantów.

- A wy, obszarpańcy, pojedziecie popracować - wyszczekał kapral. - Dość tego leniuchowania.

W tłumie więźniów rozległo się wycie. Dawały się słyszeć poszczególne jęki, składające się na słowa, modlitwy, błagania...

Staruszek w czerwonym kołpaku nieoczekiwanie rzucił się do drzwi. Nawet zdążył ich dopaść, ale w progu sięgnął go promień pistoletu. Jeszcze biegnąc staruszek poleciał gdzieś w dół.

- Są jeszcze chętni?

Nikt, rzecz jasna, nie odpowiedział.

Wtedy kapral gestem nakazał sprzątnąć ciało jednookiego, który zginął, jak już zrozumiałem, tylko dlatego, że wzięto go za mnie. Następnie wszystkim nam kazano usiąść na podłodze, zbijając się w tłum.

Wydawało mi się, że stracę przytomność z powodu smrodu, ale rozumiałem, że nie pozostało mi teraz nic innego, jak niczym nie wyróżniać się z tłumem. Kiedyś, w końcu, to się skończy i spłynę!

Zamknięto drzwi. Śmigłowiec płynnie i szybko wzniósł się w powietrze. W kabinie było cicho - szum silnika niemal tu nie docierał. Miałem wielką ochotę wstać i popatrzeć na ziemię z góry, ale nie odważyłem się.

Siedź, siedź - powiedział szeptem siedzący obok mnie włóczęga z zadartym nosem, widocznie wychwyciwszy moje pragnienie. - Sam zginiesz i innych narazisz, szczeniaku.

- Nie jestem szczeniakiem!

Włóczęga odchylił się widząc to, czego ja nie zdążyłem zauważyć - koniec cienkiego biczka przeleciał przez kabinę i zostawił na moim ramieniu puchnący błyskawicznie ślad.

- Za co? - krzyknąłem.

Milicjant roześmiał się i zamierzył ponownie biczem. Schowałem głowę między kolana.

Obok mnie ktoś się roześmiał. Tępota tych włóczęgów była aż nienaturalna. Rozśmieszało ich nawet nieszczęście sąsiadów.

Podróż zajęła trochę czasu.

Bardzo mnie bolało ramię, jakby koniec biczka był nasączony trucizną.

Wszyscy więźniowie milczeli, ja milczałem również, otępiały. Mogli mnie bić, a mnie było już wszystko jedno. Byle bym nie musiał patrzeć na pyski włóczęgów.

Oczywiście, mogłem podnieść się i powiedzieć, że zaszła pomyłka. Ale zginął człowiek, tylko dlatego że miał moją obrożę. A gdyby mi nie odebrano obroży? Wtedy to mój trup walałby się na śmietniku! Czyżby nic nie można było zrobić? Byłem przekonany, że jestem świadkiem nadużycia władzy przez milicjantów, których wcześniej uważałem za wiernych stróżów porządku. A jeśli to nie jest nadużycie, jeśli istnieje prawo, według którego pupil, który zawiedzie sponsorów, podlega likwidacji?

I nie mam kogo zapytać, komu się przyznać, nie mam na kogo się oprzeć. Gdybym to wiedział wcześniej, to - przysięgam na wielkiego sponsora - nigdy bym nie uciekł. Niech mi odetną obie ręce i nogi, ale niech zostawią mnie przy misce ze smacznym jedzeniem, przy przytulnie mamroczącym telewizorze, na moim miękkim posłaniu! O, gdzieżeś moja pani? Nie chcę być odszczepieńcem!

Czułem jak gorące łzy płyną po moich podrapanych policzkach, starałem się płakać tak, żeby nie ściąga na siebie uwagi... Zresztą - nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Z głębokiego zamyślenia wyrwała mnie mocna sójka w bok.

- Czego? - zapytałem.

- Jesteś ładnym chłopcem - powiedziała chuda bezzębna kobieta w nieokreślonym wieku, brudna tak, że nie wiadomo było, czy jest ubrana czy nie. Głos miała ochryply, jakby pęknięty, niewyraźny. - Jesteś ładnym chłopcem - powtórzyła i puściła do mnie oko.

Nie powiedziałbym, że jej słowa i czyny mnie ucieszyły. Nawet w takiej rozpaczliwej chwili wołałbym znajdować się obok zwykłego czystego pupila.

Ale nawet nie mogłem się odsunąć.

- Zaraz nas będą dzielić, rozumiesz?

- Jak to - dzielić?

- Gówniarz zasmarkany - powiedziała bez złości w głosie. - Po co robią obławy po lasach i śmietnikach? Potrzebują robotników. Nikt nie chce zdychać na katordze. Jeśli będziesz się mądrze zachowywał będziesz żył i złapiesz lekką robotę, może pociągniesz z rok-dwa, a potem dasz drapaka.

- Jak mam się mądrze zachowywać?

- Jeśli uznają, że jesteś silny - trafisz do kopalni uranu. Albo do węgla, koniec w dwa tygodnie.

- A jak pokazać, że nie jestem silny?

Mimo że widziałem tę kobietę pierwszy raz w życiu - wierzyłem jej. Może dlatego, że nie miałem innego wyjścia.- --

- Kulej, powłócz nogami, garb się, rób tiki - co ty, nic nie wymyślisz sam?

-A jak nie trafię do kopalni to gdzie?

-Może do sprzątaczy czy do kanalizacji, albo i do magazynu, albo - to najlepsze - do fabryki cukierniczej! -To lepiej! - Pomyślałem, że proponują mi poniżającą pracę. Żaden pupil nie będzie sprzątał pokoi czy mył nocniki - lepsza śmierć!

Być może na mojej twarzy odbiło się oburzenie, kobieta uśmiechnęła się bezzębnie.

-Skąd się taki wziąłeś, zbiegły pupil czy co?

Wystarczyło mi sprytu, by przecząco pokręcić głową.

-Żyj jak chcesz - powiedziała kobieta. - Czy to mało ludzi włóczy się po świecie?

Włóczyć się... To nie mogło odnosić się do mnie. Ja się nie włóczę - ja jestem udomowiony!

Śmigłowiec obniżył lot, wypędzili nas z niego na ogrodzone drutem kolczastym pole, na którym siedzieliśmy do rana. Siedzieliśmy - to niedokładne określenie. Ja, na przykład, niemal cały ten czas podskakiwałem usiłując się ogrzać, zgnębiony przejmującym zimnem. Gdybym był inaczej wychowany, to odebrałbym szmatę od któregoś ze starych ludzi - tak, widziałem, robili młodzi i beczelni.

Kilka osób zbiło się w gromadę i grzali się swoimi ciałami - w tej grupie siedziała również kobieta, która uczyła mnie udawać kalekę. Zawołała mnie, i usiadłem obok - zrobiło mi się nieco cieplej.

- Miałam jednego znajomego - opowiadała mi jak przyjacielowi - mieszkaliśmy w Moskwie. Byłeś w Moskwie?

- Nie - powiedziałem.

Wiaterek, który dniem był chłodny, teraz przejmował zimnem.

- Ale słyszałeś?

- Słyszałem - powiedziałem. - Czasem w telewizorze pokazywali.

- A gdzie widziałeś telewizor? - podejrzliwie zapytała kobieta. - Przecież nam nie wolno.

Za moimi plecami siedział człowiek, z głosu sądząc stary, ten miał niezłe: grzali go ze wszystkich stron. I to on powiedział:

- Nie czepiaj się, Irka. Przecież to zbiegły pupil.

- Nie - powiedziała Irka. - Przecież pytałam.

- Pupil, na pewno pupil, miał przecież obrożę. Krzywy mu obrożę zabrał, pamiętasz?

- Nie widziałam, spałam.

- A ja widziałem, pani Markiza chciała go postraszyć, a tu milicja się zwała.

Moi sąsiedzi rozmawiali tak, jakby mnie nie było obok. Czułem się pokrzywdzony, ale milczałem. Jak człowiek milczy to się na niego tak nie złości. Jak się zaczyna usprawiedliwianie, to na pewno zleją, to pierwsze prawo domowego pupila.

- No to dlaczego milczał? - zapytała kobieta. - Przecież przez niego Krzywego zabili, a nas wszystkich zgarnęli.

- Dobrze zrobił, że milczał - oświadczył głos. - Kto kazał Krzywemu zabierać obrożę? Każdy chce żyć, ale żyć tak trzeba, żeby innych nie krzywdzić. Krzywy skrzywdził i nie ma Krzywego - to prawo.

Kobieta nic nie powiedziała. A ktoś inny, też z tej gromadki, powiedział:

- Ty masz dobrze, Rak. Wierzysz w Boga.

- Tobie też nikt nie przeszkadza - powiedział staruch zwany Rakiem.

Potem zacząłem drzemać, chociaż i w pierś i w nogi było zimno, ale z boku i z tyłu grzali mnie inni ludzie, było znośnie.

Zbudziłem się z powodu wznagającego się zimna. Gromada zbiła się tak ciasno, że zdrętwiały mi przygniecione kończyny, i nie wiedziałem już, gdzie są moje nogi, a gdzie cudze.

Na polu, które było naszym więzieniem, po ziemi słała się zimna mgła, więc ludzie, którzy w nią wchodziłi wydawali się nie mieć nóg. Wolno płynęli w naszą stronę, o moja wyobraźnia, zmacerowana chłodem i tempem wydarzeń z ostatniej doby, podsuwała mi myśl, że dokoła mnie odbywa się czarno-biały czy też, dokładniej rzecz ujmując, szaro-biały telewizyjny taniec.

- Wstawać, wstawać, wstawać! - krzyczał gruby milicjant o ciemnej twarzy z hełmem-muszlą nasuniętym tak nisko, że odwijał mu uszy i zakrywał czoło. - Ustawiajcie się pojedynczo!

Wydawało mi się, że teraz wszyscy się oburzymy, dlatego że postępowanie z nami było nieludzkie, tak się nie postępuje nawet z komarami. Zaraz zażądamy jedzenia lub - przynajmniej - możliwości umycia się i załatwienia potrzeb fizjologicznych. Ale, ku mojemu zdziwieniu, zobaczyłem, że wszyscy, łącznie ze mną, pokornie wstają i, drżąc, rozcierając skostniałe nogi, przeklinając przez zęby, ustawiają się w nierówny szereg.

Rozumiałem, że różnię się od tych istot zarówno wzrostem jak i budową, jasną gładką skórą, mądrymi rysami twarzy i czystością ciała. Ale rozumiałem też już, że nie wszystkimi radami mętów należy gardzić. Coś mi mówiło, że bezżębna kobieta udzieliła mi mądrej rady, tak więc, stojąc w szeregu, od razu zgarbiłem się i zacząłem drżeć, co, zresztą, przychodziło mi z łatwością - zdrętwiały mi nogi i przemarzłem do szpiku kości.

Nastąpiło oczekiwanie. Ale gdy tylko ktokolwiek próbował coś powiedzieć od razu strażnicy krzyczeli. Jakiś włóczęga nie wytrzymał i zlał się po prostu w szeregu. Milicjanci zobaczyli to i zaczęli się śmiać, potem kopniakami wypędzili go z szeregu i zaczęli okładać palami. To go bolało, podskakiwał więc, a milicjanci żądali w nieprzyzwoitych słowach, żeby zlewał się dalej, i, co najdziwniejsze, wielu w szeregu zaczęło się śmiać, nawet rechotać z nimi.

W tym momencie od strony wejścia do zagrody dały się słyszeć krzyki. Niezauważalnie dla nas nadjechało kilka samochodów, wyszli z nich ludzie i podeszli do nas. Wcześniej myślałem, że zakaz ubierania się obejmuje wszystkich ludzi poza milicjantami, przecież ubranie to prerogatywa rozumnych sponsorów, a my, nierozwinięci, jeszcześmy nie dorośli do odzienia. Ale ludzie, którzy przyjechali w samochodach, byli ubrani w różne ubrania, i na nogach mieli nawet wysokie buty jak milicjanci. Głośno rozmawiali i nawet śmiali się - a ja byłem tak zdziwiony posiadaniem ubrania, że nawet nie mogłem przyjrzeć się ich twarzom.

CI ludzie wyszli na środek wydeptanego placu, a jeden powiedziała do kaprała:

- Ale galeria!

Miał ten człowiek dziwny wygląd: broda leżała niczym wachlarz na niebieskim długim kitlu, a czarne z siwizną włosy były podstrzyżone i nakręcone.

- Wiecznie ten samo z nimi kłopot - powiedział kapral. - Prawdziwe bydło.

- Zrobimy z nich ludzi - powiedziała gruba kobieta, również ciepło ubrana. Miała rumiane policzki, jak od mrozu - pewnie ta kobieta dużo jadła.

Wszyscy oni poszli wzdłuż szeregu. Pierwszy kroczył mężczyzna z dużą brodą. Zatrzymywał się przed ludźmi, czasem kazał otworzyć usta, odciągał powieki - jak na wystawie pupili, na którą kiedyś zabrali mnie państwo. Pierwsi dwaj czy trzej ludzie mu się nie spodobali, kolejnego, podobnego do małej włochoatego bruneta, wyciągnął z szeregu i wskazał palcem, gdzie ma stanąć. Z jego ruchów przebijała taka pewność, że mężczyzna pokornie zrobił krok w bok, a brodaty, nie oglądając się nawet, żeby sprawdzić, czy wykonano jego polecenie, już maszerował dalej. W ten sposób zbliżając się do mnie wyciągnął z dziesięć osób, a ja nie wiedziałem, czy to dobrzy czy źle trafić do niego, więc odwróciłem się w poszukiwaniu bezżębnej kobiety, ale nie dojrzałem jej od razu - stała dobre pięć osób ode mnie. Kobieta zauważyła moje spojrzenie i domyśliła się, co chcę wiedzieć. Pokręciła przecząco głową i zgięła się, jak ktoś chory. Natychmiast zrobiłem to samo - zgiąłem się tak, że palce lewej ręki dotknęły ziemi, zgarbiłem się i wykrzywiłem twarz.

- Pronin, ty zabierzesz wszystkich - powiedziała gruba kobieta w futrzanym ubraniu. - A my też potrzebujemy robosyły.

- Nie wezmę za dużo, Mario Kuzminiczno - powiedział głosem sytego człowieka Pronin.

Akurat doszedł do mnie i uważnie mi się przyjrzał. Ze strachu, że mnie zdemaskują aż się zachwiałem.

- Ale gęba - powiedział Pronin, krzywiąc się z odrazą.

Powinienem w tym momencie się ucieszyć, że mnie nie rozszyfrował, ale jego słowa, a zwłaszcza ton, jakim były rzucone, tak mnie oburzyły, że wyprostowałem się i przyjąłem dumną postawę, ale, na moje szczęście, Pronin już mazerował dalej. Natomiast mój ruch nie uszedł uwadze grubej Marii Kuzminiczny, która szybko powiedziała:

- Ten dla mnie.

Znowu się wykrzywiłem: kobieta pociągnęła mnie za łokieć, a jeden z milicjantów, chcąc okazać kobiecie pomoc, tak mnie szarpnął za rękę, że wyleciałem z szeregu i odbiegłem, kuśtykając, na bok.

Proces selekcji ludzi odbył się tak szybko, że nie zdążyłem się opamiętać jak już staliśmy w trzech grupkach. Największą, składającą się z młodych ludzi i zdrowych ludzi w innym wieku, wybrał Pronin, do drugiej grupy trafił ja i bezżębna kobieta, staliśmy się własnością Marii Kuzminiczny. Trzecia grupa,

składająca się z kalek i starców, została jakby niezapotrzebowana, ale właśnie ci ludzie opuścili zagrodę pierwsi - czarny samochód zajechał do środka, milicjanci pomagali kalekom i starcom wleźć do środka, potem z tyłu podniosła się kratka, i ostania rzecz, jaką widziałem - białe palce, wczepione w pręty i poszatkwane kratami twarze.

- A oni dokąd? - zapytałem bezzębną kobietę. Chciałem zapytać, co będzie z nami, ale nie ośmieliłem się, dlatego zapytałem o starców, jakby zbliżając się do pytania z drugiej strony.

- Kaput - powiedziała bezzębna kobieta. Jej twarz, od powieki do podbródka, przecinała wąska blizna.

- Co to znaczy?

- A to znaczy, że na mydło.

Skręciło mnie od takiego cynizmu, tym nie mniej rozumiałem, że los tych istot jest nie do pozazdroszczenia.

Maria Kuzminiczna podeszła do nas i obejrzała nasz oddział, a on nie wywołał w niej radości.

- Gdzie się takich produkuje - powiedziała smutno. - Pożytku z was, co kot napłakał.

- Nie nadajemy się, nie trzeba było brać - odezwał się stojący obok niej beczelnie wyglądający, mimo że młody - łysy.

- Za friko dlaczego mam nie wziąć.

Po chwili ciszy powiedziała do mnie:

- Możesz się już wyprostować, jesteś mój.

Zrozumiałem, że moje naiwne kłamstwo zostało zdemaskowane, ale kapral i brodach stali tak blisko, że nie odważyłem się wyprostować.

Ponieważ się wahałem, łasy pomocnik Marii Kuzminicznej podkradł się do mnie i tak walnął w zgiętą nogę, że podskoczyłem z bólu i - rzecz jasna - musiałem się wyprostować.

Maria Kuzminiczna zarechotała, wzięwszy się pod boki, a za nią zaczęli się śmiać i pozostali. Na dodatek, zamiast stać prosto ciągle stałem przygarbiony, jak kaleka, i Łysy, za aprobatą widzów, ciągle mnie okładał. W końcu straciłem nad sobą ponownie i zamachnąwszy się uderzyłem Łysego w ramię. Ten poleciał do tyłu na dziesięć metrów i z takim dźwiękiem plasnął na ziemię, że wszyscy, w tym i ja, uznali, że jeśli nawet jeszcze żyje, to połamał sobie wszystkie ręce i nogi.

Na szczęście Łysy był cały i zdrowy, ale hańba, jakiej doznał z powodu uderzenia przez jakiegoś gnojka ze śmietnika, była dla niego ciosem nie do zniesienia. Wyhodowałem sobie wroga.

- Słusznie - powiedziała Maria Kuzminiczna. - Nie na darmo od razu miałam na ciebie oko! Tylko - sobie myślę - byle go Pronin go nie rozgryzł.

I roześmiała się wesoło. Bo była wesołą kobietą.

Rozdział 3

Pupilek w fabryce

Ciężarówka wioząca nowych robotników Marii Kuzminiczny była otwarta, starutka, a na podjazdach jej silnik cierpiał, parskał, odmawiał pracy. Łysy siedział na pace z włóczęgami, chociaż nikt nie zamierał uciekać - wszyscy byli głodni i przemarznięci. W ludzkiej loterii, w której, jak zrozumiałem - niektórzy uczestniczyli już nie raz, mieliśmy wszyscy szczęście. I praca, do której nas wieźli, była znośna, i dyrektorka, Maria Kuzminiczna, z opowieści sądząc, nie był złośliwa. W jej fabryce też można był umrzeć z powodu choroby, a kto nie umierał - uciekał, ale żeby umrzeć z głodu czy żeby kogoś zatłukli - to się nie zdarzało.

- Na Łysego uważaj, na Łysego - ostrzegął mnie bezzębna kobieta, która jakby zaopiekowała się mną, a ja nie sprzeciwiałem się - przynajmniej póki mi pomagała. - Jest podły i zazdrosny.

- Dlaczego zazdrosny? - nie zrozumiałem co ma na myśli.

- Żyje z madamą, a ona ciągle wyszukuje sobie wśród robotników nowego przyjaciela. On przecież też był robotnikiem. Wychował się na śmietniku, ale nie zamierza tam umierać.

- Irka, zamknij się! - krzykną Łysy. - Poznałem cię, zaraz!

Kobieta ściszyła głos, ale mówić nie przestała.

- Odczmychamy się, odżyjemy - i do lasu!

- Po co? - zapytałem.

- Po wolność - odpowiedziała Irka.

Przejechała koniuszkami palców po wierzchu mojej dłoni i dodała:

- Delikatny jaki... Pupilek.

- Jestem zwyczajny.

Ciężarówka trzęsła i od czasu do czasu musieliśmy się trzymać siebie, żeby nie upaść.

- A co to za miejsce? - zapytałem, żeby zmienić temat rozmowy. - Tam, gdzie nas wiozą?

- A nie mówiłam ci? Fabryka słodczy.

- Czy tym robią cukierki?

- Cukierków nie próbowałam nigdy w życiu - powiedziała Irka. - I jeśli to są cukierki to nie dla nas.

- A dla kogo?

- Ciemnota! Powiedz przynajmniej jak ci na imię?

- Tim.

- Timoszka?

- Wolę Tim.

- Jak chcesz.

- A dla kogo te cukierki?

- To nie są normalne cukierki - powiedziała Irka. - To cukierki dla żab.

- Dla sponsorów?

- Zachowujesz się jakbyś był z innej planety! To jest właśnie problem z tobą!

Samochód jechał po niezbyt szerokiej drodze, od dawna nie remontowanej, dlatego ciężarówka co i rusz musiała hamować albo okrążyć dziury i pęknięcia w asfalcie. Patrzyłem przez burtę, a moje oczy szukały znajomych widoków: szarych budynków sponsorów; popielatych, zagłębionych w ziemi kopuł - ich baz.

Dwie wieże obserwacyjne przez cały czas widniały na horyzoncie, ale co się tyczy innych cech naszego świata, to nie mogłem ich znaleźć. Dokoła było pustkowicie: gdzieś pod dywanu traw wznosiły się metalowe konstrukcje czy walały się betonowe płyty. Zrozumiałem, że są to ślady po tej wielkiej i tragicznej epoce, kiedy sponsorzy, aby uratować Ziemię, musieli zamknąć i zlikwidować wszystkie nasze szkodliwe fabryki i kombinaty, w wyniku czego ludzie mogli nareszcie swobodnie oddychać, a dzieci - rodzić się zdrowe. Widziałem, że zgodnie z umową między sponsorami i tymi ludźmi, którzy wybrali samodzielne, pełne niewygód i przypadków istnienie, była zawarta umowa, według której ludzie mieli wywieźć śmieci i zakopać je. Ale ludzie, z właściwą sobie lekkomyślnością i brakiem umiejętności długotrwałej koncentracji na jednej myśli, zapominali wykonywać swe obowiązki - natomiast teraz, kiedy czas upłynął i przyroda sama zaleczyła swoje rany, sprzątanie nie miało sensu. Zresztą - dzikich ludzi pewnie już nie było.

Fabryka, do której nas przywieziono, był otoczona płotem z wysokimi trzema szeregami drutów, a nad siatką ciągnęły się przewody - od razu zrozumiałem, że po przewodach płynie prąd, widziałem coś podobnego w telewizorze - tam dywersanci wśliznęli na przewody i zwęglali się.

Nasza ciężarówka zabuczał klaksonem, i po jakimś czasie do bramy leniwie podszedł ubrany człowiek. Pani Maria Kuzminiczna wyskoczyła z szoferki i zaczęła go objeżdżać. A ja patrzyłem na wszystkich tych ludzi i myślałem: czyżby

władza sponsorów nie była aż tak bezgraniczna? Przecież tyle razy powtarzali i pokazywali w telewizorze - ludziom nie wolno nosić ubrania! Problem leży nie tyle w naszym duchowym i umysłowym poziomie, co w higienie. W ubraniach ludzi kryły się hordy pasożytów i zakaźnych grzybów. Przed przylotem sponsorów niemal wszyscy ludzie chorowali i wymierali - przede wszystkim dlatego, że nosili ubrania. Gdy tylko sponsorzy polecili ludziom rozebrać się i wyrzucić ubrania, wszystkie te choroby jak ręką odjął.

By człowiek mógł z powodzeniem posuwać się po drodze doskonalenia i przekształcenia się w istotę rozumną, powinien się hartować, regularnie gimnastykować i dbać o czystość swojego ciała.

Minąwszy bramę ciężarówka zatrzymała się na zakurzonej placu przed długimi budynkami z czerwonej cegły. Wzmocnione żelaznymi sztabami drzwi otworzyły się i pojawił się jeszcze jeden ubrany człowiek! Wyobraziłem sobie jaką ilość mikrobow egzystuje na tych ludziach, i omal nie zwymiotowałem.

- To nowi? - zapytał człowiek.

- A co myślałeś, że arbuzy? - odszczeknął się Łusy.

- Wolałbym arbuzy. Przywozicie takie chuchra, że nie z nich żadnego pożytku.

- Dureń z ciebie, Henryku - powiedział Łusy. - Póki żyją, zawsze można z nich wyciągnąć jakiś pożytek.

- Chłopcy, chłopcy, bez kłótni! - zawołał Maria Kuzminiczna. - Do jakiego baraku ich wsadzimy?

- Drugi jest prawie pusty - powiedział Henryk.

Póki rozmawiali ja się rozglądałem. Z trzech stron podwórko było otoczone z czerwonymi budynkami, nad jednym z nich wznosił się wysoki komin, z którego walił dym - rwał w niebo jak słup, jakby wewnątrz pracowały miechy, które pchały go w górę.

Irka zauważyła wśród robotników swojego znajomego, pomachała do niego i krzyknęła:

- Żyjesz jeszcze, diable kulawy?

- Prędzej ciebie do rakarni wezmą! - radośnie odkrzyknął człowiek z galerii.

- Co to za rozmówki! - ryknął Łusy. - Idziemy!

Popędził nas w kierunku niskich drzwi budynku, znajdującego się na wprost przed nami. I nikt się z nim nie sprzeczał - wszyscy zmarzliśmy na wietrze i chcieliśmy jak najszybciej znaleźć się w cieple.

Zeszliśmy do piwnicy po śliskich schodach. Było w niej wilgotno, śmierdziało ludzkimi odchodami, jedna jedyna lampa, wisząca pod sufitem, oświetlała to

schronienie. Po obu stronach przejścia ciągnęły się drewniane dwupiętrowe ławy, od biedy przykryte brudnymi szmatami. Już po chwil wiedziałem, że to się nazywa nary.

Na nasz widok z nar podniosła się jasna głowa - wszystkie pozostałe były puste.

- Czego się tu wylegujesz? - krzyknął Łysy.

- Chory jestem, starosta pozwolił - powiedział mężczyzna i zaniósł się kaszlem.

- Och, rozpuścił was jak dziadowski bicz beze mnie! - wrzasnął Łysy. - Żebym cię jutro widział w pracy!

Potem Łysy popatrzył na nas, pokiwał głową pogardą i powiedział:

- A wy przed obiadem siedźcie tutaj, a po obiedzie - na posterunku pracy, bo zasiekę.

- Bydlak - powiedziała Irka, stojąc obok mnie. - Prawdziwe bydlę, jeśli powiedział, że zasiecze, to zasiecze.

Wydało mi się, że się uśmiechnęła.

Łysy wyszedł trzasnąwszy drzwiami, a ten mężczyzna, który był przeziębiony, zaczął, leżąc na nary, wskazywać nam, które legowiska są wolne, a które zajęte, żebyśmy się nie kłócili z gospodarzami.

Okienka były zasłonięte kratami i ciągnęły się szeregiem wzdłuż sufitu - pewnie wcześniej ta piwnica służyła do przechowywania czegoś, na pewno nikt nie zaplanował w tym pomieszczenia mieszkania. Chociaż, zresztą, ten budynek ma na pewno więcej niż sto lat, z epoki przedspensorskiej, a wtedy ludzie żyli w brudzie, brzydko i bez idei.

Irka wybrała sobie nary w samym kącie, jak najdalej od drzwi i śmierdzącego kubła, a mnie kazała rozlokować się nad nią - kierował mną już jak dobra koleżanka czy nawet ktoś z rodziny. Zresztą - tak właśnie było - nie miałem teraz na świecie nikogo bliższego od tej nędzarki, która nie wiadomo dlaczego współczuła mi i zaopiekowała się mną. I chociaż nie miała przednich zębów i była straszliwie brudna, i miała bliznę na twarzy a zamiast włosów kołtuny - nie brzydziłem się jej i nie gardziłem nią. Podawała mi jakże pomocną dłoń.

- Żreć chcesz? - zapytała stając obok nary i sprawdzając czy wygodnie się rozlokowałem. - Tutaj dają jeść. Gdzie indziej nie dają żreć, czekają aż wyciągniemy kopyta, a tu nawet dają żreć. A wszystko dlatego, że Madamaszka nie jest zła. Nie pojmuję nawet w jaki sposób udaje jej się utrzymać na stołku dyrektora, przecież żaby mają plan taki - wytrzebiecie genetycznego wzorca. Kapujesz?

Nic nie kapowałem, nie rozumiałem połowy z tego, co mówiła, ale kiwałem głową, nie sprzeczałem się. Wyciągnąłem się na narach jak długi - były dla mnie za krótkie i pięty wystawały na zewnątrz. Irka stała obok, oparłszy się

podbródkiem o skraj legowiska. Dokoła rozbrzmiewał niezbyt głośny szum głosów i hałas, powodowany krzątaniem ludzi, usiłujących urządzić jakoś swój nędzny byt. Pomyślałem, że fajnie by było opowiedzieć tej Irce, jak może żyć cywilizowany człowiek, opowiedzieć jej o moim czystym i miękkim legowisku, o dywaniku, na którym leżałem gdy oglądałem telewizję, o tym, że miałem co najmniej trzy różne miski, i pani sama je myła, bo nie ufała mojej akuracności.

Ale nie zdążyłem wykonać pomysłu, dlatego że Irka nagle pochyliła głowę i mrużąc oczy oświadczyła:

- Powinieneś się wykąpać!
- Ja?
- A kto! Jeszcze nie widziałam takiego brudnego faceta.

Najpierw nie zrozumiałem czy to żart czy kpina, ale cała moja sympatia do tej włóczęgi jak ręką odjął.

- Odejdź stąd! - powiedziałem. - Bo ci powiem do kogo ty jesteś podobna.
- Do kogo jestem, do tego jestem - odpowiedziała marszcząc czoło Irka.
- Do bezzębnej Baby Jagi ze śmietnika! - powiedziałem.
- Ale z ciebie podłe ścierwo - powiedziała Irka.

Mślałem, że się wścieknie, ale ona miała taki smutny głos...

Gdyby tylko na tym się skończyło, nie miałbym jej za złe. Ale ona nagle wyciągnęła wargi w ryjek i splunęła mi w twarz.

Nikt mi jeszcze nie splunął w twarz.

Poderwałem się, trzasnąłem z całej siły głową w sufit, zwałem jak wór z nar i pogałem za nią, żeby zabić. Nie przesadzam - wiedziałem, że każdy pupilek ma prawo zabić włóczęgę czy przestępcę i nic mu za to nie grozi, dlatego że w ten sposób okazuje wierność sponsorowi.

Biegłem za Irką zapomniawszy, że już od dawna nie jestem pupilkiem.

Wszyscy w sypialni wiedzieli co się stało, ale nikt ni nie współczuł i nie zamierzał pomóc. Niektórzy podstawiali mi nogi, popychali, klęli, nawet bili mnie.

Irka odwróciła się w biegu i - mogę przysiąc na Wszechmogącego sponsora! - uśmiechnęła się!

Jej szczerbaty uśmiech dodał mi sił i rzuciłem się z całych sił za nią do drzwi.

Ale, jak na złość, właśnie w tej chwili wjeżdżał przez nie wózek, na którym stał kociołek z polewką dla wszystkich więźniów. Mężczyzna, który popychał przed

sobą wózek, rzecz jasna, nie oczekiwał, że rzuci się na niego rozjuszony młodzieniec.

Na moje szczęście polewka nie była zbyt gorąca, więc kiedy kocioł wywrócił się myśmy się z kucharzem prawie nie oparzyliśmy, ale huk był niesamowity - cały kocioł turlał się między narami, chlustając na wszystkie strony polewkę z kapustą i burakami. W tym szerokim, ale płytkim strumieniu płynąłem, właściwie jechałem na tyłku ja sam, za mną turlał się kocioł, a na końcu trzymając się za jego brzeg, w skazanej na niepowodzenie próbie powstrzymania przed wylaniem się jego zawartości, ślizgał się kucharz.

Jestem przekonany, że z boku widok był prześmieszny, ale jakoś nikt się nie śmiał - najpierw wszyscy się przestraszyli, ale szybko dotarło do nich komu zawdzięczają puste brzuchy zamiast obiadu. Więc jeszcze nie zdążyłem dokończyć swojego ślizgu w kałuży polewki, jak ze wszystkich stron rzucili się na mnie rozjuszeni niewolnicy - drapali mnie, kopali, starali się udusić, rozdeptać, oderwać mi ręce i wydrapać oczy! Chyba nigdy w życiu nie byłem tak bliski śmierci, jak w tej chwili - starałem się uratować - oczy i najbardziej czułe miejsca na swoim ciele, ale nie starczało mi rąk, żeby uratować wszystko, więc tylko turlałem się po podłodze starając się uniknąć „,,,,,,,,,,,,”

Ile trwała ta katorga, nie wiem. Jak, zresztą, mogłem wiedzieć - ile! W końcu poprzez szum tej tortury dotarł do mnie krzyk:

- Dość tego! Na pryce, już mi! Do kogo mówię!

Uchwyt niewolników osłabł, puścili mnie, mogłem otworzyć oczy i zobaczyłem, że Łysy rozpędza biczem niewolników i że pomaga mu Irka, która także usiłuje mnie ratować.

Łysy potrzebował niewiele czasu, żeby zrozumieć co się stało, a wtedy zrobił coś, co jeszcze bardziej poniżyło moją ludzką dumę, a moja nienawiść do tego owocu Zła jeszcze wzrosła.

Łysy podszedł do mnie uśmiechając się wrednie i bardzo boleśnie - nawet nie wyobrażacie sobie. jak boleśnie! - przyłożył mi swoim biczem. I jeszcze raz. I jeszcze! Bat świstał w powietrzu tak groźnie, że każde uderzenie wydawało się być ostatnim w moim życiu, i wszyscy nagle przycichli, oczekując tego, co i ja. Tylko Irka nagle rozdarła się:

- Nie trzeba! Ma już dość! Przecież nie chciał.

Łysy jakby posłuchał jej i powiedział:

- Ale drugiego obiadu dla was nie ma. Kombinujcie ja umiecie.

Dokoła rozległ się groźny szum oburzonych głosów. Zwinąłem się w kłębek.

- A do pracy pójdziecie grzecznie jak kotki - dodał Łysy.

I poszedł sobie.

Podniosłem się i powlokłem do swojej pryczy. Ale nie zamierzałem włączyć na swoje miejsce, byłem przecież cały wysmarowany. Niektórzy, ci najgłodniejsi, zaczęli pełzać po podłodze i zbierać polewkę, dla innych kucharz zdołał wygrzebać trochę z dna kotła. Stałem w kącie między ścianą a pryczą i starałem się niczego nie widzieć. Nienawidziłem tej przeklętej Irki, która była wszystkim winna, to przez nią uderzyłem się o kocioł. Niechby teraz podeszła, to bym ją zadusił.

Podeszła później. Dalej chciałem ją udusić, aż mi ręce dygotały z bólu i nienawiści. Ale nie zadusiłem jej, dlatego że przyniosła mi swoją miskę, a na dnie jej była polewka.

- Żryj, palmusie - powiedziała..

Chciałem chlusnąć jej polewką w gębę i popatrzeć jak będzie podskakiwała, i Irka, chyba domyśliła się tego z mojego spojrzenia, bo odsunęła się. Ale potem głód pokonał mnie. Wychłęptałem polewkę i nawet wylizałem miskę językiem.

Milczeliśmy. Potem Irka powiedziała:

- Dawaj miskę, palmusie, muszę ją oddać.

Oddałem jej miskę, chociaż wcale się nie najadłem. Ciągle miałem ochotę stłuc tę paskudę, ale - wiadomo - jeśli jadłem jej z ręki, to musiałem uznać ją za panią, chociaż wcale nie miała nic wspólnego ze sponsorami.

- Gdzie by tu się umyć? - zapytałem.

- Myślę, że zaraz nas pogonią do łaźni - powiedziała Irka. - Tylko bądź ostrożny, ludzie są na ciebie źli, mogą cię udusić.

Rzeczywiście, wkrótce popędzili nas do łaźni, tylko Irkę i jeszcze jedną kobietę zatrzymali, żeby umyły podłogę. Bardzo mnie to wzburzyło, bałem się sam iść do łaźni.

Moja żywa fantazja podsuwała obrazy, w których ta banda rzuca się na mnie i dusi. Szedłem jako ostatni i zwróciłem uwagę, że wszyscy skręcając do drzwi łaźni zatrzymywali się na jakąś jedną czy dwie sekundy przed jakimiś drzwiami. I dopiero kiedy podszedłem do nich zrozumiałem że to nie są drzwi tylko lustro. Kiedy do niego zajrzałem, to zamiast siebie zobaczyłem jakiegoś strasznego, brudnego, pokrwawionego potwora, owoc strasznego snu czy też brudnej menażerii. Dopiero kiedy wystraszony odskoczyłem, a istota ta odskoczyła również, domyśliłem się, że to jestem ja - najpiękniejszy pupilek na naszej ulicy! Nic dziwnego, że mnie biją i nienawidzą. Taką maskarę sam bym znienawidził! Czy pomoże mi łaźnia?

Łaźnie była mała i tak wypełniona parą, że na dwa kroki nie było widać człowieka. Na dodatek było gorąco i duszno. W domu myłem się w miednicze, którą stawiano dla mnie w łazience, a poza tym pozwalano mi pływać w basenie. Zawsze byłem czysty i nigdy nie miałem pcheł.

Na półce obok wejścia stały aluminiowe miedniczki. Nie wiedziałem wtedy, że to się nazywa szaflik, że do niego nalewa się wody, żeby umyć ciało, dlatego stałem bezradny pośrodku łaźni, nie mając pojęcia czym nabrać wody z kotłów wpuszczonych w podłogę - jednego z zimną, drugiego z gorącą wodą. Wszyscy inni mieszały wodę w szaflikach i dopiero wtedy się myli.

Zobaczyłem pusty szaflik - obok niego nie było nikogo, uznałem, że trzeba robić jak inni, i nagle poczułem niebezpieczeństwo. Uczucie było tak mocne - takie przecucia zdarzają się tylko pupilom, zwyczajni ludzie ich nie miewają - że natychmiast odskoczyłem w bok, a w tej samej chwili, na miejsce, gdzie stałem chlusnął cały szaflik świeżego wrzątku.

Krople rozleciały się na wszystkie strony, parząc nie tylko mnie, ale i kilka blisko stojących osób. Ci zaczęli przeklinać, a któraś z kobiet zajazgotała:

- To znowu on!

- To nie ja! Ktoś chciał mnie zabić! Oparzyć!

Dziwne, ale od razu mi uwierzyli i odwrócili się do swoich szaflików, jakby zgodzili się zostawić mnie sam na sam ze śmiercią.

Na moje szczęście przyszła Irka, od razu podciągnęła swój szaflik do mnie i zapytała ze zdziwieniem:

- Żyjesz?

Uśmiechnęła się znowu przy tym bezczelnie. Z przyjemnością wsadziłbym jej łeb do wrzątku! Ale powstrzymałem się i tylko się od niej odwróciłem.

- Gładki jesteś - powiedziała i przejechała dłonią po moich plecach.

- Odczep się - powiedziałem.

Trąciła mnie piąstką w plecy i powiedziała:

- Bardzo mi jesteś do szczęścia potrzebny!

Wszyscy byli głodni i źli i, komu tylko się udało, usiłowali mnie trącić albo skłąć, a ja przecież też byłem głodny i zły. Na szturchańce nie odpowiadałem, żeby znowu nie rzucili się na mnie wszyscy; przecież niewolnicy są jak zwierzęta, nie znają reguł i nie mają honoru. I w końcu nie dowiedziałem się kto chciał mnie oparzyć.

Kiedy wyszliśmy z łaźni do zimnego mokrego przedsionka stali tam dwaj niewolnicy, którzy byli już w fabryce przed nami. Przed pierwszym leżała kupa spranych szmat - każdy z nas dostał po jednej, drugi podawał każdemu jakąś zgrzebninę.

Ucieszyło to włóczęgów, którzy zaczęli wycierać się szmatami jak ręcznikami, a zgrzebnina, jak się okazało, była uszyta na kształt spodni. Od razu staliśmy się

niezgrabni, ale kiedy przesłaniająca wszystko para osiadła, ze zdziwieniem zobaczyłem, że nie rozpoznaję współtowarzyszy ze śmietnika i podziemi - gorąca woda i mydło cudownie przeobraziły ich i z trudem poznawałem tych, którzy mnie tłukli albo chcieli mnie zabić.

Wszedł jeszcze jeden niewolnik, przyniósł duży kosz z pajdami szarego, źle upieczonego chleba. Wyjmował pajdy i rozdawał - ludzie rzucili się do niego.

- Macie, żryjcie! - powiedział niewolnik. - Łysy kazał, powiedział, że zdechniecie w pracy.

Wielu roześmiało się. Ludzie cieszyli się.

Ale kiedy ja podszedłem po swoją kromkę, w pomieszczeniu zapanował cisza.

- A tobie, długasie - powiedział niewolnik - nie należy się. Przez ciebie ludzie zostali bez szamania, a gospodarza naraziłeś na duże koszty. Spadaj stąd!

Odszedłem więc, chociaż byłem od dwie głowy wyższy od niewolnika i mogłem go powalić jednym uderzeniem.

Ubrani i wytarci wyszliśmy z łaźni i poszliśmy z powrotem do swojej sypialni. Ludzie w marszu przeżuwali chleb i zapomnieli już o wszystkich nieprzyjemnych przypadkach. "Dziwne, jak lekkomyślni są ci osobnicy!" - myślałem. Nie na darmo sponsorzy nie raz zwracali mi uwagę na to, że ludzie mogą się buntować, walczyć, iść na wojnę, ale gdy tylko pokaże im się kawałek chleba - zapomną o zasadach! Takim sążone jest być niewolnikami! I zgadzałem się teraz z państwem sponsorami.

Młodą kobietą w topornych portkach wyprzedziła mnie. Mokre włosy tej kobiety zwijały się w pierścienie, i wydawało się, że zamiast głowy ma promieniste słońce - tak olśniewająco rudego koloru były te włosy.

Jakby czując moje spojrzenie kobieta odwróciła się.

Pokazała swoją owalne sprytne oblicze, duże zielone oczy i mnóstwo piegów na białych policzkach. Prawy policzek przecinała blizna. Z przyjemnością przyglądałem się tej kobiecie, a ona nagle powiedziała:

- Czego się gapisz, piękniśiu?

Dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, że to tylko moja koleżanka Irka.

- Trudno Cię poznać - powiedziałem.

- A ciebie, myślisz, łatwo?

Roześmiała się, a ja zobaczyłem, że brakuje jej przednich zębów.

- A gdzie twoje zęby?

- A wybili mi. Bili i wybili.

Doszliśmy do naszej izby, położyliśmy ręczniki prycze, i w tej samej chwili wszedł nadzorca Henryk i kazał wychodzić. Wyszorowani spodobaliśmy się jemu.

- No, podobni do ludzi - powiedziała. - Już straciłem nadzieję, że zobaczę ludzi!
- Roześmiał się serdecznie, i wszyscy podchwyciliśmy ten śmiech. Teraz, patrząc na siebie, zrozumieliśmy, co miał na myśli.

- Kto z was już tu był? - zapytał Henryk. - Nie bójcie się, występujcie krok do przodu. Nie będę bił. I tak wiem, że wszyscy jesteście uciekinierami.

Irka i jeszcze parę osób wystąpiły przed szereg.

- Wy się znacie na pracy - powiedział Henryk. - Będziecie brygadzystami. A potem się zobaczy. Mamy dużo roboty, nie możemy się wyrobić. Kto wykona normę dostanie dodatkową rację, nie będziemy wam żałować. Kto będzie się objął - niech ma do siebie pretensje. Będzie głodny... jak dziś! - Roześmiał się znowu, widocznie już wiedział, co się wydarzyło.

Kiedy mijaliśmy go lekko poruszył biczem, chlasnął mnie w nogę i zapytał:

- To ty, piękniśiu, kotły wywracasz?

W jego pytaniu nie było słyhać złości, ja też już ostygłem i odpowiedziałem:

- Niechący.

- Będiesz w mojej brygadzie - powiedziała ruda Irka. - Pewnie nas wezmę na przeładunek. Na zabój się nie nadajemy - zbyt skomplikowana robota, rozumiesz?

- Nie.

- Tak właśnie myślałam.

Zeszliśmy piętro niżej. Pod sufitem paliły się jaskrawe lampy, ale w tym świetle piwnica wyglądała jeszcze gorzej. Ściany do połowy wysokości były zapaćkane brązowymi plamami i pasmami, podłogę pokrywała bura breja. Przez całą sklepioną salę ciągnął się szeroki transporter, brudny, stary, nawet podarty i niedbale złączony w kilku miejscach. W chwili, kiedy nasz piątka czy szóstka weszła do sali, na spotkanie nam wyszli ludzie z poprzedniej zmiany. Byli zabrudzeni, jak i wszystko w tej sali, zataczali się ze zmęczenia, a jeden z nich, ubrany jak wszyscy w zgrzebninę, zwymiotował niemal nam pod nogi. Biedakiem rzucały konwulsje, opierał się o ścianę, a nikt nie zwracał na niego uwagi. Tylko jeden z naszych, gruby kałdun z opuchniętą twarzą, zaczął kłać, ale Irka krzyknęła do niego:

- Zamknij się, nie wiesz, to się nie pchaj.

W piwnicy panował ciężki zapach strachu i śmierci - nie potrafiłem objaśnić co go wywoływało...

Transporter chował się w sąsiednim, niewidocznym stąd pomieszczeniu, oddzielona od naszej piwnicy gumową zasłoną. Stamtąd dochodziły do nas głuchoe odgłosy - uderzenia, piski, przekleństwa, krzątania, znowu uderzenie... jakby tam wrzała bitwa.

Z obu stron transportera stały dwa potężne chłopcy, których jedynym ubraniem były wysmarowane czymś brunatnym fartuchy, a w rękach trzymali metalowe lagi.

Cała ta sytuacja wprawiła mnie w przygnębienie. Miałem tylko jedno życzenie - zwać stamtąd.

Z trudem przełknąłem ślinę i zapytałem Irkę:

- Co to jest?

- Zobaczysz - odpowiedziała krótko, podchodząc do sterty gumowych fartuchów, leżących na stole przy transporterze. Wzięła jeden i zawiązała go z tyłu.

- Ja też? Przecież są brudne.

- A myślałeś, że co - będziesz ciągle taki czyściutki?

Wydało mi się, że Irka też się boi, ale nie chce przyznać się do swojej słabości. Przecież jest brygadzystką i ma doświadczenie.

- Co mam robić?

- Nałóż fartuch, bo sam siebie nie poznasz.

Podporządkowałem się, jak i wcześniej. Zawiązała mi fartuch na plecach - odór śmierci i męki stał się bliższy i mocniejszy, jakbym otulił się śmiercią.

Po twarzach moich współtowarzyszy widziałem, że odczuwali to, co i ja - wstręt i strach.

Nagle transporter szarpnął się i skrzypiąc ruszył w naszym kierunku. Mężczyźni przy gumowej zasłonie unieśli lagi - byli gotowi...

I nagle... niespodziewanie!..

Rozsunąwszy swoim ciężarem kurtynę, na taśmie transportera zobaczyłem wijącego się szarego metrowej długości robaka - niczego podobnego dotychczas nie widziałem. Był straszny i, zapewne, jadowity. Nie miałem pojęcia jak trafił do naszej piwnicy, szarpnąłem się, żeby uciec, ale zanim zdążyłem się ruszyć zobaczyłem że mężczyźni czekali na jego pojawienie się, dlatego że jeden, przymierzył się i zręcznie uderzył metalową lagą robaka w głowę, a ten szarpnął się i zamarł.

Robak wolno płynął na transporterze, a ja zdążyłem mu się w tym czasie przyjrzeć.

Zabita istota najbardziej przypominała ogromną metrowej długości gąsienicę, pokrytą szarą sierścią i wyposażoną w setki małych nóżek. Niektóre z nich jeszcze się poruszały. Głowę gąsienica miała stosunkowo dużą, oczy miała wypukłe jak wałka... Przyglądałbym się jej ze wstrętem dalej, ale gumowy kurtyna rozsunała się ponownie, i znowu pojawiło się od razu kilka takich stworzeń, tym razem już martwych.

Gdy tylko gąsienica dojechała do końca transportera, Irka powiedziała:

- Łap! Timka - za głowę, Gruby - za ogon, razem!

Sama popchnęła szeroki płaski wózek na małych kołach tak, żeby znalazł się przy końcu transportera. I wtedy, częściowo po wpływie własnego ciężaru, częściowo przy naszej z Grubym pomocy, ciało gąsienicy jak wór zważyło się na wózek.

Ponieważ do końca transportera już podjechało kilka jednocześnie, zwalonych na siebie ciał, to do pomocy musieli przystąpić również inni członkowie brygady Irki. Gąsienice były strasznie ciężkie, miały co najmniej po piętnaście kilo. Po pół godzinie miałem dosyć.

Do naszych obowiązków należało ładowanie zabitych gąsienic na wózki i wywożenie ich do bocznej sali, gdzie przy szerokich ocynkowanych stołach z odpływami prowadzącymi do emaliowanych wanien pod spodem, stali podobni do nas włóczędzy, którzy wciągali gąsienice na stoły i patroszyli je.

Jeśli któraś z gąsienic wykazywała jeszcze oznaki życia, mężczyźni na początku transportera mieli ją dobić. Prawie zawsze im się to udawało, ale jedna, którą już chwyciłem, żeby zważyć na wózek, otworzyła oczy ważki, otworzyła pysk i ukazała ostre, długie niczym u drapieżnej ryby, zęby. Wystraszyłem się i odskoczyłem na bok - a nuż jest jadowita? Słyszając mój krzyk podskoczył mężczyzna z lagą i dobił ją.

Biegaliśmy więc tak, przekładali, ładowali, odwozili gąsienice przez dwie godziny czy trzy, dokładnie nie wiem. Wiem tylko, że najpierw zmęczyłem się śmiertelnie, ręce omdlewały mi, i przez cały czas nudziło mnie z powodu zapachu krwi gąsienic - wyciekało jej z nich mnóstwo. Ale potem stopniowo wszedłem w otępiający rytm pracy i nawet nauczyłem się odpoczywać - przecież transporter często psuł się, a i gąsienice podawane były w nierównym tempie.

Raz transporter zepsuł się i po serii wrzasków i przekleństw przyszedł człowiek z walizką - wydobył z niej narzędzia i zaczął naprawiać transporter. Mogliśmy odpocząć.

- Lepiej już umrzeć niż tak pracować - powiedziałem opierając się plecami o transporter

Irka wyjęła z gestwiny włosów papierosa, Gruby pstryknął zapalką i powiedział:

- Dasz sztacha?
- Palicie? - zdziwiłem się.
- Nie, pijemy - powiedziała Irka. - Masz jeszcze jakieś pytania?
- Po co to wszystko robimy? - zapytałem.
- Przecież to pełzaczi!
- Oczywiście, pełzaczi - zawtórował gruby, nie odrywają wzroku od papierosa. -
A ty, Irka, częściej się zaciągaj, żeby nie palił się nadaremno.
- Skąd one się tu wzięły?
- Sponsorzy ze sobą przywieźli, rozmnażają z ikry, karmią, a potem, kiedy nabiorą masy, zabijają.
- Sponsorzy nie jedzą mięsa!
- Och, ty sierotko! - uśmiechnęła się Irka.
- Sponsorzy są wegetarianami.
- Sponsorzy jedzą prust. Jedzą czy nie?
- Ale to są herbatniki.
- Jak nie kijem to pałką - oświadczyła Irka. - Przecież te herbatniki robi się z pełzaczków. Nie poczęstowali cię nigdy?

W tym momencie zwymiotowałem, pobiegłem więc do kąta, a wszyscy się ze mnie śmiali. Pewnie że jadłem prust - takie okrągłe placuszki. Mogą być słodkie, mogą - słone.

Jeszcze nie doszedłem do siebie, jak pojawiła się Madamaszka w swojej włochatej sukni. Była zaniepokojona z powodu awarii transportera.

- Durnie! - wrzeszczała na mechanika. - Przecież zaraz sortownia stanie! chcesz, żebym zamiast tych stworów wylądowała na transporterze? Pośpiesz się! A wy czego siedzicie?

Nie siedzieliśmy już, staliśmy nie wiedząc, co robić, chociaż nie mieliśmy nic do roboty.

- Migiem do tamtej sali, pomagajcie patroszyć!

Myśl, że będę musiał ciąć te wstrętne gąsienice, była tak straszna, że wolałbym umrzeć, ale, na szczęście, transporter ruszył, i byłem rad, że zajmuję się tą trudną, ale stosunkowo czystą pracą. A potem, z powodu zmęczenia, radość wyparowała...

Co się działo potem pamiętam wyrywkowo - zapomniałem nawet o głodzie, a potem Irka krzyknęła:

- Koniec arbajtu, idziemy do koszar!

Przez chwilę nawet nie rozumiałem, że dotyczy to również i mnie. Nie miałem nawet czasu i sił, by przeanalizować zadziwiający fakt, z którym się zetknąłem: przecież Jajbłuszka i telewizor uczyli mnie, że sponsorzy są wegetarianami i do tego samego nawoływali zawsze ludzi.

Z trudem zrzuciliśmy nasiąkniętą krwią fartuchy i powlekliśmy się do schodów.

Każdy krok kosztował mnie wiele. Pamiętam jak myłem się pod prysznicem, żeby pozbyć się odoru. Ale jak mi się udało wpełznąć na nary - zagadka. Od razu zasnąłem Irka, jak mi potem powiedziała, nie dała rady mnie obudzić, kiedy przywieziono kolację i rozdawali chleb.

Budziłem się, wyobrażałem sobie, że rozkoszuję się miękkim pościeleniem przy kuchennych drzwiach i pani Jajbłuszko spokojnie krząta się przy kuchni, przygotowując śniadanie z koncentratów dla siebie i męża - sponsorom nie służy nasze pożywienie i oni z reguły odżywiają się konserwami... Z takim właśnie poczuciem współczuciem do swojej pani obudziłem się i poczułem, że coś jest nie tak - zapach! Dźwięki! Ziab! Duchota!

W tym samym momencie cała potworność mojego położenia runęła na mnie, niczym lawina.

Przecież nie jestem już pupilkiem - jestem niewolnikiem... wyrzutkiem, któremu sądzone jest zginąć w rzeźni, podczas noszenia tusze śmierdzących gąsienic, wkrótce umrę, i żywa dusza nie pomyśli nawet o mnie... Samotność, to jest największe nieszczęście - dlaczego nie myślałem o tym wcześniej? Czyżby moje życie przy sponsorach upływało w tak czułej atmosferze, że nie czułem samotności? Bzdura! Nigdy ich nie kochałem, ale przed spotkaniem sąsiedzkiej pupili nie podejrzewałem, że potrzebuję innych ludzi. Podstawowa cecha domowego zwierzęcia, myślałem na poły śpiąc, to przyjęcie za naturalną samotność, brak potrzeby innych... Sam zdziwiłem się, jak ładnie układają mi się myśli - nigdy wcześniej tak nie myślałem.

- Posuń się - usłyszałem szept. - Rozwalił się, mądrała!

Nie wystraszyłem się i nie zdziwiłem - to Irka włąziła do mnie na nary.

- Można zdechnąć z zimna - wyszeptała.

Wtaszczyła ze sobą na piętro stary worek, którym się przykrywała. Razem z moim workiem zrobiła się niema i prawdziwa koldra, a Irki ciało było gorące, jak grzałka, którą w starym życiu napełniałem dla pani Jajbłuszko.

- Tylko mnie nie zepchnij - powiedziała Irka.

- Nie, jak się nie wiercę - powiedziałem przysuwając się do niej, żeby nie spaść z nar.

Chciałem pogadać z nią i nawet wydawało mi się, że mówię, ale tka naprawdę to już spałem - rozgrzany i z tego powodu niemal szczęśliwy.

Rano odezwała się syrena - pora wstawać!

Zbudziło mnie jej wycie i hałas moich współmieszkańców - zaczęli się ruszać i przeklinać, a Irka zsunęła się na dół zabierając swój worek. Od razu zrobiło się zimno, po serii próżnych prób zwinięcia się w taki kłębek, w którym utrzymałbym nocne ciepło, musiałem zeskoczyć na podłogę.

Irka już biegła na korytarz i krzyknęła mi po drodze:

- Szybciej, śliczny! Ja zajmę kolejkę do kibla, a ty do umywalki!

Jak zwykle - miała rację, spędziłem w tym świecie dopiero dobę, a już wiedziałem, że bez Irki zginę.

Nie zdążyła jeszcze zniknąć - za drzwiami, jak cała horda mieszkańców piwnicy rzuciła się do wychodka i do umywalki. Oba pomieszczenia były małe, w jednym były trzy krany, w drugim - trzy oczka. A w piwnica pół setki ludzi. I każdy chce.

Pobiegłem za Irką. Stała już na początku dużej kolejki - do kibla. Kolejka do umywalki była mniejsza, ale przypuszczałem, że się powiększy, bo ludzie będą przechodzili do mojej kolejki. Za mną, na szczęście, znalazł się stary znajomy - Gruby z naszej brygady. Kiedy kolejka doszła do Irki powiedziałem mu, że zaraz wrócimy tu z Irką. I pobiegłem do niej. W kolejce od razu zaczęły się krzyki: "On tu nie stał! Skąd się tu wziął! A Irka zaczęła piszczeć: "Uprzedzałam przecież! Gdzie miałeś uszy, capie stary?"

Zacząła się awantura, ale nie przeszkadzała mi w skorzystaniu z ubikacji, a potem szczęśliwie wróciłem do kolejki do umywalki. Irka była wesoła, ja - zdenerwowany; cóż to, myślałem, mam doczekać końca sowich dni w tym smrodzie i zimnie? Przecież urodziłem się jako rasowe i piękne zwierzę domowe! Nie chcę stać się brudnym niewolnikiem!

- Co ci? Źle się czujesz? - zapytała Irka. Miała współczujące spojrzenie. Wyrwałem rękę - jak mam objaśnić temu prymitywnemu stworzeniu, które, zapewne, nigdy w życiu nie widziało telewizora czy młynka do kawy?

- Jak chcesz, ja ci się nie narzucam - powiedziała Irka. - Chciałam jak najlepiej.

- Wiem - powiedziałem. Już się na nią nie złościłem - złościł mnie mój los. Znowu wyraźnie poczułem powiem śmierci, i wszystko w moim wnętrzu ścisnęło się na myśl, że dzisiaj znowu będę zajmować się tym, co wczoraj.

Po porannej toalecie wróciliśmy do piwnicy. gdzie dwaj niewolnicy wturlali kocioł z żółtawą wodą, którą nazywali herbatą, i drugi kocioł - z kaszą. Każdy dostał miskę i łyżkę, potem należało je zwrócić.

Irka wylizała łyżkę, potem zwała do mojej miski porcję kaszy ze swojej miski.

- Coś ty? Po co to?

- Dla mnie za dużo, a ty się nie najesz!

Pewnie powinienem był odmówić, ale byłem głodny.

Irka patrzyła na mnie z zainteresowaniem, miała zielone oczy, przez policzek od powieki do brody biegła cienka szrama.

- Jedz - powiedziałem - bo ci ostygnie.

- Wolę zimną - odpowiedziała.

Kasza nie miała smaku, była śliska i niedosolona.

- A ty jak t trafiłaś? - zapytałem Irkę siorbiąc ciepłą herbatę.

- Jak i ty - ze śmietnika.

- A na śmietnik?

- Jestem włóczęgą - wyjaśniła Irka. - Jak nasi poszli na rozkurz, ja wtedy byłam dziewczynką, ruszyłam po śmietnikach.

- Jaki rozkurz? - zapytałem. - Kogo rozkurzyli i jak?

- Co za głupek - zdziwiła się Irka. - Jeszcze takiego nie widziałam! Nie rozumie najprostszyc rzeczy. Żyliśmy wtedy w agrowsi. A według programu wieś poszła na dziewiczą okolicę - no to nas załatwili. Mężczyzn zlikwidowali, a kobiety zabrali do rezerwy. Ja i siostra uciekłyśmy do Moskwy. Słyszałyśmy, że w Moskwie życie jest klawe. Kłamstwo... Byłeś kiedyś w Moskwie?

- Moskwa to też śmietnik?

- Moskwa, to taki śmietnik, że nikt nie widział jego końca ani początku, ocipiejesz - taki to śmietnik!

W drzwiach piwnicy pojawił się Łysy, wszedł do środka i stał, uderzając nahają w nogę, - co za złośliwe bydlę, w życiu nie widziałem nikogo gorszego od niego.

Milczał, a wszyscy siedzący przy stole zamarli, nawet przestali jeść. A Łysy czekał. Nagle weszła Madamaszka. Wesoły uśmiech przez całą szeroką twarz, trzydzieści złotych zębów!

- No, jak tam, kurczątko moje? - ryknęła od progu,

- Dziękujemy... dziękujemy - odpowiedzieli robotnicy.

- Źle pracujecie - oznajmiła madam. - Chcecie pójść na mydło? Migiem wam to zapłatwię. Normy nie wykonujecie - żaby siedzą głodne!

Przeszedł mnie dreszcz - nawet w myślach nie wolno było nazywa_ sponsorów żabami. Co prawda, w myślach tak ich nazywaliśmy.

- Dzisiaj taśma pójdzie szybciej. Przygotujcie się na to, łajzy. A jeśli nie pozdychacie - na obiad będą kartofle. Jasne?

Wszyscy zaczęli wyrażać wdzięczność tej bezczelnej kwadratowej babie. Nie czułem do niej sympatii.

Maszka-madam poszła do następnej piwnicy - często rano robiła takie obchody, patrzyła jak żją jej niewolnicy, nawet rozmawiała z nimi. Irka odwróciła się do mnie:

- Zobacz, co wymędziłam u jednej kwoki za pół kawałka!

Pokazała mi kawałek grzebienia.

I natychmiast, przy stole zaczęła rozczesywać_ swoje wspaniałe rude włosy.

- Pokażę ci pełzacze. Hoduje się je z jaj, a skąd się jaja biorą - nie wiem, pewnie jakiś inkubator gdzieś tu jest.

- One są wstrętne - powiedziałem. - Niedobrze mi się robi na ich widok.

- Ja się wychowałam w normalnych warunkach - powiedziała Irka. - Tam, gdzie są drzewa. Las i trawa. Co jest wstrętnego w dużej gąsienicy?

Przeszedł mnie dreszcz. Te martwe oczy ważki i krotka szara sierść... Dotarło do mnie nagle z czego uszyte było futro pani Jajbłuszko, pojąłem też, z jakiego materiału wykrojono suknię Madamaszki... Poza tym dotarło do mnie, że wcześniej byłem zupełnie nieświadomym niczego szczeniakiem, który, gdyby nie nieszczęście, zostałby szczeniakiem aż do starości. Jak wszyscy domowi pupilki.

Ale może to jakaś pomyłka? Może moich kochanych sponsorów ktoś okłamał? Oni, wytrwali wegetarianie, oni, ponad wszystko przekładający życie na naszej planecie, zostali obsmarowani błotem podejrzenia... No dobrze, a kto zabił jednookiego? Jednookiego zabili milicjanci, a to są zwyczajni ludzie. A kto morduje gąsienice-pełzacze? Zabijają je włóczędzy i gnojki, takie jak my. Kiedy w końcu zrobi się z nich herbatniki, moi sponsorzy nawet nie podejrzewają, co przychodzi im jeść. Trzeba pilnie powiadomić ich o tym, odkryć_ cały spisek, muszę uciekać do sponsorów...

- Co ci? - zapytała Irka. - Oczy wytrzeszczone, gęba otwarta, ślina cieknie...

Zamachnąłem się na nią - odskoczyła, niemal spadając na podłogę. Wściekła się i powiedziała:

- Uważaj, bo jak ci oddam!

W tym momencie zabuczała syrena, więc poszliśmy nakładać brudne fartuchy. Wszyscy szli pokornie, tylko ja - z nienawiścią i nadzieją na wyrwanie się stąd.

Drugi dzień pracy od początku był cięższy od poprzedniego. Maszka-madamka spełniła swoją groźbę - transporter przesuwała się szybciej niż wczoraj, ale, co prawda to prawda, niekorzystną różnicę w prędkości niwelowały częste awarie i zatrzymanie transportera. Wzrosła liczba niedobitych gąsienic - chłopcy przy kurtynie musieli się dobrze napocić. Pamiętam jak żywotnym okazał się jeden pęczacz - ocknął się kiedy Gruby już miał go chwycić, żeby przerzucić na wózek. Wtedy robił ocknął się i postanowił zwiać. Chłopcy omal nie pękli ze ;miechu, póki Gruby go dobijał - ten za nim z lagą, a pęczacz pod transporter! Drugi facet też musiał wleźć pod transporter!

W końcu go dobili. Co by nie mówić dwie istoty rozumne na jednego stwora bez rozumu.

Po godzinie czy coś koło tego ja też zacząłem wysiadać, a transporter, jak na złość, nie psuł się i nie psuł. Ręce mi zaczęły cierpnąć od tych ciężarów... I wtedy weszli dwaj sponsorzy.

Kiedy się pojawili byłem tak zmęczony, że nie od razu zrozumiałem, że to właśnie sponsorzy. Zdziwiłem się tylko: skąd się tu wzięły te dwie ogromne tusze, zmuszone do pochylania się przy przechodzeniu przez wysokie i szerokie piwniczne drzwi. Obaj sponsorzy byli po cywilnemu, ale w kołpakach z uniesionymi grzebieniami - znaczy się, że wykonywali obowiązki służbowe.

Pewnie nikt poza mną w piwnicy nie rozumiał wszystkich tych umownych znaków i zwyczajowych zachowań sponsorów - a mnie wcześniej sam Bóg kazał je poznać, niech ci się zdarzy pomylić gościa i inspektora lojalności - zbierzesz baty jak nic. Jeszcze kiedy byłem szczeniakiem, miałem jakieś dziesięć lat, włożyłem na kolana pewnego sponsora, który wykonywał obowiązki - do tej pory pamiętam, jak mi przykopał! A jak zacząłem płakać dołożył jeszcze sam pan Jajbłuszko!

Sponsorzy byli na służbie. Maszka-madamka rozumiała to - szła o krok z tyłu i była gotowa, żeby odpowiedzieć na każde pytanie. Była nieco bledsza niż zazwyczaj, ręce jej drżały.

Zatrzymali się w progu. Z przodu - dwaj sponsorzy w postawie uwagi i pogardy. O krok z tyłu - Madamaszka, a jeszcze dalej - Łysy i nadzorca Henryk. Chłopcy z lagami stali na baczność, wpili się oczami w wysokich gości. Po cholere tu przyleźli - może chcą sprawdzić czy nie jesteśmy okrutni wobec gąsienic?

Gumowa kotara drgnęła i transporter ruszył, ukazując naszym oczom stertę martwych gąsienic.

Pierwszy sponsor zaczął wrzeszczeć w kiepskim rosyjskim:

- On żywy, on jest żywy! Bij go!

W jego głosie słychać było strach - jakby obawiał się, że gąsienica może się na niego rzucić.

Jeden z pelzaczy poruszył się - właściwie był już martwy, zdechłby i bez dodatkowych ciosów, ale chłopcy z lagami tak się wystraszyli, że zaczęli z obu stron grzmocić w gąsienicę, robiąc z niej krwawą miazgę.

- Idiota - powiedział głośno po rosyjsku drugi sponsor.

Sponsorzy zawsze mówili z ludźmi po rosyjsku. Wynikało to nie tylko z głębokiego przekonania, że my, tubylcy, nie mamy zdolności językowych, ale i ze względów bezpieczeństwa. Kto opanowuje obcy język, kto wdziera się do świata istot komunikujących się przy pomocy tego języka - atakuje. Domyślałem się tego od dawna, ale nawet w myślach nie chciało mi się analizować tego spostrzeżenia. Po co? Było mi ciepło, byłem syty i chroniony. Ludzie zaczynają myśleć, kiedy jest im źle i zimno.

- Bydłeta - powiedział pierwszy i obaj, odwróciwszy się wyszli z piwnicy. Ja natomiast, tracąc na chwilę zdolność jasnego myślenia, zapomniawszy gdzie się znajduję, wpadłem nagle w panikę, że oto sponsorzy odejdą, a ja na zawsze zostanę w śmierdzącej piwnicy, we władzy brutalnych. Okrutnych ludzi. Odejście sponsorów było niczym zerwanie ostatniej nici, łączącej mnie z cywilizacją.

Wszyscy gapili się im w ślad, i nikt nie zdążył mnie zatrzymać, chociaż wszyscy w piwnicy widzieli dokąd pobiegłem.

Tylko Irka krzyknęła:

- Timoszka, Timek, przecież zginiesz! Co ty robisz, głupi?

Pozostali niewolnicy tępo patrzyli, czekając, kiedy znowu ruszy transporter i zacznie się praca.

Gdy wybiegłem z piwnicy znalazłem się w szerokim i wysokim korytarzu. Idący z przodu sponsorzy niemal sięgali głowami sufitu. Madamszka dreptała obok nich, jak pupilka, a Łysy maszerował nieco z tyłu.

Nikt z nich nie odwrócił się i nie zobaczył mnie.

Nie wiedziałem co robić. Wydawało się, że to najlepszy moment, że zawołać i zwrócić na siebie ich uwagę. Ale co będzie jeśli sponsorzy mi nie uwierzą? I pozostawią mnie tutaj, w ręku tych ludzi? Łysy mnie zatłucze jak gąsienicę!

Orszak doszedł do drzwi. Po kolei schylając się, żeby nie zawadzić głową o nadproże, sponsorzy wyszli na podwórko fabryki słodocy. Przyłgnałem do ościeżnicy. Dzień trafił się ciepły, słoneczny, świeży. Gładkie i takie jedwabiste - pamiętam jak w dzieciństwie mnie to fascynowało - mundury sponsorów, po kroju których i szczegółach tylko doświadczone oko, takie jak moje, mogło rozróżnić stopień i pozycję, błyszcząły na słońcu, odbijając jego promienie. Moje

ćwiczone przez wiele lat na gościach pana Jajbłuszko oko bezbłędnie poinformowało mnie, że sponsorzy, którzy tak przestraszyli nasz wydział, należą do niskiego stopnia władzy - są zwykłymi wykonawcami. Nie byli nawet wojskowymi - pospolici zaopatrzeniowcy, to znaczy istoty nie cieszące się specjalnym zaufaniem i szacunkiem w garnizonach. Nikt i nigdy nie zaprosiłby ich do domu pana Jajbłuszko.

Dla mieszkańców Ziemi wszyscy sponsorzy byli równi i dlatego niezwycześni. Każdy z nich, niczym mrówka, pełni służbę; wszyscy jednakowi: bezlitośni i niezwycześni. W rzeczywistości sprawa wygląda zupełnie inaczej, ale człowiek nie może się tego domyśleć - przecież człowiek sądzi po wyrazie twarzy, według norm zachowania, całkowicie w końcu odmiennych u ludzi i sponsorów. Bo co można poradzić na to, że sponsorzy mają oblicza całkowicie pozbawione mięśni i dlatego nie odzwierciedlają żadnych emocji, natomiast długie środkowe palce poruszają się bez przerwy i są bardzo wyraziste. Często mówią o humorze, zamiarach i uczuciach (tak, tak, sponsorzy są zdolni do uczuć!) sponsora o wiele więcej niż słowa.

- Od kiedy pracuje u was ta partia? - zapytał Madamaszkę starszy sponsor.
- Dopiero drugi dzień.
- Źle pracują, źle - powiedział drugi sponsor.
- A skąd mam wziąć lepszych? Byłam na rozdziale - poskarżyła się madamka. - Pronin zabrał wszystkich mocnych do kopalni.
- Ludzie są wszędzie potrzebni - oświadczył sponsor.
- To wy decydujecie - powiedziała madamka. Z jej tonu i słów wynikało, że nie odczuwa specjalnego strachu przed sponsorami. Gdybym nie wiedział, że ludzie są niczym innym jak zacofanymi dzikusami, których sponsorzy muszą uczyć i otaczać opieką, pomyślałbym, że jestem świadkiem rozmowy o interesach między równorzędnymi partnerami.
- TU jest lekka praca. A w kopalni ciężka. Tam szybko wymierają - wyjaśnił pierwszy sponsor.
- Tu jest tylko jedzenie - surowo powiedział drugi sponsor, a w jego głosie usłyszałem znajome tło - brzęczenie, co oznaczało, że zaczynał się złościć. Nie wiedziałem, czy madamka wychwyciła to niepokojące tło. - Jesteśmy gotowi poświęcić własne interesy i nawet żywność dla ważniejszych spraw - produkcji potrzebnej całej społeczności, całej galaktyce. Ale to my jesteśmy gotowi do poświęceń, a wy? Gdzie jest wasza ofiara?
- Ludzie pracują bez wytchnienia - odważył się wtrącić Łysy.
- Pełzacze są przerośnięte - powiedziała madamka. - Powinniśmy je zabijać o tydzień wcześniej, wtedy mięso jest delikatniejsze i koncentrat ma wyższą jakość. Wicie to lepiej ode mnie. Ale ciągle naciskacie na ilość!

- Potrzebujemy dużych ilości. Garnizony rosną.
 - Istnieje niebezpieczeństwo - zaczynają już krzyczeć.
 - Do tego nie wolno dopuścić.
 - No to co mam robić? - zapytała Madamaszka.
 - Jeśli będziesz źle robić, będziemy odrywać twoją piękną główkę. - Sponsor postukał końcem trzeciego palca po swojej szyi - to była oznaka wesołości. Nie wiem, czy madamka, pogrążona w swoich niewesołych myślach domyśliła się tego.
 - Jeśli oderwiecie moją piękną główkę - powiedziała - będziecie musieli poszukać sobie innego dyrektora fabryki.
 - Poszukamy - powiedział drugi sponsor.
 - Szukajcie - powiedziała madamka.
 - Nie kłómy się - zaproponował pierwszy sponsor. - Jesteśmy zadowoleni. Dobrze pracujecie. Przyślemy nowych ludzi. Ci powinni pracować nie dłużej niż pięć tygodni. Potem proszę przygotować ich do likwidacji.
 - Chyba zwariowaliście! - zawołała madamka. - To nie jest jakiś przechodni przytułek. Dopiero co się człowiek nauczył pracować, jak wysyłacie go do rakarni. To niemądre.
 - Nie trzeba się sprzeczać!
 - Boicie się, że ktoś się wygada? Przed kim? Przed trzcunami?
 - Nie należy oponować - uciął sponsor. - Kto zna tajemnicę ten nie żyje.
 - Przyjęłam dzisiaj jaja - powiedziała madamka. - Siedem tysięcy skrzynek.
 - Ciebie też zabijemy - powiedział sponsor. - Nieco później. To żart.
 - Znamy takie żarty - mruknęła Madamaszka.
- Sponsorzy miarowo kiwali się ze śmiechu.
- Potem ruszyli od drzwi w kierunku oczekującego ich wojskowego śmigłowca. Madamka z Łysym poszli za nimi. Każdy krok oddalał ich ode mnie i coraz trudniej było mi słyszeć i coraz trudniej walczyć z pragnieniem pójścia za nimi.
- ... Rozmawiam z wami szczerze - doszedł do mnie głos sponsora - jesteście naszym człowiekiem. Zdarzył się przypadek ucieczki udomowionego pupilka od jednego z naszych specjalistów.
 - Mówiono mi, że wczoraj rano został zabity.
 - Rozpoznano go po obroży - wtrącił się Łysy.

- Wszyscy tak myślą. Niech myślą. Posłaliśmy jego zdjęcia do rozpoznania państwu. Państwo powiedzieli - nie ten. Tamten był młody, wysoki. Czysty, bez znamiona na ciele i zdrowy. Pochodzi z dobrej hodowli.

- Po co nam to mówicie?

- Gdyby trafił do was łatwiej go rozpoznacie.

- Po co?

- Natychmiast nas zawiadomcie. On nie może żyć.

- Dlaczego? Co takiego zrobił?

Coraz trudniej było mi wychwytywać słowa. Podeszli pod śmigłowiec, po podwórku jeździły jakieś samochody ze skrzynkami i naczyniami, śmigło zaczęło wolno się rozpędzać. Chciałem wysunąć się na zewnątrz.

- Powiadomcie nas, a jeśli będą podejrzenia - zabijcie go od razu! - Zabijcie! - Sponsor starał się przekrzyczeć warkot silnika. - My będziemy sprawdzać!

- Rozumiem! - krzyczała do niego madamka. - Lepiej poszukajcie go w kopalni! Ja mam samych staruchów i inwalidów!

Dopiero w tej chwili, koszmarne wolno myśląc, dotarło do mnie, że rozmawiają właśnie od mnie. Już wiedzą, że przypadek, który mnie uratował dał tylko chwilę wytchnienia! A tutaj, w fabryce, zaniechałem nawet udawania - nie kulałem i nie garbiłem się... Madamka i Łysy prawie na pewno są w stanie dodać dwa do dwóch i domyśleć się, kto z naszej partii jest zbiegłym pupilkiem.

Ale skąd taka nienawiść? Dlaczego muszą mnie zabić? Żeby dać nauczkę innym pupilom?

Już wiedziałem, że nie pobiegnę za nimi. Powlokłem się z powrotem po korytarzu.

... Nogi miałem jak z waty. Powiniennem się śpieszyć, tymczasem wlokłem się wolno niczym skazaniec, na swój wydział, bo tam był jedyny bliski mi człowiek - łącząca Irka. Ale co mam jej powiedzieć?

W progu powitał mnie nadzorca Henryk.

- Gdzie się szlajasz?

Gruby warknął na mnie:

- Co to - ja sam mam je przynieść?

Irka powiedziała:

- Wystraszyłam się, że zginąłeś. Już chciałam biec cię szukać.

Podczas mojej nieobecności pomagała Grubemu za mnie.

Chwyciłem za ogon pełzacza - jego sierść była ciepła, ciało miękkie. Wyślizgiwał mi się z rąk.

- Oni już wiedzą, że Krzywy nie był pupilkiem - powiedziałem do Irki.

Nie przyznałem się jej wcześniej, że jestem pupilkiem. Domyśliła się tego i bez moich słów. Nie musiałem jej niczego wyjaśniać.

- Szukają teraz ciebie?

- Powiedzieli madamce, że muszę być tu, w fabryce.

- Znajdą - powiedziała Irka. - Trzeba uciekać.

- Was też chcą zabić.

- Kiedy?

- Za pięć tygodni.

- Dlaczego?

- Żebyście nie opowiadali gdzie byliście, co jedliście.

Chłopy z pałami znowu urządzili polowanie na niedobitą gąsienicę - pełzacz zwałił się na podłogę i zaczął się taki rozgardiasz, że mogliśmy z Irką rozmawiać spokojnie, bez obawy, że ktoś nas podsłucha.

- Uciekajmy - powiedziałem.

- Uciekniemy obowiązkowo! Ale bez pośpiechu. Mam tu sprawy do załatwienia.

- Sprawy?

- Co się dziwisz? Człowiek nie może mieć spraw?

- Ale oni będą na mnie polować!

- Niech polują - powiedziała obojętnie Irka. - Nie miotaj się, jak zaniepokojony ratlerek. Ważne jest nie kiedy polują, a kto poluje. Pomyśl, łebasie, po co madamka ma cię oddawać. Prędzej wymyśli dla ciebie coś innego.

- Nie będą jej przesłuchiwali?

- Nie masz pojęcia o życiu. A o życiu Madamaszki tym bardziej.

Transporter ruszył wypływając kolejne trupy gąsienic i musiałem włączyć się do pracy.

Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Do życia w fabryce słodczy też można się przyzwyczaić. Pod koniec zmiany już nie padałem na nos ze zmęczenia, a zachowałem nawet tyle sił, żeby przejść się po fabrycznych podwórkach i zaułkach wyszukując miejsce nadające się do ucieczki.

Za fabrycznymi budynkami ciągnął się płot z drutu kolczastego. Za nim stały betonowe bloki, niskie, przysadziste; tam znajdowały się inkubatory i ciepłarnie, w których z jaj hodowano gąsienice, a następnie podziemnymi korytarzami podrośnięte owady przywożono do naszego wydziału, na ubój, potem były patroszone i przerabiane. Fabryka nie miała, co się zowie!

Poszedłem wzdłuż płotu. Wszędzie dominował zastarzały zapach padliny.

Płot kończył się przy bramie. Z tamten strony ciągnął się czerwony ceglany mur. Był stary, gdzieniegdzie górne cegły wypadły, i gdybym zdobył gdzieś drabinę albo przynajmniej dużą skrzynię, to mógłbym przeskoczyć go. Nie zastanawiałem się, co będę robił, gdy ucieknę z fabryki - opanowało mnie przerażenia. Wydawało mi się, że sponsorzy lada moment wrócą, żeby zabrać mnie ze sobą albo zastrzelić na miejscu.

Oddając się takim myślom i kręcąc głową w poszukiwaniu drabiny, trafiłem do wąskiego przejścia między płotem i magazynem, i nagle usłyszałem przed sobą głosy.

Zatrzymałem się.

- Rozmawiałaś z nią? - rozległ się kobiecy głos.

Rozmówców ode mnie dzieliła wysoka sterta zardzewiałego złomu.

- Zgadza się, żeby go wyprawić do Markizy. Co jej w zamian obiecałaś?

- To moja sprawa.

- Nie wykiwa nas?

- Nie, obiecałam jej wystarczająco dużo.

W tym momencie poznałem, że to mówi Irka. Oczywiście. To jej głos! Nie poznałem go od razu tylko dlatego, że wypowiadała te słowa nie biedna łązega; rozmawiała z mężczyzną pewna siebie osoba. Ale kim jest ten drugi?

Podszedłem bliżej i przyłgnałem okiem do szczeliny między stertą żelastwa i murem z cegły.

Mężczyzna stał do mnie tyłem. W rękę trzymał pejcz i postukiwał nim o nogę. Pejcze mieli nadzorcy i Łysy. Nie, to nie był Łysy. Jak na Łysego był za szczupły i za niski.

- Trzeba się śpieszyć - powiedziała Irka.

Widziałem ją bardzo dobrze. Była poważna. Nie mogła ustać w miejscu, chodziła wolno jak zwierzę zapędzone do klatki - dwa kroki w prawo, dwa w lewo.

- Jutro rano - powiedział mężczyzna z pejczem. Obejrzał się, a wtedy poznałem, że to był Henryk, nasz nadzorca.

- Kto go powiezie? - zapytała Irka.

- Łysy. Kto by jeszcze?

- A nie możesz ty?

- Nie. Madamaszka się nie zgodzi. Ufa tylko Łyseму.

- No to nic na to nie poradzimy. Nie możemy madamce rozkazywać. Możemy ją prosić, ale nie rozkazywać.

Przecież oni rozmawiają o mnie! Dlaczego od razu się nie domyśliłem! Dogadali się z Madamą, żeby mnie stąd wywieźć.

Opanowały mnie wielka ulga i wdzięczność do Irki i Henryka. Nawet się nie bałem, że do nowego miejsca pobytu będzie mnie wiozł Łysy. Jakoś przetrzymam...

Do Henryka i Irki zbliżał się przejściem jakiś duży facet, w którym po chwili rozpoznałem jednego z tych, którzy dobijali gąsienice.

- Ile mamy na ciebie czekać! - rzucił się na niego Henryk. Od razu wszyscy zapomnieli o mnie.

- Wszystko w porządku. - Mężczyzna ciężko dyszał, jakby przebiegł duży kawał drogi.

- Mów.

- Skrzynki wyładowywaliśmy przy pierwszym bloku. Najpierw liczyli dokładnie, a potem państwo sponsorstwo poszli na obiad...

- Krótko - gdzie skrzynka.

- Jean ją już targa.

W odległym końcu przejścia pojawił się drugi mężczyzna, który niósł, przyciskając ją do brzucha, dużą płaską skrzynkę.

Henryk wyszedł mu na spotkanie.

- Czy ktoś cię widział?

- Chyba nie.

- Nie będą przeliczać?

- Po co? Przecież to ma je układaliśmy. Gdzie pieniądze?

- Irka, daj mu - powiedział Henryk.

Irka wyciągnęła do pierwszego mężczyzny wcześniej odliczone, zwinięte w opisany gumką rulon pieniądze.

- Nie musisz liczyć - powiedziała.

W tej właśnie chwili zbroiłem głupstwo. Chcąc lepiej widzieć niezręcznie oparłem się o zardzewiałą rurę i cała sterta metalu zaczęła groźnie skrzypieć.

- Uciekaj! - krzyknął Henryk.

Próbowałem czegoś się chwycić, utrzymać się, i, oczywiście, tylko pogarszałem swoje położenie - zaczęło mi się wydawać, że lecę z góry w lawinie składającej się z gwoździ i odważników... Ile to trwało - nie wiem, ale zakończyłem całe to spadanie na ziemi. Przez chwilę nie poruszałem, chcąc sprawdzić co sobie połamałem.

Potem ostrożnie poruszyłem prawą ręką, w garści zaciskałem coś ostrego. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że - jak bukiet kwiatów - zaciskam w dłoni pęk kolczastego drutu.

Chciałem kontynuować przegląd swoich strat, ale usłyszałem:

- No i jak, podoba nam się takie leżenie?

Wystraszyłem się i chciałem usiąść. Trafiłem plecami na jakiś żelazny kant, podskoczyłem i strasznie obolały, podrapany i upstrzony plamami sączącej się z wielu ran krwi, wyrwałem się z zardzewiałego więzienia.

Okazało się, że stoję przed nadzorcą Henrykiem.

Miał szczupłą twarz, rozległą łysinę, krótkie wąsy i bródkę; stojąc kiwał się na palcach i znowu stukał pejcem o nogę.

- Przepraszam - powiedziałem. - To niechcący.

- Łżesz - spokojnie rzucił Henryk. - Podśluchiwałeś. Stań pod ścianą!

- Boli mnie - poskarżyłem się.

- Jak posłuchasz - będzie jeszcze bardziej bolało.

Cofnąłem się pod ścianę.

- No więc co usłyszałeś?

- Nic!

Oczy Henryka, małe, jasne i bezwzględne, dosłownie przewiercały mnie na wylot. Bałem się przyznać.

- A co widziałeś?

- Szedłem tędy przypadkowo - zacząłem jęczeć. Z własnego doświadczenia wiedziałem, że przed sponsorem czy mocnym pupilkiem trzeba wyglądać na słabego, nieszczęśliwego, zupełnie niegroźnego. - Przepadkowo szedłem...

- Po co? Tędy nikt nie chodzi.
- Szedłem... dlatego. Że chciałem uciec!
- Chciałeś uciec? Nie odsuwaj się od ściany! Dokąd chciałeś uciec?
- Przez płot.
- Dlaczego?
- Dlatego, że nikomu nie ufam. Panu też nie ufam!
- Słusznie. Nikomu nie należy ufać. No, mów dalej. Mów. Znaczy - szedłeś sobie i myślałeś: jak by tu uciec? A przed tobą znalazła się sterta żelaza i walnąłeś w nią nosem...
- Zamyśliłem się!
- Łzesz! - Henryk zamachnął się pejczem.

Nigdy nie zaatakowałbym przełożonego, ale bardzo się wystraszyłem, że mnie zaboli. Wyszczrzyłem zęby, skoczyłem do Henryka, wyrwałem mu pejcz i złamałem rękojęć o kolano. Henryk chciał mi przeszkodzić, ale odtrąciłem go. potem cisnąłem pejcz mu w twarz.

Henryk złapał pejcz i powiedział coś dziwnego:

- To był dobry pejcz. Głupiś, pupilku.

Nagle zrozumiałem, jak głupio postąpiłem. Zacząłem się cofać, ocierając plecami o mur z cegieł. Henryk nie atakował mnie. Oglądał pejcz.

A ja, widząc, że odszedłem od niego na bezpieczną odległość, rzuciłem się do ucieczki.

Kajałem się, że nie wytrzymałem i skoczyłem na Henryka. Teraz pewnie się na mnie zemści. Brakowało mi tylko tego jeszcze jednego wroga.

Załamany wróciłem do naszej piwnicy. Ludzie już wracali ze zmiany. Było duszno, śmierdziało potem i innymi świństwami. Niektórzy spali na narach, inni siedzieli przy długim stole na środku piwnicy - rozmawiali, grali w kości... Na mnie nikt nawet nie popatrzył.

Podszedłem do pryczy. Dolna - Irki - była pusta. Irka jeszcze nie wróciła. To dobrze. Musi już wiedzieć, że połamałem pejcz Henryka. Nie będą chcieli mi pomóc. I oddadzą w łapy sponsorów. A ci przerobią mnie na mydło...

Tak pograżyłem się w niewesołych myślach, że nie zauważyłem kiedy resztki dziennego światła opuściły piwnicę, i tylko kaganek, stojący na stole, dziwnie i nierówno oświetlał twarze siedzących przy stole. Cóż, jeź wystarczająco ściemniało. Trzeba się ruszyć i pójść do kibla, stamtąd wyskoczyć na podwórko i pobeżnę do muru z cegieł.

Niebezpiecznie byłoby przegapić właściwy moment - wiedziałem już, że drzwi naszego bloku są zamykane na noc.

Podniosłem się i ruszyłem do drzwi...

Na spotkanie mi szła mała postać - nawet w ciemnościach poznałem Irkę. Też mnie poznała.

Cofnąłem się do pryczy. Jakże nie chciałem, żeby było moim wrogiem!

- Tim? - zapytała szeptem.

- Dzień dobry - powiedziałem, jakbyśmy się jeszcze nie widzieli dzisiaj.

Irka wzięła mnie za rękę i pociągnęła w kierunku pryczy.

- Siadaj!

Usiadłem posłusznie. Chciałem się jakoś usprawiedliwić więc powiedziałem:

- Mogę naprawić ten pejcz. Potrafię. Pani Jajbłuszko nauczyła mnie wyplatania skóry.

- Jaki pejcz?

- Nie powiedział ci?

- Jesteś dzikus...

- Wystraszyłem się. On tak surowo ze mną rozmawiał.

- Dokąd szedłeś? - zapytała szeptem Irka.

- Chciałem uciekać.

- Nie trzeba - powiedziała Irka. - Jutro zawiozą cię do Markizy.

- Myślałem, że teraz nie będziecie chcieli mi pomagać.

- Wierzę ci. A co widziałeś?

- Mężczyzn. Z pudłem.

- A co w pudle?

- Nie wiem. Było zamknięte.

- Nie bój się, pupilku - powiedziała Irka i zachichotała. - Nikt cię nie skrzywdzi. Jutro cię wywiozą, tak jak się umówiłam.

- A posłuchają ciebie? Kim ty jesteś?

- Jestem nikim - powiedziała Irka. - Ale Henryka na pewno posłuchają.

- Może jednak naprawię mu ten pejcz?

- Zdasz. Teraz chodźmy spać.

Kiedy wszyscy zasnęli Irka wspięła się na moją pryczę. Czekałem na nią - samemu było mi zimno. Przywarła do mnie, najpierw dygotała, potem ogrzała się. Powiedziałem:

- Już nie mogę z tym pełzaczami. Jeden dzisiaj na mnie patrzył jak człowiek.

- Nie - powiedziała twardo Irka. - One nie mają świadomości. Ty, po prostu, nie lubisz zabijać i nie potrafisz. Wszyscy potrafią zabijać, życie takie jest, że należy zabijać, ale ty nie potrafisz - ktoś cię ukatrupi, a ty nawet nie zauważysz.

Jeszcze mocniej przywarła do mnie.

- Jesteś ciepły - oświadczyła szeptem.

Dokoła na pryczach spali albo i nie spali ludzie. Powietrze w piwnicy było ciężkie - myliśmy się byle jak, bez mydła. Ale było już zupełnie ciemno, i mogliśmy sobie wyobrazić, że jesteśmy sami albo w prawdziwym domu.

- Szkoda mi ich - powiedziałem.

- Może ciszej tam! - syknął człowiek z sąsiedniej pryczy, nawet nie znałem jego twarzy. - Cicho bądźcie, przeszkadzacie ludziom spać. Róbcie, co macie robić... ale nie przeszkadzajcie ludziom.

Irka również szeptem skłęła go słowami, jakich nawet nie znałem, ale domyśliłem się, że są nieprzyzwoite, aż strach pomyśleć, co znaczą. Potem znowu zrobiło się cicho - tylko oddechy i chrapanie ludzi.

- Może pójdę sobie? - zapytała Irka.

- Nie, nie odchodź - powiedziałem. - Nie odchodź, bo pojedynczo będzie nam zimno.

- Martwię się o ciebie - szepnęła Irka.

Jej małe ciepłe ciało spowodowało, że zacząłem odczuwać coś dziwnie słodkiego, jakieś leniwie ogarniające uczucie, dziwną chęć objęcia Irki rękoma - ale nie z potrzeby ogrzania się, a po to, by całować i obejmować mocniej.

Odwróciłem się do niej i nie czułem już ani smrodu, ani dusznego powietrza.

Znalazłem wargami jej wargi, i zaczęliśmy się całować tak, że zupełnie traciliśmy oddech, ale nie mogliśmy się powstrzymać - czułem, że chcę jej aż do utraty świadomości.

I nagle Irka mocno odtrąciła mnie kolanami i jednym ruchem zeskoczyła z pryczy w dół, usłyszałem tylko, jak mocno uderzyła piętami o betonową podłogę.

- Co się stało? - Omal nie skoczyłem za nią.

Ale obok ktoś głośno zaklął.

Irka podeszła do pryczy, wspięła się na palce, zobaczyłem jej twarz nad brzegiem pryczy.

- Nie trzeba - powiedziała. - Przecież jesteśmy ludźmi, prawda?

- Ludzie? Oczywiście, że ludzie - nie rozumiałem jej.

- A w takim razie, jeśli coś między nami będzie, to niech będzie po ludzku, dobrze, pupilku?

- Dobrze - zgodziłem się, chociaż tej nocy wcale nie zrozumiałem, co chciała mi powiedzieć.

Milczeliśmy. Pogłaskała mnie twardą szczupłą dłonią po twarzy, pocałowałem tę dłoń.

- Weź worek - powiedziałem. - Zmarzniesz.

Wzięła worek, a ja szybko zasnąłem. Było zimno. Mógłbym zejść na dół do niej, ale rozumiałem, że Irka tego nie chce. Woli marznąć... Czy czułem się pokrzywdzony? Jeśli nawet to odrobinę, dlatego że, nawet nie rozumiejąc, co ma na myśli, zgadzałem się z nią.

W nocy przyśniła mi się czyściutka, wyfiokowana pupilka z sąsiedniego domu. Z nią też się całowałem, ale gdy tylko nasze pocałunki nabierały mocy, skądś pojawiał się sąsiedzki żabczak i musiałem uciekać.

Rano, kiedy obudziła mnie syrena, Irki już nie było na pryczy - pobięła zajmować dla nas kolejkę do ubikacji i umywalni. Pośpieszyłem jej na pomoc. Rozumiałem teraz, jak to dobrze, że mam kogoś takiego jak Irka. Cieszyłem się, że ją zobaczę.

Ale nie zobaczyłem jej - nie było jej ani w ubikacji, ani przy umywalkach, a kiedy wróciłem do piwnicy, czekał już na mnie Henryk. Nie miał w ręku pejcza.

Chciałem ominąć go nie podnosząc wzroku, ale Henryk sam podszedł do mnie i wyglądało, że nie złości się na mnie.

- Chodź - powiedział.

- Jestem głodny - zaproponowałem.

- Nie ma czasu na zwłokę - powiedział Henryk.

Wziął ze stołu piętękę chleba i podał mi. Ktoś z siedzących przy stole warknął, że niby taki kawałek chleba jest dla trzech, ale Henryk kazał mu się przymknąć i wyprowadził mnie na zewnątrz.

Bałem się, ale starałem się pocieszyć tym, że Irka obiecała mi pomyślne zakończenie całej sprawy. A ona, w końcu, była zorientowana. I rozmawia z Henrykiem jak równy z równym.

Na podwórzu stała starutka ciężarówka. Przy kierownicy siedział już Łysy.

- Ile mam czekać! - wyszczerzył zęby na nasz widok. - Zaraz patrol ruszą.

- Wsiadaj! - polecił Henryk.

Pomógł mi wsiąść na pakę. Potem wskoczył tam sam.

- Pan też jedzie? - zapytałem.

- Przejadę się trochę - odpowiedział Henryk.

Madamaszka podeszła do otwartego okna biura na piętrze. Pomachała ręką do Henryka. Pomachał do niej też.

- Bądźcie ostrożni! - krzyknęła madamka. - Czekam na was wieczorem!

Nie wiem do kogo skierowane były te słowa - do Łysego, czy do Henryka, ale na pewno nie do mnie.

Samochód podtoczył się pod bramę. Strażnik stojący tam, najpierw sprawdził pakę i szoferkę, a dopiero potem przepuścił nas.

- Czego on szuka? - zapytałem Henryka.

- A diabli go wiedzą - odpowiedział.

Ciężarówka wyjechała z bramy i zaczęła podskakiwać na koleinach i dziurach drogi.

Po kilkunastu metrach droga skręciła w bok, a z obu stron wyrósł szpilkowy las.

Jechaliśmy po tej drodze dość krótko - ponad szczytami drzew wciąż jeszcze widziałem komin naszej fabryki. Nagle Henryk pochylił się i postukał z dach szeroki. Ciężarówka zatrzymała się.

Henryk podszedł do burty i zaczął przyglądać się krzakom.

Trzasnęły drzwi kabiny - Łysy wyszedł na drogę.

W tym momencie gałęzie krzaki rozchyliły się i na drogę wyszedł mężczyzna z kartonowym pudłem w ręku, ten sam mężczyzna, którego wczoraj widziałem w fabryce.

Za mężczyzną szła Irka. Miała na sobie męskie spodnie i wysokie buty. Rude włosy miała schowane pod chusteczką.

- Ostrożnie! - zawołała do mężczyzny, kiedy ten przekazywał pudło Henrykowi. Henryk pochylił się, mężczyzna przekazał mu pudło i karton, jak mi się wydawało, niezbyt ciężki, znalazł się w ciężarówce.

Irka zręcznie wskoczyła na pakę i uprzedziła Henryka:

- Nie stawiaj na podłodze. Usiądź i trzymaj na rękach.

Henryk posłusznie usiadł, a Irka usiadła obok, żeby przytrzymać karton.

- No to pójdę sobie? - zapytał mężczyzna.

- Idź - zezwolił Henryk.

Łysy ciągle stał na drodze.

- A ty na co czekasz - na oddzielne zaproszenie? - zapytał Henryk.

- Jedź, proszę, ostrożnie - poprosiła Łysego Irka.

Ciężarówka potoczyła się dalej. Droga była w tak złym stanie, że nie w żaden sposób nie dało się uniknąć kołysania i wstrząsów. Irka i Henryk starali się ustrzec pudło przed podskakiwaniem, pomagałem i ja. Z początku opędzali się przede mną, potem przestali.

Ciężarówka wolno toczyła się po drodze, ale nawet nie patrzyłam na okolicę - wolałem patrzeć na Irkę i na pudło.

W końcu nie wytrzymałem:

- Co tam jest? - zapytałem.

- Nieważne - powiedział Henryk.

Od czasu do czasu Irka podnosiła się i patrzyła do przodu, jakby obawiała się jakiejś przeszkody albo niebezpieczeństwa.

Ale droga, choć rozjeżdżona, była zupełnie pusta, a ściany lasu po obu jej stronach sprawiały, że czułem się jak w wąskim ciemnym kanionie.

Jechaliśmy tak dość długo. Milczeliśmy. Miałem na końcu języka wiele pytań, ale rozumiałem, że raczej nie odpowiedzą mi na nie.

Jechaliśmy jakieś pół godziny, może trochę więcej, i to ja pierwszy zauważyłem, że daleko przed nami na drogę wyszedł jakiś człowiek i stanął pośrodku drogi.

- Stój! - krzyknęła Irka.

Ale Łysy już zwalniał i ciężarówka, nie dojechawszy kilka metrów do nieznajomego, zatrzymała się.

Mężczyzna podszedł do ciężarówki.

- Uciekasz? - zapytałem Irkę.

Chyba dopiero teraz przypomniała sobie o moim istnieniu.

- Nie martw się. Pojutrze będę u Markizy - powiedziała. - Zobaczymy się tam.

- A co jest w pudle?

- Aleś ty uparty!

- Zobaczymy, czy wszystko w porządku - zaproponował Henryk.

Nie czekając na przyzwolenie podniósł pokrywkę kartonu, odsunął warstwę miękkiego materiału i zobaczyłem, że wewnątrz pudła znajdują się jednakowe zagłębienia, a w każdym z nich leży biała kula wielkości pięści.

Irka pochyliła się nad kulami.

- Wszystko w porządku - powiedziała.

Mężczyzna podszedł do ciężarówki i ponaglił:

- Prędeej! Już dwa razy przelatywał tędy śmigłowiec.

- Co to jest? - Tym razem ciche pytanie skierowałem tylko do Irki.

Popatrzyła na mnie, w jej oczach czał się smutek.

- Do widzenia, pupilku - powiedziała. - Bądź grzeczny. Będę za tobą tęsknić.

- Ja też.

- A w pudle są jaja - powiedziała Irka.

- Jakie znowu jaja?

- Milcz! - zganił mnie Henryk, odwrócił się do Irki i powiedział: - Co się tak rozgadałaś? Im mniej wie, tym lepiej. I dla nas, i dla niego.

Mężczyzna na drodze chwycił pudło z jajami - po co wieźliśmy tu jaja? - i skierował się w stronę krzaków. Na drogę zeskoczył Henryk i pomógł zejść z paki Irce. Nie chciałem zostawać sam, też zeskoczyłem na drogę. Ale Irka powiedziała:

- Wsiadaj do szoferki, do Łysego.

Łysy otworzył przede mną drzwi.

- Nie smuć się - dodała Irka.

Łysy wychylił się, sięgnął obok mnie do klamki i zatrzasnął drzwi.

- Zatroszczę się, żebyś się nie smucił - obiecał ponuro.

Patrzyliśmy jak cała trójka skryła się w krzakach unosząc ze sobą pudło z jajami.

Dzień był pochmurny, chociaż nie padał deszcz i nie czuło się wiatru. Po obu stronach drogi ciągnął się rzadki sosnowy las. Czasem przy drodze pojawiało się bagno, a wtedy z burek wody sterczały cienkie pnie osik i brzoź. Ziemia jeszcze nie obeschła.

Ze dwa razy widziałem przy drodze budynki. Jeden duży, kilkupiętrowy. Ludzie je rzucili - puste. Powybijane szyby w oknach, schody pozarastały pokrzywą... Raz od naszej drogi odeszła asfaltowa ścieżka i ginęła zaraz w zaroślach, ale zdążyłem zauważyć zardzewiały i chyba spalony szkielet jakiegoś samochodu.

- Ciągłe nie dbamy o swoją ojczyznę - powiedziałem do Łysego.

Nie zrozumiał i mnie i zapytał:

- Co masz na myśli?

- Ileż czasu sponsorzy uczą nas, że trzeba utrzymywać porządek na planecie, żebyśmy wszystko posprząтали i unieszkodliwili - już sił nie mają!

- A na co mają?

Zrozumiałem nagle, że nie znam odpowiedzi na to pytanie, i że sam nie wpadłem na to, by je zadać. Przynajmniej dla siebie.

- Na karmienie nas i ochranianie - powiedziałem niepewnie.

Las zmienił się w niski zagajnik, częściej trafiały się ruiny domów, a nawet sterczał w niebo jakiś betonowy komin. Zobaczyłem nagle, że w ruinach u podstawy komina coś się poruszyło.

- Patrz!

Łysy odwrócił się i w tej samej chwili pochylił się nad kierownicą i wdusił gaz do dechy. Ciężarówka dosłownie skoczyła do przodu. Zdążyłem zauważyć, że w ruinach stał człowiek, który strzelił do nas z łuku. Odwróciłem się - strzała uderzyła w asfalt.

- Widziałeś? Strzelił do nas! - krzyknąłem czując niespodziewane podniecenie.

- Milcz!

Potem musieliśmy na chwilę wyjść z samochodu - most ponad rzeką był rozwalony, z wody sterczały tylko filary i kanty zanurzonych w niej betonowych płyt. Na szczęście z prawej był bród, do którego prowadziły koleiny. Pojechaliśmy tam; kiedy znaleźliśmy się nad wodą Łysy nagle krzyknął:

- Teraz ani słowa! - i sam wychylił się tak, że niemal oparł brodę na kierownicy i wyłączył silnik.

Zamarłem w bezruchu. Okazało się, że słuch nie zawiódł Łysego - niewysoko nad ziemią, wolno leciał wielki śmigłowiec sponsorów. Nie zauważyli nas albo nie uznali za cel godzien uwagi.

- Dobrze, że nas nie zauważyli - powiedział Łysy uruchamiając silnik. - Bo normalnie strzelają bez ostrzeżenia.

Pojechaliśmy dalej. Szczęśliwie pokonaliśmy bród i wyjechaliśmy na drugi brzeg. Tam między dwoma betonowymi słupami rozciągnięty był pas spłowiełej czerwonej tkaniny z wykonanym dużymi białymi literami napisem: "Dla was sponsorzy nasze osiągnięcia w pracy i wypoczynku!"

Nieoczekiwanie zobaczyliśmy, że na spotkanie nam jedzie jakiś zaprzężony w konie powóz. Nie chowaliśmy się, a i ludzie w powozie - furmanka z wysokimi burtami - nie zamierzali nas skrzywdzić.

Potem spotykaliśmy pieszych - ci na dźwięk naszego pyrkającego silnika najpierw skoczyli do rowu, ale Łysy zawołał coś w dziwnym języku, i ludzie, jedni goli, inni ubrani. Zaczęli wylazić z rowu.

- Zaraz będziemy na miejscu. Tam zostaniesz. Będziesz czekał na człowieka od Markizy - powiedział Łysy i uśmiechnął się nieprzyjemnie. Jego słowa brzmiały fałszywie. Jakby człowiek - to nie człowiek, a "rzekomy człowiek", a Markiza - tylko "tak zwana Markiza".

Na wyblakłym i pochylonym ciężarem niezliczonych lat metalowym drogowskazie przeczytałem dziwne i niezrozumiałe słowo "Mytiszcz". Tam się skierowaliśmy. Droga prowadziła lasem, w którym widziałem pojedyncze domy, najczęściej zrujnowane. Potem skręciliśmy na jeszcze węższą i jeszcze bardziej zapuszczoną dróżkę, ciężarówka podskakiwała na niej tak, jakby chciała wyrzucić nas z kabiny. W końcu zatrzymaliśmy się pod sklepieniem wysokich rozłożystych drzew.

- Udało się - powiedział Łysy. - Mówiłem madamce, że trzeba wyjeżdżać po nocy, ale co ją obchodzą ludzie? Tylko wozów żałuje - po ciemku można huknąć w dziurę i po samochodzie!

Przedrzeźniał swoją szefową. Dokładnie tak, jak my, pupilki, przedrzeźniamy swoich sponsorów.

Zbliżał się już do nas człowiek w skórzanych spodniach, z gumową pałką u pasa. Barczysty, krępy i garbaty.

- Czołem - przywitał się.

- I tobie - powiedział Łysy.

- Przywiozłeś? - zapytał człowiek z pałką.

- Wysiadaj - rozkazał Łysy. - Widzisz? - zapytał garbatego. - Może być?

- W porządku - powiedział garbus, oglądając mnie, jak prosiaka na rynku.

Podeszliśmy razem do domu zbudowanego z grubych bierwion. A okna były małe i wąskie. W środku, za przedpokojem, w którym stały puste beczki i skrzynki i pachniało zgniłymi kartoflami, była duża izba z niskim sufitem. Pod ścianą znajdował się kominek. Takie same, tylko większe, były w domach sponsorów. Przy kominku na podłodze leżały skóry zwierząt i pełzaczy. Siedzieli na nich ludzie - chyba pięciu. Na nasz widok wymruczeli niezrozumiałe powitania. Łysy był tu swoim człowiekiem.

- Przywiozłeś? - zapytał człowiek z gęstą czupryną i bardzo ciemnymi oczami, osadzonymi blisko szczupłego garbatego nosa.

- Przecież widzisz. - Łysy wskazał na mnie.

Kędzierzawy podszedł do mnie, a ja, jak zauroczony wpatrywałem się nie w niego, a w jego ubranie. Ten człowiek nie tylko ośmielił się zakryć swoją nagość, ale na dodatek uszył sobie ubranie, na widok którego osłupiałem. Tkanina, z której uszyty był strój, błyszczała i mieniła się tęczą, na dodatek pokryta wzorami haftowanymi złotymi i srebrnymi nićmi, a wąskie obcisłe spodnie wpuszczone były do dziwnych butów, takich wysokich i niewygodnych, że nie wytrzymałem i bez sensu zapytałem:

- Jak się to nazywa?

- To się nazywa botforty, takie buty z cholewami - powiedział kędzierzawy. - Nie widziałeś takich?

- Nie, nie widziałem.

- W lesie mieszkałeś?

- Nie, nie w lesie.

Nie podobał mi się ten człowiek, to był zły człowiek. Jak każde domowe zwierzę, zależne od łaski silniejszego, miałem wyczulony niuch na ludzi i sponsorów. Sponsorzy, w końcu, też różni bywają.

- Cóż, gratulujemy szczęśliwego przyjazdu - powiedział kędzierzawy. Nagle mocno chwycił mnie za przedramię, a ja odruchowo odtrąciłem jego rękę.

- Bardzo dobrze - powiedział kędzierzawy odsuwając się ode mnie. - Odruchy wspaniałe. Mięśnie w porządku. Nie to co te parchy, co nam się ostatnio trafiają. Mutanty pochromolone!

Nie rozumiałem, co go obchodzi moje odruchy.

- Poczęstujcie faceta - polecił kędzierzawy.

Na niewysokim podwyższeniu przed ludźmi stały jakieś gliniane naczynia i leżało jedzenie. Przypomniałem sobie, że właściwie nie zdążyłem zjeść śniadania.

- Co chcesz? - zapytał kędzierzawy.
- Jestem głodny - odpowiedziałem.
- Wiem, że jesteś głodny. U Madamaszki nie napasiesz brzucha.

Pozostali roześmiali się, Łysy też. Kędzierzawy odłamał nóżkę gotowanej kury (coś takiego jadłem już raz w tajemnicy - udało mi się gwizdnąć z sąsiedzkiej kuchni), a ja wbiłem w nią zęby. Garbus wziął ze stołu kartofla i rzucił mi. Z wdzięcznością chwyciłem bulwę i zacząłem ją jeść.

- A on co - jest baptystą? - zapytał nagle kędzierzawy Łysego.
- Nie, trochę świr, dziki, ale tak to normalny, nie baptysta. Jak wytrenujesz - będziesz wdzięczny. Przecież oddaję go za grosze.

Odeszli nieco dalej i rozmawiali dalej. Sprzeczali się. Nawet rozumiałem, że mowa jest o mnie i że Łysy chce otrzymać za mnie pieniądze. Pewnie, myślałem, za to, że stracił tyle czasu wioząc mnie tutaj. Kędzierzawy wyjął portmonetkę, zaczął wyciągać monety, potem przechwycił moje ciekawe spojrzenie i powiedział do jednego z siedzących:

- Nalej mu - droga niełatwa.

Tamten - ponury drab, nieprzyjemny, o wyglądzie zbója, czoło zarośnięte, oczu nie widać w oczodołach - nalał mi do glinianego kubka przezroczystej cieczy z dzbana, a ja byłem mu wdzięczny, bo po kartoflu chciało mi się pić.

- Dziękuję - powiedziałem i łyknąłem łąpczywie. ...I zrozumiałem, że umieram!

Wiedziałem, że coś takiego jak wódka istnieje, i wiedziałem od sponsorów, jakie przerażający wpływ na organizm ma na ludzi, ale nie podejrzewałem, że w naszych cywilizowanych czasach ktoś ośmielił się produkować wódkę.

Zresztą - w tamtej chwili wcale tak nie myślałem - po prostu kaszlałem, chrypiałem, traciłem oddech zgięty w pół.

- Daj mu wody popić! - zawołał kędzierzawy.

Podano mi drugi kubek z wodą, łyknąłem i zrobiło mi się nieco lepiej.

- Teraz dopij - polecił kędzierzawy.

Nie wiedziałem co mam dopijać - wodę czy wódkę, ale nie odważyłem się zapytać. Gardło zapłonęło żywym ogniem i chciałem umrzeć z obrzydzenia do samego siebie...

Usiadłem w kącie, podkurczyłem kolana i postanowiłem w tej pozycji doczekać się śmierci.

Jak przez mgłę słyszałem, jak żegna się ze wszystkimi i odchodzi Łysy.

- Żegnaj pupilku-popaprańcu - powiedział do mnie. - Mam nadzieję, że szybko ci tu przytrą rogów.

Zrozumiałem, że jest przepelniony nienawiścią do mnie.

Nieoczekiwanie Łysy mocno dźgnął mnie czubkiem buta w bok, chciałem mu oddać, ale w głowie mi się kręciło, więc postanowiłem, że później - jeśli będę żył, to też go uderzę. Łysy wyszedł, jacyś ludzie wchodzili i wychodzili. Stopniowo humor mi się poprawił, nawet mogłem stanąć na nogach, chociaż od razu zanosło mnie w bok i musiałem szukać ściany, że się jej przytrzymać.

Wszedł kędzierzawy, właściwie - pojawił się w polu mojego widzenia. Jego oczy znajdowały się blisko moich,

- Żyjesz? - zapytał.

- Bardzo żyję. - Uśmiechnąłem się głupio.

- No to świetnie - powiedział. - Chodźmy, urządzę cię.

- A kiedy ona przyjdzie?

- Kto?

- Pani Markiza, a któżby jeszcze? Moja pani-madamka mnie do niej skierowała.

- Wkrótce. wkrótce - powiedział kędzierzawy, fałszywym tonem, jakim przemawia się do dzieci, żeby się odczepiły.

Poszedłem za kędzierzawym na zewnątrz, a nogi mi się plątały. Był śmiesznie.

Ciężarówka Łysego odjechała. W krzakach zobaczyłem czarny kryty powóz.

- Właż - polecił kędzierzawy - i śpij.

- Przepraszam - zaoponowałem. - Nie przedstawiłem się jeszcze.

Wyciągnąłem do niego dłoń i przedstawiłem się:

- Timofiej. Zuch, że hej!

- A ja jestem aż do śmierci twoim panem - powiedział kędzierzawy. - Możesz mówić do mnie panie Achmecie.

Coś robił z moimi rękami - szcęknał zamek, moje przeguby znalazły się w metalowych obrączkach, połączonych krótkim łańcuchem.

- Co pan? - zapytałem. - Czy wszyscy tu powariowali?

- To żeby mieć pewność, że nie uciekniesz. No - idź kładź się!

Ciągle chichocząc spróbowałem wleźć do powozu, ale ręce mi przeszkadzały. Pan Achmet podsadził mnie. W środku było siano. Położyłem się i powiedziałem, że będę spał.

Rozdział 4

Pupilek wśród gladiatorów

Ocknąłem się w ciemnym pokoju z niewielkim okratowanym oknem. Poczułem się, jakbym znowu trafił do fabryki słodyczy. Tyle że leżałem nie na pryczy, a na kamiennej podłodze - podłoga było zimna, bok mi ścierpł, ręce zgrabiwały. Pamięć natychmiast podsunęła ostatnią scenę z pokoju z kominkiem. Zrozumiałem, że napojono mnie oszałamiającym napojem, żeby przewieźć do innego miejsca.

Usiadłem. Sądząc po barwie powietrza za oknem, zmierzchało. Spróbowałem się podnieść, ale udało mi się to wcale nie za pierwszym podejściem. Rozcierałem bok i ręce i zobaczyłem na przegubach dwa siniaki - nie od razu domyśliłem się, że to ślady po bransoletkach, w których mnie wieziono. Wolałbym już zostać na fabryce słodyczy, wolałbym przerzucać trupy gąsienic... Dziwne, jakie wszystko jest względne na tym świecie! Teraz, przemarznięty i głodny, uważałem życie na fabryce za raj. A jeszcze, jak na złość, wyobraźnię podsunęła obraz Irki, gorącej, ruchliwej jak rtęć, jak wspina się do mnie na pryczę...

Ponaglany złością wstałem w końcu i - żeby nie upaść - podbiegłem do ściany i oparłem się o nią. Zrobiłem kilka ruchów rękami - gimnastykę, jak to określała pani Jajbłuszko. Co rano wykonywaliśmy z nią takie ćwiczenia. Wyciągaliśmy do przodu ręce i unosili nogi - kształty i wielkość były różne, ale ruchy - takie same. Potem biegaliśmy po trawniku w koło - oczywiście, biegła wolniej niż jak, ale ja też się nie śpieszyłem. Chociaż każdy jej krok - ze dwa metry, co najmniej...

Po dwóch-trzech minutach krew zaczęła krążyć szybciej po moich biednych naczyniach krwionośnych, i już się przymierzałem, żeby podejść do drzwi i wyłamać kraty, kiedy moją uwagę przyciągnął widok za oknem.

Okno mojej celi znajdowało się na piętrze i wychodziło na mały zakurzony placyk, otoczony niskimi komórkami i składzikami, gdzieś połączonymi murem z cegły. Na placyku znajdowało się kilka osób, zajmujących się dziwnym, na pierwszy rzut oka, zajęciem. Ludzie ci byli uzbrojeni w miecze i topory na długich rękojeściach, walczyli ze sobą, a krępy garbus z głową wrośniętą w szerokie ramiona, trzymając w ręku długi kij, okrzykami i tym właśnie kijem kierował pojedynkami. Nieopodal stał pan Achmet w przeraźliwie jaskrawym ubraniu, jakby udawadniający wszystkim, że ma prawo czy też odwagę łamania wszystkich prawideł sponsorów.

Chciałem go zawołać, ale walka trwała i głośnie okrzyki spoconych wojowników i tak zagłuszyłyby moje krzyki.

Kiedy podeszedłem do drzwi uświadomiłem sobie, że trafiłem do studia filmowego, gdzie kręcą filmy dla telewizji, a walczący - to aktorzy, ćwiczący sceny ze starych wojen.

Pchnąłem drzwi. Nie otworzyły się.

Zdziwiłem się - po co ktoś miałby mnie zamykać? Przecież nie planuję niczego złego.

Drzwi były jednak zamknięte.

Zastukałem w nie. Ale to też nie pomogło.

Zacząłem walić w drzwi pięściami, a wtedy z zewnątrz ktoś krzyknął coś, a potem, klnąc przeraźliwie w drzwiach pojawił się podobny do rozzłoszczonej małpy człowiek z pistoletem w ręku.

- Czego chcesz?

- Chcę wyjść - powiedziałem. - Już się obudziłem!

- Obudził się? - szczerze zdziwiła się małpa. - Obudził?

Strażnik nijak nie mógł zrozumieć o co mi chodzi. Wydaje mi się, że chyba zamierzał mnie zastrzelić, dlatego że gdy w jego oczach pojawiło się coś jak zrozumienie, to jednocześnie towarzyszył temu ruch lufy pistoletu. Lufa unosiła się, póki nie dźgnęła mnie w pierś.

Na moje szczęście na korytarzu rozległy się szybkie kroki.

- Co się tu dzieje? - zapytał pan Achmet.

- Hałasuje mi tu - poskarżył się strażnik.

- Wytrzymasz - powiedział Achmet. - A pan, sir, czego potrzebuje?

- Chcę wyjść - powiedziałem.

- Jak się czujesz? - zapytał Achmet.

- Można wytrzymać.

Postanowiłem się nie skarżyć. Achmet miał takie kłujące czarne oczy, że nie było sensu się przed nim użalać. Nawet moje mizerne doświadczenie życiowe podpowiadało mi, że ten człowiek nie potrafi nikogo żałować. W naszej kapcie dla pupili był jeden z takimi oczami. Pogryzł pana, zadusił żabczaka, a potem go pochwycili po nagonce z helikopterów...

- Jestem zadowolony.

- Bałem się, że będziesz się mazał - powiedział pan.

- Nie jestem mazgajem. Po co mnie pan tu przywiózł? Gdzie pani Markiza?

- Nie znam żadnych markiz, baronowych i hrabin!

- Ale Łysy obiecał...

- Jaki Łysy?

- Ten co mnie przywiózł!
- I sprzedał cię mi za sto dwadzieścia marek.
- Mnie? Sprzedał? Po co?
- Widocznie potrzebował pieniędzy.
- Ale czy człowieka można sprzedać?
- Jeśli znajdzie się kupiec...

Achmet nie żartował, mówił serio. Stał w progu celi i spokojnie, cierpliwie wyjaśniał. Zresztą Achmet, nigdy się nie gorączkował - w jego niebezpiecznym fachu nie wolno się podniecać. Ale tego dowiedziałem się znacznie później.

Miał twarz wąską, jakby ściśniętą z boków, tak że nos wystawał zbyt daleko do przodu, a skórę twarzy miał tak opaloną, że była ciemniejsza od zębów i białek oczu. Poza tym miał wąsy - nigdy wcześniej nie widziałem, żeby człowiek miał takie wąsy. Czarne, ze zwisającymi końcami. Przypominał czarnego suma. Ale bardzo ruchliwego, śliskiego i zręcznego.

- Po co mnie pan kupił? - zapytałem.
- Żebyś był taki, jak oni. - Wskazał brodą okno, nie wątpiąc, że już przez nie wcześniej wyglądałem. - Odważny i silny. Idź z nim. - Wskazał strażnika. - Pokaże ci, gdzie są umywalnie i tak dalej. Potem przyjdiesz na podwórze. Jasne?
- Jasne - powiedziałem. - Ale Łysy nie powinien był mnie panu sprzedawać?
- Nie wiem, co powinien, a czego nie. Ja go widziałem dopiero drugi raz w życiu.
- On jest nieuczciwy! Kazano mu zawieźć mnie do Markizy!
- A co to znaczy - uczciwość? - Zdziwił się Achmet, a strażnik roześmiał się, zahuczał niskim głosem. Myślałem, że zaraz zacznie bębnić owłosionymi pięściami po swojej klatce piersiowej.

Achmet objął mnie za ramię i poprowadził do wyjścia z celi.

- Nie zwracaj uwagi na takie życiowe drobiazgi - mówił, a jego złote zęby odbijały światło lamp z korytarza. - Masz szczęście, że znalazłeś się u mnie. Czy wolisz harowę w fabryce słodczy?
- Nie, nie wolę - przyznałem.
- No widzisz, jak się dobrze składa! Ja, na przykład, nie znoszę zapachu sprawianych pełzaczy.
- Zupełnie się z panem zgadzam - powiedziałem. - Nie ma tam czym oddychać. Wcześniej nawet mnie wiedziałem, że sponsorzy jedzą mięso.

- To wszystko jest proste - żaby jedzą sobie podobnych, a nam kitują, że są wegetarianami.

Odruchowo obejrzałem się - czy ktoś nie słyszy. Achmet zauważył ten odruch, uśmiechnął się, przepuścił mnie pierwszego przez drzwi.

Zapadał zmierzch. Zmrok powoli zalewał podwórze podobne do podwórza twierdzy; co prawda ściany jej nie były wysokie, a wrota miały kraty i widać przez nie było łąkę i las, nad którym widniał kawałek seledynowego zmierzchającego nieba.

Ludzie, których umownie nazwałem aktorami, przestali się bić i stali wpatrując się w nas.

- Chłopcy - powiedział Achmet - przedstawiam wam nowego. Chcecie pieścić go, chcecie - bijcie, byle kości nie pogruchotać, słyszycie, gadziny? On - to moja forsa. I żeby mi nie było tak, jak was znam: budzimy się rano, a facia nie ma. A gdzie jest?

Wojownicy zarechotali głośno, zginali się w pół ze śmiechu, a Achmet krzychał - wyraźnie grając jakąś rolę:

- A facia, odpowiadają moi chłopcy, zjadły myszki!

Prostacki rechot żołnierzy spowodował, że poczułem się bardzo niewyraźnie. W końcu, rozumiałem to dobrze, wszystko to, co się tu teraz dzieje, odnosi się do mnie.

Moje najgorsze obawy zaczęły się sprawdzać już po kilku minutach.

Kłown Achmet w milczeniu obserwował, jak wojownicy oddawali broń kwadratowemu garbusowi, w olbrzymich paluchach którego miecze i kopie wydawały się być szpilkami, Garbus oglądał broń i przekazywał dwóm nagim niewolnikom, którzy stali za jego plecami. Żołnierze już zapomnieli o mnie, rozmawiali między sobą, niektórzy poszli pod prysznic, inni najpierw oczyszczali swoją skórę z potu i pyłu specjalnymi skrobaczkami.

- Prupis - powiedział Achmet. - Zajmiesz się nowym?

- A gdzie go dać? - zapytał garbus.

- Połóż na prycę Ormianina - powiedział kłown Achmet. Dopiero teraz, w resztkach słonecznego światła zobaczyłem, że ma pomalowaną twarz - oczy podkreślone tuszem, podczernione brwi, na policzki nałożone rumieńce. czyżby wszystko mu było wolno?

- Nie warto - powiedział kwadratowy Prupis - chłopaki nie będą zadowolone. Jeszcze nie minął tydzień od śmierci Ormianina.

- Wyjaśnij, że nie mamy innej wolnej pryczy.

- A oni go zatłuką.

- Jak da się zatłuc, to znaczy, że do niczego by mi się nie przydał.

Rozumiałem, że mowa idzie o mnie, i jednocześnie nie mogłem tego pojąć. Czy ja zrobiłem coś złego tym ludziom?

Stałem ze spuszczoneymi rękami i oczekiwałem rozwoju wypadków.,

- Pójdiesz się myć? - zapytał Prupis.

- A mogę?

- Jeśli tylko nie jesteś zarażony.

- Skąd! Przecież oglądał mnie lekarz!

- Lekarz? - zdziwił się Prupis. - Gdzieś ty znalazł lekarza?

- W domu - powiedziałem.

- Cuda-wianki - powiedział Prupis. - Co to za dom taki?

- Uciekłem - powiedziałem. - A potem mnie tu przywieziono.

- Aha, słyszałem - zgodził się Prupis.

Kiwając się na pałakowatych nogach, niemal dotykając koniuszkami palców ziemi, skierował się pod prysznic. Poszedłem za nim.

Chciałem wierzyć w dobroć i poczucie sprawiedliwości Prupisa. Człowiek powinien zawsze mieć nadzieję. Ostatnio tak często traciłem nadzieję, że byłem już tym śmiertelnie zmęczony i gotów byłem pójść na skraj świata za dowolnym człowiekiem, który obieca przynajmniej: "Nie będę cię bił!".

Prysznic był podzielony na kabinki bez drzwi - Prupis wskazał mi pierwszą z brzegu. Wodą był gorąca, na drewnianej półeczce przybitej do ściany leżał kawałek mydła - dawno już nie widziałem mydła. Wykąpałem się starannie. Prupis czekał na mnie. Kiedy wyszedłem powiedział:

- Ale długo.

Podał mi czystą ściereczkę, żebym się wytarł.

- Byłem brudny, po tej fabryce słodocy.

Ale Prupis nie wiedział, co to fabryka słodocy.

- Opowiesz mi potem - machnął niedbale ręką.

Poprowadził mnie do parterowego budynku - w jakiś sposób budynek był podobny do piwnicy, w której z Irką spędziliśmy dwa dni, ale tutaj nie było prycz, tylko łóżka. Były zaścielone szarymi kocami, przy każdym łóżku - szafka, a

ściany przy wezgłowiach były pokryte rysunkami. Albo przedstawiały wojowników, albo gołe kobiety - to zależało od gustu moich współmieszkańców.

Wiedziałem, że ucieknę stąd, i to możliwie szybko. Chciałem zobaczyć Irkę, a poza tym niepokoiła mnie ta nowa "piwnica" - panował w niej zapach okrucieństwa. Czułem to wyraźnie: budynek i podwórze były przesiąknięte złością i gwałtem.

Prupis przeprowadził mnie przez długą salę, między łózkami. Niektórzy z wojowników już wrócili do sali - jeden coś cerował, siedząc na łóżku, kilka osób siedziało przy długim stole, stojącym między rzędami łóżek...

Prupis doprowadził mnie do łóżka przy ścianie i powiedział:

- Tu będziesz spał.

Potem popatrzył na mnie, obmacał moje spodnie ze zgrzebniny, i zapytał:

- Nosileś kiedy prawdziwe ubranie?

Żyłasty chudy i smagły człowiek, siedzący na łóżku obok, powiedział:

- Przecież to leśny, dzikus. Po co mu spodnie w lesie?

Roześmiał się ze swojego dowcipu, co poniekąd przy stole zawtórowali mu.

Zza stołu podniósł się ciężki wąsaty mężczyzna z czołem zeszpeconym wypukłą szramą i powiedział:

- Master, nie chcemy, żeby on spał na pryczy Ormianina.

- Pan Achmet kazał - powiedział Prupis, w widoczny sposób skonfundowany słowami wąsacza. - Mówiłem mu - nie minął tydzień, a on kazał położyć go tu.

- Pięć dni - powiedział żyłasty smagły sąsiad. Zobaczyłem teraz, że ma skośne czarne oczy.

- Ja tam nie mam nic do gadania - powiedział Prupis. - A wy sobie róbcie, co chcecie.

Potem odwrócił się do mnie:

- Przypomnij mi jutro, dam ci prawdziwe spodnie. str.103 książki

Odszedł, a ja popatrzyłem na pozostałych mieszkańców pokoju. Po prysznicu wszyscy przebrali się - i, co dziwne, okazało się, że mają nie tylko spodnie, niektórzy szerokie, luźne, a inni wąskie, skórzane, ale jeszcze i koszule albo kurtki, - tu nikt nie zwracał uwagi na zakazy sponsorów. Oczywiście trzeba będzie spytać o to sąsiadów, ale rozumiałem, że teraz im mniej zwracam na siebie ich uwagę, tym lepiej.

Podszedłem do pryczy, była teraz moja. “Jaki Ormianin? - myślałem - Dokąd wyjechał? Może umarł?”

Na pryczy leżał szary koc, w głowach - poduszka nabita sianem. Spodobało mi się - nigdy w życiu nie miałem własnej pryczy. Usiadłem, żeby wypróbować czy miękka.

- A ty, coś się tak rozsiadł? - rozległ się głos.

Podniosłem głowę : wąsacz ze szramą wisiał nade mną.

- A no, spadaj z łóżka!

Podniosłem się.

- Przepraszam - powiedziałem, - ale pan Prupis powiedział, że tu będę spać.

- Ach , pan Prupis mu powiedział ! - z ironią w głosie powtórzył wąsacz. Szrama na jego czole poczerwieniała. Jednym szybkim ruchem uderzył mnie pięścią w szczękę, a ja, zaskoczony napaścią, upadłem na pryczę.

Nikt nie powstrzymał wąsacza, wszyscy zaczęli się śmiać, jakby oglądali zabawne widowisko.

- Za co? - krzyknąłem.

- A za to! - wąsacz wziął rozmach i kopnął mnie w nogę czubkiem buciora.

Zawyłem z bólu.

- No, na podłogę! - ryknął wąsacz, doprowadzony już do takiego stanu, że mógł mnie zabić.

Spelzłem z łóżka na podłogę, starałem się wczołgać pod nie, ale czarny but dosięgał mnie, zapędzał głębiej. W pył, w ciemność, - bolało, było strasznie. Ale nie byłem niczemu winien! Kiedy wymierza się pupilowi karę, zawsze wiadomo za co! Albo zbiłeś filizankę, albo ukradłeś jedzenie. Ale tutaj! Za co?

- Zostaw go, Dobrynia - powiedział mój smagły sąsiad, który siedział na sąsiednim łóżku i nie brał udziału w biciu. - On przecież nie wiedział, że Ormianin był twoim druhem. To dziki.

- Dobra - powiedział wąsacz - nie będę na niego tracił czasu. - Ale ty, mózgowiec, uważaj! Spróbujesz położyć się na pryczy Ormianina - zabiję!

- To co mam robić! - spytałem, wyłaząc spod łóżka zakurzony, pokryty pajęczynami. Wyglądałem rzeczywiście żałośnie. Rycerze, którzy wstali od stołu i podeszli bliżej, żeby nacieszyć się bójką, śmiali się ze mnie. A ja byłem bliski płaczu!

- Będiesz spać na podłodze - uśmiechnął się krzywo wąsacz Dobrynia.

Podniosłem się i dopiero wtedy zobaczyłem, że jesteśmy tego samego wzrostu.

Ale on był przerażający, a ja - ja w nikim nie budziłem strachu.

- A teraz - powiedział Dobrynia, uśmiezek nie schodził z jego chamskiego pyska - pocałujesz mnie w rękę. Masz!

Wyciągnął do mnie nadgarstek, i żeby rozśmieszyć wszystkich wygiął go do góry jak kobieta. Ręka podpełzła do mojej twarzy; paznokcie były połamane, pod nimi czarny brud.

- No!

I wtedy ugryzłem go w dolną część dłoni. Zrobiłem to odruchowo. Sam się wystraszyłem - wiedziałem, że teraz nie będzie dla mnie zmiłowania.

Rozległ się rozpaczliwy lament Dobryni.

- Przegryzł mi rękę! Jadowity jest, tak? Ach ty, draniu!

Rzucił się na mnie jak huragan, teraz już wiedziałem, że nikt mnie nie uratuje - ukryć się przed nim pod pryczą nie zdołam. I zacząłem oddawać.

Z początku oddawałem bezmyślnie, na oślep, starając się tylko uniknąć ciosów, ale ból i poczucie krzywdy zmusiły mnie do odskoku i stopniowo zacząłem kojarzyć co do czego. Co więcej, udało mi się uniknąć prostego sierpowego i uniknąwszy, strzelić go w podbródek tak, że zawył i na moment przestał mnie bić, bo złapał się za szczękę.

A ja zupełnie się rozbestwiłem - przeszedłem do ataku. Oczywiście, nie miałem takiego doświadczenia, a wszystkie moje dotychczasowe bójki były bójkami z innymi pupilami, i zazwyczaj rozdzielali nas właściciele, ale mimo wszystko pełnym nowicjuszem w bójkach nie byłem. A oprócz tego, byłem sporo młodszy i bardziej zwinny niż Dobrynia.

Bąłem się, że pozostali rycerze rzucą się na mnie i zaduszą, ale oni otoczyli nas szerokim kręgiem i obserwowali naszą bójkę, jak walkę dwóch kogutów, z krzykami, dopingującymi odgłosami. Wkrótce okazało się, że mam swoich zwolenników, czego dowiadywałem się z okrzyków, następujących po każdym moim udanym ciosie.

Doszedłem do siebie i przekonałem się, że nadążam z odskokiem lub unikiem, do czego Dobrynia okazał się zupełnie niezdolny. Kilka razy w ten sposób udało mi się odczuwalnie go trafić, podczas gdy jego młoty nie trafiały celu.

Miał rozbity nos, z wargi sączyła się krew. Trafiłem go w oko i, nie bez złośliwości, pomyślałem, że mu spuchnie.

Dobrynia coraz bardziej tracił rozeznanie. Przywykł, widać, do słabych przeciwników, albo uznał mnie za niegodnego uwagi i dlatego nie zmobilizował swoich sił na czas. A teraz nacierałem na niego cały czas i wiedziałem, że za chwilę będę go miał u swoich stóp.

Zgiełk tłumu widzów, zdziwionych i, jak mi się wydawało zagrażających, mówił mi, że muszę się spieszyć, zanim ktoś rzuci mi się z pomocą.

Ale nagle zdarzenia przybrały nieoczekiwany dla mnie obrót; Dobrynia odskoczył ode mnie i pobiegł wzdłuż szeregu prycz. Stałem, niczego nie rozumiejąc, starając się złapać oddech i wycierałem zalewającą mi oko krew z rozciętej brwi.

- Ej! - ktoś krzyknął.

I zobaczyłem, że Dobrynia sunie ku mnie, trzymając nad głową niewielki bojowy toporek. Twarz miał zalaną krwią i podejrzewam, że zaślepiony nie wiedział dokąd biegnie.

Od śmierci dzieliły mnie sekundy, błyskawicznie przeskoczyłem łóżko, a widzowie rozstąpili się, przepuszczając mnie.

Dobrynia przeskoczyć przez łóżko nie zdołał, zaczepił butem, upadł w poprzek i zachrypiał, przebierając nogami, jakby biegł dalej.

W tym właśnie momencie do sypialni wszedł Achmed w towarzystwie kwadratowego Prupisa.

Od razu zauważyli bałagan i Achmed, potrafiący sprawiać wrażenie, że nic specjalnego nie zaszło, nawet gdyby miało miejsce trzęsienie ziemi, spytał półgłosem:

- Co to za bardak?

Zaległa cisza.

- On...podstępnie...na mnie napadł... - wydusił Dobrynia, próbując się podnieść, ale nogi nie mogły go utrzymać. Toporek wypadł mu z ręki i głośno stuknął o podłogę.

- A ty co powiesz? - Pytanie nie było skierowane do mnie - ze mną nikt nie miał zamiaru rozmawiać. Pytanie było do mojego smagłego sąsiada.

- Dobrynia go szkolił - powiedział smagły.

- Ja tego skurczybyka... ja go... on tu nie pożyje... - chrypiał Dobrynia.

- Szkolił toporem? - spytał Achmed.

Smagły uśmiechnął się, doceniwszy żart gospodarza.

- On by i czołgiem szkolił... najpierw żółtodzioba wymęczył, - powiedział, - a potem kazał się po rękach całować.

- A żółtodziób rączek nie całuje? - z zainteresowaniem spytał Achmed.

- Nie lubi jakoś.

Ktoś się roześmiał.

Byłem tak zmęczony, jakbym cały dzień podnosił ciężary - jeszcze chwila i padnę.

- A ty siadaj na prycze - powiedział Prupis. - Niczego nie wyстоisz.

Usiadłem z wdzięcznością. Smagły rzucił mi szmatę. Chwyciłem ją - była wilgotna.

- Wytrzymaj się - powiedział.

Ktoś pomógł się podnieść Dobryni i ten, mamrocząc pod nosem groźby, odszedł w drugi koniec pomieszczenia, gdzie nad jego łóżkiem wisiało kilka plakatów z nagimi kobietami w wyzywających pozach.

Wytarłem twarz.

- Nie działał podstępnie? - spytał Prupis smagłego.

- Nie, tylko ugryzł Dobrynię w rękę.

- Dobra, ujdzie.

Pan Achmed wyszedł na środek pokoju, podszedł do stołu, oparł się opuszkami palców o jego brzeg i powiedział znacząco:

- Do tej pory milczałem - myślałem, niech się nowy sam pokaże. Jeśli ktoś go załucze - to będzie sobie sam winien.

- Słusznie - krzyknął ktoś. Wesoło, pokpiwając.

- Ja Dobryni na niego nie napuszczałem. I nikt inny też nie napuszczał.

- To przez to łóżko - powiedział smagły. - Spał na nim Ormianin. Jego kumpel.

- Wiem o tym lepiej od ciebie - powiedział Achmed. - Ale ja Dobryni nie napuszczałem. Nikt nie napuszczał. Sam polazł. Myślę, że nowy pasuje do nas, co?

Odgłosy były bardziej popierające, niż niechętne.

- Tak więc przedstawiam, Tymoteusz... A twoje nazwisko?

- Właścicielami byli Jajbłuszko - powiedziałem.

- Dureń - powiedział Achmed. - Właśnie wszystkim powiedziałaś, że byłeś pupilkiem u żab, teraz wszyscy będą się z ciebie śmiać, życia mieć nie będziesz.

Ale ja też już byłem inny niż godzinę temu.

- Niech no tylko spróbują - powiedziałem.

- Nie zaperzaj się. Nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, ile jest sposobów na to, żeby człowieka rozumu nauczyć.

Pan Achmed podrapał się po potylicy.

- To jakie nazwisko mu nadamy? - spytał.

- Czapajew - krzyknął ktoś z tyłu. - Zabili nam Czapajewa.

- Nie. Na Czapajewa trzeba sobie zasłużyć, to wielki bohater...

- Niech będzie Lancelot - powiedział smagły. - Lancelota zabili nam już dawno.

- Dobra, - powiedział Achmed. - Tak i zapiszemy. Tymoteusz Lancelot. Wspaniały rycerz, obrońca słabszych, człowiek odważny. Takie nazwisko to odpowiedzialność. Udźwigniesz?

- Dam radę - powiedziałem, choć nigdy wcześniej nie słyszałem o Lancelocie. I nie marzyłem nawet, że kiedyś będę miał nazwisko. Mówiła mi kiedyś Jajbłoczko, że niektórzy, najbardziej szacowni, ludzie mają nazwiska, ale, prawdę mówiąc, nawet nie bardzo wiedziałem co to jest nazwisko. A teraz mam własne. I jakie ładne.

Powtarzałem sobie: Lancelot, Lancelot, Lancelot.... jakbym obracał w ustach cukierek. Tymoteusz Lancelot.

- I na afiszu też będzie niezłe wyglądało. - Tymoteusz Lancelot.

Pierwszej nocy spałem fatalnie. Bałem się, że Dobrania, zabandażowany i oklejony plastrami, wstanie i zarżnie mnie.

Kiedy któryś z moich sąsiadów - a było ich w pokoju ponad dwudziestu - budził się i wychodził za potrzebą, zaczynałem wpatrywać się w ciemność, oczyma wyobraźni widząc zbliżającego się zabójcę. W ręce ścisnąłem zabrane, przed snem, z podwórza duży metalowy hak. Ale kroki oddalały się, skrzypiały drzwi - udało się! Dopiero o świcie dotarło do mnie, że Dobrynia postanowił mnie nie zabijać.

Pozostali nic do mnie nie mieli.

Rano obudził nas gong. Wszystko wyglądało podobnie jak w fabryce słodczy, tylko zupełnie inna była zręczność i energia w ruchach, rozmowach, przy myciu, przy śniadaniu - tu, w odróżnieniu od fabryki, zebrani byli młodzi, silni ludzie, którym chciało się ruszać.

Przeciągając się na pryczy, która okazała się o wiele bardziej miękka, niż można było oczekiwać, nagle zdałem sobie sprawę, że nadal nie wiem, czym zajmują się ci młodzi rycerze, jednym z których, oczywiście, powinienem się stać. I nie wiadomo było, czy lepiej uciec, czy pokornie oczekiwać na to co przyniesie los.

- Obudziłeś się? - spytał smagły, czarniawy sąsiad, który był po mojej stronie w czasie bójk z Dobrynią. - Jak się spało?

- Świetnie - powiedziałem.

Sąsiad zgrabnie wyskoczył z łóżka i zaczął robić pompki.

- Byłeś pupilkiem, tak? - spytał.

Na wszelki wypadek nie odpowiedziałem. Kątem oka obserwowałem jak podnosi się, cały w plastrach, Dobrynia. Unikał mojego wzroku.

- Nie chcesz to nie mów - to zupełnie wszystko jedno pod jaką legendą się umiera, prawda, Lancelot?

- Na imię mam Tymoteusz - powiedziałem. - Tym.

- Dziwne imię. Nigdy nie słyszałem.

- Tak nazwała mnie maszyna w inkubatorze. Jej wszystko jedno. A pani Jajbłoczko powiedziała, że tak nazywano chrześcijańskie dzieci.

- Chrześcijańskie dzieci? - nie wiedział co to znaczy. Ja też nie wiedziałem.

- Znaczy się, z inkubatora - powiedział sąsiad. - Znaczy się, pupilek. A może ----
-----? No, przyznaj się.

Zobaczyłem, że na krawędzi mojego łóżka wiszą nowe spodnie i kurtka. Wiedziałem, że wśród ubranych lepiej też być ubranym, dlatego włożyłem je na siebie. Ubranie było ciasne.

Czarniawy patrzył na mnie z uśmiechem.

A ja nazywam się Batu-chan. Był taki zdobywca. Pół świata podbił i całą Rosję.

Rosję podbili sponsorzy - powiedziałem.

- Nazywaj mnie Batu-chan - powiedział mój sąsiad. - A w ogóle to jestem Wowa. Wowa Batu-chan, dobra?

- Dlaczego macie jakieś takie dziwaczne imiona?

- Dlatego, że jesteśmy rycerzami, a rycerze muszą mieć rycerskie imiona.

To znaczy, że jesteśmy rycerzami? Ale co to oznacza?

Wowa Batu-chan zaprowadził mnie do łazienki - nie było tu kolejki.

W jadalni był nakryty białym obrusem stół, na którym stały naczynia z kaszą i mięsem. Niektórzy witali się ze mną, ale nikt nie stroił sobie ze mnie żartów. Usiadłem obok Batu-chana. Dobrynia z daleka pokazał mi swój potężny kułak, a mnie zdziwiło jakim cudem udało mi się go wczoraj pokonać. Potem dotarło do mnie, że on nie oczekiwał oporu od takiego szczeniaka, jak ja.

Dopiero co zaczęliśmy jeść, kiedy wszedł pan Achmed, za nim kwadratowy Prupis z pejczem w ręce. Obaj byli w obcisłych skórzanych strojach. Usiedli na szczycie stołu. Jedli tę samą strawę co my.

Po śniadaniu pan Achmed odszedł, a my poszliśmy za Prupisem na podwórze. Słońce stało niewysoko, podwórze krył błękitny cień, było chłodno.

Niewolnicy przynieśli broń - sterty mieczy i kopii. Każdy z nas podchodził po kolei do stosu broni i Prupis wydawał każdemu - miecz lub kopię. I ja też dostałem, jakbym tu był od zawsze. Miecz był bardzo ciężki, cięższy niż kopia.

Usiedliśmy na długiej ławce, ja w pobliżu smagłego Batu-chana - już go sobie wybrałem na przyjaciela. Nie wiadomo tylko, czy on zgodzi się być moim przyjacielem?

Ale Batu-chan nie zaprotestował, gdy usiadłem obok. Kamieniem ostrzył swój miecz.

- Co my tu robimy! - spytałem.
- Nic, odpoczywamy - powiedział Batu-chan.
- A co będziemy musieli robić?
- Dziś?
- Dziś i później.
- Dziś będziemy trenować. A potem - walczyć.

Rozmawiał ze mną cicho, spokojnie, ale wciąż zerkał na rozjaśniony słońcem środek podwórza, gdzie stał Achmed z Prupisem.

- Chłopcy - krzyknął Prupis. - Dawajcie, bliżej do mnie.

Rycerze bez pośpiechu okrążali Prupisa. Nie było tu strachu, do którego przywykłem. Przecież człowiek zawsze powinien się bać - tresera, sponsora, silnego. A tu - nie. I to budziło we mnie szczególnie wewnętrzny niepokój, większy niż zazwyczaj. Jeśli tam, gdzie panuje zwykły strach, boisz się bólu, to tu - czujesz śmierć! Z pewnością tak właśnie czują się, pomyślałem, gąsienice-pelzacze, gdy przywożą je do fabryki słodczy. One, nierozumne, nie wiedzą co z nimi zrobią, a mimo to drżą każdym włoskiem.

- Dziś - powiedział Prupis, widząc, że wszyscy go słuchają, - dziś ćwiczymy walki indywidualne. Nowicjusom i juniorom niezbędny jest trening. Weterani - wedle życzenia.

Dobrynia roześmiał się. Przerazenie mnie ogarniało, gdy patrzyłem na jego poklejoną twarz. Tacy jak on nie przebaczą krzywd.

- Przepustki będą? - spytał.

- Dla ciebie nie - powiedział Prupis. - Posiedź w koszarach.

- Za co taka niełaska, panie?

- A za to, że źle uczyłeś nowicjusza.

Tu wszyscy popatrzyli na mnie.

- Prawdę mówiąc, ten drań zaskoczył mnie - Dobrynia uśmiechnął się krzywo. - Ale obiecuję wam panie, że rozetrę go razem z błotem po podłodze. A kiedy - to tajemnica, chcę, żeby czekał. Czekanie na chłostę jest gorsze niż sama chłosta.

Ta sentencja rozbawiła rycerzy.

- A ja myślę - powiedział Batu-chan, - że po prostu boisz się, że przybędzie ci kilka nowych plastrów.

Dobrynia obrócił się do mnie i puścił oko:

- Ja - choćby zaraz!

Spiąłem się wewnątrz, ale wiedziałem, że jeśli okażę lęk, to nigdy już nie będę miał spokoju. Niech mnie bije, niech boli, ale najważniejsze - to nie bać się. Dziwne, że tak wtedy pomyślałem - przecież przyzwyczajony byłem do ciągłego ulegania właścicielom.

- A ja jestem zadowolony - powiedział, milczący do tej pory, kwadratowy Prupis. - Ten żółtodziób mi się spodobał. Jeśliby pozwolił sobie nałożyć - wypędziłbym go, albo zrobił z niego niewolnika. Ale ten chłopak ma charakter. To znaczy, że pan Achmed nie na darmo za niego zapłacił. Teraz ty, Dobrynia i Tym jesteście towarzyszami broni. Będziecie obok siebie walczyć. Rusz trochę szarymi komórkami i pojmiij - lepiej żyć normalnie, niż urządzić kłótnie. Wielu już założyło za skórę - chcesz się przypadkiem nadziać plecami na kopię?

Dobrynia uśmiechał się cały czas, a uśmiech miał wredny. Nic nie odpowiedział, choć wargi jego prawie niezauważalnie poruszały się, jak u człowieka, który klnie pod nosem.

- No to wspaniale - powiedział Prupis. - Zaczynamy!

Weterani - a było ich wśród nas siedmiu, czy ośmiu - powoli odeszli, a pozostali, w tym również ja, wzięli ciężkie miecze i ustawili się w dwuszeregu, twarzami do siebie.

Nie zadawałem pytań. Już zrozumiałem - im mniej pytasz, tym dłużej pożyjesz.

Rękojeść miecza była wygodna, widać ktoś nie raz trzymał ją w rękach, - nawet owinięta była taśmą izolacyjną, żeby pewniej leżała w dłoni.

Na przeciw mnie stał krępy długowłosy brunet. Nogi rozstawił szeroko, a miecz skierował szpicem ku ziemi. Był o wiele niższy ode mnie i nie musiał się przy tym schylać.

Prupis podszedł do mnie i stanął obok.

- Jurgen - powiedział do bruneta, - uważaj, nie skalecz nowego.

- Niech się broni - powiedział ten, bez cienia uśmiechu.

- Przypomnij sobie, jaki ty byłeś pierwszego dnia.

- Dobra, żartuję - powiedział Jurgen.

- Kiedyś już miecz w rękach miałeś? - spytał Prupis.

Oczy miał żółte, kocie, z pewnością były straszne, jeśli miałeś w tym człowieku wroga.

- Tylko drewniany - powiedziałem, uśmiechając się niezręcznie, jakbym był winien, że w dobie komputerów i statków kosmicznych nie trzymałem w rękach miecza. - Kiedy byłem w stadninie.

- Nauczysz się - powiedział Prupis. - Na razie powtarzaj ruchy Jurgena.

- Widziałem na filmie - przypomniałem sobie.

- W pierwszej kolejności zapomnij o wszystkim co widziałeś w kinie - powiedział Prupis.

Przeszedł między dwuszeregiem, stanął na końcu i podniósł potężną rękę bez dwóch palców, podobną do chwytaka przemysłowego robota.

Jurgen uniósł miecz. Ja też uniosłem miecz.

Jurgen machnął mieczem, próbując mnie uderzyć, ja oddałem cios - ostrze mojego miecza z nieprzyjemnym zgrzytem uderzyło o miecz Jurgena.

- Coś ty? - spytał Jurgen. - Miecz chcesz rozwalić?

- Bronilem się - powiedziałem.

- Hej, Lancelot - krzyknął Prupis. - Przestań się bić. Patrz, jak robią to inni! Jurgen, poczekaj!

Dopiero teraz dotarło do mnie, że moi sąsiedzi nie walczyli na miecze, a wykonywali nimi jakieś wystudiowane, okrągłe, prawie taneczne ruchy, zaledwie

muskając się mieczami; ciągle zamieniali się rolami: najpierw atakował jeden, a drugi bronił się, potem drugi...

Przyglądałem się ich ruchom kilka minut, potem posłuchałem jak Prupis instruuje uczniów, którzy byli niewystarczająco staranni i precyzyjni w ruchach i zawałem do Prupisa:

- Mogę też spróbować?
- No, dawaj, tylko się nie spiesz.

Rozumiałem już o co chodzi w tym wszystkim. Najważniejsze - nauczyć się zatrzymywania ręki milimetr przed celem, a to jest trudniejsze niż ciąć przeciwnika.

Udało mi się trochę opanować te ruchy, ale po chwili poczułem, że moja nienawykła do wysiłku ręka omdlała i za sekundę upuszczę miecz. Opuściłem dłoń z bronią i Jurgen, zaskoczony tym, omal nie rozciął mi piersi.

- Co z tobą? - spytał.
- Zmęczyłem się.

Prupis usłyszał moją odpowiedź i to go rozjuszyło.

Nie zważając na miecze, rzucił się przez stojących w szyku uczniów, podniósł rękę z biczem.

- Kto pozwolił ci przerwać? - wrzeszczał. - Ja ci pokażę co to znaczy przerywać bez rozkazu!

Cofnąłem się ze strachu i kiedy on, dopadłszy mnie, chciał smagnąć biczem, odruchowo odparłem cios mieczem. Ostrze niechcący zahaczyło bicz, odcinając jego koniec, który, jak przecięta żmija, upadł w pył.

Wszyscy zamarli zaskoczeni i czekali co on ze mną zrobi.

Prupis milczał długo - może z minutę. I wszyscy milczeli.

Potem powiedział:

- Dureń! Za taki bicz ze trzech takich jak ty można dostać.
- Wybacz panie - powiedziałem - Nie lubię, kiedy mnie biją.
- Dureń do kwadratu - powiedział Prupis, - w życiu żadnego człowieka nie uderzyłem biczem. Zamachnąć się - mogę, skłąć - też. Ale człowieka, prawdziwego, nigdy...
- Przecież nie mogłem wiedzieć - powiedziałem.

Wszystko powtarzało się jak w zaczarowanym śnie: przecież dopiero wczoraj zniszczyłem bicz Henrykowi, który był ważniejszy ode mnie. I teraz - znowu to samo przewinienie!

Prupis schylił się, podniósł odcięty koniec bicia i zaczął przykładać go do pozostałej części, jakby miał nadzieję, że się zrosną. Był zupełnie roztrzęsiony.

- Naprawię go - powiedziałem.

Prupis popatrzył na mnie, jakby w mojej intonacji było coś, co go zdziwiło i zainteresowało. Był niższy ode mnie o głowę, dłoń lewej, pozbawionej palców ręki była rozplątana tak, że powstały szczypce.

- I jak ty masz zamiar to zrobić? - spytał.

- Jeśli dostanę skórę, natnę pasków - powiedziałem, - wcześniej umiałem pleść ze skóry.

Nie kłamałem. I choć pupilkom było surowo zabronione wytwarzanie czegokolwiek, by w ten sposób nie upodabniały się do sponsorów, to pani Jajbłoczko sama mnie nauczyła - ona ubóstwiała pleść. W domu mieliśmy dużo plecionych rzeczy, lubiła ona szczególnie utylizować w ten sposób przedmioty już nie potrzebne - buty pana Jajbłoczko, własną torbę, stare czapki (teraz już wiedziałem, że zostały uszyte ze skór gąsienic).

- Dobra, zorientujemy się - powiedział Prupis. - No, wszyscy na miejsca! Do roboty, chłopcy, do roboty.

Rozeszliśmy się parami, i najpierw fechtowałem z Jurgenem, starając się nie zahaczyć o jego miecz, a potem nas przestawiono i moim przeciwnikiem został Wowa Batu-chan. Batu-chan, w odróżnieniu od Jurgena, podpowiadał mi niektóre chwytów i nie kpił z mojej niezręczności i braku umiejętności. Jurgen wprawdzie też nie kpił, ale milczał z takim jakimś niemym potępieniem.

Kilka razy ze zmęczenia opuszczałem miecz, ale zauważyłem, że inni też byli zmęczeni. Po około dwóch godzinach Prupis kazał wszystkim rozejść się i odpoczywać. Usiedliśmy w cieniu ściany, bo zaczęło przegrzewać. I tu po raz pierwszy zobaczyłem, jak ludzie otwarcie palą. Opowiadano mi o tym w pokoju wypoczynkowym dla pupilków, a Wik nawet twierdził, że sam próbował, ale co innego słyszeć, a co innego zobaczyć, jak człowiekowi z ust wali śmierzący dym, a on zupełnie spokojnie kontynuuje rozmowę i nie umiera, i nikt nie krzyczy ze strachu i oburzenia, że człowiek ten naruszył najstraszniejszy zakaz ekologiczny.

- Coś tak wybałuszył oczy? - spytał Batu-chan, który siedział obok mnie, wyciągnąwszy nogi. - Sam nigdy nie paliłeś?

- Nie - powiedziałem i, widząc, na mojej twarzy było tyle obrzydzenia, że Batu-chan chrząknął i powiedział:

- No i słusznie - tylko swoje zdrowie niszczyć.

Tak jakby chodziło tylko o zdrowie! Naruszano główną zasadę : największe przestępstwo - to przestępstwo wobec przyrody. Jest ono straszniejsze nawet niż przestępstwo wobec sponsora. Palenie zaliczane jest do strasznych przestępstw. A Batu-chan sprawiał wrażenie, jakby o tym nie wiedział.

Było mi ciężko. We mnie kumulowały się wiadomości, obserwacje i zdarzenia, które były nie do pomyślenia w moim starym życiu. A wszystko to zdarzyło się w ciągu zaledwie trzech dni. To tak, jakbym przeżył całe swoje życie nigdy nie widząc wody, a nagle, nieoczekiwanie, musiałbym zanurkować i pozostać w głębinach na zawsze.

Dowiedziałem się, że niektórzy ludzie chodzą w ubraniu, i więcej - sam też zacząłem je nosić. Widziałem ludzi umiejących czytać i pisać, widziałem ludzi uzbrojonych, widziałem jak ludzie pracują w fabrykach, palą papierosy a nawet okłamują sponsorów... Świat zaczął wirować z taką prędkością, jakby wszystko co było wcześniej, było jedynie snem. A może zaraz obudzę się na swojej podściółce.

- Ja sam też nie palę - powiedział Batu-chan. - Muszę być w formie.

- Po co? - spytałem.

- Zeby pożyć dłużej - powiedział Batu-chan. - Może, zostanę mistrzem, jak Prupis, a może nawet gospodarzem, jak pan Achmed, - chcę żyć, taki mam kaprys.

Ja też chciałem żyć i dlatego wykorzystałem okazję, by popytać leżącego obok mnie Baru-chana.

- Po co tu trenujemy? - spytałem.

Batu-chan leniwie zerknął na mnie czarnym okiem i odpowiedział pytaniem:

- A jak myślisz?

- Nie wiem, powiedziałeś - rycerze, ale nie powiedziałeś, co oni robią.

- Rzeczywiście tak myślisz?

- A co ty byś pomyślał na moim miejscu?

- Skąd ty się taki wziąłeś! - w uniesieniu wykrzyknął Batu-chan.

Siedzący niedaleko Jurgen, obrócił się w naszym kierunku i uśmiechnął się. Napotkawszy moje spojrzenie, odwrócił się i zaczął, powoli, nie spiesząc się zmieniać taśmę izolacyjną na rękojeści miecza.

- Stąd, skąd wszyscy - powiedziałem - ze stajni.

- Nie rozumiesz mnie, Tym - powiedział Batu-chan. - Nie chcę cię obrazić. Chcę cię zrozumieć. Jesteś dobry chłopak, i Dobryni się nie wystraszyłeś. Ale jesteś

jakiś taki dziwny. Niektórzy chłopcy podejrzewają nawet, że może nie jesteś człowiekiem?

- A niby kim?

- Zaby tyle różnych eksperymentów robiły na ludziach - to dokładnie wiadomo. Mówią nawet, że wyhodowali specjalny rodzaj ludzi, posłusznych, czystych, bez żadnych usterek.

- Ale po co? - spytałem. - Co, nas im mało?

- A nas, zacofanych, wtedy zlikwidują. Byli - i nie ma.

- Ale po co, po co? - naciskałem, jakbym rzeczywiście był sztucznym człowiekiem i starałem się zrozumieć po co jestem potrzebny.

- Zeby nie musieli się już niepokoić, żebyśmy im nie przeszkadzali, żeby , w końcu, mogli odetchnąć spokojnie.!

Nie rozumiałem, czy żal mu sponsorów, czy z nich szydzi.

- Ale przecież widziałeś, krew mi leciała, kiedy walczyłem z Dobrynią.

- I, wiedz, że właśnie to cię uratowało - bo inaczej byśmy cię z pewnością nocą rozkręcili, żeby zobaczyć jak cykasz.

Nie od razu mu odpowiedziałem - to o czym mówił było dla mnie niepojęte, ale ta niepojętość była przerażająca i wielowarstwowa, jak cebula: zdejmujesz jedną warstwę, a pod nią następna, podobna, ale kolejna.

- Wybacz - powiedziałem, uznawszy, że lepiej wyjść na głupka, niż ryzykować życie. - Ale nie wszystko rozumiem. Przecież sponsorzy przylecieli do nas, żeby zaprowadzić porządek. Wcześniej żyliśmy odrażająco: niszczyliśmy nasze środowisko, nie było czystej wody, ani powietrza, ludzie walczyli ze sobą, głodowali, chorowali na aids i cholere. Byliśmy skazani na zagładę, ale wtedy, na nasze szczęście, przylecieli do nas sponsorzy, którzy nas uratowali.

- Przed czym? - spytał Batu-chan.

- Przed zagładą.

- Już to słyszałem - powiedział Batu-chan. - Wiesz gdzie? W kolonii, do której trafiłem jako szczeniak. Tam mieliśmy takiego Przewodnika, on nas uczył o sponsorach. Tylko nikt mu nie wierzył - wszyscy zdążyliśmy już pożyć i znaleźliśmy cenę tych żab.

- W kolonii? A co to takiego?

- To więzienie, trzymają cię tam dopóki nie podrośniesz, a potem rozdzielają - kogo do fabryki, kogo do rakarni, a mnie jak raz - do kopalni.

- Zawsze myślałem, że to o rakarni - to dowcip? To dowcip?

Batu-chan roześmiał się, ukazując nierówne zęby.

- Trafisz tam - zobaczysz jaki to dowcip.

- Opowiadaj dalej - poprosiłem. - O kolonii.

- O kolonii zapomniałem - powiedział Batu-chan. - O kolonii nie ma co opowiadać

- Opowiedz o panach sponsorach. Przecież to prawda, że to nasi bracia w rozumie?

- Tego też się nauczyłeś?

- Nie, ty mi powiedz! Muszę to koniecznie wiedzieć!

- To tylko pusty frazes! Bracia klasowi, bracia duchowi, bracia w rozumie. Myślę, że u siebie im ciasno, to i przyleźli do nas.

- Powiedz, po co tu przylecieli?

- Jak na sztucznego człowieka, jesteś zbyt namolny - powiedział Batu-chan i podniósł się.

Na plac wyszedł Prupis i powiedział:

- Na pozycje! Teraz będziemy ćwiczyć wypad z pchnięciem w wątrobę. Postawa! Lancelot, czego się spóźniasz? Nie lubię tego.

Wieczorem Prupis przyszedł do nas do pokoju, usiadł na skraju łóżka, na którym leżałem zmordowany treningiem tak, że mogłem ruszać tylko językiem, a i to z trudem.

Podał mi kilka, różnego kształtu, kawałków skóry.

- Takie będą dobre? - spytał.

Zrozumiałem co to znaczy i zacząłem oglądać kawałki. Dwa z nich oddałem mu z powrotem, a o pozostałych powiedziałem:

- Mogą być. Będzie mi potrzebny jeszcze ostry nóż.

- Sam zaostrzysz - powiedział Prupis i dodał, zwracając się do leżącego na sąsiedniej pryczy Batu-chana: - Pokażesz mu, skąd wziąć nóż.

Głośno tupiąc i rozmawiając, do pokoju weszło pięciu weteranów, którzy dokądś chodzili, w czasie gdy my trenowaliśmy.

- Nie tak głośno - powiedział Prupis. - I śpiewy nie potrzebne.

Weterani pokornie zamilkli i zaczęli głośno szeptać między sobą. Jeden z nich upadł, pozostali psykali jeden na drugiego.

- Spili się jak bydło - powiedział Prupis. - Ale ja ich nie winię - takie już to nasze parszywe życie. Nigdy nie wiesz ile ci jeszcze zostało.

Batu-chan zamknął oczy i udawał, że śpi. Ale czułem, że nie śpi, był ciekaw, o czym będziemy rozmawiać. Wiedziałem, że będziemy rozmawiać, inaczej Prupis nie przysiadłby na łóżku - dałby mi skórę i na tym koniec.

- Łysy mi napomknął - powiedział Prupis półgłosem, - że jesteś pupilkiem.

Na dźwięk tego słowa Batu-chan otworzył oczy.

- Co w tym takiego strasznego? - spytałem. - To mi zarzucają, że jestem sztuczny i grożą rozebraniem na śrubki, To pan mówi, że jestem pupilkiem. Nic z tego nie rozumiem.

- Zadałem ci proste pytanie i oczekuję na nie prostej odpowiedzi. Jesteś pupilkiem?

- Tak - odpowiedziałem, nie bez wahania. A co w tym złego? Czy to moja wina?

- Nikt nie jest winien temu, co z nim robią żaby - powiedział cicho Prupis. - Ale mimo wszystko lepiej, żeby ludzie nie wiedzieli, że jesteś pupilkiem. Pupilków mało kto widział, o pupilkach myślą, że wszyscy oni - to żabie psy. Ze nie można im wierzyć, oni są ... no, jak zwierzęta. Nie ludzie, a zwierzęta, tylko domowe. Żaby wytruły psy, a zamiast nich trzymają pupilki.

- To wszystko kłamstwa! - powiedziałem głośniej, niż powinienem, - ktoś jeszcze obrócił się w naszym kierunku. Pupilki też bywają różne.

- A kto to wie? - powiedział Prupis. - Wszyscy żyjemy, każdy w swoim kącie i nie wiemy. Teraz patrzę na ciebie i widzę, że jesteś - jak człowiek? Dlaczego uciekłeś?

- Znudziło mi się - skłamałem. - Znudziło mi się być pupilkiem-ulubieńcem. Chcę, żeby mnie nie lubiono.

- Zartujesz - powiedział Prupis. - No, żartuj, żartuj. Mnie się podobasz, ale mimo wszystko bądź ostrożny.

On wstał i wyszedł. Wowa Batu-chan odwrócił się do mnie i powiedział:

- A mnie mówiono, że pupilki hoduje się w specjalnych laboratoriach i usuwa się im mózg.

- Zaraz ja tobie mózg wyjmę - powiedziałem posępnie. Nawet nie chciało mi się kłócić.

- Myślałem, że pupilki żyją dobrze - ciągnął Batu-chan, nie zwróciwszy uwagi na moje ostrzeżenie, - że żarcia mają - do syta! I są czyści.

- Żarcia do syta - powiedziałem. - Ile ci gospodyni da, tyle i zjesz.

- I dom, i czysto - powiedział Batu-chan, z niepojętą dla mnie zawiścią.
- A ty co, chciałbyś?
- Kto nie zechce? - spytał Batu-chan. - Każdy człowiek chce jeść i spać.
- A ja bym za nic tam nie wrócił.
- Dlaczego?
- Dlatego, że żarcie nie jest najważniejsze. Lubią cię - jesteś syty, przestaną lubić - to obiją cię batogiem, albo i odesłają do rakarni.
- I mieszkałeś z nimi w jednym domu? - spytał Batu-chan, patrząc w sufit.
- Oczywiście. W jednym pokoju.
- A prawda, że oni mają jadowite pazury?
- Ależ ty głupi, Batu-chan! Przecież gospodyni mnie głaskała! I spacerowaliśmy razem.
- A w jakim języku rozmawialiście? - spytał Batu-chan, i tu zrozumiałem, że on nie uwierzył w ani jedno moje słowo. Widać to, co było dla mnie zwyczajne, po prostu nie mieściło się w jego niebogatej wyobraźni.
- W naszym, po rosyjsku.
- I ona cię nie przydusiła? Spytał Batu-chan na ostatku.
- Dlaczego miała mnie dusić, jeśli mnie lubiła?
- Lu-bi-ła! - powtórzył jeszcze raz: - Lu-bi-ła... Nie, chyba pęknę przez niego! Najlepszy przyjaciel żaby.

Odszedłem do stołu i zacząłem ciąć skórę na cienkie paski. Pracowałem do późna. Niektórzy podchodzili do mnie, przyglądali się, ale nie przeszkadzali. Myślałem, że Batu-chan nigdy nie widział sponsorów z bliska - to dziwne, ale, z pewnością, możliwe - panowie sponsorzy nie mogą przecież być wszędzie i pilnować wszystkich ludzi. A człowiekowi, nigdy z bliska nie widzącemu sponsora, wydaje się on zimnym dziwołagiem. Trudno o większą pomyłkę!

Przez kolejne dwa dni trwały nieustające treningi, byłem zmęczony, a pod koniec każdego dnia wydawało mi się, że uszło ze mnie całe powietrze. Ale czegoś się nauczyłem. Łatwo to wyjaśnić: byłem przecież wyższy niż wielu rycerzy naszej szkoły, szybciej niż inni ruszałem się i myślałem. Dobrze karmiono mnie w dzieciństwie.

Pan Achmed dwa razy pochwalił mnie przy wszystkich. A Prupis, chociaż nie chwalił, powiedział mi dziękuję, gdy oddałem mu dokładnie i mocno upleciony pejcz. Zaczęli się do mnie zwracać inni rycerze, nie odmawiałem - lubię majsterkować: szyć, wycinać, pleść...

Gdyby nie to nieustające zmęczenie, byłbym szczęśliwy. Zło mi się nie gorzej, niż u Jajłoczków. Karmiono nas dobrze, spałem na prawdziwej, miękkiej pryczy. No, prawda, że bałem się trochę Dobryni, który pamiętał o naszym spotkaniu i nie pozwalał zapomnieć o przyszłej zemście.

Nie próbowałem więcej wyjaśniać, do czego nas tak starannie przygotowują. Poczekam - dowiem się.

Wybrałem Prupisa na swojego gospodarza. Byłem przecież wczorajszym pupilkim. A pupilek od dzieciństwa nauczony jest żyć przy gospodarzu. Być może, inni mieszkańcy naszej szkoły nie mają potrzeby posiadania gospodarza, ale mnie ciężko było bez istoty, której mógłbym się podporządkować. Rozumiejąc to, myślałem wtedy, że jestem wyjątkiem wśród ludzi, ale potem domyśliłem się, że podporządkowanie się - to właściwość ludzkiej natury. Wszyscy ludzie szukają sobie sponsora, i jeśli nie ma prawdziwego, znajdują jego namiastkę. Wtedy jeszcze nie bywałem w innych krajach i na innych kontynentach, ale jeśli chodzi o Rosję, to ona, jak się okazało, była zawsze posłuszna - to naczelnikowi, to rewolucjoniście, który zabił tego naczelnika, to kolejnemu naczelnikowi.

Moja cierpliwość została dość szybko wynagrodzona. Po około pięciu dniach, kiedy odpoczywaliśmy po koszmarnym ćwiczeniu - długim biegu wokół szkoły z workiem piasku na ramionach, - posępny Jurgen powiedział:

- Komu to potrzebne? Los i tak sam zdecyduje.

- Trzeba mu pomagać - powiedział Batu-chan.

Patrzyliśmy, jak Dobrynia wyrównuje osełką brzegi swojego miecza.

- Głaszczę, jak dziewczynę - powiedział Jurgen.

- Ile razy on mu życie uratował - zauważył Batu-chan.

Nastawiłem ucha.

- Wszystko to na pokaz - powiedział Jurgen. - przecież wiesz skąd bierze się krew.

- Milcz - powiedział Batu-chan. - Jesteś tu dopiero trzeci miesiąc, a ja już prawie rok. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za dwa miesiące przejdę do weteranów. A ile razy zaczynali ze mną i pohukiwali?

- Nic to, jutro spotkanie towarzyskie - powiedział Jurgen.

Rozmówcy umilkli i wtedy, pomyślałem, że jest okazja, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Co to takiego to towarzyskie spotkanie? - spytałem Jurgena.

- Kiedy umawiamy się - odpowiedział za niego Batu-chan. - Bywają towarzyskie spotkania, od nich nic nie zależy. Na nich wymyśla się wszelkie triki -

jak w cyrku. Tam naprawdę zazwyczaj nie zabijają. Mamy jutro towarzyskie spotkanie z "Czarnymi Tygrysami". Poproś, Prupis cię weźmie - musisz obserwować.

Raz już zacząłem tę rozmowę i nikt na mnie nie krzyknął, mogłem pytać dalej:

- A jak spotkanie jest nietowarzyskie?

- Kiedy zgodnie z kalendarium? Albo o mistrzostwo? Wtedy sędzia patrzy surowo - jest o wiele trudniej. Tam się ginie. Tylko kto?, tacy jak ty. Weterani zdecydują kto ma umrzeć, - bez wątpienia umrzesz.

- Jak to umrzesz?

- Lancelot niezupełnie rozumie, po co on tu żyje - powiedział Jurgen. - On wyraźnie myśli, że jesteśmy drużyną sportową. A my - gladiatorzy.

Przypomniałem sobie stary film, który pokazywali w teleku, i sponsorzy pozwolili mi go obejrzeć, ponieważ nie było zbyt późno. Rzecz działa się w starożytnym imperium, które, o ile dobrze pamiętam, nazywali rzymskim. Tam na stadionie walczyli ludzie. Jeden z nich był potężnie uzbrojony i wyposażony w sieć, którą próbował zarzucić na gołego młodzieńca z krótkim mieczem. Ten kręcił się, skakał wokoło i w końcu zwyciężył nieruchawego ciężkiego wojownika - pani Jajbłoczko tak zdenerwowała się tym, że pokazali mi takie okrutne widowisko, a sam Jajbłoczko zaczął się śmiać i mówił, że to takie samo wykopalisko, jak mamut. Pamiętam, jak mówił, że takie krwawe widowiska odeszły w niesławną przeszłość.

- Przecież to zakazane - powiedziałem. - Przecież to odeszło w niesławną przeszłość, jak mamuty i Imperium rzymskie.

Kiedy moi sąsiedzi skończyli się śmiać, Batu-chan zapytał:

- A kto ci to powiedział? Może w szkole się o tym uczyłeś?

- Sponsor - powiedziałem.

- Taak, akurat jego trzeba ci było słuchać - powiedział Batu-chan, a w głosie jego zadźwięczała ironia. - Oni doskonale rozumieją ten problem.

- A ja niczego nie rozumiem! - uzałem się. - Słowo honoru - jestem jak dziecko we mgle! Jeśli są gladiatorzy, to znaczy, że ktoś musi ich oglądać, a nawet czerpać przyjemność z takiego prymitywnego widowiska. No przecież nie w piwnicy organizujecie te, tak zwane, spotkania towarzyskie.

- Nie . - Jurgen uśmiechał się rzadko, ale tego dnia on wykonał swą trzyletnią normę śmiechu. - Robimy to na wielkich stadionach. W Moskwie, w Libercu, w Serpuchowie....., gdzie jeszcze byliśmy, Wowa?

- Byliśmy wszędzie tam, gdzie stacjonuje żabi garnizon - odpowiedział Batu-chan.

- I oni nie aresztowali was? Nie rozpędzili? Jak się wam udaje przed nimi ukryć?

- Zrozumiesz ty, w końcu, czy nie, ty kopalny człowieku, że twoi ukochani sponsorzy żyć po prostu nie mogą bez naszych widowisk, dlatego że na nich mogą się odprężyć.

- Co?

- A to, że rządzenie naszą planetą sprawia im wiele trudności i pożera nerwy. Są wykończeni i potrzeba im rozrywki. A, żeby każdy z nich w pojedynkę nie pałętał się po ulicach i nie rozszarpywał przechodniów, dla nich wymyślono miły, inteligentny wypoczynek.

- To jest amoralne! - powiedziałem - I z całą pewnością rzucacie oszczerstwa na sponsorów.

- Nikomu nie są potrzebne te twoje ukochane żaby! - Batu-chan wściekł się na mnie. - Jeśli zabiorą się z powrotem, będziemy tylko szczęśliwi...

Odwróciłem się nawet, żeby nie słyszeć, ale słuchałem dalej.

Oburzałem się, ale już wiedziałem, że nie mam racji. Ich słowa układały się we wzór otaczającego mnie świata. I, chociaż trudno jest zaakceptować coś ohydneho, naruszającego zasady, na których się wychowałeś, czasami przychodzi pogodzić się nawet z najgorszym!

I już pokornie słuchałem moich nowych towarzyszy.

Oczywiście, zostawiałem sobie prawo do wątpliwości - nie jestem jakimś włóczęgą czy śmieciarzem - jestem z dobrego domu! Batu-chan, opowiadając mi, cały czas powtarzał “możesz sprawdzić”, i miałem zamiar to sprawdzić. Ale to nie przeszkodziło mi wysłuchać nieprawdopodobnej wersji naszego istnienia.

Jeśli wierzyć Batu-chanowi i, przytakującemu mu, Jurgenowi, w Rosji istnieje co najmniej ze dwadzieścia gladiatorских szkół, podobnych do naszej. Przy czym, nasza wcale nie jest ani największa, ani najbogatsza.

Powstały te szkoły z bardzo prostej przyczyny - większość sponsorów, osiadłych na Ziemi, - to wojskowi. Trudno ich nazwać żołnierzami dlatego, że nie używali broni i nikogo nigdy nie zabijali, ale pełnili dyżury w bazach raketowych i siedzieli przed ekranami sieci powszechnego nadzoru - strzegli porządku.

Sponsorzy mają słabość do okrutnych, nawet krwawych widowisk. Moi rozmówcy nie wiedzieli, kiedy i komu przyszło do głowy by pasję tęskniących w dalekim garnizonie sponsorów, zaspokoić walkami ludzi...

- Tak sobie myślę - powiedział Batu-chan, - wszystko to wymyślił ktoś z ludzi. Myślę, że wszystkie te ludzkie podłości za sponsorów wymyślają ludzie.

- Po co? - spytałem. - Komu to potrzebne?

- A temu potrzebne, komu na rękę - mętnie wyjaśnił Batu-chan, a Jurgen potakująco kiwnął głową, jak człowiek, słuchający dobrze znanej lekcji.

Jest zbyt - pojawi się i podaż. Sponsorzy pozwolili przygotowywać specjalnych wojowników, walki gladiatorów przekształciły się w regularne współzawodnictwo, bo nie ma lepiej zorganizowanych i lubiących porządek istot, niż sponsorzy.

Powstała warstwa społeczna, tak czy inaczej, związana z gladiatorami. To byli rusznikarze i wytwórcy różnych przyrządów dla wojowników, garbarze i krawcy, masażyści i trenerzy...

Przynależność do świata gladiatorów dawała masę przywilejów, na przykład najsilniejsi wojownicy mieli zezwolenie na rozmnażanie, by wyhodować rasę bojowych gladiatorów. Oni mogli być pewni, że przy kolejnej kampanii likwidacji ich zostawią przy życiu.

Tu musiałem przerwać Batu-chanowi i poprosić o wyjaśnienie.

- Jak tu ci powiedzieć... - Batu-chan nie od razu znalazł właściwe słowa. - Na Ziemi żyje sto milionów ludzi. Może więcej, może trochę mniej. A kiedyś było dziesięć, albo sto razy tyle. Wtedy przyszli "dobrzy" sponsorzy i zaczęli zbędnych ludzi po troszku likwidować...

I tu nasz odpoczynek skończył się, z cienia wyszedł Prupis i dopijając z kufla piwo, krzyknął:

- Chłopcy, na trening!

Następnego dnia nasi jechali na towarzyskie spotkanie, i Prupis zapytał mnie:

- Pojedziesz z nami?

Jakbym miał wybór.

Byłem zadowolony, że w końcu zobaczę, czym tak naprawdę się zajmujemy.

Jechałem razem ze wszystkimi w ogólnym autobusie. Z tyłu złożone były miecze, kopie, zbroje - prawdziwe rycerskie zbroje. Widziałem, jak weterani w czasie treningów walczyli w tych zbrojach, - wydawali mi się tacy niezdarci.

Siedziałem na dostawianej ławeczce, naprzeciwko mnie - felczer i niewolnik, który miał naszym sportowcom pomagać przy ubieraniu. Trzęsło okropnie, dlatego, że i droga dawno nie widziała remontu, i autobus ledwie zipał.

- Zeby dostać nowy autobus - trzeba wygrać mistrzostwo Rosji! - powiedział felczer, kiedy podrzuciło nas pod sufit. Był to starszy, dobry człowiek stale mrużył oczy - był krótkowidzem.

Gladiatorzy siedzieli z przodu w fotelach z oparciami i całą drogę drzemali, albo omawiali codzienne problemy.

W ostatnim czasie udało mi się wiele dowiedzieć o ich życiu i o nagłej śmierci, byłem nawet w najdalszym miejscu naszego gospodarstwa, w lazarecie, który w tym czasie, na szczęście, świecił pustkami, ale w każdym momencie mógł się zapęlić. Stało tam sześć prycz, zaścienionych białymi prześcieradłami, i był jeszcze pokój, w którym stał stół obity ocynkowanym metalem, - domyśliłem się, że na nim robią operacje.

To czego się dowiedziałem zmusiło mnie do zajęcia się, ze zdwojoną energią, fechtunkiem i miotaniem kamieni z procy - pojąłem, że tylko własna siła i zręczność mogą mnie uratować. Weterani w szkołach gladiatorów troszczą się o siebie wzajemnie, chroniono ich i w niebezpiecznych momentach starano się ich nie poświęcać. Ale czasami śmierć nie oszczędza również ich. W większości jednak przypadków giną nowicjusze.

Nasłuchawszy się lekceważących, a nawet wulgarnych opowieści o sponsorach, uznałem, że moi drodzy państwo Jajbłoczko nie mieli pojęcia o tym co się wytwarza w niektórych dalszych garnizonach. Przecież w mojej obecności niejednokrotnie podkreślali swoją humanitarność, i nie mógłbym podejrzewać ich o taką obłudę.

Być może dalej oddawałbym się gorzkim rozmyśleniom, ale widok za oknem - zupełnie nieprawdopodobny - sprawił, że zapomniałem, na jakiś czas, o sponsorach.

Zbliżaliśmy się do Moskwy!

Miasto objawiało się stopniowo, w miarę naszego zagłębiania się weń. Kiedyś było metropolią, to znaczy centrum wszelkiej rozpusty i łajdactw Rosyjskiego mocarstwa. Właśnie stąd pochodziły straszne nakazy o truciach rzek i wyrębie lasów. Właśnie w tym mieście znajdowały się straszne monopole, nazwy niektórych z nich pamiętałem jeszcze z dzieciństwa: 12345... Moskwa - to siedlisko sił, których celem było zniszczenie życia na Ziemi. Właśnie w Moskwie i w bunkrach, otaczających miasto, kryli się i walczyli do ostatniej kropli krwi zawzięci wrogowie ludzkości. To były tragiczne dni dla całej planety - sponsorzy musieli podjąć twardą decyzję: podnieść rękę na rozumne istoty, które okazały się nie wystarczająco rozumne i stały się wrogami własnej planety.

Z wielkim bólem serca sponsorzy, kierując się troską o ludzi, zdecydowali - należy zniszczyć tych wrogów, jak szczury, bezlitośnie, do ostatniego - jakie to charakterystyczne dla istot o wielkim i szczodrym sercu. Sponsorzy rozumieli, że ludzkość nie znajdzie drogi do szczęścia dopóty, dopóki na drodze do niego będzie istniała taka przeszkoda.

Ileż to razy, w dzieciństwie, zwinąwszy się w kłębek na krągłych kolanach pani Jajbłoczko, słuchałem zadziwiających historii o bohaterach-sponsorach, wychodzących samotnie na spotkanie setek podstępnych wrogów, o tym jak najlepsi z nich składali siebie w ofierze, by zapewnić ludziom w przyszłości godne istnienie. Z jakiegoś powodu na moją dziecięcą wyobraźnię szczególnie podziałał obrazek ze starej wideoksiążeczki - zielony, w błyszczącym bojowym stroju

sponsor ostatkiem sił, wsparty na kolanie, broni się laserowym bagnetem przed hordą ludzików. Oni - wszyscy jak jeden szczerzący się, złowrodzy i długonosi. Pamiętam nawet imię tego sponsora - Wyjczuko. Padł śmiercią bohatera oswabdzając Moskwę od jej mieszkańców. Fakt, że mieszkańcy Moskwy, te wrogie siły, które szkodziły świetlanej przyszłości, byli tak, jak i ja, ludźmi nie mąciło mojego spokoju. I pięknym wydawał mi się umierający za słuszną sprawę sponsor Wyjczuko, i wstrętne były nosate, z czarnymi oczkami, szponiaste ludziki.

Pamiętałem, że kiedy sponsorom, pomimo całej ich odwagi, nie udało się całkowicie zlikwidować ludności Moskwy, musieli zastosować gaz usypiający - szlachetny i humanitarny środek, uśmiercający bezboleśnie i błyskawicznie. Ale, mówią, że nawet po tym, korzystając z tajnego poparcia sił zagranicznych i międzynarodowych organizacji, w piwnicach Moskwy zostały niedobitki. I od tej pory, żeby nie zarażać okolicznych terenów, Moskwa stała się czymś w rodzaju rezerwatu, dokąd nie chodzą ludzie, nad którym nie przelatują ptaki i owady, - przynębiająca cisza króluje nad tym pomnikiem ludzkiego barbarzyństwa...

Wszystko to pamiętałem i dlatego, gdy siedzący naprzeciwko mnie niewolnik powiedział zwyczajnie: "Minęliśmy Mitiszczi, zaraz Moskwa", - wszystko ścisnęło mi się wewnątrz. Dlaczego jedziemy przez Moskwę? Jak możemy się na to ważyć? Nie mamy przecież nawet strojów przeciwradiacyjnych.

- Nie wolno! - krzyknąłem.

Wszyscy w autobusie obrócili się w moją stronę.

- Do Moskwy nie wolno! Tam promieniowanie! Wstęp zabroniony! Nawet pojedynczy ptak nie przeleci nad centrum Moskwy!

Ktoś się roześmiał. W szkole gladiatorów już przywykli do moich dziwactw.

- Zamilcz! - krzyknął Ptupis. - Mam cię wysadzić, czy co?

- Jak samotną kurę! - dodał Dobrynia.

- Mniej byś słuchał tych żabich bredni - powiedział Batu-chan, siedzący na jednym z ostatnich miejsc, obok Jurgena.

Zmusiłem się do patrzenia w okno. Jeszcze jeden bastion, zbudowany wychowaniem i życiem u sponsorów, runął. Mam wystarczająco dużo w głowie, by wiedzieć, że gladiatorzy nie pojechali by tak spokojnie przez radioaktywne miasto. Znaczą, że Jajbłoczkiwie łgali. Z pewnością, kłamali bezwiednie, sami wprowadzeni w błąd przez złych sponsorów.

Z lasu i zarośli krzewów, wznoszących się po obu stronach zniszczonej drogi, coraz częściej wyłaniały się domy, niektóre całkiem rozwalone - po prostu potężne zwały cegieł, albo betonowych płyt. Inne stały, wznosząc się na kilka pięter. Poraził mnie widok mostu, pod którym nie było rzeki, a przebiegały jakieś na wpół zarośnięte drogi, następnie z prawej strony ukazała się, górując nad lasem,

jakaś dziwna metalowa, pordzewiała, lecz tym nie mniej majestatyczna rzeźba, przedstawiająca kobietę i mężczyznę w dziwnych strojach, którzy jednocześnie wykonywali krok do przodu i podnosili do góry jakieś przedmioty. Przedmiot w ręce mężczyzny przypominał wielki młotek, ale co trzymała kobieta - pozostało dla mnie zagadką. Dalej droga prowadziła nas obok zawałonego łuku, za którym widać było jakieś wielkie budynki.

Obracałem tylko głowę, starając się zobaczyć jak można najwięcej. Zdziwiałem, że przeżyłem dwadzieścia lat w dostatku i błogim spokoju, sądząc, że cały świat sprowadza się do naszego miasteczka, supersamu, przystanku, pokoju wypoczynkowego dla pupilków, kilku wybetonowanych ulic i szarych kopuł bazy obserwacyjnej sponsorów na horyzoncie.

Już od kilku dni wszystko wewnątrz mnie wrzało, głowa mi pękała od ciągłego dziwienia się. Ale najważniejsze kryło się nawet nie w ilości i różnorodności pytań, a w tym, że prawie każdy następny krok poddawał pod wątpliwość moją bezgraniczną wiarę w sponsorów, uwielbienie dla nich - cechą charakterystyczną dla wszystkich, bez wyjątku domowych pupilków.

Ulice Moskwy były prawie puste, w szczelinach asfaltu rosły trawa i krzaczki, miejscami głęboka koleina omijała drzewo, wyrosłe na jezdni, miejscami nie było asfaltu - przed nami ukazywała się jama, którą należało pokonać, przejeżdżając po niepewnym drewnianym moście. Ale mosty istniały - to oznaczało, że ktoś po mieście jeździ.

Ale zarówno pieszych, jak i samochody spotykało się bardzo rzadko. Raz, przy łuku, zobaczyłem poskładaną z części starych samochodów kolasę, w której siedział kędzierzawy goły człowiek i głośno śpiewał. Kolasa obładowana była deskami i polanami. Potem, już w tej części miasta, gdzie las był rzadszy, a domy wyższe, zobaczyłem zwykły samochód sponsorów. Ten widok był mi znajomy - dokładnie takie lustrzane samochody jeździły wieczorem i nocą i po naszym miasteczku. Pamiętam, jak w dzieciństwie porażało mnie w nich to, że błyszczały jak lustro. Kiedy taki samochód jedzie przez miasto, to w jego zaokrąglonych bokach odbija się wszystko: i niebo, i otaczające drzewa, i domy. Ale wszystko w nim wydaje się zniekształcone, krzywe; tylko dlatego można przyjrzeć się samochodowi i zgadnąć jego kształt. Kiedyś, na moje dziecinne pytanie, po co oni tak robią, pani Jajbłoczko odpowiedziała, że kiedy źli ludzie chcą strzelać do takiego samochodu, to z pewnością spudłują.

Na spotkanie nam, lekko unosząc się nad dziurami w asfalcie i dlatego nie kołysząc się i nie trzęsąc, wolno a nawet uroczyście nadlatywał patrolowy mobil sponsorów. Boczne okna mieli opuszczone, robią tak zawsze w miejscach, gdzie nie oczekują niebezpieczeństwa, a za nimi widać było obojętne, wcale nie straszne z tej odległości pyski sponsorów. Sponsor zobaczył nasz stary autobus, ale niczym nie okazał, że jest zdziwiony czy też zainteresowany naszym pojawieniem się - jakby dwa koty spotkały się na ulicy - i rozeszły się.

I tu jeż w moim umyśle wybuchł kolejny zakaz: ludziom, dla ich dobra, zakazuje się używania wszelkich środków transportu, dlatego, że mogą mieć awarię i ucierpieć, a także stanowić niebezpieczeństwo dla innych środków transportu...

- To oni pozwalają? - spytałem.
- A dlaczego mają nie pozwalać? - zdziwił się niewolnik.
- Ale my jedziemy!
- Pieszko do stadionu długo byśmy szli.

Autobus nasz skręcił w prawo i znaleźliśmy się na placu, oczyszczonym z krzaków i drzew, gdzie niegdzie asfalt był naprawiony - do dziur nasypało się ziemi.

Za placem tym znajdował się budynek, który przypominał rzymskie koloseum - tak nazywał się starożytny teatr we Włoszech, gdzie kiedyś odbywały się przedstawienia i walki gladiatorów. Był on zbudowany tak świetnie, że nie rozpadł się w ciągu dwóch tysięcy lat, które minęły między Imperium Rzymskim a szczęśliwym przylotem sponsorów.

Potężny budynek, do którego podjechał nasz autobus, był w opłakanym stanie: dach zawalił się już dawno, tak samo jak górna część ścian, ale i tak robił imponujące wrażenie.

Na placu przed nim panował nieoczekiwanie duży ruch. Poruszały się po nim nie tylko powoziki ze sponsorami, piesi sponsorzy, ale również ludzie, którzy czekali na obrzeżach placu, ale zachowywali się spokojnie, jakby mieli prawo znajdować się tutaj.

Sponsorzy ubrani byli pokojowo - wypoczywali. Być może, dla niewprawnego oka wszyscy sponsorzy wydają się identyczni i ich ubrania wyglądają tak samo - nic podobnego! Sponsorzy przykładają ogromną wagę do ubioru, do tego, jak podmalować pysk, jak poruszać kończynami - to złożony i zrozumiały tylko dla swoich język, który wyraża więcej i bardziej otwarcie, niż słowa, które wypowiadają na głos. Wiedziałem już, że prawie nikt z ludzi tego wewnętrznego tajemnego języka nie rozumiał - nawet nie wszystkie pupilki go rozumiały. Ale te z nich, które chciały ciągać korzyści z wiedzy gospodarzy, znakomicie wyczuwały najdrobniejsze detale zachowania i nastroju swojego sponsora.

Obserwując sponsorów na placu, widziałem, że byli trochę pobudzeni, ale nie rozdrażnieni, dlatego, że szykowali się do obejrzenia ciekawego widowiska.

Ludzie, których zobaczyłem, w większości mieli na sobie różnorodne, czasami nawet wyzywająco jaskrawe stroje, i, co było zadziwiające, sponsorzy na to nie reagowali. Widać było wśród ludzi i nagich, ale byli to niewolnicy niskiego rzędu - tragarze palankinów, powożący bryczkami, sprzętacze, zamiatacze i sprzedawcy wody. Ale zobaczyłem też kilka postaci, przypominających swym wyzywającym klaunowskim odzieniem mojego pana Achmeda.

Jak wiele jeszcze nie wiedziałem i nie rozumiałem! “Ile jeszcze muszę się dowiedzieć! - myślałem. - I jak ostrożnie powinienem się poruszać po tej drodze, by nie zostać ukaranym.”

Na widok sponsorów miałem ochotę schować się w autobusie, ale przenikliwy Prupis, zauważywszy moje wahanie, powiedział:

- Jeśli się boisz, że cię rozpoznają, to zapomnij o tym! Zaby jeśli w ogóle rozróżniają ludzi, to tylko po kolorze ubrania. Dlatego nasze władze tak się stroją. A ty - pupilek, niewolnik, zwierzę. Jak tylko się ubrałeś, od razu przestałeś dla nich istnieć. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - odpowiedziałem z niedowierzaniem.

Prupis uśmiechnął się i klepnął mnie po ramieniu - to klepięcie wyrzuciło mnie na jezdnię. Złapawszy oddech, zacząłem brać od niewolnika broń i zbroję, zanosiliśmy je do, wydzielonego dla naszej szkoły, pomieszczenia pod stadionem.

Potem przeszli tam nasi weterani, za nimi - ścisłą grupą - pierwszorocznicy. Batu-chan mrugnął do mnie, Jurgen tylko rzucił czarnym spojrzeniem.

- Mamy czas - powiedział Prupis. - Ubierajcie się bez pośpiechu. Zaraz przyjdzie pan Achmed i wyda dyspozycje.

Ze zdenerwowania zachciało mi się sikać i spytałem niewolnika czy nie wie, gdzie tu jest wychodek. Ten wyjaśnił, że muszę pójść korytarzem do skrzyżowania w lewo i tam zejść do podpiwniczenia.

W wychodku było brudno i cuchnęło.

Wyszedłem z niej, poszedłem korytarzem i wtedy usłyszałem głosy. Zatrzymałem się. Nie dlatego, że chciałem podsłuchiwać, na odwrót - nie miałem ochoty rzucać się w oczy nie wiadomo komu.

- Dlaczego muszę oddawać ci dziesięć procent? - spytał głos niższy, bardziej basowy. - Niech ci się nawet nie marzy! Kto wygra?

- Posłuchaj, Jean - odpowiedział wysoki, znajomy mi głos, - moi ludzie, gdyby zechcieli, zrobili by z twoich kotlety. Ale umowa jest umowa: musisz zbierać punkty, a ja i bez tego mam wysoką pozycję. Tak, że zapomnij o rozdzielniku - po połowie! Inaczej każę zająć się tobą na serio.

- Aleś mnie przestraszył! Widzieliśmy takiego jednego straszaka - obraził się właściciel basu. - Idę ci na rękę tylko przez szacunek dla naszej starej przyjaźni.

- No i szanuj - odpowiedział głos Achmeda.

Nie przerywając rozmowy, odeszli, a ja ostrożnie wyjrzałem zza węgła, a potem puściłem się pędem do naszego pokoju.

To znaczy, że oni uzgadniali cenę? Cenę czego?

Odpowiedź na to pytanie otrzymałem dość szybko.

Kiedy wszedłem do pokoju, pan Achmed stał pośrodku w swoim stroju klauna, otoczony weteranami w zbrojach i paroma juniorami w zielonych skórach z obciążonymi grubą skórą owalnymi tarczami w rękach.

Wśród juniorów zobaczyłem Batu-chana z Jurgenem. Batu-chan podniósł ręką, w powitaniu, pan Achmed zauważył ten gest i krzyknął:

- Tim, nie rozpraszaj ludzi, łeb urwę!

Cofnąłem się.

- Znaczy, tak - ciągnął Achmed mowę, przerywaną moim pojawieniem się, - wśród weteranów będzie dóch rannych i jeden zabity. Muromiec, ty poniesiesz dzisiaj zaszczytną śmierć.

Na przód po krótkiej chwili wystąpił Ilja Muromiec. Znałem go tylko z twarzy.

- Tak jest, panie - posępnie powiedział.

Krew zastygła mi w żyłach.

- Tobie, Dobrynia - Achmed był rzeczowy i zwięzły, - przyjdzie przelać krew.

- Mnie już poprzednio ranili - powiedział Dobrynia, na którym zatrzymało się spojrzenie Achmeda, - jeszcze się dobrze nie zagoiło.

Wszyscy dla czegoś się roześmiali.

- To nic, wytrzymasz - odpowiedział Achmed. - Jeszcze zranią Sołowja.

Rycerz imieniem Sołowiej w milczeniu skłonił głowę. Wszyscy trzej byli przygnębieni, a ja doskonale rozumiałem ich smutek. Ze szczególną uwagą obserwowałem Muromca. Chciałem zobaczyć na jego twarzy odbłysek zbliżającej się śmierci, ale trudno to było zobaczyć, bo rycerz nieoczekiwanie mocno, z brzękiem opuścił przyłbicę.

Skąd mógł to wszystko wiedzieć pan Achmed? Umiejętność zaglądania w przyszłość, czy zмова z przeciwnikiem?

W niskim pomieszczeniu, ścian którego, widać, już ze sto lat nikt nie próbował pomalować, zapanowała przygniatająca cisza. Słyszeć tylko było ciężki oddech dwóch dziesiątków, którzy, jak już teraz wiedziałem, przygotowywali się do pójścia w śmiertelny bój. Wiedziałem, jeszcze Batu-chan mi mówił, że w gladiatorskim świecie wiele jest podstępu i zmony. Ale gdzie jest granica między teatrem, a autentyczną tragedią? Świat, w którym się znalazłem, był okrutny i ci, którzy przeżyli w nim wiele lat nawet tego nie zauważali. Dla mnie jednak, w istocie goście, okrucieństwo i absurdalność tego świata, były oczywiste.

Nad naszymi głowami, gdzieś w czeluściach potężnego gmachu rozległ się gong.

- No chłopcy, zbierajcie się - powiedział Achmed. - Życzę szczęścia.

Razem z niewolnikiem, imienia którego tak i nie udało mi się poznać, wzięliśmy po wiadrze z wodą, a felczer - stertę ścierek i długi rulon perkalu, żeby wojownicy mogli się umyć, napić i, jeśli będzie trzeba, mieli czym przewiązać rany.

Następnie niewolnik, już znający drogę, poprowadził mnie długim korytarzem do wyjścia na arenę.

Arena była wielka, szerokości nie mniej niż sta kroków i długości ze dwa razy większej, porośnięta trawą. Ale trawa w wielu miejscach była wydeptana.

Oczywiście, moją uwagę przyciągnęło nie tyle pole, co trybuny stadionu. Otaczały go amfiteatrem. Wprawdzie jedna z trybun zawaliła się i nikt na niej nie siedział, za to tę, pod którą wyszliśmy i przeciwległą wypełniały tłumy.

Widowisko, które jawiło się przed moimi oczami było do tego stopnia niezwykle, że zapamiętałem go ze wszystkimi szczegółami.

Pierwszy rząd trybun wypełniony był ludźmi w jednakowych ciemno-niebieskich ubraniach. Na głowach mieli dziwne czapki z miedzianą pozłacaną ozdobą z przodu, w rękach - gumowe pałki. Byli to milicjanci oddziałów specjalnych w galowych mundurach - to powiedział mi felczer. Za nimi dwa, albo trzy rzędy zajmowali ludzie ubrani jaskrawo, wyzywająco, podobnie do pana Achmeda. Dalej, za szerokim przejściem, po którym spacerowali milicjanci z pałkami, zaczynały się łóża. Łóża obliczone były na istoty o wiele większe niż ludzie. W łóżach tych, jednakowi dla ludzkiego oka, zieloni, w zielonych opiętych strojach, w okularach, chroniących oczy przed zbyt jaskrawym dla sponsorów światłem dziennym, siedzieli nasi zdobywcy - władcy Ziemi.

Muszę się przyznać, że pierwszym moim odruchem było uciec w głąb stadionu, schować się, przycząić - wydawało mi się, że swym ostrym spojrzeniem, pokonawszy zielone pole, któryś ze sponsorów dojrzy mnie, rozpozna i rozkaże pojmać mnie i przekazać właścicielom dla przykładowego ukarania.

Jednocześnie mój umysł próbował walczyć ze strachem. Wiedziałem przecież, że niemożliwe by ktoś na tym stadionie zobaczył i rozpoznał mnie wśród niewolników i pomocników gladiatorów ubranych, tak jak i ja, byle jak ostrzyżonych i nie ogolonych.

Sponsorzy siedzieli w dwóch rzędach - dwa rzędy łóż, dwa rzędy zielonych strasydeł. Wcześniej nigdy nie zastanawiałem się nad tym, czy sponsorzy wyglądają jak monstra, czy też są piękni.

Dziś spojrzałem na nich innymi oczami. Rzeczywiście, najbardziej przypominali zielone żaby wielkości hipopotama. Gęby miały wąskie i duże - jak otworzy, możesz tam włożyć arbuza, jak wisienkę - sam widziałem. Oczy zaś maleńkie, schowane w miękkich fałdach powiek. Prawie wszyscy sponsorzy byli w ciemnych okularach - niemal niewidocznych na twarzy, ale nadających jej jeszcze większą ociążałość.

Powyżej łóż nikt już nie siedział - tylko u samej góry majaczyli się, stojący na szeroko rozstawionych nogach, milicjanci z oddziału specjalnego.

W centrum trybuny, tej z naszej strony, znajdowała się orkiestra, składająca się z ludzi. Akurat kiedy wyszliśmy, orkiestra zaczęła grać. Grała głośno, ale niezbyt czysto, starając się wykonać popularną w ostatnich miesiącach wśród sponsorów pieśń “ Podwoimy szeregi!”, która zawsze nuciła w kuchni pani Jajbłoczko, przygotowując nam z mężem obiad. Na to wspomnienie drgnęło mi serce i w oku zakręciła się łza. Gdzie jesteście, ciche spokojne czasy ogólnej miłości, a co najważniejsze - czasy dające poczucie bezpieczeństwa! Powiedźcie, po co człowiekowi wolność, jeśli w zamian traci on kawałek domowej kielbasy?

Sponsorzy poruszyli się w swoich łóżach, niektórzy próbowali nucić z orkiestrą, inni rozmawiali, a ponieważ głosy sponsorzy mają o wiele bardziej przenikliwe i głośniejsze niż ludzie, do mnie dobiegały ich słowa, chociaż nie wszystko mogłem zrozumieć.

-Co oni tak zwlekają?

- Jeśli nie zaczną, to samego doradcę wygnam na pole!

- Zawsze ta ich tępota!

-A co dzisiaj będzie na wieczornej odprawie?

- Odpowiedziałem mu: nie leż w moje sprawy, ja dla ciebie nie jakiś młodszy patrolowy...

- Dlaczego do nas nie wpadasz? Tęsknię...

Były to zwykłe słowa, a ja chłonałem głosy z dziwną mieszaniną nienawiści i miłości - język sponsorów, mój rodzimy, wydawał się tak harmonijny i melodyjny, chociaż spotykałem ludzi, gotowych zakrywać uszy na jego dźwięk.

Na środek pola wyjechał niewielki otwarty autobus, na platformie którego stał człowiek z mikrofonem. Ubrany był w pasiasty, przylegający do ciała strój, na nim - metaliczną kamizelę, na głowie zaś kolczugową czapkę.

- Zaczynamy! - zawołał człowiek, podnosząc mikrofon do ust. - Zaczynamy towarzyskie spotkanie pomiędzy “Czarnymi Tygrysami” z Sokolników i “Bohaterami” z Mytiszcz!

Widzowie w pierwszych rzędach zaczęli krzyčeć i bić brawo, jakby oznajmiono im jakąś niezwykłą nowinę, a sponsorzy umilkli i znieruchomieli.

W przejściu na prawo od nas otwarto drewniane wrota, i stamtąd wyjechali moi nowi towarzysze - rycerze na czele z Muromcem. Ich zbroje błyszczały w jasnym słońcu, kopie były podniesione ku niebu.

W ślad za rycerzami na arenę wyszli piesi wojownicy z mieczami i tarczami. Rozpoznałem wśród nich Batu-chana i Jurgena.

Kim są ich przeciwnicy?

I jakby w odpowiedzi na moje nieme pytanie, otworzyły się wrota z drugiej strony stadionu, i stamtąd pojawili się zupełnie inni rycerze.

Jak żałowałem w tym momencie, że nie chciałem czytać starej książki z obrazkami, którą znaleźliśmy z Wikiem razem z innymi skarbami w piwnicy zburzonego domu na skraju naszego miasteczka! Doskonale pamiętałem obrazki w tej książce. Przedstawiały one rycerzy trochę podobnych do tych, z których składało się wojsko pana Achmeda. Tamci zaś, ci drudzy, byli ubrani zupełnie dziwnie. Na ich głowach pyszniły się wiadra z rogami. To znaczy, przedmioty, zastępujące im hełmy, najbardziej przypominały wiadra. Z przodu w wiadrach były zrobione otwory dla oczu. Ich kolczugi były przykryte płaszczami, białymi i długimi, na których były naszyte krzyże, ale spod płaszczy widać było nogi, odziane w metalowe pończochy. Te oto monstra wyszły na spotkanie z moimi towarzyszami, którzy podobali mi się o wiele bardziej - ich hełmy były stożkowate, i tylko pionowy żelazny pas, chroniący nos, zasłaniał część twarzy, ciało okrywała kolczuga, a do niej, na piersiach przymocowane były niewielkie tarcze. Płaszcz nas mieli krótkie, ładne - gotów byłem zachwycić się naszymi rycerzami.

Dwie maleńkie armie zatrzymały się, nie dochodząc jedna do drugiej, jakby ucząc się przeciwnika.

Z trybun rozległy się krzyki - ludzie, zgromadzeni tam, witali rycerzy.

Sędzia pewnie stał na swojej platformie, a jej kierowca, widać doświadczony, doprowadził samochód do centrum pola. Sędzia uniósł rękę, dał sygnał i jego autokar szybko odjechał.

Ale nikt z przeciwników nie zrobił kroku naprzód.

Zaczęli obsypywać się na wzajem przekleństwami i pogrózkami.

- Czegoś tu przylazł? - krzyczał do kogoś Dobrynia. - Spadaj stąd, pókiś cały!

- Idź pojedz psiego gówna, zamiast się wydzierać! - krzyczał w odpowiedzi człowiek w wiadrze z rogami.

Spod wiadra głucho dobiegał jego głos. Jego sąsiad, który też miał na głowie wiadro, ale w miejscu byczych rogów widniał jeden - łosi, walił żelaznymi nogami w boki ciężkiego konia i monotonicznie wył:

- Zabiję, zakłuję, zadekczę!

Do wymyślań /POŁAJANKI dołączyli piesi wojownicy.

- Strzeżcie się, sokolnicze kanalie! - krzyczał Batu-chan.

- Milcz, żółtodziobie! - odgryzł się wrogi rycerz, ubrany gorzej od innych, któremu na wiadro zabrakło rogów i dlatego ozdobił hełm grabiami. - Bo zatkam ci tę twoją gębę.

- Co? Żółtodziobie? - wzburzony Batu-chan rzucił się na tego, który go obraził, chociaż miał tylko tarczę i kopię, podczas gdy przeciwnik był uzbrojony w miecz i zakuty w pancerz.

Pozostali, póki co nie włączali się, czekali, widać, na wynik pojedynku i zagrzewali do walki jego uczestników, dołączając swoje okrzyki do wycia, dobiegającego z trybun. Nawet sponsorzy, których znałem jako istoty powściągliwe aż do przesady, zaczęli walić szorstkimi słoniowatymi łapami w stalowe ogrodzenia swoich łóż.

Batu-chan robił krótkie wypady włócznią i błyskawicznie odskakiwał do tyłu; jego przeciwnik, cięższy, kroczył za nim, starając się trafić mieczem, ale nawet jeśli mu się to udawało, Batu-chan zawsze zdążył podstawić tarczę. Już mi się wydawało, że nasz Batu-chan teraz zatopi włócznię w ciele wroga - i, co dziwniejsze, bardzo tego chciałem, kiedy z grupy wrogów wybiegł jeszcze jeden wojownik w okrągłym, przypominającym nocnik, hełmie i uderzył Batu-chana z tyłu. Byłby to koniec Batu-chana, gdyby Jurgen nie zauważył tego wypadu, - on, jak wiem, spodziewał się od wrogów takiej perfidii.

Jurgen odparł uderzenie, i stadion zaryczał - jedni z radości, drudzy z rozpacz.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że pod trybunami są kasy totalizatora i widzowie robili zakłady, bądź obstawiali całą drużynę, bądź poszczególnych jej wojowników. Ludzie chodzili tam sami, albo posyłali swoich sług, a sponsorzy, którzy, jak się okazało, też brali udział w grze, ale nie mogli z powodu swojego położenia oraz z powodu swoich rozmiarów, udać się do kas, byli obsługiwani przez specjalnych gońców, którzy dyżurowali za ich łóżami i na znak tego czy innego sponsora rzucali się do niego po typowania. Widziałem cały czas tych ludzi, ale nie mogłem pojąć jaką pełnią funkcję - wziąłem ich za konsultantów, którzy wyjaśniają ufnym i naiwnym sponsorom sens tego, co dzieje się na polu.

Teraz już na pomoc wrogiemu wojownikowi rzucili się wszyscy jego towarzysze. Tylko rośli, ciężko uzbrojeni jeźdźcy pozostali na miejscu, bacząc na to co się dzieje i czekając na ten moment, gdy do boju przystąpią nasi weterani.

Nagle zobaczyłem, jak koniec miecza dotknął nagiej ręki Batu-chana, i w tym samym momencie, jak powietrze z balonika, z ręki poląła się krew. Batu-chan upuścił miecz i zachwiał się. Jeden z rycerzy w wiadrze i orlim pazurem rzucił się ku niemu, żeby uderzyć, ale wtedy w walkę wdał się Dobrynia, odparł uderzenie i sam zaczął walczyć z rycerzem. Obaj oddychali ciężko, a szczęk ich mieczy dolatywał do naszej kryjówki.

- Tutaj! - krzyknął felczer, wybiegając na skraj pola i wymachując ścierką, żeby przyciągnąć uwagę Batu-chana. Ten zauważył i zaczął biec w naszym

kierunku do nas. Za nim rzucił się obcy wojownik, ale Batu-chan był szybszy, a Jurgen, zobaczywszy to, też wyrwał się z potyczki i dogonił wojownika, który musiał się zatrzymać i zacząć się bronić.

Z trudem łapiąc oddech, Batu-chan dobiegł do nas i skrył się za drewnianą tarczą.

Przedramię było we krwi, Batu-chan krzywił się.

- Niech to diabli - powtarzał, - boli!

Felczer kazał mi nalać wody do miski, a sam namoczył czystą ściereczkę i zaczął wycierać krew - na szczęście rana była długa, ale niegłęboka, niewolnik posmarował ją ałunem i polał jodyną - Batu-chan zawył i omal nie pobił nas zdrową ręką. Felczer założył opatrunek.

- Teraz miecza nie utrzymam! - Batu-chan wściekał się, felczer siłą posadził go na ławce, skądś pojawił się Prupis i spytał:

- Co z tobą?

Odpowiedział niewolnik:

- Nic nie uszkodzone. Za tydzień się wygoi.

Prupis nie powiedział nic więcej i pospieszył wokół pola, w miejsce, w które przeniosło się centrum walki.

Zajęty rannym Batu-chanem, nie zauważyłem momentu kiedy wszyscy wojownicy stłoczyli się, a następnie każdy, znalazłszy sobie partnera, zaczął z nim walczyć. Stadion ryczał, sponsorzy walili w barierki, agenci od zakładów szwendali się to tu, to tam, a jeśli dodać do tego głosy sprzedawców lodów i piwa, którzy snuli się po stadionie - częstowali ludzi piwem, wyobrażacie sobie, piwem! - to można sobie wyobrazić jaki dom wariatów panował na stadionie.

Rozległ się gwizdek sędziego.

Niechętnie, z trudnością łapiąc oddech, wojownicy przerwali walkę. Okazało się, że szcypiwszy się mieczami, ranili się wzajemnie Dobrynia i rycerz z nogą orła na hełmie. Zalani krwią, upadli na siebie, jakby złączeni w miłosnym uścisku. Sędzia, po przerwaniu walki, pozwolił felczerowi i Prupisowi obejrzeć rany. Z drugiej strony do rycerza z nogą orła, który zgubił hełm i okazał się jaskrawo rudym człowiekiem, spieszył lekarz czy trener.

Prupis wyprostował się i krzyknął, żeby przynieśli nosze. Byłem wolny, więc złapałem nosze i pobiegłem przez pole.

Nad polem unosił się drobny jasny pył. Przebiegałem tuż obok wrogów i słyszałem, jak dyszą ciężko. Nie rozmawiali - ani o zwycięstwie, ani o ranach. Czekali kiedy będzie można kontynuować walkę i mieli nadzieję, że przerwa będzie na tyle długa, że zdążą odpocząć.

Dobrynia, widać, stracił przytomność - leżał w kałuży krwi, a krew ciekła nadal. Sędzia w swoim autokarze podjechał blisko i patrzył na nas z góry. Prupis podniósł głowę i powiedział do sędziego:

- Trzy ćwierci do śmierci!

Dobrynia dziwnie, cienko, jakoś po dziecinnemu zajęczał.

Patrzyłem na jego białą twarz i myślałem: przecież tobie była przeznaczona rana. Co to - zdolność zajrzenia w przyszłość czy złożenie ofiary?

- Czego stoisz? - zakrzyknął na mnie Prupis. - liczy się każda sekunda!

Natychmiast rozłożyłem nosze i postawiłem na ziemi.

- Po mojemu, jego rana nie jest śmiertelna - powiedział sędzia.

- Też tak myślę - zgodził się Prupis.

- No to zabierajcie szybciej swojego rycerza - powiedział sędzia. - Pora kontynuować. Czas ucieka.

- To nic, przedłużycie czas.

- Publiczność się denerwuje.

Dopiero teraz znów usłyszałem wrzawę stadionu - była jakaś inna, rozdrażniona, niecierpliwa.

Kwadratowy, nieprawdopodobnie silny Prupis chwycił Dobrynię pod pachy. Głowa rannego opadła bezsilnie. Ja wziąłem Dobrynię za nogi. Nogi były zimne. Położyliśmy go na nosze.

Było je ciężko nieść.

Widziałem, jak rycerza, zranionego przez Dobrynię, też wynieśli na noszach.

Nie zdążyliśmy jeszcze ukryć się za drewnianą ścianą, kiedy na polu znowu rozgorzała walka. Zadrżała ziemia pod ciężkim krokiem rycerzy, zawył stadion.

Dobrynia uniósł jedną powiekę.

- Jak nasi? - spytał słabym głosem.

- Nie wierć się - powiedział Prupis. - I tak nam ciężko ciebie nieść.

- Tobie ciężko! - warknął Dobrynia, ale zamknął oczy i zamilkł.

Zatargaliśmy Dobrynię za drewnianą przegrodę. Tam, na ziemi, siedział Batuchan, oparty o betonową ścianę i pił z dzbana, który niewolnik trzymał przy jego ustach.

Położywszy nosze na ziemi, Prupis natychmiast odwrócił się w kierunku pola, jego o wiele bardziej interesowały losy walki, niż życie Dobryni i Batu-chana, i mnie zrobiło się przykro, że okazał się taki bezduszny.

Ale idąc za jego spojrzeniem, mimowolnie też zapatrzyłem się w obraz bitwy - nie można inaczej, gdy widzisz, że twoich towarzyszy przycisnęli do skraju pola i gniotą ich ci nędzni rycerze w wiadrach.

Prupis wybiegł na skraj pola i pobiegł wzdłuż jego brzegu, nie śmiejąc stąpnąć na murawę dlatego, że sędzia natychmiast wyłapywał takie naruszenie przepisów. Prupis krzychał, dawał rady, i nie wiadomo jak zakończyłaby się ta walka, najpewniej zawstydzającą porażką i pełnym pobiciem naszych przez czarne tygrysy, gdyby Ilja Muromiec nie usłyszał Prupisa i nie rzucił się na przód w największy gąszcz wrogich rycerzy.

Straszliwe ciosy posypały się na niego z obu stron - próbował uchylać się przed nimi, ale niektóre mimo wszystko osiągały cel. Zalany był krwią, ale cały czas w zapamiętaniu walił mieczem, i, pobudzeni jego przykładem, pozostali rycerze też ruszyli do przodu, i szybko bitwa znowu kipiała w centrum pola.

Ale Muromiec nie zobaczył końca tej potyczki. Ugodzony niezliczoną ilością ciosów, upadł w końcu i pozostał nieruchomy.

- Jak tam? - słabym głosem spytał z tyłu Dobrynia.
- Zranili Muromca - nie byłem w stanie ukryć smutku.
- Nie zranili - zabili - powiedział Dobrynia.

W tym momencie rozległ się długi przerywany świst.

Podporządkowując się mu, zmęczeni, bez tchu, rycerze obu stron rozchodzili się, jakby od razu zapominali o istnieniu przeciwnika, a sędzia wyjechał w centrum pola i do mikrofonu ogłosił remis.

Ogłoszenie sędziego, nie budzące mojego sprzeciwu, wywołało z jakiegoś powodu dodatkowe zamieszanie wśród pośredników i sług, którzy biegali do kas i roznosili wygrane.

- A co oni tak? - spytałem Batu-chana, który już podszedł do mnie i razem ze mną oglądał zakończenie walki. Rękę miał opatrzoną, ale rana za bardzo mu nie dokuczała.
- Wygrane i przegrane. Ludzie i żaby stawiają nie tylko na zwycięstwo - nasze, albo ich. Tu ważne ile zabitych i rannych, Wszystko się liczy.
- Ręka nie boli? - spytałem.
- Dopiero nocą zacnie boleć - powiedział Batu-chan.

Z pola krzychał Prupis, żeby przynieść nosze i zabrać Muromca.

Razem z niewolnikiem zanieśliśmy je tam. Wojownicy już się rozchodzili, ciągnęli za sobą broń, jak kosiarze niepotrzebne już kosy. Nosze były ubabrane krwią Dobryni, i nagle wydało mi się, że znów jestem w fabryce cukierków, i, że to nie ludzie, a gaśienice, a nosze - to transporter, który wypływa pelzaczy.

Z trudem odpędziłem od siebie wspomnienie zapachu ich krwi.

Prupis pomógł nam położyć Muromca. Ten był bezwładny. Gdy szliśmy, jego ręka wlokła się po ziemi. Prupis obszedł nosze, podniósł rękę i położył ją na piersi zabitego wojownika.

Z trybun dochodziły krzyki.

- Nasi są niezadowoleni - powiedział Prupis, - ktoś przegrał... - I po chwili, dodał: - A ktoś wygrał.

- Może by jego do szpitala? - spytałem.

- A skąd tu weźmiesz szpital, nie jesteśmy żabami - powiedział Prupis.

Nasz powrót do autobusu był powolny i smutny. Dobryni pomogli dostać się do niego towarzysze. Chociaż wydawało mi się okrutnym kazać mu iść po otrzymaniu takich ran. Muromca odnieśliśmy na noszach.

Obserwował nas tłum widzów, którzy nie rozchodzili się - chcieli zobaczyć rannych i zabitych. Ktoś z tłumu krzyknął:

- Rzućcie ich, po co to padlinę taszczyć!

- Stul pysk! - ryknął Prupis.

Donieśliśmy Muromca do autobusu.

Zdziwiło mnie, że wśród pijanych od zapachu krwi widzów, zobaczyłem też dwóch czy trzech sponsorów - stali troszkę z tyłu i pożerali oczami naszą smutną procesję.

W autobusie z tyłu otwierały się drzwi, domyśliłem się, że specjalnie na takie właśnie okazje. Postawiliśmy nosze, sami też weszliśmy do środka.

Widzowie zaczęli się rozchodzić.

- Wszyscy na miejscach? - spytał Prupis.

- Pana Achmeda nie ma - powiedziałem.

- I nie będzie - odpowiedział Prupis, - on dzieli szmal.

Rozległ się śmiech - prosto z pod moich nóg.

Wzdrygnąłem się i omal nie spadłem ze stołka - martwy Muromiec podniósł się i usiadł na noszach.

- Ma kto co zapalić? - spytał. - Myślałem, że zdechnę bez fajek.

Wszyscy zaczęli się śmiać, ale raczej nie ze słów Muromca, tylko patrząc na moją zdumioną fizjonomię.

Dobrynia wyciągnął srebrną papierośnicę i otworzył ją.

Muromiec wyrwał kawałek papieru ze starej książki, leżącej na podłodze, i zwinął skręta. Potem przypalił od benzynowej zapalniczki.

Dotarło do mnie, że wszyscy, oprócz Batu-chana, są zdrowi i cali.

- Jak to tak? - spytałem.

- Przecież spotkanie było towarzyskie - śmiał się Prupis.

- Najważniejsze - powiedział Dobrynia, - to żeby widz widział, że nie ma żadnego oszustwa.

- Zawsze biję się ludzi - powiedział Prupis. - Żaby są łatwowierne. Dla nich walka - to zawsze prawdziwa walka. I śmierć - to zawsze śmierć. Oni jak starożytni wikingowie - ze śmierci się nie śmieją, z nią nie żartują. Nawet im do głowy nie przyjdzie, że ludzie tak potrafią oszukiwać.

Wszyscy roześmiali się. Przyjemnie było pomyśleć, że umiemy oszukiwać. Nie, nie tak na każdym kroku, ale tak specjalnie, żeby wywieźć w pole te żaby.

- Ile zarobiliśmy? - spytał, patrząc w sufit, Muromiec.

- Ile dadzą, tyle dostaniesz.

- Mistrzu, ty już od dawna nie wychodzisz na boisko - powiedział Muromiec, - myślisz po staremu. Pewnie twój mieczyk się stępił.

Znów się wszyscy roześmiali. I znowu poczułem, jaki jestem tu obcy.

- Nie stępił się - powiedział Prupis. Też się uśmiechał.

Okazało się, że weterani dostawali swoją dolę z pieniędzy, zapracowanych przez szkołę. Szkoły uzgadniały między sobą wcześniej - jaka będzie walka, ilu będzie rannych i zabitych. Przy czym, do tych ról wybierali zawsze weteranów, profesjonalistów --ich walka i ich śmierć musiały być przekonujące. Zdarzały się przypadki, kiedy szalbierstwo wychodziło na jaw, ale kończyło się to fatalnie i dla szkoły i dla gladiatorów. W autobusie dowiedziałem się, że skazane na zgubę ofiary przywiązywały sobie termofory z farbą, i umiejętność atakującego polegała na tym, żeby rozpruć kopia lub mieczem ten termofor, nie poraniwszy przy tym przeciwnika, ale i ten powinien podstawić właściwe miejsce - a w gorączce walki nie było to wcale takie proste. A juniorzy - tacy, jak Batu-chan czy Jurgen, którym na razie nie należało się prawdziwe uzbrojenie i, którzy pierwsi zaczynali walkę - o wiele bardziej ryzykowali. Tu już niczego nie dało się przewidzieć -

można było oberwać guza, albo dostać kopią pod żebro. Droga do tytułu mistrza nie była prosta, i nikt nie zamierzał ci niczego ułatwiać.

Wieczorem Batu-chana zaczęła boleć rana - podniosła mu się temperatura. Jęczał, weterani spali, nie zwracając na niego uwagi, ale Prupis przyszedł, przyprowadził ze sobą felczera. Batu-chan dostał aspirynę, zastrzyk uspokajający i wkrótce zasnął. Felczer i Prupis cicho rozmawiali. Prupis powiedział, żeby felczer wziął jakieś lekarstwa, ale nie znałem tych nazw, u nas w domu lekarstwa były inne.

Szybko przyzwyczyłem się do życia w szkole gladiatorów, dlatego, że zawsze byłem zajęty. Zbiegły pupilek sponsorów, domowe zwierzątko przybyszów - czy mogłem uciec? Oczywiście, że mogłem. Ale już zdawałem sobie sprawę, że zbyt mało wiem o otaczającym świecie, no i czy mogłem mieć jakiś cel? Nawet jeśli i miałem, to nie uświadamiałem go sobie. Powinienem był trafić do Markizy. Po co? Może miałem szczęście, że Łysy sprzedał mnie do szkoły gladiatorów? Czy tu będę żył dalej i stanę się tak samo silnym i zręcznym wojownikiem, jak Muromiec? Albo Dobrynia?

Chciałbym naprawić moje stosunki z Dobrynią, być może nawet zaprzyjaźnić się z nim, ale Dobrynia trzymał mnie na dystans. Z pewnością nie mógł przebaczyć mi niespodziewanego poniżenia, a może, po prostu mu się nie spodobałem.

Za to z innymi wojownikami, nawet weteranami zbliżyliśmy się do siebie. Nie od raz, oczywiście, ale nikomu nie robiłem świństw, nie kradłem, nie podlizywałem się Prupisowi, zawsze byłem gotowy pomóc, jeśli trzeba było coś zaszyć, albo naprawić. Do tego okazałem się dobry w fechtunku - mogłem wytrącić miecz prawdziwemu mistrzowi, mogłem też obronić towarzysza, jeśli temu poszło źle.

Dowiodłem tego w pierwszej walce, kiedy razem z innymi juniorami wszedłem w skład zasadniczej drużyny. Spotkanie było dogadane, ludzi na małym stadionie w Libercach było niewiele, sponsorów tylko trzech - tam w pobliżu nie ma baz, a sponsorzy nie lubią daleko odjeżdżać od swoich miasteczek.

Przeciw nam występowali Tatarzy - "Pantery Persji", drużyna słaba, ale groźna, ponieważ posiadali ostre kindżały i zakrzywione szable, którymi można pociąć człowieka na plasterki.

W gorączce walki z pięciu ludzi zważyło się na Jurgena, zarżnęli by z pewnością, gdyby nie przeszkadzali sobie wzajemnie i nie spieszyli się - dzicy ludzie! Pierwszy zdążyłem z pomocą. Waliłem ich płazem szerokim ostrzem miecza i starałem się wytrącić im szable z rąk.

Trzech, zdaje się, pozbawiłem broni. Ale pamiętałem cały czas, że nie wolno zabijać, ani nawet zranić w umówionym meczu - inaczej będziesz miał nieprzyjemności i ty, i szkoła.

Ale Tatarzy, widać, w walce zapomnieli, że walczą nie na prawdę.

Jeden z nich zdążył mimo wszystko przeciąć mi policzek, nawet nie od razu poczułem ból - taki ostry był jego kindżał, a drugi wbił kindżał Jurgenowi pod łopatkę.

Tu z pomocą przyszli nasi weterani - kopiami zapędzili Tatarów na skraj areny i bili ich kańczugami.

Felczer wybiegł prawie na boisko i rzucił mnie białą chustkę.

- Przyciśnij! - krzyknął. - Przyciśnij i wytrzymaj.

A sam rzucił się ku leżącemu na ziemi Jurgenowi.

Jeszcze nie czułem bólu i też pospieszyłem do Jurgena, by pomóc wyciągnąć go z areny - przecież czas meczu jeszcze się nie skończył i tatarska kawaleria, która broniła piechurów, jeszcze walczyła z naszymi jeźdźcami.

Jurgen leżał, skurczywszy się, jakby zmarł. Oczy miał leciutko uchylone. Felczer zaczął przewracać go na pierś.

Plecy były zalane krwią, krew lała się obficie z przecięcia na skórzanej kurtce.

Patrzyłem na niego, przyciskając do policzka chustkę, i nie denerwowałem się zbyt, ponieważ sądziłem, że Jurgen ma na plecach termofofor, albo pęcherz z kurzą krwią. Ale ciało Jurgena obróciło się tak posłusznie i bezwładnie, że do serca zakradła mi się trwoga.

- Koniec - powiedział felczer.

Niewolnik z Prupisem przynieśli nosze.

Prupis chciał spytać, ale felczer sam powtórzył:

- Koniec.

Prupis zaklął, i wszyscy razem Jurgena na nosze.

Cały czas jeszcze nie docierało do mnie, że Jurgen umarł, - nigdy jeszcze nie widziałem martwego człowieka, a tym bardziej takiego, którego znałem i, z którym dopiero co rozmawiałem.

Kiedy odnieśliśmy ciężkie nosze do szatni pod trybuną i Jurgena położono na szerokiej ławie, felczer kazał mi go rozebrać.

Posłuchałem, ale zapomniałem się i odjąłem chustkę od policzka. Moja krew zaczęła szybko kapać na Jurgena, i Prupis, widząc to, krzyknął:

- Jeszcze tego brakowało! Co, oprócz Lancelota, nie ma komu rozebrać nieboszczyka?

Słowo “nieboszczyk” zabrzmiało obrzydliwie i obraźliwie. Jaki nieboszczyk? Jurgen? Prupis żartuje? Przecież to na pewno była umowa, Jurgen, taki rozważny, spokojny, zaraz otworzy oczy i mrugnie do mnie... Ale jednocześnie już wiedziałem, że Jurgen nie żyje i nigdy już oczu nie otworzy.

Zacząłem płakać i odszedłem do ściany. Krew lała się z rozciętego policzka, i cała prawa strona kurtki była mokra i lepka. Prupis podszedł do mnie, wziął za ramiona, obrócił twarzą do siebie i powiedział:

- Trzeba szyć. Felczer, chodź no tu. Jurgenowi teraz nigdzie się nie spieszy.

Szczęka bolała, bolała głowa, było mi niedobrze... Niewolnik przyniósł mi szklanekę wódki. Prupis kazał wypić do dna.

- No, przetykaj rzesz ! Bo przez ranę wyleje się na zewnątrz.

Ktoś zaśmiał się głupio. Pospiesznie przełknąłem palący napój, bo rzeczywiście wystraszyłem się, że wyleje się ze mnie.

Potem kazali położyć mi się na ławie i felczer, przemywszy policzek wódką, zaczął go zszywać.

Dobrynia podszedł do mnie - mąciło mi się w oczach i nie od razu go poznałem.

- Dobrze ci tak - powiedział. - Nie trzeba się było pchać, żółtodziobie

- Ratował Jurgena - powiedział Batu-chan, który stał obok, i, kiedy chciałem się wyrwać, trzymał mnie za rękę.

- Lepiej by zrobili, gdyby poczekali, póki my nie przyjdziemy.

Dobrynia omal nie pękł od poczucia własnej wyjątkowości. Prawie wszyscy weterani byli tacy.

- Póki wy szliście - powiedział Prupis, - tamci wybili by mi wszystkich juniorów. Jesteście dobrzy, kiedy macie ilościową przewagę, a tak - przeczekujecie.

- My? Przeczekujemy?

- Wynos się stąd - powiedział Prupis, i Dobrania, mamrocząc, odszedł.

Następnego dnia policzek mi spuchł, felczer nawet bał się, że umrę z powodu zakażenia krwi, ale do zakażenia nie doszło, chociaż dostałem gorączki, nie spałem całą noc i czułem się koszmarnie. I na pogrzeb Jurgena nie poszedłem. Co to zresztą jest - pogrzeb juniora? Zakopią do ziemi, naczelnik szkoły, albo trener powie, żeby mu ziemia lekką była, a potem całą szkołą napiją się wódki nad jego grobem. I po sprawie.

Kiedy dzielono rzeczy Jurgena, weterani się nie wtrącali - wszystko dostali nowicjusze i juniorzy. Mnie dali jego nóż. Niewielki nóż, pochwa skórzana, wytarta, klinga przez częste ostrzenie zrobiła się mała, długa na dwie dłonie.

Nosiłem go pod kurtką, za pasem, na wszelki wypadek, i byłem wdzięczny Jurgenowi za taki dobry podarek.

Nóż Jurgena przydał mi się w walce, prawdziwej, zgodnej z kalendarzem walce, która okazała się dla mnie walką w naszej szkole.

Było to jesienią, zaczęły się oficjalne mistrzostwa Moskwy, a nasza szkoła znalazła się w fatalnej sytuacji - padły nam trzy konie, w tym ulubiony bojowy koń Dobryni. Konie ktoś otruli, i nie wiadomo - czy to któryś z rywali, czy bukmacherzy, stawiający cudze pieniądze na drużyny.

Bojowego konia od razu mieć nie będziesz. Takie konie wybiera się wśród źrebiąt. Specjalnie się karmi, trenuje. Kiedy nasze konie padły, spotkanie było za pasem. Pan Achmed, nie mówiąc już o weteranach, byli w podłym nastroju. Przegrana - oznaczała spadek w tabeli, a może nawet, wypadnięcie z pierwszej ligi. A z drugiej ligi rzadko kto wracał do pierwszej - chętnych było wielu, a zdobyć pieniądze i ludzi do dobrej drużyny w drugiej lidze bez sponsorów było niemożliwe. A sponsorzy nie stawiają na pechowców.

Dobrynia był nie swój, lepiej było do nie go nie podchodzić. Był przekonany, że konie otruli nasi przeciwnicy "Biali Murzyni" z Puszkińskiej. Wszystkie te słowa nic dla mnie nie znaczyły - nie wiedziałem, kto to są Murzyni, i dlaczego są biali, nie wiedziałem, co oznacza słowo Puszkińska. Kiedy spytałem Prupisa, tylko wzruszył ramionami - nawet się nad tym nie zastanawiał. Dopiero felczer powiedział mi, że Puszkina był poetą, że żył dawno i pisał wiersze. Sponsorzy też mają poetów i wiersze, chociaż trudno w to uwierzyć. Poeci siedzą na jakiejś górze, nie na naszej planecie, i chórem wyśpiewują o pogodzie i kędzierzawych obłoczkach. Pan Jajbłoczko w takich razach zaśmiewa się do łez, a pani Jajbłoczko lubi ich słuchać i włącza, kiedy małżonka nie ma w domu.

Tego dnia występowałem razem z juniorami. Tak jak oni, byłem w kurtce z grubej byczej skóry, w okrągłym żelaznym kasku, miałem miecz i nóż Jurgena. Batu-chan i inni juniorzy ubrani byli podobnie. Dobryni, Sołowiowi i Mikule, pozbawionych koni, znaleźli inne - tylko, że nowe konie, wzięte ze złych stajni, do niczego się nie nadawały.

Ale stawka była ogromna, jeśli wygramy - będziemy mogli kupić całą stajnię, przegramy - to koniec dla szkoły. Tak więc w autobusie, który wiozł nas na stadion, położony w drugim, zupełnie, końcu miasta, w zakolu szerokiej rzeki, wszyscy milczeli, każdy jak mógł przygotowywał się do walki.

Do szatni pan Achmed przyprowadził czarownika, żeby nad nami odczytał czary. Bitwa miała być prawdziwa, bez umawiania się: jeśli sędziowie lub bukmacherzy dowiedzą się o zmowie, wyrzucą nas z pierwszej ligi.

Czarownik był w czarnym stroju, pomarańczowej kamizelce i niebieskim cylindrze.

Nie spodobał mi się jego ubiór - z pewnością, tak ubierali się ludzie przed nadejściem sponsorów, ale nie lubię zbyt jaskrawych barw i barbarzyńskiego łączenia kolorów, choć inni gladiatorzy nie przywiązują do tego wagi. Czarownik wyjął z, przewiązanej sznurkiem teczki karafkę i kilka szklaneczek. W karafce był jakiś różowy płyn. Czarownik z początku skakał wokół karafki, wykrzykując czarodziejskie słowa, a potem, gdy pan Achmed kazał mu się streszczać, bo pora już była wychodzić, on rozlał różowy płyn do szklaneczek i weterani wypili, a nie dopite resztki zostawili nam. To był spirytus, ale coś do niego dodano.

- Mam nadzieję, że to nie doping? - spytał Prupis, skosztowawszy.

- Przecież wiem, czym ryzykuję - powiedział czarownik.

Twarz miał podłużną, żółtą i, wyskubane do cieniutkiej niteczki, brwi.

Zebrał szklaneczki do teczki, Achmed dał mu dwanaście rubli, i czarownik, przeliczywszy je, powiedział, że na pewno zwyciężymy.

Kiedy wyszedłem, przed rozpoczęciem walki, na korytarz, zobaczyłem czarownika znowu - siedł obok drugiego czarownika. Spokojnie rozmawiali. Felczer, który był obok mnie, powiedział:

- A ten drugi był u murzynów. To bracia.

- Ciekawe, co on powiedział murzynom - powiedziałem.

- Dlaczego pytasz?

- Przecież ten nasz nam powiedział, że zwyciężymy. Czy to znaczy, że drugi powiedział murzynom, że oni nie zwyciężą?

Moje rozważania rozbawiły felczera.

- Z czego się śmiejesz? - spytałem.

- Ciekawe, kto by mu zapłacił za złą wróżbę?

Pomyślałem chwilę i stwierdziłem, że felczer ma rację, i to mnie zdenerwowało.

- A ja mu uwierzyłem - powiedziałem.

- No i wierz dalej - powiedział felczer.

Tu rozstaliśmy się - on poszedł z trenerami i niewolnikami na skraj boiska, by obserwować walkę zza drewnianej bariery, a ja pospieszyłem za gladiatorami.

Ustawiliśmy się przy szerokim przejściu pod trybunami. Z przodu, jak zwykle przy uroczystym wymarszu, stali konni weterani - w pancerzach, kolczugach z czerwonymi tarczami i kopiami, za nimi my - piechurzy, maluczcy.

Szum stadionu cisnął na błony bębenkowe. Nigdy jeszcze nie widziałem tyle ludzi naraz. Być może, było ich tu z pięćdziesiąt tysięcy. Jak i wszędzie, sponsorzy

zajmowali dwa rzędy łóż, otaczających stadion. Niżej siedzieli milicjanci, wyżej, za szerokim przejściem, po którym pałętali się bukmacherzy i agenci, szumiała różnokolorowa ludzka publika.

Dotarło do mnie, że przez ostatnie miesiące przywykłem już do podobnych, pewnie, że nie do takich ogromnych, widowisk. Powiem więcej, sądząc po zachowaniu i pewności siebie niektórych bogatych i ważnych ludzi, zacząłem nawet podejrzewać, że rzeczywiście planetą naszą rządzą nie sponsorzy, jak uważają wszystkie pupilki, ale właśnie ci różnokolorowi panowie.

Zresztą, właśnie tego dnia miał mnie głęboko rozczarować mój własny zmysł obserwatorski i , miałem poddać w wątpliwość wszystkie opowieści, którymi częstowali mnie w szkole i gladiatorzy, i pan Prupis.

Sędzia wyjechał autokarem na środek boiska i nad stadionem rozległo się uderzenie gongu.

- Z Bogiem! - krzyknął Prupis, uniesioną ręką odprowadzając nas na bój.

Pierwsi ruszyli ciężcy jeźdźcy, omal się nie spóźniłem, przytłamszony jeszcze szumem stadionu, ale Batu-chan szarpnął mnie za rękaw. Pomaszerowaliśmy w ślad za jeźdźcami.

Wyszedszy na boisko, nasza maleńka armia zatrzymała się na jego skraju, czekając na przeciwnika.

Kiedy się pojawili, omal nie uciekłem ze strachu - czegoś takiego w życiu nie widziałem.

To nazywało się słoń.

Słoń pokryty był czerwonym czaprakiem, do jego grzbietu była przymocowana niewielka platforma, na której siedziało trzech czy czterech łuczników.

Jeszcze jeden człowiek siedział z przodu, zaraz za uszami słonia i kierował nim, poklepując trzcinką po głowie.

Za słoniem i po obu jego stronach wyjeżdżali jeźdźcy w żelaznych naramiennikach i otwartych hełmach. Sami jeźdźcy i ich konie wysmarowani byli białą farbą tak, że ich purpurowe wargi i czarne kółeczka źrenic rzucały się w oczy i wyglądały, jak namalowane na białym papierze. Całym ubraniem jeźdźców były czarne opaski na biodrach. Potrząsali krótkimi kopiami o płaskich szerokich ostrzach, podobnymi do ościeni, i nieskładnie zawodzili.

W odpowiedzi na ich zawodzenie stadion też zawył - ta drużyna była bardzo popularna, i to jej kibicowało wielu sponsorów. A gdzie sponsorzy, tam i bogacze - o tym nie raz mówiono mi w szkole. Niektórzy ludzie stali się na tyle przydatni sponsorom, że ci nie mogli się bez nich obejść. Wykorzystywali oni fakt, że sponsorzy nie mieścili się w szczelinach, czy też nie mogli wejść do domu i musieli polegać na wiernych ludziach. I było nieważne czy sponsorzy wiedzieli o tym, czy

domyślali się prawdy, czy też byli na tyle tępi i naiwni, że wierzyli w bezinteresowność ludzi. Ale właśnie tym ludziom pozwalano ubierać się i mieszkać w mieście, a nawet mieć własne samochody lub konie. Oficjalnie, tacy ludzie byli określani jako nieszkodliwi ekologicznie, propagatorzy zdrowego sposobu życia, ochrony przyrody i miłości do sponsorów.

Słoń wystraszył mnie. Arena nie była taka znów wielka, i jeśli ten potwór szybko biegnie, to może zdeptać każdego z nas.

- A czym tego zabić! - spytałem.

Stojący obok Batu-chan odpowiedział:

- Jego nikt nie rusza. To - talizman, ma straszyć takich, jak ty, głupków.

- A ci, którzy na nim siedzą?

- Nie martw się, zejdą kiedy będzie trzeba - powiedział Batu-chan. - Sędzia im nie pozwoli stamtąd strzelać.

Mimo wszystko czułem strach. Może Batu-chan się myli, może go okłamano i ten potwór zaraz rzuci się na nas i wbije we mnie swoje gigantyczne kły?

Słoń stał na arenie niedługo. Nasi wojownicy krzyczeli na niego, nazywając obraźliwie rogatą świnia, biali murzyni kleli w odpowiedzi, ale, kiedy rozległ się gwizdek sędziego, łucznicy, wstrzeliwszy strzały w niebo, zeskoczyli ze słonia, a ten, przestąpiwszy z nogi na nogę, opadł na kolana i zwrócił łeb w kierunku łoża, w której siedzieli dwaj potężni sponsorzy w kosztownych szatach naczelników baz. Ci zachwyceni, załomotali wielkimi kułakami w żelazną balustradę, i cały stadion zaczął tupać, krzyzczeć, walić pięściami i bić brawo. Wszyscy chcieli naszej porażki. Słoń opuścił arenę i przeszedł na bieżnię.

Potem rozpoczął się bój.

Zaczął się zwyczajnie. My, juniorzy, wychodziliśmy na czoło i lżyliśmy przeciwnika, wyśmiewaliśmy go, nasze kpiny i obelgi były wychwytywane przez wiszące nad boiskiem mikrofony i wielokrotnie wzmacniane, ku uciesze widzów. I czym sprośniejsze i wulgarne były nasze obelgi, tym głośniej cieszył się stadion. Za wyjątkiem, oczywiście sponsorów, którzy w tym czasie robili zakłady i dogadywali się z bukmacherami - robili interesy.

Starliśmy się z piechotą białych murzynów, mnie w utarczce dostał się słaby przeciwnik: był młody, może nawet młodszy ode mnie, mięśnie miał jeszcze nie wyrobione, nogi, jak patyki, a ramiona wąskie, jak u dziewczyny. W zapamiętaniu machał szablą, starał się przeszyć mnie swoją włócznią, ale wystarczyły mi dwie minuty, żeby przeciąć mieczem drzewce jego włóczni, a następnie wybić mu z dłoni kindżał, który wyrwał zza pasa.

Biały murzyn wystraszył się. Wydało mi się nawet, że wapno na jego policzkach i czole stało się jeszcze bielsze, źrenice jego latały po orbitach, jakby

chciał przeskoczyć przeze mnie. Ale uciekać nie miał dokąd. A ja uniosłem miecz nad jego głowę.

Mój przeciwnik zobaczył swoją śmierć w moich oczach i wybrał jedyne rozsądne wyjście - padł na kolana i oddał mi się w niewolę.

Nie należy myśleć, że kalendarzowe spotkania gladiatorów to same zabójstwa. To, krwawa wprawdzie, ale jednak gra, mająca swoje reguły. Po to i są sędziowie na boisku. Jeśli przegrałeś w pojedynku, choć nawet nie jesteś ranny, zawsze masz prawo się poddać - rzuć tylko broń i padnij na kolana. I ciebie nie wolno ruszyć tak, jak nie wolno ruszyć rannego. To prawda, że dla twojej drużyny to strata punktów, a dla tych, którzy postawili na ciebie lub na drużynę - strata pieniędzy. Ale nie należy naruszać reguł - za to mogą zdyskwalifikować całą szkołę. Wśród gladiatorów o wiele bardziej ceniona jest umiejętność rozbicia przeciwnika i wzięcie go do niewoli, niż zranienie go. a zabijać mało kto lubi, śmierć zazwyczaj bywa przypadkowa.

Zabójcą nie byłem, tak więc odprowadziłem jeńca za boisko, tam do niego podbiegł pomocnik sędziego, a ja wróciłem do walki, będąc dumnym, że pomogłem mojej drużynie, i ciesząc się, że dostanę półsetki premii.

Wprawdzie, więcej nie walczyłem, bo potyczka juniorów już się zakończyła, i do roboty wzięli się jeźdźcy. Uniósł się kurz, słychać było krzyki, rzenie koni i jęki, szczęk mieczy, uderzały o tarcze kopie. Wiedziałem już, że zaciętość walki szybkość ruchów to świadectwo jedynie doskonałego wyszkolenia drużyn. Prawie na pewno, w pierwszej rundzie nikt nie zostanie zabity. A w rundzie drugiej zdeptają, albo okaleczą kogoś z nas, juniorów. Tak, że ja nawet cichcem rzuciłem zawistne spojrzenie na pojmanego przeze mnie białego murzyna - siedział teraz w kucki na bieżni i wyglądał na przybitego. Będziesz ty miał, pomyślałem, w szkole ukarzą cię surowo - nie zawodzi się drużyny!

Dla niego ta walka zakończyła się.

Wtedy nagle pojąłem to, nad czym wcześniej się nie zastanawiałem, - okazuje się, że nie lubię walczyć, machać mieczem i zabijać innych ludzi. Głupie, zajęcie dla zwierząt! Nigdy nie będę prawdziwym gladiatorem i weteranem - jak bym się nie starał. Z każdym dniem coraz ohydniejsze staje się odrąbywanie na ćwiczeniach mieczem słomianych głów strachom na wróble czy ciągnące się godzinami fechtowanie z "cieniem".

Rozmyślenia moje nie trwały długo, bo przybiegł felczer z wiadrem wody, trzeba było napić wojowników, - ja miałem za zadanie osłaniać bezbronnego felczera przed przypadkowym ciosem.

Widząc nas, wojownicy przerywali walkę, wyciągali, nie schodząc z siodła, ręce - felczer nalewał do kubka wody z solą, jeźdźcy pili, ja zaś patrzyłem, żeby ktoś ich nieoczekiwanie nie zaatakował.

Udało się. Białym murzynom, zresztą, też chciało się pić, i zdarzył się, jak to często bywa w trudnym boju, niezaplanowany time-out. Nikt z widzów nie miał tego za złe - tam, na trybunach, też roznosili kwas, oraz napoje dla sponsorów.

Do przerwy walka toczyła się ze zmiennym szczęściem. Dobryni udało się zranić murzyńskiego wodza, którego wynieśli na noszach, ale, niestety, do niewoli dostał się Sołowiej. Dwaj przeciwnicy zwalili go z konia i przyłożyli do gardła kopię. Nikt nie zdążył mu pomóc, i Sołowiej się poddał. To był ciężki cios dla szkoły. Przecież jeniec musiał miesiąc odpracować w stajni u przeciwnika, i dopiero później można go było wykupić. Zdarza się czasami, że szkoła nie chce wykupić jeńca - wtedy zostaje on niewolnikiem. Ale Sołowia wykupimy, wiedziałem to na pewno. Sołowiej to jeden z ważniejszych weteranów szkoły.

Zasadnicze wydarzenia powinny były rozegrać się w drugiej rundzie. Na razie niewielką przewagę miał przeciwnik, ale, jak rozumiałem, on też był wykończony, i gdyby nie słabe konie u naszych weteranów - złamalibyśmy opór przeciwnika już wcześniej. A tak wynik spotkania był niejasny.

Zaczął padać deszcz. Trybuny zakwitły różnokolorowymi parasolami, rozwinęły się brezentowe płachty również nad łozami sponsorów. My musieliśmy moknąć i walczyć na śliskiej trawie, po kolana w błocie. Zmagania wyszkolonych wojowników mogły przekształcić się w zwykłą, obrzydliwą bijatykę.

Słoń stał niedaleko ode mnie, też było mu zimno i nieprzyjemnie. Miarowo kołysał głową, jakby nucił coś sobie, unosił i opuszczał trąbę... Jego poganiacz zlął na ziemię i przykucnął, chowając się przed deszczem, pod brzuchem słońa.

Nie poszedłem do szatni, bo wiedziałem, że tam Prupis zaproponuje nam po czarce rozwodnionego spirytusu. Nie lubiłem tego święstwa, nie zdążyłem polubić. Wolałem już moknąć na deszczu, niż pić ten płyn - zresztą, samopoczucia po nim też nie lubiłem. Wolałem marznąć, ale zachować świeży umysł.

Być może, kiedy indziej znów zaczęto by się ze mnie śmiać, jak śmiano się zawsze, ale dziś nie ja byłem wszystkim w głowie, no i jeńca, przecież, też wziąłem ja, a nie Muromiec, czy Dobrynia.

Spojrzenie moje padło na trybuny po tej stronie, gdzie stał słoń.

Tak czasami bywa - jeszcze nie dotarło do ciebie, co zobaczyłeś, a cały już jesteś spięty.

Być może, i nie zauważyłbym madamki z fabryki słodocy, gdyby nie to, że właśnie w tym momencie, podniosła się i poszła do wyjścia w towarzystwie Łysego.

Oboje ubrani byli jaskrawo, w złocistych płaszczach z wyhaftowanymi na nich czarnymi i czerwonymi kwiatami. Taki płaszcz musiał kosztować majątek - coś już wiedziałem na temat ubrań.

Madamka zatrzymała się przy wejściu i odwróciła się. Napotkała moje spojrzenie. Choć dzieliło nas ponad sto metrów, byłem przekonany, że mnie poznała. Rozpoznawszy - odwróciła się obojętnie. Wtedy dotarło do mnie, że Łysy, łamiąc umowę z Henrykiem, sprzedał mnie do gladiatorów za zgodą swojej gospodyni, być może, forsa też się jej dostała.

Podszedł nasz dobry felczer i przyniósł mi kubek gorącej miętowej herbaty. Nie zdążyłem jej dopić, gdy rozległa się syrena i trzeba było znów wychodzić na mokre boisko. Nagle, wydało mi się dziwaczne, że ludzie przygotowują się do tego, by zabijać się wzajemnie. Ubrali się do tego specjalnie, naostrzyli broń i wyszli na boisko, by zabijać. To była prawie wojna - ale wojna, na którą przychodzą popatrzeć sobie. A przecież pani Jajbłoczko tyle razy mówiła mi, że każda wojna - to klęska ekologiczna, i dlatego pierwsze co zrobili sponsorzy po przybyciu na Ziemię, to zakazali wszelkich wojen. Pewnie, że wojna, którą my prowadzimy, nie jest zupełnie prawdziwa, i, z pewnością nie można jej porównać co klęski ekologicznej. A jednak, w naszej grze było coś złego, naruszenie jakiś zasad. My zabijamy się wzajemnie, a pozostali ludzie i sponsorzy robią zakłady na nasze życie. A przecież nad trybunami rozwieszono są dobrze znane hasła: "Czystym zamierzeniem - czyste rzeki!", "Kryształowe powietrze - lekkim!", "Pamiętaj - Ziemia jest jedna, więc strzeż jej, nie pij do dna!".

Te hasła towarzyszyły mi od dzieciństwa. Były rozciągnięte w poprzek ulic, na dachach domów, litery ich były wykonane z płótna, metalu, albo holograficznie; znałem je na pamięć i nie zauważałem ich.

W takim posępnym nastroju wyszedłem na mokrą arenę. Teraz, powinna rozpocząć się potyczka weteranów, i dopiero po jej zakończeniu, do ogólnej walki powinni włączyć się juniorzy.

Długo nie mogłem się skupić na przebiegu walki - myśli rozbiegały się, oczy wyszukiwały sponsorów, którzy przeżywali wydarzenia na arenie, odrażające wydały mi się ich łapy, będące w ciągłym ruchu. Żółte pazury to chowały się pod skórą, to wylażyły na wierzch, wczepiając się w barierki. Wiedziałem już, że gdyby nawet pani Jajbłoczko zeskoczyła, zobaczywszy mnie, z trybuny i przybiegła, wymachując smyczą lub miską z mięsem, do mnie przez całą arenę, żeby odprowadzić mnie na kuchenną podściółkę, ja się już na to nie zgodzę. Miesiące spędzone poza domem, w znacznym stopniu rozwiały aureolę, którą mieli w moich oczach sponsorzy.

Dźwięczały, uderzając o siebie miecze, tarcze głucho jęczały w odpowiedzi na ciosy, do tych dźwięków już przywykłem.

I nagle coś się popsło w tej symfonii - włączył się okrzyk przekleństwa... Cudzy koń, przydzielony Dobryni, niezdarnie uskoczył w bok, upadł na kolana i biały murzyn, walczący z Dobrynią, natychmiast wbił kopię w plecy rycerza.

To uderzenie było jakby sygnałem naszej porażki - nasi jeźdźcy próbowali osłaniać Dobrynię, dopóki Prupis z felczerem, ryzykując śmierć pod kopytami, biegli do niego; sędzia gwizdał, starając się wbić klinem swoim autokarem między

walczących, ale biali murzyni, czując nadchodzące zwycięstwo, niczego nie słyszeli i rwali się do leżącego na ziemi Dobryni.

Ale nie zdążyli - Dobrynię nie tak łatwo było zabić. Podniósł się, ściskając w ręce miecz. Na sekundę stanął plecami do mnie, i wtedy zobaczyłem, że plecy jego były czerwone - krew lała się z głębokiej dziury w kolczudze.

Z radosnym wrzaskiem zwycięscy, biały murzyn znów uniósł kopię - wydawało się, że położenie Dobryni było beznadziejne. Na stadionie zapanowała nieoczekiwana cisza. To była już najprawdziwsza walka!

Dobrynia, choć ogłuszony uderzeniem, zdołał uchylić się od ciosu i, chwyciwszy kopię za drzewce, szarpnął ją do siebie tak, że biały murzyn, który nie pomyślał, by wypuścić kopię z rąk, wyleciał z siodła i ciężko upadł na ziemię, zahaczywszy jedną nogą o strzemię.

Inni biali murzyni rzuci się z pomocą swojemu rycerzowi, słoń, uniósłszy trąbę, głośno zatrąbił, ale na ich drodze stanął Ilia Muromiec, który wziął na siebie napór półtuzina jeźdźców i zatrzymał ich na sekundę, może dwie - to wystarczyło Dobryni, żeby wziąć zamach mieczem i opuścić go na kark białego murzyna.

I wtedy zobaczyłem - a zobaczywszy, nie uwierzyłem - jak odpada od ciała ludzka głowa, odpada i toczy się po trawie, stając się ciemną i bezkształtną.

Dobrynia, bez sił, opadł na ziemię obok bezgłowego wroga, sędzia też już był na miejscu - próbował autokarem rozdzielić wojowników. Nasi starali się osłonić rannego Dobrynię, póki nie nadejdą nosze. Udawało się im to z trudem, bo biali murzyni byli rozwścieczeni śmiercią - i to tak straszną - swojego towarzysza.

I wtedy dopiero co przycichły stadion zaniósł się jednym krzykiem. Spojrzawszy na trybuny, zobaczyłem, jak jeden ze sponsorów przelazi przez barierę. Sponsor ryczał tak, że przekrzyczał pozostałych widzów. Ale nikt z ludzi, oprócz mnie, nie rozumiał co on wrzeszczy.

- Zrujnował - krzyczał sponsor. - Zhańbił! Wszystkie moje pieniądze! Takiego rycerza zabił! Już jesteś martwy!

Nie mogę ręczyć, że dosłownie przetłumaczyłem wszystkie jego słowa, tym bardziej, że on tak strasznie dyszał i chrypiał, wykrzykiwał swoje groźby w dość prymitywnym i wulgarnym dialekcie, ale było jasne: ten sponsor postawił swoje pieniądze właśnie na zabitego murzyna i teraz miał zamiar wymierzyć sprawiedliwość po swojemu.

Nikt z ludzi nie zrozumiał zamiaru sponsora, wszyscy stali jak wmurowani i patrzyli na gigantyczną poczwagę. Inni sponsorzy nawet nie starali się go zatrzymać - na odwrót, niezależnie od tego na jaką drużynę stawiali, sponsorzy walili w bariery pięściami, wysuwali pazury i wydawali z siebie radosne ryki, jakby wszystko co się działo sprawiało im przyjemność.

Krzyknąłem:

- Dobrynia, uciekaj!

Nie myślałem nawet, że mój krzyk doleci do weterana i, dlatego zrobiłem krok w jego stronę, potem jeszcze jeden. Coś powstrzymało mnie od tego, by rzucić się do przodu. Zresztą, i tak nie mógłbym tego zrobić tak szybko, bo oddzielali mnie od Dobryni biali murzyni, którzy też zatrzymali się, patrząc na oszalałego sponsora i, nie rozumiejąc czego on chce.

Dobrynia był jedynym, który usłyszał mój krzyk. Może, i nie sam krzyk, on uchwycił moje przerażenie i strach o niego.

Zmusił się do wstania i nawet zdążył zrobić parę kroków w kierunku noszy, które nieśli Prupis i felczer, ale w tym samym czasie sponsor już wdarł się na boisko i, rozrzucając we wszystkie strony mocarnymi łapami napotykanych na drodze ludzi, rzucił się ku Dobryni.

Dobrynia próbował uchylić się, ale nie odważył się podnieść miecz na sponsora - ich absolutna wyższość została wyssana przez ludzi z mlekiem matki. Dobrynia mógł tylko cofać się, trzymając miecz przed sobą.

W zachwyconym ryku stadionu sponsor dopadł Dobrynię i walczyli kilka sekund, bo sponsor próbował wykręcić rękę Dobryni, żeby zabrać mu miecz, ale rycerz rozpaczliwie wczepił się w jego rękojeść.

Nikt z naszych nie odważył się przyjść mu z pomocą - jakby wszyscy zamienili się w kamienie.

Jeszcze sekunda - i Dobrynia musiał rozstać się z mieczem; odrzuciwszy go na bok, sponsor wczepił się pazurami w szyję Dobryni.

Nie wiem, dlaczego znalazłem się obok - widać, biegłem do nich cały czas, kiedy trwał krótki pojedynek o miecz, nie zauważając, że biegnę. Tylko w ten sposób mogłem się znaleźć obok nich... I mimo wszystko spóźniłem się - Dobrynia mocno odchylił się do tyłu, jakby starając się oderwać pazury od gardła, ale pazury weszły głęboko, i z szyi już chlustała krew, a sponsor rzucił Dobrynię na ziemię, ten upadł na plecy, i wtedy sponsor zwałił się na niego całkowicie przykrywając swoim cielskim ciałem rycerza. Widziałem tylko, jak palce rąk Dobryni konwulsyjnie i bezsilnie zaciskają się i prostują...

I wtedy wbiłem swój miecz w plecy sponsora.

Być może chciałem odrąbać mu głowę, a może tylko go odepchnąć - sam nie wiem, czego chciałem, nie miałem pojęcia co robię - inaczej nigdy bym tego nie zrobił. Przecież Dobryni już uratować nie mogłem...

Sponsor poczuł moje uderzenie - choć nie było tak silne, jak bym chciał. Mój miecz wniknął głęboko w jego spadziste ramię, i, zalany, tak samo czerwoną, jak u ludzi, krwią, sponsor podniósł się, nie pojmując co się stało.

Zdażyłem zobaczyć, że Dobrynia leży plackiem, z niezgrabnie jakoś, nienaturalnie odchyłoną zmiążdżoną głową, - był martwy i przypominał dziecięcą lalkę, która wpadła pod samochód.

Nie słyszałem odgłosów stadionu, ale myślę, że jeszcze nigdy on tak nie krzychał... ale tylko, do momentu, kiedy uderzyłem mieczem sponsora.

A po tym nastąpiła złowieszcza, do bólu w uszach, cisza, jakby ludzie zobaczyli, że niebo spada na Ziemię.

Widziałem, jak łapa sponsora skierowała się do pasa (przy pasie sponsor ma zawsze pistolet - pan Jajbłoczko zdejmował go tylko w domu). Zobaczyłem, jak sponsor wyjmuje pistolet - i w tym momencie nikt na stadionie nie miał wątpliwości, że za chwilę będę martwy, i, chyba byłoby to dla wszystkich, oprócz mnie, najlepsze wyjście. Zdarzył się oprych, który odważył się podnieść rękę na szacownego sponsora, był oprych, ale pan sponsor unicestwił go własną ręką.

Ale wśród wielu tysięcy, pragnących takiego zakończenia tej historii i, przekonanych, że i nie może być inne, był wyjątek - ja.

I dlatego, widząc, jak sponsor wrywa pistolet i jak pistolet unosi się, bym zdążył przed śmiercią zajrzeć mu w lufę, wzięłem krótki zamach i szybkim, wypracowanym na treningach ruchem, ciąłem sponsora po szyi - wiedziałem, że piersi, osłoniętej pancerną kamizelą, nie przebiję, ale miejsce, gdzie głowa sponsora przechodzi w ramię - jest najsłabsze. Tylko tak można zabić sponsora.

A w tym momencie chciałem tylko jednego - chciałem zabić sponsora, dlatego, że w innym wypadku on zabije mnie.

Sponsor czknał, wolno osunął się do tyłu i upadł na nieszczęsnego Dobrynię.

Stałem i patrzyłem na niego, a po głowie pałętała się myśl: jak by tu ściągnąć go z Dobryni i zobaczyć - a może jeszcze żyje? Stałem tak kilka sekund, i nagle, rozległ się krzyk, który uratował mi życie:

- Uciekaj! Uciekaj, Lancelot!

Później już, przypominając sobie ten moment, uzmysłowiłem sobie, że krzychał nasz trener Prupis - razem z felczerem byli blisko mnie, przybiegli z noszami, ale, niestety spóźnili się.

Krzyk Prupisa przywrócił mnie do rzeczywistości i, w jednej sekundzie przekształcił znowu w zwierzę - domowego pupilka, który ucieka przed goniącymi go takimi samymi zabijakami!

Rzuciłem się do przejścia, tam, gdzie stał, zagradzający mi drogę, słoń.

Moja ucieczka jakby obudziła cały stadion.

Falami, coraz bardziej narastał jazgot i popędzał mnie.

Zeskoczyłem już z boiska, kierując się ku ciemnemu kwadratowi wyjścia, kiedy zobaczyłem, biegnących z naprzeciwka, milicjantów, z pałkami w rękach. Na moje szczęście, szeregowi milicjanci na stadionie nie byli uzbrojeni w nic bardziej konkretnego, niż gumowe pałki.

Nie opuszczając miecza, przedarłem się przez łańcuch milicjantów, a oni rozpięchli się na boki.

Słoń stał nieruchomo, minąłem go i na moment skryłem za jego ciałem przed spojrznięciami sponsorów - a kiedy już byłem w przejściu pod trybunami, obejrzałem się i zobaczyłem, jak słoń, osłaniający mnie, powoli wali się na bok, a z przeciwległej trybuny ciągną się w moją stronę zielone smugi - sponsorzy zaczęli strzelaninę.

Wyskoczywszy spod trybun, znalazłem się w zaroślach, obrastających stadion. Były to krzewy leszczyn z, dojrzałymi już, orzechami. Gałęzie smagły mnie po twarzy i rękach, nie wypuszczałem miecza i wiedziałem, że pogoń, oczywiście, rzuci się w krzaki i milicjanci, których bezładne krzyki goniły za mną, szybko mnie znajdą.

Przedarłem się przez kępę leszczyn i znalazłem się na otwartej przestrzeni - z prawa i z lewa wznosiły się ruiny, obok nich biegła szeroka droga, prowadząca do stadionu.

Zatrzymałem się. Było mi wszystko jedno dokąd pobiegnę - niebezpieczeństwo czyhało na mnie wszędzie.

I nagle, z prawej strony, w ruinach zobaczyłem figurkę człowieka. Figurka stała w szczelinie i przywoływała mnie gestem ręki.

Przywykłem wierzyć gestom. Zresztą, nie miałem wyboru.

Pobiegłem w ruiny, do których miałem ze sto metrów, nie więcej.

Wbiegłem w szczelinę. Po jasnym świetle dnia oczy nic nie widziały.

Zamarłem. Znajomy żeński głos powiedział:

- Idź za mną, tylko ostrożnie - pełno tu kamieni. Daj rękę.

- Gdzie jesteś?

- Tutaj, tutaj, chodź!

Za plecami, przytłumione przez ścianę, nawoływały się głosy.

Wyciągnąłem przed siebie rękę i napotkałem delikatne palce.

Irka ciągnęła mnie w głąb odbijającego głos pomieszczenia.

- Zaraz będą schody - powiedziała Irka. - Chodź, nie bój się.

- Poczekaj - powiedziałem. - tylko miecz przypnę, bo przeszkadza.
- Rzuć rzesz go!
- Nie można - powiedziałem. - To dobry miecz.

Irka nie sprzeczała się ze mną.

Nie wypuszczała mojej ręki, zesliśmy po schodach. Nie pamiętam szczegółów tej długiej drogi z jakimiś tunelami, rurami, żelaznymi schodami. Grzęźliśmy w błocie, wpadaliśmy w dziury z cuchnącą breją, i strasziliśmy szczury.

Irka urodziła się w takich podziemiach. Niczego się tam nie bała i mogła poruszać się w całkowitych ciemnościach.

Wtedy, gdy szliśmy szerokimi tunelami i Irka była pewna, że nie walnę głową w jakąś belkę, ona mówiła. Monolog jej był zagmatwany, ale bardzo ciekawy.

- Pod Moskwą znam każdy tunel - mówiła. Dźwięk jej głosu był mi tak miły, że gotów byłem ucałować tę małą dziewczynę. Ale byłem gladiatorem, zabiłem sponsora i pomściłem śmierć Dobryni.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, co narobiłem, i myślałem, że mój postępek ujdzie mi na sucho - chociaż, to było oczywiste, na sponsora nie wolno podnieść ręki. Miałem usprawiedliwienie - przekonywujące, przynajmniej dla mnie: tylko się broniłem. I jeśli bym zawahał się jeszcze sekundę, sponsor unicestwiłby mnie. Być może dlatego, że nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów mojego przestępstwa, Irce o walce nic nie powiedziałem. Nie miałem wątpliwości, że ona wie o wszystkim. W rzeczywistości, zobaczyła mnie dopiero wtedy, kiedy wybiegłem z krzaków. Nie była na stadionie i nie widziała moich wyczynów.

- Tu, przecież, wyrosłam - czy jakaś obława czy likwidacja, zawsze uciekaliśmy tunelami. Nawet jak nas gazami truli, ratowaliśmy się w metrze.

- Gdzie?
- Zaraz zobaczysz - powiedziała Irka.
- Niczego nie zobaczę.
- Mam latarkę - powiedziała Irka.
- To zapal ją!
- Strach - a wiadomo, kto to może być pod ziemią?
- Ale sponsor tutaj nie przelezie.
- Wśród sponsorów są przyjaciele.

Poczułem, że weszliśmy do dużej sali. Głos Irki zabrzmiał inaczej, jakby rozpląnął się w pustej przestrzeni. W twarz powiało świeżym, chłodnym powietrzem.

- Nie od razu zorientowaliśmy się, że zniknąłeś - mówiła Irka. - myśleliśmy, że jesteś już u Markizy. Tak, jak było umówione. Przyjechałam do niej po dwóch dniach - gdzie mój pupilek? Nie ma pupilka. Posłaliśmy człowieka do Maszki-madamki, a ta mówi: "Według raportu Łysego, pupilek uciekł po drodze, w lesie".

- I uwierzyliście?

- Oczywiście, że nie, ale gdzie cię było szukać?

- Zginąć mogłem, póki szukaliście!

- Ale przecież nie zginąłeś? - Irka zaśmiała się, a echo podchwyciło jej śmiech.

- A teraz można już zapalić latarkę? - spytałem.

- Chcesz popatrzeć? - Irka zaświeciła latarkę i przejechała jej światłem po ścianach i suficie sali, do której trafiliśmy. Być może, na innym człowieku, który widział wiele pałaców, ta sala nie wywarłaby żadnego wrażenia, ale ja ze zdziwienia otworzyłem usta - długa sala podziemnego pałacu wyłożona była połyskującym białym marmurem, stały tam kolumny, a ściany i sufit zdobiły bogate sztukaterie.

- Dlaczego tu mieszkało? - spytałem. - Przed kim się chowano?

- Głupi - powiedziała Irka, - to stacja metra. Tutaj przyjeżdżał pociąg, ludzie wsiadali do niego i jechali do następnej stacji.

- Podziemny pociąg?

- Czyżby twoje żaby ci nie opowiadały? - Irka wyłączyła latarkę i wtedy zorientowałem się, że nie zdążyłem spojrzeć na nią.

- Nic mi nie opowiadali! A dlaczego pod ziemią?

- Dlatego, że na ziemi było dużo samochodów, a te jeździły wolno.

W głosie Irki uchwyciłem rozdrażnienie nauczyciela - reakcję na głupie pytania tępego ucznia. Dlatego umilkłem.

Irka znów włączyła latarkę. Wyłączyła. Jakby dawała sygnały.

- Złaż tutaj - powiedziała. - Ostrożnie, nie złam nogi. Czekaj, znowu ci poświecę.

W dole, wzdłuż platformy ciągnęły się szyny. Skoczyłem, upuściłem miecz, a on z brzękiem uderzył o szynę.

- Ciszej trochę - powiedziała Irka.

Skierowała promień latarki w ciemny otwór tunelu.

Błysnęła - raz, drugi. Zgasiła latarkę.

- Nie ma ich na razie - powiedziała.

- Kogo?

- Naszych. Mają po nas przyjechać.

Nagle nastawiła uszu. Poderwała się. Gdzieś, na górze dał się słyszeć zgrzytliwy dźwięk. Daleko coś trzasnęło, jakby wiatr zamknął drzwi.

- Zjeżdżają - powiedziała Irka.

- Kto?

- Gliny. Widać, zalazłeś im za skórę? Zalazłeś, no nie?

- A może to przypadek? - spytałem. - Może ktoś przypadkowo tu idzie.

Dziwne, ale w tym momencie zupełnie nie pamiętałem o zabitym sponsorze.

Szum z góry zbliżał się.

- Mają łatwiej - powiedziała Irka. - Idą przez główne wejście.

Odblask latarki uderzył w ścianę nad nami. Słysząc było głosy.

- Biegniemy - powiedziała Irka.

Nasi prześladowcy pojawili się na przeciwległym końcu peronu. Pochyleni, zaczęliśmy uciekać.

- Stój! - rozniósł się po tunelu krzyk. - Stój, bo będę strzelać!

Irka biegła teraz, oświetlając drogę latarką. Trudno się biegło po podkładach - jeśli ich nie widzisz, możesz połamać nogi. Mój długi miecz chwilami pętał się pod nogami, próbując mnie powalić. Z tyłu słysząc było wrzawę pogoni: głosy, jakieś metaliczne uderzenia, postukiwania.

- Niedobrze - powiedziała Irka, zatrzymawszy się, żeby złapać oddech. - Uruchamiają drezynę - w dwie minuty nas dogonią! A naszych wciąż nie ma!

Biegliśmy po podkładach. Tunel ciągnął się bez końca. Brakowało mi tchu. Z tyłu słysząc było jednostajny szum pracującej maszyny.

W ścianie tunelu Irka dostrzegła niszę.

- Tutaj! - zarządziła.

Nisza nie była głęboka, miała około metra, prowadziły do niej stopnie, w głębi były zamknięte drzwi.

- Teraz milcz.

Wcisnęliśmy się w nią, mając nadzieję, że nas nie zauważą.

Drezyna z prześladowcami nadjeżdżała. Nie wiedziałem co to jest drezyna, ale mogłem się domyśleć, że to jakiś automobil do jazdy pod ziemią.

Jaskrawe światło reflektora stożkowato świeciło do przodu, oświetlając tunel, zardzewiałe szyny, pokryte wodą podkłady, śliskie ściany, zacieki, cienkie strużki wody, lejące się gdzie niegdzie z góry...

- Zauważą, niech to diabli! - szepnęła Irka. - Znają te tunele nie gorzej od nas. I nasi się spóźnili!

Jakby w odpowiedzi na jej skargę z przeciwległej strony tunelu dał się słyszeć stukot kół, i, zbliżający się z przeciwka reflektor, nie taki, co prawda, jaskrawy, powiększył ilość światła w tunelu. Snopy światła reflektorów zderzyły się i obydwie drezyny zaczęły hamować - zgrzyt hamulców był tak przeraźliwy, że starałem się wcisnąć w niszę jeszcze głębiej. Irka wysunęła nos na zewnątrz i cicho klęła. Nawet nie podejrzewałem, że dziewczyna może znać takie słowa.

Zdawałem sobie sprawę, że pasażerowie obu drezyn byli oślepieni reflektorami i, żadna ze stron nie była gotowa do potyczki.

Drezyny zderzyły się, nie zdążywszy wyhamować.

Praktycznie przed naszą niszą.

Rozległy się krzyki, przekleństwa, zadźwięczały miecze, rozległ się wystrzał, jeszcze jeden - błyski wystrzałów na sekundy oświetlali tunel, rozbite platformy, które, jak się okazało, nazywano drezynami, i ludzi, chowających się za drezynami przed kulami.

- Ech, nie ma armaty! - powiedziała Irka.

- Może pomogę? - spytałem. Chociaż, nie miałem pojęcia co mógłbym zrobić w mokrym tunelu

- Dureń - powiedziała Irka. - Zastrzelą cię od razu. To nie walka gladiatorów. Poradzą sobie bez ciebie.

Walka u naszych stóp trwała - czasami kula trafiła w skraj niszy i, wtedy, starałem się wciągnąć Irkę głębiej. Miała rację - człowiek z mieczem, wzięty w dwa ognie kul, zostanie zastrzelony jak pies.

Wystrzały głucho dzwięczały w tunelu. Kogoś zraniono - i zaczął zawodzić. Ktoś jęknął. Słysząc było, jak rozpluskując wodę, zgromadzoną między

podkładami, zważyło się ciało. Wszystko to trwało sekundy - kule stukały w metal drezyn...

I nagle, nieoczekiwanie od strony drezyny z glinami rozległ się głos:

- Wystarczy! Rozchodzimy się.
- Dobra - odpowiedział człowiek z drugiej drezyny. - Wycofuj się.
- Ale strzelać nie będziecie?
- A wy nie będziecie?
- My nie będziemy.
- No, uważajcie!
- Dawaj, dawaj, szybciej.

Strzelanina zakończyła się. W świetle reflektorów widać było, jak obie wrogie grupy włączają na swoje drezyny.

Ryknęły silniki drezyn i, obydwie, jeszcze złączone światłami reflektorów, potoczyły się z powrotem. Wydawało się, że starają się rozdzielić, zerwać świetlną nić.

- No, i upiekło się - powiedziała Irka. - A myślałam, że się nie upieczę. Szczęściarz z ciebie, Tim.

Zdziwiłem się - już dawno nikt nie nazywał mnie Timem. Byłem Lancelotem.

- W szkole nazywają mnie Lancelotem - powiedziałem. - Pod tym imieniem występowałem w walkach.

- Lancelot?

- To był starożytny odważny rycerz - wyjaśniłem. - Bronił pokrzywdzonych i walczył ze złymi czarownikami.

- Dobrze, niech będzie Lancelot - zgodziła się Irka.

Stukot kół obu drezyn cichł w głębi.

- Poczekamy - powiedziała Irka. - Nasi zaraz wrócą. Dlaczego gliny cię szukały?

- Pewnie dlatego, że zabiłem sponsora.

Irka odpowiedziała nie od razu. Pewnie uznała, że się przesłyszała.

- Ty? Zabę zabiłeś?

- On rozgniółł mojego towarzysza - usprawiedliwiłem się.

- A o innych pomyślałeś?

- Przecież to ja jestem winie, a nie inni.

- nie wiem - powiedziała Irka, zeskakując na szyny - sponsorzy są straszliwie źli. Mogą wziąć zakładników. Był taki wypadek, jeszcze zanim się pojawiłeś, jednego sponsora znaleziono martwego. To nie było w Moskwie, a w Twerze. Nabrali wtedy zakładników - ze dwieście ludzi - i wszystkich rozstrzelali.

- On chciał mnie zabić - powiedziałem. - Co miałem zrobić?

- Uciekać - powiedziała Irka. - My mamy uciekać i chować się. Na razie jesteśmy słabi i jest nas mało.

- Nie lubię uciekać - odpowiedziałem.

- Ale, póki co tylko to robisz! - Irka zaśmiała się bezlitośnie.

Stukot kół przybliżał się.

Wracała po nas dreżyna.

Rozdział 5

Pupilek pod ziemią

Podróż drezyną wydała mi się bardzo długą. Może dlatego, że przygniatał mnie i przygnębiał brak widocznego końca tych tuneli, straszna, dźwięczna ciemność z rzadka spotykanych, ledwie oświetlonych marmurowych stacji i świadomość tego, że wszystko, co tu widzę - to tylko mała część podziemnego miasta, częściowo zatopionego, częściowo zrujnowanego, ale w większej części zachowanego.

Nie wiedziałem, rzecz jasna, wtedy tego, ale skalę podziemnego miasta mogłem oszacować, nie podejrzewając nawet, że podziemie da mi jeszcze nie raz schronienie.

Drezyna miała benzynowy silnik, ale ponieważ z paliwem było kruczo, większą część drogi przejechaliśmy na napędzie mięśniowym, pompując drągami, które były połączone z kołami - trochę jakbyśmy ciągnęli sami siebie za uszy.

W zasadzie w tej części podziemnego świata szyny zachowały się przyzwoicie - tylko w jednym miejscu musieliśmy zatrzymać się przed znajdującym się na wprost jeziorem, na brzegu którego szyny urywały się. Dwaj ludzie zeskoczyli z dreżyny i wyciągnęli z wody kawał szyny - okazało się, że były umyślnie chowane, żeby zatrzymać milicjantów goniących za mieszkańcami podziemia.

Nie rozmawialiśmy na dreżynie dużo - śpieszyliśmy się, żeby dostarczyć rannego do swoich. Irka w pośpiechu w ciemnościach obandażowała go w biegu, ale ran, widocznie, była poważna i ranny jęczał.

Ciemność i monotonne wstrząsy na szynach ukołysały mnie.

Obudziła mnie Irka.

- Już czas - powiedziała. - Przyjechaliśmy.

Zwalniając dreżyna wyjechała z tunelu na niewiarogodnych rozmiarów dworzec, oświetlony słabo i tajemniczo. Zupełnie nie rozumiałem, jak to się stało, że napływa tam prąd elektryczny.

Drezyna wyhamowała przy peronie, rannego wyniesiono na rękach w kierunku niskich drzwi na końcu ślepego peronu, a ja poszedłem do sali, o wspaniałości której mógł chyba tylko marzyć jakiś starożytny król. Potężne, ale lekkie kolumny, rozszerzając się wlewały w sklepienia sufitu, na podobieństwo potężnych dębów w lesie - tyle że zamiast nieba widziałem mozaikowe obrazy, najwidoczniej przedstawiające sceny historyczne.

W jednym końcu sali zaczynały się i prowadziły na górę szerokie pałacowe schody - po nich właśnie prowadziła mnie Irka. Po trzydziestu stopniach

znaleźliśmy się w innej sali. nieco mniejszej. Tu Irka zostawiła mnie przykazawszy czekać.

Przykucnąłem pod ścianą i położyłem swój miecz na kamienną wyszlifowaną podłogę, starając się nie hałasować - taka uroczysta cisza panowała w tym pałacu.

Czekałem niedługo. Nie można powiedzieć, żeby pałac był zupełnie opustoszały. Słyszałem jak podjechała jeszcze jedna drezyna, i po schodach wbiegła trójka ciepło ubranych ludzi, którzy nie zwrócili na mnie zupełnie uwagi. Potem na krętych trójczłonowych schodach zbiegł milicjant bez czapki, przyciskając do czoła zakrwawioną chusteczkę.

Chciało mi się spać, ale, jak na złość, wystarczyło bym przymknął powieki, gdy od razu przed oczami pojawiała się ogromna tusza sponsora, wydobywającego pistolet, żeby mnie zabić. Ponownie rzucałem się na: z mieczem i budziłem się...

Nie wiem ile czasu minęło, zanim obudziła mnie potrząsając za ramię wystraszona Irka.

- Obudź się! - krzyczała. - Czyś ty zwariował? Coś ty narobił?

- Ja? Co ja...

- Tylu ludzi podstawieś!

- Powiedz sensownie!

- Zaraz powiem, zaraz powiem, zaraz się dowiesz! - W jej głosie usłyszałem groźbę.

Wciągnęła mnie przez drzwi w biały korytarz. Na jego końcu stał człowiek z automatem w skórzanym ubraniu. Irka nie odpowiedziała na jego pytanie, odepchnęła go i znaleźliśmy się w pokoju.

W fotelach dokoła niskiego owalnego stołu, na którym znajdowały się butelki i szklanki, rozlokowała się Markiza, nadzorca Henryk i nieznany mi kłown, podobny do Achmeta. Irka zatrzymała się w progu, nie wypuszczając mojej ręki.

- On niczego nie rozumie - powiedziała zdecydowanie. - To jest zupełny i skończony idiota.

- Poczekaj, nie wszystko na raz. - Nie ruszając się z fotel - w fotelu była o wiele bardziej podobna do pięknej kobiety - Markiza wyciągnęła w moim kierunku dłoń o długich szczupłych palcach. - Połóż swój miecz. Siadaj, pupilku. I opowiedz, co nawyrabiałeś na stadionie.

- Przecież wszyscy widzieli - powiedziałem. - To była uczciwa walka. On zgniótł Dobrynię

i chciał mnie zabić. A ja nie lubię, kiedy mnie zabijają.

- Jakiś pewny siebie - uśmiechnęła się Markiza. - Jeszcze niedawno niczym szczenię.

- Minęło prawie pół roku, pani - powiedziałem. - Pół roku jestem gladiatorem.

- I zabiłeś sponsora?

- Bronilem się.

- A potem?

- Uciekł, a ja go spotkałam - powiedziała Irka.

- To znaczy, że nie wiesz, co było dalej na stadionie? - zapytała Markiza.

- A co?

- Całe szczęście, że siedziałem przy wyjściu - powiedział Henryk. - Nie uratowałbym się inaczej. Sponsorzy kazali milicji otoczyć stadion, żeby nikt nie uciekł.

- To znaczy, że pan widział, jak do mnie strzelali! I słonia zabili!

- Gliniarza opatrzyliście? - zapytała Markiza.

Henryk wstał i zerknął przez uchylone drzwi do jakiegoś pomieszczenia. Wszedł widziany już przeze mnie milicjant, miał obandażowaną głowę.

- Gdzie jest kasetka? - zapytała Markiza.

- Tutaj.

Wyjął spod bluzy kasetę i podał stojącemu Henrykowi.

- Głowa boli? - zapytała Markiza.

- Nieźle.

- Nie przyuważyli cię?

- Mieli co innego na głowie.

Henryk podszedł do wielkoekranowego telewizora stojącego w rogu. Włożył kasetę do odtwarzacza.

Wszyscy milczeli.

Nikt tego nie powiedział, ale zrozumiałem, że ci ludzie w jakiś sposób nagrali to, co się wydarzyło na stadionie.

Henryk włączył telewizor.

Patrzyliśmy na stadion z góry.

- Włączyliśmy dopiero pod koniec, wcześniej nie było potrzeby - powiedział milicjant.

- Widzę - odpowiedziała Markiza.

Obraz z obiektywu przybliżał się szybko. Zobaczyłem leżącego na ziemi martwego sponsora. I siebie - malutkiego. I słonia przy krawędzi stadionu.

Obrazowi nie towarzyszył dźwięk, tylko cicho szeleściła taśma.

Zobaczyłem siebie: oto uciekam z pola; sponsorzy rwą się na płytę stadionu, wyciągają pistolety. Zobaczyłem, jak zielone nici zaczynają łączyć pistolety i uciekających z areny gladiatorów.

Niektórzy padali. Wydawało mi się, że zobaczyłem jak upadł Batu-chan.

Kilka promieni wgrzyzło się w słonia. Zwierzę kiwnęło się i upadło na kolana, słoń starał się unieść trąbę, ale ta już się go nie słuchała. Wolno zwałił się na bok i zamarł.

W pokoju wszyscy milczeli nie odrywając oczu od ekranu.

Widać było jak widzowie - pstro ubrani ludzie, zgięci w pół, biegną do wyjść, kłębią się tam. ale milicjanci ich nie wypuszczają ze stadionu. Wrota areny i wyjścia wolno zamykają się grubymi kratami.

- O co im chodzi? - zapytała Markiza.

Nikt jej nie odpowiedział.

Ludzie na stadionie rzucili się do krat; widać było jak wymachują jakimiś legitymacjami i przepustkami, najwyraźniej świadczącymi o ich szczególnym statusie czy wysokim stanowisku. Milicjanci również znaleźli się wewnątrz stadionu i niektórzy z nich, widząc, że znaleźli się w pułapce, przygotowanej dla widzów, również zaczęli szarpać za kraty.

Wyjścia zostały otwarte tylko na piętrze łóż, gdzie siedzieli sponsorzy.

Na sygnał wszyscy oni podnieśli się i skierowali do wyjścia. Niektórzy co sprytniejsi z ludzi, przeskakiwali przez barierki i pognali w kierunku łóż, ale sponsorzy byli na to przygotowani. Przy każdym wyjściu do ostatniej chwili zostawał jeden, który z zimną krwią rozstrzeliwał tych, którzy zbliżali się do balustrady. Tych, co mimo to przedostawali się do łóż, sponsorzy dobijali pięściami.

Towarzysząca obrazowi cisza w żaden sposób nie pomniejszała grozy, jaka nas opanowała, gdy patrzyliśmy jak ludzie gniołają jeden drugiego o kraty.

- Ale po co, po co? - wykrzyknęła Irka.

- Zamilcz - powiedział Henryk.

Jedna po drugiej opadły wszystkie kraty na piętrze łóż. Teraz na stadionie pozostali tylko ludzie.

Ciągle starali się jakoś wydostać - ktoś wspiął się na ostatni poziom, ale skok stamtąd oznaczał pewną śmierć - pięćdziesiąt metrów do asfaltu.

Wtedy zobaczyłem niewielki śmigłowiec pomalowany na dziwny liliowy kolor z jaskrawym pasem wzdłuż korpusu.

Zawisł nad stadionem.

Spod kadłuba w dół pociekły stożki jakiejś pary czy gazu, para była bezbarwna, ale niezupełnie przezroczysta, i po minucie cała czasza stadionu wypełniła się białawym kisielom.

Kisiel osiadał wolno, jakby przechodząc w stan ciekły, w - w miarę jak odkrywały się poziomy stadionu - odsłaniały się ciała nieruchomych ludzi - jakieś różnokolorowe ubrania!

Potem gaz osiadł w kałużach na zielonej murawie areny. Tam leżał słoń, obok - jego poganiacz, dalej wszyscy moi towarzysze ze szkoły gladiatorów: i dobry felczer, i Prupis, i niewolnik, który przynosił zimną wodę. Tam też leżały ciała białych Murzynów. Na całym stadionie nie było widać żywej duszy...

Milczeliśmy.

Potem Henryk powiedział do mnie:

- Ileż zgubiłeś ludzi!

- Nikogo nie zabiłem!

- Wystarczył jeden sponsor.

- Oni mścili się za niego? - Dopiero w tej chwili dojrzałem związek mojego czynu z tragedią na stadionie. Jakkolwiek dziwne by się to wydawało - wcześniej o tym nie myślałem.

- Nie, głuptasie - powiedziała Markiza. - Oni się nigdy nie mszczą.

- No to nie rozumiem!

- Ani jeden żywy świadek nie powinien wiedzieć, ani nawet się domyślać, że człowiek może, ma prawo i możliwość zabicia sponsora. Oni się nie mścili. Bez specjalnego zaangażowania, bez nienawiści i złości, z wyrachowaniem i spokojnie zlikwidowali wszystkich świadków - co do jednego - powiedziała Irka.

- Teraz będą szukali cię, póki nie przeryją całej Ziemi - dodał Henryk.

- Taśmę trzeba powielić - powiedziała Markiza. - I rozesłać do wszystkich komórek.

- Nie śpiesz się - odezwał się Irka. - Pomyślmy, jak postąpić najlepiej. Puść jeszcze raz taśmę. Boję się, że mieliśmy tam znajomych.

- Już, tylko przewinę z powrotem - powiedział milicjant.

- Co za bydlęta! - warknęła Irka. - Rozszarpałabym ich wszystkich własnymi rękami.

- Zdażysz - powiedział Henryk. - Na wszystko przyjdzie czas i pora.

- Puść taśmę dwa razy wolniej - poprosiła Markiza.

Na ekranie pojawił się stadion.

- Tim - poprosiła Markiza - przysuń mój fotel do ekranu.

Podporządkowałem się. Fotel był ciężki, ale na kółkach. Gdy tylko go trąciłem miotnął się w bok. Markiza chwyciła mnie za rękę długimi zimnymi palcami.

- Nie tak ostro!

Patrzyła na mnie roześmianymi oczami, a ja starałem się nie widzieć jej małego tułowia i wyschniętych nóg.

Markiza odwróciła się ode mnie i jakby o mnie zapomniała.

Znowu patrzyliśmy jak ludzie starają się uciec ze stadionu, jak tłuką się o kraty.

- Stój! - polecił Henryk. - Zatrzymaj odtwarzanie.

Obraz na ekranie zamarł.

- Widzisz? - zapytał.

- To są Szeptyccy - powiedziała Markiza. - Wzięli ze sobą na stadion córkę.

Markiza dotknęła długim palcem ekranu.

- A tu z prawej? To nie Wanda Li?

- Nie może być!

- Oczywiście, że Wanda, ma ślub w grudniu.

- Miała mieć w grudniu.

- Bydlaki! - powtórzyła Irka. Stała obok mnie. A ja byłem tak zmęczony, że patrzyłem niby na migoczący obraz na ekranie, ale nie za bardzo już rozumiałem, co się tam dzieje. Kleiły mi się oczy. Gdyby nie głód, usiadłbym w kącie i zasnął.

Nagle Markiza odwróciła się do mnie.

- Odprowadź go - poleciała Irce. - Sama też się wyśpij, Irka. Wyglądasz jak zmora.

- Chodźmy - powiedziała Irka.

Byłem Markizie wdzięczny. Powiedziałem:

- Dziękuję.

Ale nikt mnie nie słuchał, dlatego że Henryk nagle wykrzyknął:

- Patrzcie, patrzcie!

- To niemożliwe! - jęknęła Markiza.

Stłoczyli się przy ekranie, widząc kogoś znajomego.

Irka pociągnęła mnie za rękę.

Wyszliśmy na korytarz. Irka pchnęła drzwi po lewej, za nimi znajdował się mały pokój, w którym stało kilka łóżek przykrytych szarymi kocami.

- Tutaj odpoczywa warta - powiedziała Irka. - Ale teraz ich nie ma. Wycieraj jakie chcesz łóżko.

Nie wybierałem, Położyłem miecz na podłodze przy najbliższym wyrku, runąłem na nie zamknąłem oczy i zamiast tego, żeby zasnąć zacząłem na nowo w myślach przeglądać scenę walki ze sponsorami. Słyszałem, jak Irka przysiadła na łóżku obok.

- Śpij - powiedziała. - Nie kręć się. Policz do stu. Umiesz liczyć? Jak nie, to ja za ciebie policzę.

- Umiem.

- No to licz.

- Nie chcę.

- Koniecznie musisz się wyspać. Nie wiadomo, kiedy będziemy mogli pospać następnym razem.

- Jak mnie znalazłaś?

- Szukałam, to znalazłam! Śpij!

- A co robiłaś w fabryce słodczy?

- Kradłam.

- Co kradłaś?

- Jak będziesz za dużo wiedział, to się szybko starzejesz.

- Daj rękę - poprosiłem.

Nie otwierając oczu wyciągnąłem do niej rękę dłonią do góry, a ona położyła swoją dłoń na mojej. Wiedziałem, że Irka ma pooblamywane krótkie paznokcie, a ręce pokryte siniakami, a na lewej ręce brakuje małego palca.

- Śpij - powiedziała kolejny raz Irka.

- Szkoda czasu na sen.

- Pocałuję cię? - zapytała Irka.

- Pocałuj.

Otworzyłem oczy. Jej twarz znajdowała się bardzo blisko mojej. Pochyliła się, a ja, drugą rękę położyłem na jej głowie, żeby mocniej ją pocałować.

Irka wyrwała się, udała, że się złości.

- Chciałeś mnie rozgnieść, tak? Nie wolno tak mocno - powiedziała. - To nie miłość, a cierpienie. Też mi pupilek!

- Co do tego ma pupilek?

- Myślałam, że wszyscy pupilki są tacy delikatni, wyfiokowani, umyć; miałam koleżankę, nie znasz jej, ona miała przyjaciela jednego pupilka, nie tutaj, tylko na bolszewskiej bazie sponsorów. I ona się z im spotykała. Mówiła, że jest taki delikatny... Bardzo przeżywała, kiedy państwo go wywieźli.

Sen skradał się do mnie. Było mi ciepło i przytulnie. Irka była taka głupia, ale dobra. Poglaskała mnie po głowie.

- A ty nie jesteś wyfiokowany.

Chciałem zapytać czy miała kogoś przede mną, nawet wydało mi się, że pytam. Ale tak naprawdę to już spałem. Co prawda domyśliłem się tego, dopiero kiedy Irka zaczęła mnie poszturchiwać, tarmosić.

- Obudź się, trzeba iść. Słyszysz - trzeba iść?

Markiza czekała na nas w długiej wspaniałej sali podziemnego dworca - stacji metra. Ludzie kiedyś chadzali po tej stacji nie zauważając jej wspaniałości. "Któż to kierował naszym krajem, skoro tylko dla podróży koleją, budowano takie pałace?" - pytałem siebie.

Markiza siedziała w fotelu na kółkach.

Póki schodziliśmy na dół zdążyłem zapytać Irkę:

- Dlaczego ona nie chodzi?

- Nogi ma za słabe.

- A dlaczego jest taka?
- A kto nie ma jakichś felerów? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.
- Ja! - Zabrzmiało to hardo, po szczeniacku.

Irka roześmiała się.

Podeszliśmy do Markizy. Obok fotela stali dwaj ochroniarze w skórzanych ubraniach.

- Co was tak rozśmieszyło? - zapytała Markiza.
- Tim uważa, że jest piękny! - powiedziała Irka.
- Naprawdę tak myślisz? - zapytała Markiza śmiejąc się oczami. Ale - nie wiadomo dlaczego - czułem, że ta sytuacja jej się nie podoba. Nawet po chwili zrozumiałem dlaczego: niełatwo jest kobiecie oceniać cudzą urodę, podczas gdy sama jest garbuskiem z bezwładnymi kończynami.
- Nie myślę tak, tylko uważam, że nie jestem potworą.
- To to samo - powiedziała Markiza i odwróciła się do zbliżającego się szybkim krokiem Henryka. Jego obcasy wybijały precyzyjny rytm.
- Już - powiedział podchodząc. - Będzie czekał przy wejściu do stacji "Sokolniki".
- Sam?
- Tak obiecał.
- Nie chcę ryzykować.
- Sądzę, że nie ryzykujemy - powiedział Henryk. - Myślę, że on jest wściekły i wystraszony.
- W ciągu jednego dnia straciłam tuzin przyjaciół. Nie wybaczę mu tego.
- Posłuchamy, co on powie. Już czas!

Henryk zerknął na zegarek. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego zegarka.

Na jego znak ochroniarze powieźli fotel Markizy do dreżyny. Kiedy wturlali go na nią ustawili się po bokach, a kierowca dreżyny włączył silnik. Zajęliśmy miejsca z tyłu. Wybijając wesoły rytm na złączach szyn, dreżyna potoczyła się do przodu.

Przez jakiś czas wszyscy milczeli. A kiedy Markiza zaczęła mówić to jej pierwsze słowa były dla mnie zaskoczeniem:

- Gdy wyjdziemy, zostawisz miecz tutaj. Damy ci potem lepszą broń niż ten kawałek metalu.

- To nie kawałek metalu - odparłem. - To bojowy miecz. Zabiłem nim sponsora.

- Lepiej na ten temat milcz - powiedziała rozdrażniona Markiza. - Przez twoją głupotę straciliśmy ludzi o wiele bardziej przydatnych niż ty.

Zmilczałem. Nie chciałem się sprzeczać. Wiedziałem, że gdyby wszystko się powtórzyło postąpiłbym dokładnie tak samo.

- Niech sobie chodzi z mieczem - powiedział Henryk. - Prędzej wpadnie.

- Nie chciałabym go stracić - powiedziała Irka.

Drezyna stopniowo rozpędzała się, tunele rozgałęziały się, przecinały, ze dwa razy musieliśmy stawać, a kierowca przestawiał zwrotnice. Po drugiej zwrotnicy drezyna zaczęła gwałtownie przyspieszać, stukot kół przekształcił się w miarowy huk. Wiatr uderzał w twarze. Trudno było mówić.

- Trzeba zrobić osłonę! - krzyknęła Markiza.

- Nijak nie możemy zdobyć takiego kawałka szkła - odkrzyknął kierowca.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem. - Wieziecie mnie dokądś, a objaśnić nikomu się nie chce.

Markiza roześmiała się.

Potem krzyknęła:

- Jak będziesz za dużo wiedział, to się szybko starzejesz!

Henryk pochylił się do mnie i powiedział wprost do ucha:

- Powinniśmy się spotkać z tym, kto wie o wydarzeniach na stadionie o wiele więcej niż ty i my.

Drezyna zwolniła odrobinę. Minęliśmy jeszcze jeden pałac, co prawda nieco skromniejszy niż pierwszy i oświetlony ledwo-ledwo - jedną czy dwoma żarówkami.

Jeszcze jeden przejazd po czarnym tunelu - wydał mi się nieskończenie długim - i drezyna zatrzymała się przy peronie następnej stacji. Też była skromnie oświetlona, jak poprzednia. Nie pamiętam jak wyglądała - w każdym razie skromniejszy i mniejsza niż pierwsze z widzianych przeze mnie pałace, zapamiętałem natomiast jej nazwę - po ścianie tunelu naprzeciwko peronu wyklejone były litery, składające się na słowo "Sokolniki". Pewnie stąd pochodziła drużyna gladiatorów, z którą walczyli moi bohaterzy! I nagle zrobiło mi się smutno, ale tak, że aż zakłuło mnie w piersi: nigdy więcej nie zobaczę swoich towarzyszy, nie będę się bał brutalnego Dobryni, nie pogadam ze skromnym cichym Batu-chanem, nie zrobię nowego pejcza Prupisowi...

- Nie zatrzymujcie się - zwróciła się do mnie i Irki Markiza. Jej wózek już wytaczał się na peron, podjechał do schodów, ochroniarze chwycili za fotel z dwu

stron i zaczęli szybko wspinać się po schodach. Nie miałem prócz miecza nic do niesienia, ale ledwo dogoniłem tych dwóch olbrzymów.

Kiedy już zupełnie się zaspiałem przede mną pojawiło się dzienne światło. Szybko przemierzaliśmy jeszcze jeden korytarz, potem dwa marsze schodów i wyszliśmy na górę. Przez ostatnie godziny tak odwykłem od dziennego światła, że musiałem zamknąć oczy.

Potem otworzyłem je i rozejrzałem się.

Staliśmy na szerokim placu, po bokach którego wznosiły się ruiny zapewne niegdyś wysokich budowli. Z lewej widoczna była niemal cała cerkiew, w przed nami - gęsta zieleń dużych drzew. W tamtą stronę prowadziła częściowo oczyszczona dróżka.

Dokoła żywej duszy.

Ochroniarze poturlali fotel z Markizą po ścieżce w kierunku drzew. My szliśmy z tyłu. Nie zadawałem więcej pytań. Przyjdzie czas - dostanę odpowiedzi. Irka wyciągnęła rękę i pociągnęła mnie, nie rozumiała dlaczego zostają z tyłu. A mnie po prostu wszystko interesowało.

W końcu nigdy w życiu nie chodziłem po Moskwie. Prupis juniorów nie puszczał do miasta, a na zawody jeździliśmy autobusem.

Rozumiałem, że Moskwa była kiedyś olbrzymim miastem - jechało się przez nią godzinę czy więcej, a z zarośli ciągle wylaniały się zęby wielopiętrowych domów.

W krzakach naprawo od nas coś zaszeleściło.

Ochroniarze natychmiast postawili fotel i chwycili za pistolety. Ciemna tusza przewalała się przez krzaki.

- Nie strzelać! - rozkazała Markiza. - Nie możemy ściągać na siebie uwagi.

- Ucieknie - z zalem powiedział Henryk.

- A co to jest?

Nikt minie zdążył odpowiedzieć, ponieważ z krzaków na otwartą przestrzeń wylały wyliniały, wcale nie wyglądający groźnie niewielki niedźwiedź brunatny. Wyglądał na rozeźlonego, dlatego nie uciekał, a zatrzymał się na naszej drodze i zaczął mrużyć wolno kiwając głową.

Wszyscy zamarliśmy - zwióz stał na naszej drodze, a ochroniarze nie odważali się strzelać.

- Diabli nadali - powiedział Henryk stojąc obok mnie. - Gdybym był młodszy...

- Tim! - jęknęła Irka. - Gdzie? Stój!

Ale już szedłem, dlatego że tylko ja mogłem odpędzić niedźwiedzia. I tylko ja miałem prawdziwy miecz bojowy, którym powaliłem sponsora. Nie bałem się i nie czułem się bohaterem - niedźwiedź nie był specjalnie duży, a ja nieźle władałem mieczem.

Zwierz jakby czekał na bój - wywołał mnie na pojedynek. Gdy zbliżyłem się do niego wstał na tylnych pałach i straszliwie ryknął.

Posuwałem się wolno do przodu z uniesionym mieczem i szukałem wzorkiem miejsca na piersi niedźwiedzia, w które należało trafić mieczem - w serce. Moje serce biło równo i spokojnie - odczuwałem chłodne szczęście myśliwego, który idzie na godnego siebie przeciwnika.

Czułem, że wszyscy zamarli, starają się nie oddychać.

Jest to miejsce - pod lewą łapą!

Zbliżyliśmy się do siebie - zaraz będę musiał zrobić wypad, nie czekając póki niedźwiedź zrobi to pierwszym...

Ale w tym momencie niedźwiedź zachował się zupełnie nie tak, jak się powinien zachować - potężny drapieżnik: opadł na cztery łapy i trzęsąc wychudłym wyliniałym zadem rzucił się w gęstwinię.

Z pewnym żalem opuściłem miecz. Czułem się trochę, jakbym to ja stchórzył, a nie niedźwiedź. Pomyślałem, że pewnie wyglądam śmiesznie.

Z tyłu ludzie poruszyli się, zaczęli mówić.

- Dziękuję, Lancelocie - powiedziała Markiza.

Odwróciłem się i poszedłem w kierunku fotela.

- Nieźleś go postraszył - powiedział Henryk.

W dziennym świetle zobaczyłem, jaką ma bladą, niezdrową cerę, twarz pobrużdżoną cieniutkimi zmarszczkami. I rzadkie szare włosy. Tutaj, w bezlitosnym blasku dnia, wszystko wyglądało inaczej niż w podziemiu w mętym świetle lamp. Tylko Irka się nie zmieniła - widziałem ją przecież już i w dzień i w nocy. Była blada, przez powiekę i policzek biegła blizna, wargi rozchylone i widać, że my wybite przednie zęby... Ale Irka podobała mi się właśnie taką i nie widziałem w niej żadnych zmian. Natomiast Markiza, królowa półmroku, wiele straciła w świetle dnia. Jej cera miała ziemisty odcień, wargi spękane, jakby nieustannie je podskubywał zębami, pod oczami ciemne plamy, a na skroniach - błękitne żyłki.

Tylko jej oczy się nie zmieniły - dalej śmiały się, choć dałbym sobie głowę uciąć, że wyczytała w moich oczach rozczarowanie i że jest jej z tego powodu nieprzyjemnie.

- Podejdź do mnie! - poleciała Markiza.

Podszedłem wlokąc za sobą miecz.

- Jesteś moim bohaterem - powiedziała Markiza. - Jestem ci wdzięczna. Pochylił się.

Pochyliłem się.

- Niżej! - W jej głosie zadźwięczał metal. - Na kolano!

Ujęła moją głowę szczupłymi palcami, przyciągnęła i pocałowała w czoło.

- Zuch jesteś - powiedział Henryk, gdy wstałem z kolan. - Gdybym był młodszy też bym się wykazał.

- Nie kombinuj! Uciekłbyś - powiedziała Markiza.

- Miałem bojowy miecz - przypomniałem, żeby obronić Henryka. Lubilem go, a Markiza niesprawiedliwie go krzywdziła.

Irka milczała.

- A teraz szybko do przodu! - rozkazała Markiza. - Spóźniamy się.

Bez przygód dotarliśmy do dużych drzew.

- To jest park "Sokolniki" - powiedział Henryk jakbym go zapytał dokąd przyszedliśmy.

- Park? - zapytałem.

- Miejsce, gdzie chodziło się na spacer.

Z trudem powstrzymałem się od uśmiechu - wyobraźcie sobie człowieka, który dobrowolnie idzie spacerować po ciemnym lesie, gdzie czają się zwierzęta, rusałki, wampiry i cała ta siła nieczysta!

Z prawej mieliśmy otwarty plac. Zobaczyłem na nim mały sponsorki śmigłowiec, takich maszyn używają sponsorzy, gdy załatwiają sprawy służbowe.

Ominęliśmy helikopter i weszliśmy pod wysoki, w kilku miejscach uszkodzony dach. Ze wszystkich stron otaczały go drzewa, dlatego pod dachem panował półmrok i nie od razu zobaczyłem, że czeka na nas sponsor.

Zamarłem owładnięty przemożnym strachem. Wydarzenie, które miało miejsce na stadionie, już całkowicie wywietrzało z mojej głowy - przecież działałem tam w gorączce bitwy, przepełniony strachem o siebie i gniewem za Dobrynię. Teraz wszystko wróciło na swoje miejsce, i od razu poczułem się jak pupilek, którego można ukarać albo pozbawić obiadu. Zatrzymałem się wcześniej niż fotel Markizy. I marzyłem o tym, żeby sponsor mnie nie zobaczył, o zobaczywszy - nie rozpoznał. Chciałem wyrzucić miecz, straszną poszlakę.

"Zaraz mnie wydadzą! - zrozumiałem nagle. - Jestem w pułapce! Wydadzą mnie, sponsor mnie rozszarpie, a oni zostaną nagrodzeni".

Stałem obok Irki. Uginały się pode mną kolana.

Henryk wystąpił do przodu.

- Nikt nas nie śledził - powiedział.**
- Wierzę - powiedział sponsor. - Dzisiaj jest niedobry dzień.**
- Gorszy już być nie może - zgodziła się Markiza.**

Sponsor wolno przesuwając spojrzeniem po naszej grupce. Jak wszyscy sponsorzy poza domem nosił małe czarne okulary, wyglądało to komicznie.

To był wysokopostawiony sponsor. Z trzema paskami na czole i pomarańczowym kręgiem na piersi. Z dwoma paskami widziałem jednego - przyjechał w gościnę do sąsiada, i wszyscy sponsorzy gadali o tym wydarzeniu przez kilka dni. Ale z trzema paskami - takich nie ma! To jakby zobaczyć niemowlę z dwoma głowami. Pomarańczowy okrąg wskazywał, że sponsor należy do Zarządu Ekologicznej Obrony. Pani Jajbłuszko wiele razy marzyła na głos, że pana Jajbłuszko przenoszą do Zarządu. Tam są zupełnie inne warunki!

- Sijniko, kto kazał wymordować ludzi? - zapytała Markiza gwałtownie, jakby miała prawo do zadawania pytań. Malutki człowiek, rozmawiający takim tonem ze sponsorem, wydawał mi się szczeniakiem ujadającym na tygrysa. Szczeniaki jest głupi, a Markiza mądra. Ale pytanie jej było bezczelne, nieznośne, niedopuszczalne, dlatego że wszyscy wiedzieliśmy - ludzi kazali wymordować sponsorzy. Przy tym zapytano o to sponsora. Odruchowo chwyciłem rękojeść miecza, oczekując że sponsor rozszarpie Markizę. Ale sponsor był zupełnie spokojny. Nawet więcej - zanim odpowiedział wolno usiadł na ziemi, tak że jego głowa była teraz na poziomie mojej i Markiza nie musiała teraz zadzierać głowy rozmawiając z nim. Jeśli nigdy nie spotkaliście sponsora, to możecie się zdziwić widząc takie zachowanie, ale ja wiem, że dla sponsorów nie istnieją takie pojęcia, jak "wstyd", "niezręczność". Sponsor nie może powiedzieć: "To nie wypada". Wypada wszystko, co jest wygodne.

- Domyślasz się - powiedział sponsor.**
- Nie można było powstrzymać tego morderstwa?**
- Nie było mnie tam. I nie było też nikogo z moich ludzi. Uderzenie było zaskakujące. Formalnie oni są w porządku: prawo ponad wszystko. Sponsora nie wolno zabić. Jeśli ktoś to widział - musi umrzeć. Dla dobra innych. Dlatego że jeśli ludzie zobaczą, jak zabito sponsora, to zechcą zabijać innych.**
- I ty w to wierzysz?**

- Oczywiście. Dowolne państwo może się utrzymać tylko dzięki prawu. Z drugiej strony, znakomicie rozumiem, że doszło do fatalnej pomyłki. Zginęli nie ci ludzie. Dlatego miejmy nadzieję, że nikt się tego nie dowie.

- A jak to sobie wyobrażasz? Ludzie poszli z domów na stadion. Natomiast ze stadionu przynoszą ich zwłoki. Jak to sobie wyobrażasz?

- Nieszczęśliwy przypadek - powiedział sponsor. - Nikt nie zna przyczyny.

- Czy ty jesteś tak naiwny?

- Ani jeden świadek napaści na sponsora nie uszedł z życiem.

- Wierzysz w to?

- Tak - twardo oświadczył sponsor, ale jego okulary wpiły się we mnie, a po drzeniu jego szyi zrozumiałem, że jest bardzo zdenerwowany i bezradny. Ciekawe, czy moi współtowarzysze też to wiedzą?

Na znak Markizy Henryk zrobił dwa kroki do przodu i podał sponsorowi wideokasetę.

- Co to jest? - zapytał tamten.

- Na tej kasecie jest nagrane wszystko - od pierwszej chwili do ostatniej.

- Uruchomiliście latające oko? Po co? I nikt go nie zauważył?

- Twoi przyjaciele mieli inne zmartwienia. Wiesz, że przy okazji zlikwidowano połowę moskiewskiej milicji?

- To straszne - powiedział sponsor. Otworzył pięść i popatrzył na kasetę.

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie ostatnia kopia.

- Rozumiem - powiedział sponsor. Był załamany.

Pod dachem zapanował cisza.

- Jak sama rozumiesz - powiedział w końcu sponsor zwracając się do Markizy - ci, co zrobili to, zrobili - świadomie. Dlatego, że są przeciwnikami naszego zbliżenia z ludźmi.

- Wiem - powiedziała Markiza. - Dlatego byłam zdziwiona, że ich bronisz.

- Jestem jednym z nich. - Sponsor Sijniko uśmiechnął się - skóra na czole zebrała się w gruchę. - Moje intelektualne opinie, mój rozum, moje przekonanie, że możemy utrzymać Ziemię tylko jeśli będziemy współpracować z lojalnymi ludźmi - wszystko to usuwa się na dalszy plan, gdy powstaje zagrożenie dla mojej rasy.

Pod zadaszeniem znowu zapanowała cisza. Zakłóciła ją Markiza.

- Dla mnie ważne jest wiedzieć - powiedziała - czy to było działanie wściekłego idioty czy pozbawionego humanitarnych odruchów formalisty? A może za tym stoi Ajletiko, a wtedy to jest świadoma akcja i od dzisiaj wasza polityka się zmieni?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - powiedział sponsor Sijniko. - Nie mam dowodów.

- Powinieneś wiedzieć. Od rozwiązania tego problemu zależy nasze przyszłe postępowanie.

- Nie śpieszcie się.

- Mamy atuty.

- Jesteś pewna, że to atuty?

- Chcieliście, żeby zginęli wszyscy, którzy widzieli śmierć sponsora. Posunęliście się nawet do wytrucia połowy moskiewskiej milicji...

- Przecież wiesz, że nie mam z tym nic wspólnego!

- Ale jesteś odpowiedzialny!

- Mamy odmienne zasady moralności - oświadczył sponsor - dlatego trudno jest nam ze sobą dyskutować.

- To co się stało jest dla was niewygodne, niezależnie od waszych zasad. Istnieje taśma z zapisem przestępstwa.

- Mów dalej. - Sijniko zaniepokoił się.

- Mamy też inny argument.

- Wiem. - Sponsor Sijniko pogłaskał ręką grzebień, oznaczało to, że jest zadowolony ze swojej przenikliwości. - Wiem, że za twoimi plecami stoi gladiator, właśnie ten, który popełnił zbrodnię. Ku mojemu zdziwieniu udało ci się go przejąć. Dlatego podejrzewam, że wszystko, co się stało na stanie zostało zaplanowane i zrealizowane przez ciebie, Markizo!

- Nie gadaj bzdur, Sijniko.

Byłem zszokowany tonem, w jaki prowadzona była to rozmowa. Rozmówcy zwracali się do siebie jak starzy znajomi. Nie mogłem zrozumieć, jakie, w końcu, stosunki panują pomiędzy słabą Markizą i potężnym sponsorem. W każdym razie wyglądało na to, że Markiza się go nie boi albo dobrze udaje, że się nie boi.

- Gladiatorze, podejdź do mnie - powiedział pan Sijniko.

Zerknąłem na Markizę.

- Idź, nie bój się.

- Ja się nie boję - powiedziałem, ale bałem się, ponieważ byłem pupilkiem i wiedziałem, że kiedy pan lub pani cię wołają, musisz grzecznie iść, nawet jeśli w perspektywie jest lanie.

- Powiedz mi - powiedział sponsor wpijając się w moje oczy czarnymi okularami - czy znałeś Markizę wcześniej, przed zostaniem gladiatorem?

- Widziałem ją - przyznałem się.

- Czy zrobiłeś wszystko na jej polecenie? - Czarne okulary skrywał oczy. Było to mało przyjemne. Nie mogłem powstrzymać się od udzielania odpowiedzi, chociaż nie chciałem mu odpowiadać.

- Nie miałem żadnych rozkazów. Bronilem Dobryni.

- Przestań go przesłuchiwać, Sijniko - usłyszałem głos Markizy. - Niczego przed tobą nie ukrywamy. Lancelot może być głównym atutem w grze.

- Rozumiem - zgodził się sponsor. - Ale na twoim miejscu nie ukrywałbym go.

- Dlaczego?

- Bo on jest teraz niczym gorący kartofel - chwycisz go to się poparzysz. Szuka go teraz cała milicja.

- Jej resztki?

- Nie trzeba ich niedoceniać. Jego zdjęcia ma każdy milicjant i tajny agent. Podejrzewają, że ukrył się w metrze.

- Zdążyli!

- Radzę ci - rozstań się z Lancelotem.

- A jak myślisz - po co go wzięłam ze sobą?

- Żeby mi pokazać. Może żeby szantażować mnie.

- Głupi jesteś. - Markiza uśmiechnęła się. - Chcę, żebyś zabrał Lancelota ze sobą i ukrył go. Na razie.

- Zwariowałaś! To przestępstwo!

- Nie pierwsze i nie ostatnie przestępstwo. Za przyjaźń ze mną trzeba płacić. Siedzimy w jednej łódce, sponsorze.

- Ale ja nie mam gdzie go schować!

- Właśnie ty możesz go schować. Wiesz, kim był Lancelot, zanim trafił do gladiatorów?

- Skąd mogę wiedzieć, skoro nie jest z dobrej rodziny?

- Wcale nie jest z rodziny.
 - Ze stadniny? - Sponsor od razu się nastroszył.
 - To jest zbiegły pupilek.
 - Pół roku temu? - Sponsor zwrócił na mnie swoje czarne okulary. - Byłeś pupilkiem pana Jajbłuszko?
 - Tak - odpowiedziałem. - W Puszkino.
 - Dziwny młody człowiek - powiedział sponsor przekrzywiając na bok głowę. - Chciałbym rozkręcić cię na drobne śrubki i sprawdzić czym się różnisz od pozostałych ludzi. Czy ty wiesz, że jesteś pierwszym w historii naszej przyjaźni pupilkiem, któremu udało się uciec z powodzeniem?
 - To nieważne.
 - A potem został gladiatorem i... nawet zabił pana! Koniecznie muszę przejrzeć twoją kartę genetyczną.
 - No właśnie - powiedziała Markiza. - W swojej stadninie.
 - To niebezpieczne!
 - To jest najbezpieczniejsze miejsce!
 - Nie mogę tak ryzykować.
 - Komu przyjdzie do głowy szukać pupila w stadninie pupili? - wtrącił się milczący od dłuższej chwili Henryk.
 - A kiedy cała ta wrzawa ucichnie wezmę go do siebie - powiedziała Markiza. - Mnie też się przyda.
 - Może coś i jest w tej propozycji... - zawahał się sponsor.
 - To nie propozycja. To prośba, której nie możesz odmówić... Do roboty.
 - Sam na sam!
 - Zgoda - powiedziała Markiza. - Henryku, dopilnuj, żeby moi chłopcy i Lancelot odeszli trochę dalej od zadaszania. Potem wrócisz tu.
- Henryk skinął na nas. Wyszliśmy z Irką spod dachu. Za nami szli ochroniarze w skórzanych ubraniach.
- Zawołam was - powiedział Henryk. - Nie odchodźcie nigdzie.
- Ostatni słowa skierowane były do ochrony.

Byłem zdenerwowany, bałem się. Obawiałem się podstępny, pułapki. Jeśli wydam im się niebezpieczny, to zabiją mnie, to było jasne. Ale nie wiadomo, na ile jestem im potrzebny dzisiaj.

- Stadnina? To śmieszne - rzekła Irka. - Pochodzisz stamtąd. I tam wrócisz. Pamiętasz, pupilku, stadninę?

- Nie. Byłem mały, miałem dwa lata, kiedy mnie stamtąd zabrali. A co ja tam będę robić?

- Znowu będą cię przygotowywali do roli pupilka - roześmiała się Irka.

- A kim jest ten sponsor? Wiem, że jest z Zarządu Obrony Ekologicznej. To wysoki urzędnik.

- Ja też tyle wiem. Prócz tego wiem, że jest mocno związany z Markizą. Prowadzą wspólne interesy.

- Jakie interesy?

- O tym nie będziemy rozmawiać.

- A na jak długo... wpakują mnie do stadniny?

- Póki nie ustanie ten zamęt.

- Nie chcę tam iść.

- Przyjadę do ciebie, chcesz?

- A możesz?

- No, nie jestem w podziemiu nic nie znaczącym człowiekiem - oznajmiła Irka z pewną dumą.

- Gdyby tak było, to nie harowałabyś w fabryce słodyczy - powiedziałem.

- Robię to, co trzeba zrobić. Myślisz, że jest nam lekko?

- Komu nam?

- Tym, którzy nie chcą, żeby sponsorzy tu byli.

- Czy to w ogóle jest możliwe?

- Nie dziś, może nie jutro, ale na pewno kiedyś ich przepędzimy.

- To śmieszne!

- Markiza targuje się z Sijniko. Są sponsorzy, którzy rozumieją, że bez ludzi nie dadzą sobie rady na Ziemi.

- A inni też są?

- Zadajesz pytanie, na które znasz odpowiedź. Oczywiście, że są. Ci chcą, żeby ludzi w ogóle na Ziemi nie było. Tyle tylko, że boją się Centrum Galaktycznego.

Wtedy pierwszy raz usłyszałem te dwa słowa. Od razu pojąłem, że istnieje siła, przed którą korzą się sponsorzy.

Irka zerknęła w stronę zadaszania. Rozmowy tam prowadzone przeciągały się. Ochroniarze siedzieli na trawie. Irka była blada. Popatrzyłem na nią.

- Rzadko bywamy na górze - powiedziała Irka. - Zupełnie słońca nie oglądamy.

- Dlaczego?

- Jak złapią wywiozą do kopalni.

Już wiedziałem, że nie zawsze ma sens wypytywanie. Jeśli czegoś nie rozumiem, to i wytłumaczenia są niezrozumiałe. Muszę sam kombinować.

Promienie Słońca przebijały się przez gęstwinę żółknącego już listowia starych drzew.

- A co sponsorzy tu robią?

- Ratuja - odpowiedziała Irka.

- Co ratują?

- Ratuja przyrodę. To ich sztandarowe przesłanie.

- I zabijają ludzi?

- Dla nich przyroda jest ważniejsza niż wrogowie przyrody. Nie zrozumiesz tego.

- Słyszałem o tym codziennie. Sponsorzy przemieszczają się z planety na planetę, ratują przyrodę przed barbarzyńcami!

- No właśnie. - Irka uśmiechnęła się krzywo. - Ratuja przed nami.

Położyła się na trawie i patrzyła w błękitne, jasne wrześniowe niebo.

- Może ja i Markiza polecimy do sponsorów - powiedziała nagle. - Sijniko obiecał.

- Po co?

- Markiza dostanie tam owe ciało... Mnie też tam podreperują.

- Po co ci to? - zapytałem.

- Nie poznasz mnie wtedy. Opadnie ci szczena, jak zobaczysz moją urodę.

Irka roześmiała się. Te wybite przednie zęby sprawiały, że była podobna do młodej staruszki.

- Hej! - krzyknęła spod dachu Markiza. - Chłopcy, weźcie mnie!

Ochroniarze poderwali się i pobiegli pod dach.

Pierwszy wyszedł sponsor, za nim ochroniarze popychali fotel, obok którego szedł Henryk, blady, wyprostowany i uparty.

- Tim, podejdź do mnie - powiedziała Markiza.

Podszedłem. Chwyła mnie za rękę.

- Pokładam w tobie duże nadzieje - powiedziała. - I będę czekać. Jak tylko niebezpieczeństwo się skończy, wrócisz do mnie. Dobrze.

- Dobrze - odpowiedziałem.

- Nie będzie ci łatwo - będziesz sam. Ale pamiętaj, że czekamy na ciebie.

- Przywykłem być sam - powiedziałem.

Henryk uściśnął mi rękę. Irka nagle pociągnęła nosem.

- Nie zakochaj się w Lancelocie - powiedziała Markiza śmiejąc się tylko oczami.

- Tego mi tylko brakowało! - Irka machnęła ręką.

Sponsor leciutko trącił mnie wskazującym palcem w szubek głowy. Pokazał w ten sposób, że rozmowy się skończyły i pora iść.

Poszedłem do jego śmigłowca.

Nieoczekiwanie sponsor wyrwał z mojej ręki miecz i cisnął go ochroniarzom.

- Jak to?

- Przechowajcie go do powrotu waszego pupilka - powiedział Sijniko.

Pierwszy wlaźł do kabiny śmigłowca i odsunął grube kolana, żebym mógł ulokować się u jego stóp. Wystartowaliśmy.

Rozdział 6

Pupilek w stadninie

Po raz pierwszy latałem osobistym śmigłowcem sponsora. Widziałem to nie raz z boku, ale nie latałem. Przycupnąłem w wąskiej przestrzeni między nogą pana Sijniko i drzwiami. Noga co i rusz poruszała się, przyciskając pedał, a ja musiałem przyciskać się do drzwi, żeby mnie rozgniotła. Na dodatek przez cały czas bałem się, że drzwi otworzą się i gruchnę w dół jak kawałek betonu.

Dolny brzeg dolnego okna znajdował się na poziomie moich oczu, tak więc nieco unosząc się mogłem patrzeć w dół. Zresztą, nic tam ciekawego nie było - pod nami ciągnął się gęsty las, z którego gdzieś wylaniały się ruiny budynków. Potem las skończył się i na obszernej otwartej przestrzeni zobaczyłem szare kopuły bazy przybyszy. Dalej widniało ich osiedle, zbudowany logicznie, według przymiaru i wylany betonem. Wydawało mi się, że poznaję swój dom, ale - rzecz jasna - przelatywaliśmy nad inną bazą i zupełnie innym osiedlem. Wszak nie ma ich na Ziemi?

Ciało sponsora emitowało szczególną, właściwą tylko sponsorom, ostrą woń, wywołującą u niektórych ludzi wstręt, ale dla mnie zwyczajna i zwykła, jak zapach cytryny czy pieprzu.

- Jak cię zwą, pupilu? - zapytał sponsor. Jego głos rozległ się nad moją głową jak grzmot nadciągającej burzy.

- Kiedy byłem pupilkiem nazywano mnie Tim - powiedziałem. - Gdy stałem się gladiatorem, nazwali mnie Lancelotem.

- Lancelot to jakaś hostroyzna postać? - zainteresował się Sijniko.

- Lancelot to odważny rycerz - powiedziałem. - Bronił słabych i zabijał nikczemników.

- Bardzo się zmieniłeś w szkole gladiatorów.

Było to raczej stwierdzenie, a nie pytanie. Nie mogłem więc odpowiedzieć.

- Ciekawe - kontynuował sponsor nie patrząc na mnie - skuloną u jego stóp istotę w podartej koszuli i krótkich skórzanych spodniach. - Należy cię dokładnie zbadać, jako fenomen. Przecież tyle sił i środków stracono no, żeby powstała z ciebie godna i cywilizowana istota, przedstawiciel najbardziej zbliżonej do nas odmiany ludzi - pupili. I wszystko - #gra nie warta świeczki. Dobrze użyłem przysłowia?

- Dobrze - powiedziałem. - Można jeszcze powiedzieć - psu pod ogon!

Sponsor przemyślał moje słowa, potem zrobił "hu-hu" - roześmiał się i zakomunikował:

- Tak nie powinno się mówić, to nieprzyzwoite.

Sponsor pochylił śmigłowiec, zobaczyłem w oknie dużą otwartą przestrzeń na brzegu rzeki. Pośrodku wznosił się stary kamienny dom z kolumnami, dokoła ciągnęły się szeregi współczesnych betonowych kostek mieszkalnych.

- Tu będziesz mieszkał - powiedział sponsor. - Nikomu ni mów, że jesteś gladiatorem.

- A kim jestem?

- Jeśli będą wypytywać - jesteś pupilkiem, który na prośbę państwa został przywieziony do sprawdzenia. Należy cię leczyć, ale najpierw będziesz badany. Ja będę osobiście się tobą zajmował.

- A pan kim jest?

- Oprócz wielu innych rzecz - dowodzę tym kompleksem - stadniną pupili. To bardzo interesujące miejsce. Wcześniej uważałem, że właśnie tu będzie stworzona rasa przyszlých mieszkańców Ziemi, ale teraz zaczynam w to wątpić.

- Ludzie nie chcą? - zapytałem.

- Ludzi, młodzieńcze, to my nie pytamy.

Odnotowałem, że sponsor pan Sijniko posługuje się o wiele bogatszym językiem rosyjskim, bardziej obrazowym, niż nieznani mi sponsorzy. I w ogóle - podobał mi się. Pewnie dlatego, że w tej chwili całkowicie od niego zależałem. Mógł mnie zabić, mógł wysłać do rakarni i, zapewne, nikt by nie mógł mnie obronić. Przecież jeśli Markiza zapyta, on może powiedzieć, że zmarłem z powodu przeziębienia. Jak można udowodnić, że zostałem zabity? Znowu odżył we mnie pupilek, i miał taką ochotę przytulić się policzkiem do szorstkiej, pokrytej łuskami nogi sponsora, i niechby mnie podrapał za uszami!

Przyłapałem się na takiej myśli i postarałem się ją zdusić - wydawało mmi się, że wystarczy przypomnieć sobie, jak patrzył na mnie wściekły sponsor na stadionie. Którego zabiłem.

Zabiłem i dlatego nigdy nie będę już pupilkiem.

Sponsor Sijniko jakby czytał w moich myślach.

- Pupilkiem już nie będziesz - powiedział. - Dlatego, że jesteś zabójcą. I umrzesz jak zabójca.

Nie zrozumiałem co miał na myśli, ale milczałem, bo bałem się, że otworzy drzwi i nie wywalił mnie z helikoptera. CO to dla niego?

Ze śmigłowca mnie nie wyrzucił, ale kiedy lądowaliśmy tak mocno przycisnął mnie nogą do drzwi, że myślałem, że mnie rozdusi. Nie wiem. Czy to było niechcący, czy z rozmysłem.

Śmigłowiec wylądował na betonowym placyku między szarymi budynkami.

- Wsiadaj - polecił Sijniko - i od razu idź do budynku z prawej. Drzwi są otwarte. Nie zatrzymuj się.

Wykonałem polecenie. Gdy tylko drzwi otworzyły się. Wskoczyłem z helikoptera i szybko poszedłem do otwartych drzwi w szarym sześcianie sponsorowego mieszkania.

Wszedłem do wnętrza. Wiedziałem, jak są rozplanowane pomieszczenia w takim sponsorskim domu - wszystkie te domy są do siebie podobne.

Muszę przyznać, że w pewnych szczegółach dom sponsora Sijniko różnił się od domu sponsorów Jajbłuszko. W naszym domu był tylko duży ekran tiwi i dywany, które tkąła pani. I najprzeróżniejsze drobiazgi - pamiątki z wyjazdów czy poprzednich stanowisk, drobiazgi, które sponsorzy urzędnicy wożą ze sobą z miasta, do miasta. Natomiast w domu Sijniko dominowały książki: małe - ludzkie i olbrzymie, czasem nie do uniesienia - sponsorowe. Zresztą, nie były to książki w naszym rozumieniu - to były książki harmonijki. Wiedziałem z poprzedniego życia, że takich książek sponsorzy już teraz nie produkują - wystarczają im kasety.

Sijniko odgadł o czym myślę.

- Lubię takie starocie - powiedział. - Specjalnie przywożą mi stare książki z domu.

Zamyślony wziął jedną z książek, rozciągnął ją w długie pasmo. Była to widwolumen - obrazki poruszały się: fale uderzały w brzeg, porośnięty podobnymi do dzbanów drzewami. Wszystko to przemknęło i znikło. Sijniko złożył wolumen i zatrzasnął okładkę.

- Zostawiłbym cię, żebyś mieszkał w moim domu - oświadczył. - Interesujesz mnie. Ale mogą powstać płotki i podejrzenia, nikt nie jest ubezpieczony od nich. Szczególnie tutaj.

Czekałem.

- Odprowadzę cię do pomieszczenia, gdzie będziesz sam. Jako szczególnie cenna istota. Ale jeśli zdradzisz siebie i staniesz się dla mnie niebezpieczny, będę zmuszony cię zlikwidować.

Sponsor podszedł do komunikatora. Na ekranie pojawiła się twarz kobiety. Miała na głowie białą czapeczkę.

- Ludmiło - powiedział sponsor. - Przyjdź do mnie, zabierz tego młodzieńca.

- Młodzieńca?

- Potem ci wyjaśnię. - Sponsor rozłączył się i zwrócił do mnie: - Rozbieraj się, rycerzu Lancelocie.

- Nie rozumiem.

- Zdejmuj ubranie. Wróciłeś do sytuacji poprzedniej i znowu jesteś pupilkiem. A pupilki, jak ci wiadomo, nie noszą ubrań.

- To niemożliwe!

- Nie masz wyboru. Zaraz przyjdzie pracownica stadniny, a ja nie chcę, żeby zobaczyła gladiatora Lancelota w stadninie pupili.

Sijniko zdjął czarne okulary. Jego czarne oczka, jak mi się wydawało, szydziły ze mnie.

Rozebrałem się. Ale czułem się kretyńsko - okazało się, że tak przywykłem do ubrania, że bez niego czułem się bezbronny. Poza tym szkoda mi było mojego nożyka.

Weszła młoda kobieta w białym fartuchu.

- To niesprawiedliwe! - wyrwało mi się.

Sponsor nawet nie popatrzył na mnie.

- Proszę umieścić obiekt w ósmym boksie i nie dodawać mu nikogo. Sam będę się nim zajmował.

Dziewczyna miała męską twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, bardzo jasne oczy i cienkie wargi. Włosy miała uczesane z przedziałkiem i ściągnięte do tyłu. Pomyślałem, że pewnie nie wie, co to uśmiech.

- Czy on gryzie? - zapytała Ludmiła.

Zadane poważnym tonem pytanie rozweseliło sponsora.

- Będziesz gryzł. Tim? - zapytał, a jego głos drżał z tłumionego śmiechu. Małe niedźwiedzie oczka błysnęły.

- Jestem gwałcicielem - oświadczyłem dziewczynie.

Zauważyłem, że sponsor, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, co powinien był zrobić wcześniej, chowa moje ubranie za swoimi plecami.

- Nawet nie marz o tym - zakomunikował dziewczyna. - Jestem uzbrojona.

- A poczucie humoru masz?

Dziewczyna popatrzyła na mnie jak na wariata. Poczucie humoru, obecne nawet u sponsorów, w niej nie było odnotowane.

Ludmiła poprowadziła mnie przez szerokie wyasfaltowane podwórko, na którym w porządku, tak lubianym przez sponsorów, były porozstawiane huśtawki, drabinki i inne przyrządy, przeznaczone dla wzmocnienia ciał przyszłych pupili. Szedłem obok niej, starając się odrobinę zostawać z tyłu,

dlatego że krępowała mnie własna nagość, której Ludmiła w ogóle nie zauważała. Moja przewodniczka od czasu do czasu szybko się oglądała, sprawdzając czy nie zamierzam na nią napaść. Szczyrzyłem wtedy zęby, a w jej oczach błyskał lęk.

Z widoczną ulgą wprowadziła mnie do betonowego budynku, otworzyła drzwi do pokoju i nie spuszczać ze mnie uważnego spojrzenia, zapaliła pod sufitem mętną żarówkę. Na podłodze leżał cienki materac.

- Tu będziesz mieszkał - powiedziała.

- A gdzie pościel? - zapytałem, chociaż świetnie wiedziałem, że pupilki, do których znowu należałem, nie dostawali pościeli.

- Obejdiesz się smakiem - powiedziała Ludmiła cofając się.

- Przywykłem przed snem czytać.

- Wchodź do środka! Nie mam czasu! - Jej ręka sięgnęła do pasa. Wiedziałem, że jej pistolet nie zabija, ale paraliżuje. Nie pragnąłem tego. Podporządkowałem się więc. Drzwi za mną zamknęły się z głośnym trzaskiem, szczękniętą zamek. Widocznie tak mówiło się tu dobranoc.

Noc spędziłem niespokojnie. Materac był twardy i czułem przez jego warstwę betonowy chłód podłogi. Wąskie okno było uchylone, a przed świtem zrobiło się tak zimno, że usiłowałem się owinąć materacem, ale nic z tego nie wyszło.

Resztę nocy spędziłem skulony na materacu.

O ósmej stadnina budziła się ze snu - usłyszałem z zewnątrz dziecinne głosy, płacz, ktoś przebiegł po korytarzu. Podszedłem do drzwi i spróbowałem je otworzyć. Były zamknięte. Nikt nie zamierzał mnie wypuścić. Zacząłem podskakiwać, żeby się ogrzać, potem zrobiłem sto pompek. W trakcie tych ćwiczeń weszła do pokoju Ludmiła.

- Chodźmy - powiedziała zamiast się przywitać. - Pokażę ci. Gdzie będziesz jadł.

- Przy psiej budzie, jak sądzę.

Ludmiła wzruszyła ramionami. Zrozumiałem, że uważa mnie za niestabilne psychicznie zwierzę i nie rozumie, dlaczego trafiłem tutaj, a nie do rakarni.

Pokonawszy kolejny raz wstyd z powodu własnej nagości, podążyłem za Ludmiłą.

Przemierzyliśmy ponownie podwórze i znaleźliśmy się u stóp szerokich schodów, które prowadziły do willi z kolumnami nad wejściem. Weszliśmy po schodach i przez szeroki drzwi wkroczyliśmy do hallu, z którego dwie pary schodów prowadziły na piętro, ale nie tam poszliśmy. Skręciliśmy w prawo, do drzwi, zza których donosiły się harmider wywoływany przez wiele głosów i brzęczenie naczyń.

Weszliśmy tam. Znaleźliśmy się w stołówce - obszernym pomieszczeniu, obitym ciemnymi drewnianymi płytami, oświetlonym porannym słońcem, wpadającym przez liczne wysokie okna. Stało tam ze trzy dziesiątki stołów i stolików, przy których siedzieli mieszkańcy stadniny.

Pod oknami siedziały maluchy. Kilka kobiet, podobnie jak Ludmiła, w białych fartuchach krzątało się między stolikami i w razie konieczności pomagało malcom radzić sobie z łyżkami i chlebem. W miarę oddalania się od okien stoły i krzesła stawały się wyższe - nieopodal drzwi siedziały już pupilki w wieku ośmiu-dziesięciu lat, wyraźne przerośla. Jak się potem okazało byli to niezapotrzebowani pupilki. Jeśli jeszcze przez jakiś czas nie będzie na nich wniosków, skierują ich do jakiejś pracy.

Ale większość stolików zajmowały pupilki w wieku od trzech do pięciu lat; właśnie takie zazwyczaj szły do rodzin.

Nie zdążyłem dobrze obejrzeć tego rozgadanego tłumu, ponieważ Ludmiła pociągnęła mnie do kąta, obok okienka wydawki, do dorosłego stołu, przy którym siedział ponury wąsaty brunet, pewnie jakiś miejscowy pracownik. Ludmiła kazała mi sięść, a sama przyniosła zza barierki dwie miski z kaszą, a ponury facet wskazał na pokrojony chleb w misce na środku stołu, jakby wątpił, czy wiem jakie jest właściwe przeznaczenie chleba.

W milczeniu wziąłem łyżkę i zabrałem się do kaszy. Kasza były niedosolona. Zapytałem Ludmiłę:

- Gdzie jest sól?

Ludmiła zerknęła na ponurego typa w fartuchu. Ten powiedział:

- Sól w kaszy już jest.

- Właśnie - dodała Ludmiła. - Mi smakuje.

- Nie pytałem o wasze zdanie - rzuciłem.

Wstałem i poszedłem za barierkę. Znajdowała się tam kuchnia. Przy wydawce stała kobieta w niegdyś białym, teraz zatłuszczonym fartuchu.

- Proszę o sól - powiedziałem.

- A tyś co za jeden?

- Kontroler - powiedziałem.

- O Boże! - jęknęły kobieta. - A mnie nikt nie ostrzegł!

- Proszę, wreszcie, o sól! - rozzłościłem się.

Gruba kuchara przyniosła talerze z solą i podała mi.

Wróciłem do stołu z solą, co wywołało pełne niedowierzania spojrzenia moich sąsiadów, którzy, widocznie, sądzili, że zacznę czerpać sól łyżką. Oboje przestali jeść i wpili się we mnie spojrzeniami.

Posoliłem kaszą i zacząłem jeść ją tak szybko, że w mgnieniu oka znikła z miski.

- Co jeszcze będzie? - zapytałem.

- Herbata - powiedziała Ludmiła posłusznie. Trochę jakby ubyło w niej pogardy.

Jakby słysząc to słowo zza barierki pojawiła się zasmalcowana kuchara, która przyniosła dla mnie duży kubek z herbatą. Sąsiedzi musieli po herbatę udać się sami.

- Pan to w jakim celu? - zapytał ponury wąsacz, siorbiąc herbatę, która wcale nie była herbatą, a napojem, o nazwie przejętej od herbaty.

- Przejazdem - powiedziałem bezczelnie. - Najpierw wszystko obejrzę, a potem pojedę dalej.

- Może pan liczyć na moją pomoc - zakomunikował ponury wąsacz i przedstawił się: - Awtandil Cereteli.

Chcąc widocznie wyrzeć na mnie pozytywne wrażenie kontynuował:

- Kieruję laboratorium.

- A je jestem genetykiem-wychowcą - wtrąciła się Ludmiła. - Przygotowuję dzieciaczki do przyszłego życia.

- Rozumiem - powiedziałem. Jeszcze kilka godzin temu niczego nie pamiętałem ze swojego pobytu w stadninie, w której spędziłem pierwsze dwa lata życia. Teraz pamięć zaczęła stopniowo do mnie wracać. Nie czekając aż moi sąsiedzi skończą śniadanie i Ludmiła powie mi, dokąd mam się udać, wstałem od stołu i poszedłem na piętro domu - wydało mi się, że musi tam znajdować się długi pokój z dwoma rzędami dziecinnych łóżeczek, a ostatnie w dalszym szeregu - moje.

Schody, korytarz i sama sypialnia były puste - wszyscy jeszcze jedli śniadanie.

Pod nogami miałem wytarty tysiącami stóp chodnik; pchnąłem wysokie drzwi. Zaskrzypiały znajomo. Oto i pokój - natychmiast poznałem go i skierowałem się do swojego łóżeczka.

Stałem nad nim i nie mogłem go poznać - właściwie niczego nie mogłem poznać. Moje łóżeczko rozpadło się i stało tam już inne, ale mogłem sobie wyobrazić, że leżę tam i patrzę, jak przesuwają się cienie listowia potężnego drzewa, rosnącego za wysokim oknem...

- Dzień dobry - rozległ się dziecinny głos.

Obok mojej nogi stał malec mniej więcej trzy-czteroletni, kędzierzawa, ryżo stworzenie o wesołym psotnym spojrzeniu.

Malec wyciągnął do mnie rękę.

Uściskałem ją. Moje palce wyczuły coś dziwnego, przyjrzałem się jego dłoni: palce chłopczyka były złączone błoną, na bosych stopach - to samo. Zresztą palce stóp były o wiele dłuższe niż moje.

- Ja tu śpię - zakomunikował malec.

- A ja tu spałem kiedyś - powiedziałem. - Tyle, że to była bardzo dawno.

- Wystraszyłem się - oświadczył malec. - Powiedzieli mi, że przyjechał niedobry wujek, który sprawdza, jak są pościelone łóżeczka. A moje nie jest dobrze pościelone.

- Nie bój się - powiedziałem. - Masz świetnie zaścielone łóżeczko.

Ale maluch nie słuchał mnie - starannie wygładzał fałdki na swoim kocu.

Kiedy pochylił się nad łóżkiem zobaczyłem na jego plecach dwa głębokie szczeliny, w których pulsowała ciemna tkanka.

Chciałem zapytać malucha, co to jest, ale bałem się, że go przestraszę.

- A teraz? - zapytał mały.

- Teraz to już w ogóle jest wspaniale.

- Ale jest pan niedobrym wujkiem?

- Jestem dobrym wujkiem - powiedziałem. - Jeśli chcesz będę twoim przyjacielem.

- Chcę - powiedział. Znowu wyciągnął do mnie dłoń i przedstawił się: - Arseniusz! Można po prostu mówić Senia.

Poszedłem na dół, Senia za mną. Wyprzedził mnie na schodach, w biegu szczeliny na plecach rozszerzyły się.

Ludmiła czekała na mnie na dole.

- Nie wiedziałam dokąd pan poszedł - powiedziała.

- Chciałem zapoznać się z domem - odpowiedziałem.

- To unikatowe przedsięwzięcie - powiedziała Ludmiła, wpatrując się uważnie we mnie jasnymi oczami, jakby chciała przeniknąć do mojego serca i poznać moje myśli. - Dostarczamy pupili na teren całej Rosji. Mamy setki podań.

Malec odsunął się o krok - bał się jej.

- A ty tu czego się szwendasz? - zdziwiła się Ludmiła. - Natychmiast pędź na ćwiczenia!

Arseniusz nie mógł ukryć rozczerwanego westchnienia, ale posłusznie pomaszerował do drzwi. Najpierw chciałem go zatrzymać, ale natychmiast przypomniałem sobie, że mam pytanie, którego nie mogłem zadać przy malcu.

- Dlaczego on ma błony? - zapytałem.

- Arseniusz? - No, przynajmniej zna ich imiona. - Takie zamówienie.

- Przepraszam. Nie zrozumiałem. Jakie zamówienie?

- Hodujemy w naszej stadninie pupili różnego rodzaju - powiedziała Ludmiła. Staliśmy już nieopodal wejścia do willi, a obok nas przebiegały maluchy, które już zjadły śniadanie. Niektórzy pędzili do przyrządów gimnastycznych, stojących na obszernej łące, inni malcy maszerowali do betonowych domów. - Zazwyczaj nie wymaga się od nas niczego szczególnego - powinniśmy gwarantować, że maluch jest zdrowy, pozbawiony genetycznych wad, że wie, jak się należy zachowywać w domu sponsora, że nie będzie tam brudził czy szkodził. Tak więc, kiedy przyjeżdża zamawiający, to bierze sobie dzieciaka z grupy podstawowej.

- A błony?

- To spec-zamówienie. Rodziny, która zamówiła pupilka pracuje w morskiej stacji nad morzem Czarnym. Mąż i żona. Przede wszystkim zajmują się podwodnymi badaniami. Wygodniej jest im mieć pupilka mogącego oddychać dwójako. Zauważył pan, mam nadzieję, że ma na plecach skrzela?

- Biedny chłopiec - powiedziałem.

- Nic podobnego. To bardzo perspektywiczny kierunek badań. Pod kierunkiem sponsora pana Sijniko pracujemy aktualnie nad programem "Potrzebne dzieci". Pan, być może, tego nie wie, ale w związku z problemami o charakterze finansowym zapotrzebowanie na zwykłych pupili spadło. Powinniśmy skusić zamawiającego czymś szczególnym. Powinniśmy wyjść naprzeciw gustom - klient decyduje o wszystkim!

To, co mówiła Ludmiła było nieprzyjemne, ponieważ wyglądało to, jakby w jej wnętrzu leżała strona sprawozdania, z której szczytywała akapit za akapitem. W szkole gladiatorów Prupis opowiadał mi, że wcześniej ludzkie dzieci uczyły się w szkołach. Wtedy wszyscy umieli czytać. Niewiarygodne, trudne do uwierzenia, ale nie miałem podstaw, by nie wierzyć Prupisowi. Idąc dalej - skoro były szkoły, musieli być prymusi. Tacy, jak Ludmiła.

- Umie pani czytać? - zapytałem.

- Co?

- Czy umie pani czytać litery i słowa?

Ludmiła nagle zaczerwieniła się, więc domyśliłem się, że umie czytać, ale wstydzicie się do tego przyznać.

- Mam dobrą pamięć - wykrztusiła w końcu po chwili milczenia.

Zacząłem uważniej przyglądać się malcom. Ludmiła przechwyciła moje sondujące spojrzenie i powiedziała uśmiechając, ale uśmiech objął tylko usta:

- Specdzieci mamy tu niewiele, w większości są w laboratoriach. Pod obserwacją. Ale są zabawne... Ksiusza, Ksiuszeńko. Podejdź do nas!

Malutka dziewczynka, chyba trzylatka, podbiegła do nas.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że zamiast włosów na głowie dziecko ma miękką sierść, której warstwa przechodzi na plecy.

- Proszę ją pogłaskać - zaproponowała Ludmiła.

- Poglaskać?

- To przyjemność, którą trudno zapomnieć - powiedziała Ludmiła. - Muszę przyznać, że gdybym miała taką możliwość, sama wzięłabym sobie takiego pupilka.

Nie chciało mi się głaskać puszystej dziewczynki, choć mała nie odczuwała żadnego skrępowania z powodu swojego wynaturzenia, zresztą nie uważała siebie za wynaturzoną.

- Teraz, kiedy sponsorzy wiedzą, że możemy ukształtować pupilka według indywidualnego zamówienia, dostajemy takie zabawne zapotrzebowania, uśmieje się pan! Ale, rzecz jasna, kosztuje to masę pieniędzy, i tylko najzamożniejsi sponsorzy mogą sobie pozwolić na to pozwolić.

Ludmiła skierowała się do grupy dzieci, bawiących się trawie i powiedziała podchodząc do nich:

- A oto nasze ostatnie osiągnięcie. Jesteśmy z panem Sijniko niemal przekonani, że ten model podbije rynek.

Kiedy podeszliśmy do huśtawek i malec, huśtający się na nich odwrócił się do nas, ledwo powstrzymałem się od okrzyku zdziwienia. Rzeczywiście, eksperymentatorzy wymyślili niezwykłą istotę: było to zwykłe ziemskie dziecko, jednakże jego głowa i ręce należały do malutkiego sponsora, jakby do sponsorowej lalki.

Nie mogłem oderwać wzroku od małego potworka - patrzył na mnie zielony żabi pysk z malutkimi niedźwiedzimi oczkami, ale pierś istoty była różowa, a pulchne nóżki niczym nie różniły się od nóżek innych dzieci.

- Dużo ich... stworzyliście?

- Tajemnica firmy. - Cienkie wargi Ludmiły rozciągnęły się w uśmiechu. -
Może pan zapytać pana Sijniko. Zapewne udzieli wyczerpującej odpowiedzi.

Potwór podszedł do nas i sepleniąc poprzez żabie usta powiedział:

- Cukierek jest?

- Nie - opowiedziałem.

- Jest strasznie rozpieszczony - powiedziała Ludmiła. - Gdy przyjeżdża do nas jakaś grupa albo kontrola, wszyscy sponsorzy biegną popatrzeć na nasze kreolątka. Dosłownie zapychają je cukierkami... I wie pan - nawet zdarzył się taki incydent: dwa zwyczajne pupilki rzuciły się na kreolczyka - ledwie go uratowaliśmy.

- A napastnicy? Odstrzeliliście ich?

- Ach, jak okrutnie pan mówi! - zdenerwowała się Ludmiła. - Wysiekliśmy ich tylko jak należy.

Staliśmy na trawniku, przez cały czas rozglądałem się na wszystkie strony, mając nadzieję, że odgadnę, w jakie kształty oblekły się genetyczne i plastyczne ćwiczenia, wykonywane od kierunku mojego protektora Sijniko. Jakby w odpowiedzi na moje niezadane pytania Ludmiła zapytała:

- Chce pan zajrzeć do sali projektów?

Nie miałem pretekstu do odmowy.

Zeszliśmy z trawnika i po długiej ścieżce dotarliśmy do betonowego sześcianu.

Wrośnięty w ziemię szary kloc laboratorium był wewnątrz o wiele przestronniejszy niż wydawał się z zewnątrz. Wysoki korytarz, w którym mógł się zmieścić sponsor, dzielił laboratorium na dwie połowy. Z lewej, jak zauważyłem, znajdowały się eksperymentalne inkubatory - podstawowe znajdowały się w innym budynku - z prawej - właściwe laboratorium, w którym na zamówienie i życzenie sponsorów, albo i z inicjatywy samych uczonych konstruowano rokujące nadzieje warianty pupili. Znajdowali się tu stale dwaj sponsorzy - sam pan Sijniko, który był ogólnym szefem stadniny, i nieznana mi sponsorka o imieniu Fujke, która jakimś cudem akurat w tym czasie zachorowała i trafiła do lazaretu. Sponsorka zajmował się zaopatrzeniem stadniny, sprawami finansowymi i kontaktami z klientami, ponieważ dla sponsorów z wojskowej ekologicznej bazy kontakt z ludźmi był niemal niewyobrażalny, a przynajmniej, nieprzyjemny.

Całą resztą zajmowali się ludzie przy pomocy urzędów, które opracowali, przywieźli ze sobą i zamontowali sponsorzy. Ludzie jednak nie powinni niczego wymyślać.

Przyzwyczajwszy się do myśli, że nie jestem w stadninie przelotnym gościem, a wykonuję tu jakieś utajnione zadanie, Ludmiła zmieniła swój stosunek do mnie i zrobiła się szczerą. Pomyślałem nawet, że nie ma z kim tu pogadać, że, pomimo

surowego oblicza, jest osobą wrażliwą i samotną, targaną wątpliwościami. Przecież nie wolno jej było pod żadnym pozorem opuszczać terytorium stadniny, i, najprawdopodobniej, była to więźniem do końca swoich dni. Nigdy nie stanie przed nią otworem brama stadniny i nigdy nie zobaczy innych miast i innych ludzi.

- Kiedy pana zobaczyłam - przyznała - pomyślałam, że jest pan reproduktorem. Czasem przywożą do nas reproduktorów w celu poprawienia zasobów nasienia.

- Dlaczego pani tak pomyślała?

- Dlatego, że jest pan... że jest pan nagi.

Teraz, uznawszy, że jestem równym jej, albo nawet przewyższającym ją w randze mężczyzną, zaczęła odczuwać znajdując się moim towarzystwie wstyd - reproduktorzy czy pupilki nie byli w jej oczach mężczyznami.

- Niestety - powiedziałem - musiałem zostawić ubranie w domu pana Sijniko. Inaczej zacząłbym zwracać na siebie uwagę.

- Oczywiście - zgodziła się z ulgą Ludmiła.

Posiadanie przeze mnie ubrania, nawet jeśli było gdzieś obok, pozwalało jej pogodzić się z moją obecnością...

W dużym jasnym pokoju na lewo od korytarza zastaliśmy Awtandiła Cereteli z jeszcze jednym lekarzem.

Na ścianach laboratorium projektowego wisały dwu- i trzymiarowe wizerunki niemowląt - pożądane wyniki eksperymentów. Drogę do nich opracowywały stojące w laboratorium komputery, następnie genetyczni inżynierowie, umieszczeni w sąsiednich pokojach po drugiej stronie korytarza, tworzyli na zamówienie ciała.

Obrazki przyszłych wyrafinowanych pupili robiły wrażenie, ale były pozbawione życia, i dlatego o wiele mniej przerażały, niż mniej zniekształcone, ale żywe maluchy.

Awtandił z zadowoleniem wyjaśniał mi specyfikę zarodków i ich przeznaczenie. Okazało się, że tworzono tu nie tylko pupili, ale w tajemnicy - ludzi przyszłości, potrzebnych w tej czy innej dziedzinie gospodarki. Dlatego na ilustracjach zobaczyłem skrzydlate niemowlęta, pokryte białym puchem; można je, jak wyjaśnił Awtandił, wykorzystać na dwa sposoby: i jako pupili - niektórzy sponsorzy chcieli mieć skrzydlatych pupili, oraz jako zwiadowców-ratowników, mogących przedostać się szybko tam, gdzie miałby trudności człowiek, nie mówiąc już o sponsorze.

Następnie Awtandił z dumą zaprowadził mnie do pokoju po drugiej stronie korytarza, gdzie w wannach z płynną pożywką, już niemal gotowe od urodzin,

kształtowały się ludzie-robaki. Nie sądzę, by nadały się do funkcji pupili, ale w pracach kopalnianych będą nie do zastąpienia.

Po godzinie ożywionych opowieści moich nowych znajomych poczułem, że do gardła podpełzają mi wymioty. To, co biologom wydawało się strasznie ciekawe i godne pochwały, wzbudzało we mnie wzrastający wstręt.

Przez te miesiące, które spędziłem na wolności, od chwili ucieczki z domu Jajbłusko, przekonywałem się coraz bardziej, że jestem niewolnikiem we własnym domu. Że wszyscy dokoła są niewolnikami, których można sprzedać. Kupić i zabić, i - jak się dzisiaj dowiedziałem - pozbawić dzieciństwa i ludzkiego oblicza, dlatego że tak chcą zielone żaby z błyszczącymi niedźwiedzimi oczkami. I nie dość, że ja nie wiem, dlaczego króluje taka niesprawiedliwość, ale nie może odpowiedzieć na to pytanie nikt, ponieważ ludzi, pozbawionych wiedzy, pozbawiono również pamięci o swojej przeszłości.

Ale, słuchając natchnionych przemówień Awtandila o tym, że przystąpili do tworzenia oddychającego amoniakiem człowieka, zrozumiałem, że muszę dowiedzieć się jak najwięcej od pana Sijniko. Co prawda, musi on chcieć rozmawiać, ale podejrzewałem, że mnie opowie więcej niż jakimkolwiek innemu człowiekowi, ponieważ wyróżniam się z grona zwykłych ludzi. Zabiłem sponsora! I znałem sponsorów język.

Powiedziałem, że muszę się przespacerować i wyszedłem z laboratorium. Nikt mnie nie zatrzymywał. Wyszedłem na trawnik i zacząłem wolno przechadzać się po ścieżkach, obserwując liczne dzieciaki, które w większości były zwykłymi dziećmi. Inna sprawa, że - jak mnie poinformowała Ludmiła - w ostatnim okresie zaczęto wszczepiać im środek paraliżujący: jeśli taki pupilek nagle się wścieknie i rzuci się na właściciela, ten będzie mógł go natychmiast obezwładnić.

Na szczęście, kiedy ja opuszczałem stadninę, ten pomysł jeszcze nie wyklął się w głowie jakiegoś Awtandila czy Ludmiły.

Arseniusz zobaczył mnie z daleka i, porzuciwszy zabawę w piaskownicy, podbiegł do mnie.

- Wujku! - krzyczał. - Wujku! Wiesz co?! Wiesz co?

Kiedy podbiegł do mnie powiedziałem:

- Nazywam się Lancelot. Rycerz Lancelot.

- Lot - powiedział malec. Widocznie sprawiało mu trudności zapamiętanie całego takiego długiego imienia.

- No, co chcesz mi powiedzieć?

- Słyszałem, wujku Locie, jak kucharki w kuchni rozmawiały, że jesteś rewizorem. Że możesz kogo chcesz zlikwidować albo posłać do rakarni. Czy to prawda?

Zdecydowałem, że te plotki mogą być dla mnie przydatne.

- No wiesz, kucharki, rzecz jasna, przesadzają...

Arseniusz nagle zaszlochał.

- Co ci się stało? - Przykucnąłem obok niego. Maluch zasłonił oczy wyposażonymi w błony dłońmi, jak dwoma wachlarzami.

- Wyślesz mnie do rakarni? - zapytał szlochając.

- Co za bzdury wygadujesz!

- Powiedzieli mi, że jestem przerosłem!

- Ty? A ile ty masz lat?

- Dziewięć - powiedział Arseniusz.

- Nie może być!

Przedemną płakał trzylatek.

- Takiego mnie wymyślili - powiedział mały. - Wymyślili mnie, żebym się nie zmieniał. Ale pani Liwijko powiedziała, że nie potrzebuje wiecznego niemowlaka. Ona chciała, żebym rósł i nurkował... jak prawdziwy!

Jeszcze długo opowiadał, starając się, żeby dotarło do mnie, że to nie on jest winien, że on jest dobry, że sam też chciałby urosnąć, ale nic z tego nie wychodzi, nawet jeśli się stara dużo jeść. I teraz, kiedy stało się jasne, że nikt go nie chce, Senia wymyślił sobie, że jak nie dziś, to jutro go sprzątną. Jak usuwali inne wyrodki, które nikomu do niczego się nie przydały.

Pogłaskałem go po miękkich włosach i postarałem się uspokoić, zapewnić, że nie mam co do niego żadnych złych planów i że będę się z nim przyjaźnił.

Uspokojony malec pobiegł do kolegów, a ja skierowałem się do swojej budy. Wiedziałem, że idę się ubrać i że ubranie stanie się dla mnie symbolem niezawisłości. Jeśli sponsor zechce mnie zabić - ma prawo to zrobić. Ale umrę w ubraniu. Jakkolwiek śmiesznym i naiwnym może się to wydać, pocieszyło mnie to postanowienie.

Ale nie udało mi się ubrać. Przed moimi drzwiami czekały na mnie dwie kucharki. Jedną z nich już spotkałem - gruba zasmalcowana kobieta, drugiej, chudej i szkapiastej, nie znałem.

- Chcemy panu powiedzieć - dramatycznym szeptem zakomunikowała zasmalcowana kuchara - że wkład mięsny realizuje szef produkcji. Tak więc, jeśli na stołach jest go za mało, to on za to odpowiada.

- Jakie znowu mięso?

Przeszkadzając sobie nawzajem zaczęły pokrętnie i tchórzliwie zrzucać winę za kradzieże na swojego przełożonego, mając nadzieję, że z moją pomocą zatriumfuje sprawiedliwość. Straciłem jeszcze z dziesięć minut zanim udało mi się spławić wizytantki, zachowując przy tym w nich przekonanie o mojej tajemniczej znaczości.

Kiedy kuchary zniknęły ze swoimi próżnymi skargami, pojąłem, że nie wiem, jak się wchodzi do domu pana Sijniko. Dla pupilka, rzecz jasna, nie ma zamkniętych drzwi i kluczy. Wchodzi i wychodzi kiedy chce. Jeśli panu się to nie podoba może wysiec pupilka. Ale pupilek, w odróżnieniu od człowieka, nigdy niczego nie ukradnie - chociażby dlatego, że jest nagi.

Drzwi do domu sponsora były zamknięte. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać aż wróci. Ze starego przyzwyczajenia zwinąłem się w kłębek na wycieracze i zapadłem w drzemkę. Nikogo to w stadninie nie zdziwiło - pupilki zawsze śpią, gdzie chcą i kiedy chcą. Tak więc, zasypiając, pojąłem jak to miło wrócić do skóry domowego zwierzęcia - nie dźwięczy syrena, nie dzwoni dzwon, nikt nie woła cię na zbiórkę, do zawodów, walki na miecze czy do wyładunku pęłaczy.

Spałem, ale tak, jak się należy - jednym uchem nasłuchując, żeby ktoś na mnie nie nadepnął. Dlatego, gdy coś wielkiego zakryło światło słoneczne, pomyślałem sobie, że to wrócił sponsor, i zerwałem się. Ale nie był to sponsor. To był Arseniusz, ale tym razem nie sam - trzymał za rękę dziwną istotę, nagą dziewczynkę o niemal dwumetrowym wzroście, krótko ostrzyżoną, i - gdyby nie przesadne wymiary i straszliwa chudość - dość pociągającą.

- Rozbudziliśmy cię - powiedział Arseniusz, konstatując fakt, ale bez wyrzutów sumienia. - Wstawaj. Przyprowadziłem Leonorę.

Olbrzymka skłoniła głowę w ukłonie - widocznie Sienia nagadał jej o mojej ważnej pozycji.

- Bardzo mi miło - powiedziałem nieco rozdrażniony, bo nie lubię jak się mnie budzi. - Co się stało?

- Lancelot - powiedział Sienia - trzeba pomóc Leonorze. Inaczej wkrótce umrze.

- Umrę - przytaknęła się Leonora. - Pewnie niedługo.

- Grożą rakarnią? - zapytałem.

Domyśliłem się, że jest wynikiem nieudanego eksperymentu państwa projektantów. Teraz, kiedy wyrosła i okazała się nikomu niepotrzebna...

- Dlaczego rakarnia? - zdziwił się Arseniusz. - Jeszcze się przyda. Tylko, że karmią ją według zwykłej normy, a Leonora rośnie. I jest przez cały czas głodna. Oddałem jej wczoraj połowę swojej porcji kaszy.

- No to poproś o dokładkę - zaproponowałem.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Nie wstawałem - kiedy rozmawia się z olbrzymem leżąc może się wydawać, że sam też jesteś duży, ale kiedy się stoi - złudzenie pryska.

- Nie dają. Wszystko biorą dla siebie - poskarżyła się. - I powiedzieli, że jak się poskarżę pani Ludmile albo panu sponsorowi, to w ogóle przestaną mi dawać jedzenie.

- Przecież są tu wychowawcy, lekarze...

- Oni też kradną - zakomunikował Arseniusz. - Tutaj wszyscy kradną. Tyle że nam, małym, to nie szkodzi, ale nie wszyscy są tacy. A Leonora to już zupełnie jest biedna. Musisz ich postraszyć, żeby dawali jej jeść.

- Pogadam z nimi - obiecałem.

Leonora odeszła pierwsza. Miała takie szczupłe plecy, że łopatki niemal przebijały skórę.

Wyszedłem na łąkę i zerknąłem na słońce. Piąta godzina.

- Hej? - zawołałem do Arseniusz. - O której obiad?

- Usłyszysz gong.

Usiadłem na łące. Dokoła mnie było pusto, w stadninie królowała cisza i rajski spokój. Tylko nad głową rozlegały się krzyki lecących na południe żurawi, czasem zaszeleściły kołysane wiatrem szczyty starych dębów i odległe dziecięce śmiechy.

Pomyślałem sobie, że niczego nie wiem o otaczającym mnie świecie. Póki byłem pupilkiem nie niepokoiło mnie to - obok była pani Jajbłuszko, która wiedziała wszystko i za mnie, i za siebie. Kiedy uciekłem moje losy tak się pogmatwały, że nie miałem nawet czasu nad nimi się zastanowić - byle tylko wyżyć. Dopiero w szkole gladiatorów, chociaż i tam nie byłem bardzo zajęty, zacząłem trochę myśleć o tym, co się dokoła dzieje. Co prawda kiedy docierałem do pryczy od razu zasypiałem, a i moi rozmówcy nie byli specjalnie mądrymi ludźmi i mało wiedzieli o tym, co się dzieje za murami pokoju, szkoły czy stadionu. Wszyscy odbierali istniejący porządek rzeczy jako ten obowiązujący, i nikt nie zamierzał go zmieniać. "A na czym polega ten porządek?" - zastanawiałem się.

Nasz świat kierowany jest przez mądrych i wszechmocnych sponsorów. Przybyli tu, pewnie bardzo dawno temu, żeby uratować Ziemię od ekologicznej katastrofy.

Sponsorzy musieli oczyszczać nasze powietrze i wodę, odtwarzać pierwotny wygląd naszej planety. Dopiero kiedy to olbrzymie zadanie zostanie wykonane, sponsorzy odlecą z powrotem, dlatego że im też nie jest łatwo tak daleko od domu.

To wyjaśnienie całkowicie zadowalało mnie, póki byłem pupilkiem. Widocznie wierzyła też w to dobra pani Jajbłuszko.

Nie pasowały do tego obrazu takie rzeczy jak włóczędzy, dzikie pupilki, parszywce ze śmietnika, ale pani Jajbłuszko wyjaśniała mi, że są to nieszczęśliwe istoty, nie mające dachu nad głową i stałego wyżywienia, że ich stale się odławia i odwozi na resocjalizację. Ale przecież Ziemia jest tak wielka, a sponsorów tak niewiele - nie wyrabiają się.

W mieście, które mnie oszołomiło, w Moskwie, widziałem mnóstwo innych ludzi, Prawie wszyscy łamali najważniejsze prawo życia - nie ubierać się!

Przy okazji, a dlaczego nie wolno chodzić w ubraniu? Nie zadawałem sobie wcześniej takiego pytania - wiadomo: higiena. Ale teraz zapytałem siebie, i odpowiedź okazała się prosta, chociaż nieoczekiwana: żeby nie można było niczego zataić przed sponsorem. Żeby nie można było nosić przy sobie broni.

A dlaczego w mieście można było się ubierać? Na to odpowiedziała mi Markiza: dlatego, że w rzeczywistości sponsorzy nie mogą obejść się bez ludzi. Pozwalają nawet ludziom na to, co jest kategorycznie zabronione. O ile to im, sponsorom, jest na rękę.

Okazało się, że żywność dla sponsorów w fabryce słodczy przygotowują ludzie, że serwują rozrywkę również ludzie i nawet dbają o ustanowiony porządek milicjanci-ludzie.

Bez ludzi nie da się obejść. A bez sponsorów?"

"Bez nich na pewno się obejdziemy" - powiedziałem sobie, ale ta moja pewność, niestety, niczego nie zmieniała. Dlatego że, bez względu na wszystko, panowali tu sponsorzy. A ja byłem świadkiem, jak nie mrugnawszy nawet okiem zabili kilkaset, może nawet kilka tysięcy, najprawdopodobniej potrzebnych nawet sobie i pożytecznych osób.

"Czy nienawidzę sponsorów?" - zapytałem siebie.

"Nienawidzę sponsorów" - odpowiedziałem sobie. Zabili Dobrynię, Batu-chana i Prupisa. Robią z ludzi zwierzęta. Słusznie postąpiłem zabijając sponsora.

Ta myśl mi się spodobała. Chciałem wypowiedzieć ją na głos, ale obok przechodził Awtandił, niosący jakieś naczynie z ludzkim zarodkiem wewnątrz. Przemilczałem więc. Nawiedziła mnie inna dziwna myśl: czy spotkałem człowieka, który chciałby, żeby sponsorzy zniknęli, wyginęli, odeszli na zawsze? Zrozumiałem nagle, że nie spotkałem takiego człowieka. Ludzie nie mają pojęcia o innym życiu, jak życie pod egidą sponsorów, po prostu nie chcą innego życia. Wszyscy są zaspokojeni i zadowoleni. Pupilki - za to, że są karmione i pieśczone, gladiatorzy są dumni ze swojej siły i umiejętności i aż się palą, żeby zademonstrować to sponsorom. Markiza, władczyni podziemi, również do ostatniej chwili była wręcz zadowolona z życia... Czyżbym został sam? A może sponsorzy nie lżą? Może naprawdę uratowali Ziemię od zagłady? Może ludzie

gotowi byli wyginać ostatecznie? A czy, w końcu, ratownikom nie wybaczają się wiele? Przecież żyją wśród nas, z dala od domu, wykonują nudną pracę, potrzebują rozrywek...

Ale w tym momencie przypomniałem sobie oczka stwora: człowieczka z głową żaby... i znowu przestałem wierzyć sponsorom.

Przebywając w takim dziwnym stanie zobaczyłem, jak na polanie ląduje śmigłowiec pana Sijniko; pilot ciężko wygramolił się z maszyny i zmęczonym krokiem zmierzał w kierunku domu.

Poczułem ochotę pomachania ogonem, Ale stałem wyprostowany, nieco pochyliwszy głowę, w postawie gladiatora, stojącego w szeregu przed walką.

Sijniko jakby dopiero teraz zauważył mnie. Dopiero wchodząc przez drzwi, odwrócił się do mnie i zapytał:

- Jadłeś już obiad?

- Nie było jeszcze sygnału na obiad - odpowiedziałem.

Sijniko poprawił umocowany do ramienia komunikator i powiedział:

- Mówi sponsor Sijniko. Przynieście obiad do mnie do pokoju. Dla mnie i pupilka Lancelota.

Nie czekając na odpowiedź wyłączył komunikator.

- Jeśli pupilek to Tim - powiedziałem. - A Lancelot - jeśli rycerz, gladiator.

- A ja wcale nie zamierzam pytać się ciebie, jak mam cię nazywać - burknął Sijniko.

Poszedłem za nim do gabinetu. Od razu w oczy rzuciło mi się moje ubranie, walające się w kącie.

- Ciężki dzień - oświadczył sponsor. - Wszystko przez ciebie.

- Przeze mnie?

- Z powodu wczorajszego incydentu. Dopiero co się skończyła duża obława w metrze. Szukali ciebie.

- Znaleźli?

- Na razie nie - powiedział sponsor. - Ale na pewno znajdą.

Podszedł do okna i popatrzył na łączkę, po której biegały maluchy.

- Markizę z Henrykiem zdążyłem uprzedzić - powiedział w końcu sponsor. - Zdążyli uciec. Ale wielu zginęło.

- A Irka? - wyrwało mi się.

- Jaka znowu Irka? - zdziwił się sponsor. Nie znał żadnej Irki, a jakby nawet znał - co mu za różnica?

- Podcinamy gałąź, na której siedzimy - oświadczył sponsor. Zrozumiałem, że mówi do mnie tylko dlatego, że nie ma innych rozmówców w pobliżu. Mógłby równie dobrze rozmawiać z krzesłem.

Do pokoju bez pukania weszła kucharka i przyniosła miskę z polewką dla mnie i dupy garnek dla sponsora.

Ten zwolnił kucharkę, wyjął z niszy w ścianie łyżkę - do dziś nie potrafiłem nauczyć się posługiwania taką, a sponsorzy - tylko takimi jedzą.

Sijniko nie zaproponował mi łyżki - jak zwykle, wszyscy sponsorzy zapominali o tym, ale nie prosiłem. W końcu - umiałem przecież chleptać z miski.

- A jeśli trafi się inspekcja? Dlaczego zakładacie, że inspekcja będzie przyjazna dla nas? Federacja od dawna ma ząb na nasze metody.

Mówił to wcinając swoją zupę, o wiele smaczniejszą, niż polewka, jaką karmią tu ludzi, ale to. Co mówią było zupełnie niezrozumiałe. Nie wiedziałem, co to jest inspekcja i dlaczego może być nieprzyjazną.

- Egoizm, a tam bardziej egoizm grupowy - pouczał mnie sponsor - może w fatalny sposób wpłynąć na rozwój całej cywilizacji. Nie wolno tylko brać i nic nie dawać w zamian. Nie jednokrotnie usiłowałem sygnalizować ten problem na radach regionalnych. Fakt, że Rejkino znajduje się w opłakanej sytuacji i konieczne jest wysiedlenie... nie jest jeszcze argumentem dla likwidacji całej obcej rasy. Zgadzasz się?

Pytanie zaskoczyło mnie. Ale postanowiłem zgodzić się ze sponsorem i przy okazji zadać pytanie, żeby udowodnić, że uważnie i dobrze słuchałem pana sponsora.

- A co to jest Rejkino?

- Rejkino - to mój dom - powiedział sponsor. - To planeta, która usiłuje pozbyć się swoich synów.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Na szczęście nic nie rozumiesz i dlatego na razie jeszcze żyjesz.

- Proszę mi powiedzieć - postanowiłem udowodnić, że nie jestem głupi - co było na Ziemi, zanim tu przybyliście?

- Pewnie wciskali ci, że jesteśmy braćmi w rozumie?

- Wylądowaliście na talerzach i pomogliście nam oczyścić rzeki i powietrze. W innym przypadku wszystko byśmy zniszczyli.

- A kto was tam wie - powiedział w roztertargnieniu sponsor. - Może byście i wyżyli. Jesteście strasznie żywotni.

- To znaczy, że nie jesteśmy braćmi w rozumie?

- Bracia, bracia - mruknął sponsor. - Ale to niczego nie ułatwia. Kiedy spotykają się dwa gatunki żywych istot, które muszą dzielić niszę ekologiczną, jeden z tych gatunków jest skazany na wytrzebienie. Nie dlatego, że jest gorszy, tylko dlatego że jest słabszy. Przymilny bełkot o pomocy i trosce - to, wybac mi, puste gadanie dla gawiedzi, takiej jak ty.

- Czy to znaczy, że nie przylecieliście tu, żeby nas ratować?

- Oficjalnie, dla Federacji, pomagamy wam. Ale wątpię, czy oszukaliśmy kogokolwiek. Kto ma oczy może zobaczyć, że mieszkamy tu tylko dlatego, że nasza planeta jest przeludniona i musimy zdobyć gdzieś przestrzeń życiową. Sami doprowadziliśmy nasz dom do ubóstwa, i potrzebujemy teraz waszych surowców i innych towarów, nie po to, by dzielić się nimi z wami, a żeby je wywieźć. A im mocniej tu się osadzamy, tym mniej nam jesteście potrzebni.

- To dlaczego nie wybiliście nas zaraz po lądowaniu?

- Mądre pytanie. - Sponsor odsunął garnek z polewką i rozwalił się w swoim fotelu. - Żeby poważnie zacząć likwidować was, musielibyśmy zupełnie nie kryć się z tym i na dodatek wytrwale polować na was, jak na karaluchy. Jesteście przecież strasznie żywotni. Nie mieliśmy na to ani sił, ani środków. O wiele mądrzejsze było pozwolić wam wymrzeć w sposób naturalny.

- I pan tak spokojnie o tym mówi? - Rozzłościła mnie ta bezwzględna tusza.

- A dlaczego miałbym się tym przejmować? Kiedy budujecie w lesie dom, czy was interesuje los ptaków, które mieszkają na gałęziach wyciętych drzew, czy też żuczków, które żywiły się ich liśćmi.

- Czy można porównywać te rzeczy? My jesteśmy rozumni!

- A gdzie zaczyna się rozum? My mamy większe od waszego doświadczenie w kontaktach z istotami różnych światów. I twierdzę: granica między rozumem i nierozumem jeszcze nie została określona. A wy, ludzie, raczej nie jesteście rozumni. Taki sądzimy. - Całą swoją postawą sygnalizował znak uśmiechu.

- A jeśli się z tym nie zgodzę?

- Kto cię, pupilku, będzie pytał?

- Zabiłem jednego z waszych!

- Ach, ty gadzie! - Ciężka łapa opadła mi na głowę i sponsor, omal nie oderwawszy mi jej, podniósł mnie za włosy. Z bólu trysnęły mi z oczu łzy. Ale sponsor nie zastanawiał się czy mnie to boli. - Jesteś wstrętny i wydajesz się być

niebezpieczny - kontynuował. - Tylko ciekawość badacza zmusza mnie do przedłużania twojego nikczemnego życia.

Odrzucił mnie, a ja zwałem się na podłogę, uderzając głową o nóżkę krzesła.

- Muszę po tobie myć ręce - powiedział ze szczerym obrzydzeniem. - Śmierdzisz jak wszyscy ludzie!

- Odchodzę stąd - odpowiedziałem podnosząc się.

- Nigdzie nie pójdziesz - warknął sponsor. - Naradzimy się z bioinżynierami i zdecydujemy, co z tobą zrobić, żebyś się tu przydał. Idź do siebie, nudzisz mnie.

Podrapałem się po głowie - korzenie włosów jeszcze bolały, schyliłem się, żeby zebrać z podłogi moje ubranie.

- A to co znowu? - zapytał sponsor.

- Chcę chodzić w ubraniu - powiedziałem.

- Kto ci pozwolił?

- Zawsze chodzę w ubraniu. Tutaj jest mi niezręcznie chodzić nago. Gdybym był dzieckiem, to był jakoś się z tym pogodził. Ale jestem dorosłym mężczyzną.

- Jaki tam z ciebie dorosły!

Sijniko uniósł swoją słoniową nogę i trącił mnie. Wypadłem z pokoju otworzywszy plecami drzwi.

Ale nie wypuściłem odzieży z ręki.

Drzwi do gabinetu Sijniko zamknęły się.

Odetchnąłem, naciągnąłem spodnie z grubej skóry, w których stawałem do walki z "Białymi Murzynami". Koszula był podarta. Oderwałem jej rękawy i włożyłem ją. Najprzyjemniejsza niespodzianka czekała mnie, gdy przejechałem ręką po bocznym szwie - wąska ukryta pochwa zawierała cienkie ostrze. Które dostałem od Gurgena. W każdym razie, jeśli będą chcieli coś ze mną zrobić, będę mógł się bronić i zranić boleśnie nawet największego sponsora.

Ubrałem się i czując jak człowiek, wyszedłem na trawnik. Dzień był chłodny, ale my, pupilki, przywykliśmy do chłodu. Wiał wiatr, niosący ze sobą piwniczną wilgoć. Z dębów opadały żółte liście.

Po schodach z willi zbiegali malcy. Dopiero co skończył się obiad. Nie poszedłem do głównego wejścia. Postanowiłem sprawdzić, czy łatwo będzie stąd uciec.

Wszedłem do zagajnika, drzewa tu rosnące były stare, stały w pewnym oddaleniu od siebie, jak kolumny w ogromnej sali. Ziemia pod drzewami usiana była rudymi i burymi liśćmi.

Nagle zobaczyłem dziwną pająkowatą postać - kiedy podszedłem bliżej poznałem Leonorę. Słyszac moje kroki wyprostowała się wystraszona, do małej nagej piersi przyciskała garstkę żołądzi.

- Głodna jesteś? - zapytałem jak mogłem przyjaźnie.**
- Bardzo - przyznała dziewczyna. - Ale nie wolno, nie pozwalają.**
- Nie powiem nikomu - obiecałem. - Jedz. A ja pogadam z kucharkami.**

Dziewczyna nagle zawstydzila się, może nie uwierzyła mi, w każdym razie pośpiesznie opuściła zagajnik, zaciskając żołądzie w piąstkach.

Przemierzyłem lasek i znalazłem się przy wysokim drucianym płocie. Oczywiście, mógłbym przy pomocy swojego noża przeciąć druty, ale nie miałem pewności czy nie płynie nimi prąd. Trzeba będzie się tego dowiedzieć.

Pan Sijniko zawołał mnie na spacer, kiedy słońce opadło za drzewa.

- Tylko nie próbuj uciekać - powiedział. - Nie uda ci się. Przez płot płynie prąd.**

Doszliśmy do willi.

- Chcesz zobaczyć nowe pokolenia malców? - zapytał Sijniko.**
- Już widziałem.**
- Kto ci pozwolił?**
- Uznali mnie za waszego tajnego agenta i wszystko pokazali.**
- Idioci! Trzeba usunąć wszystkich ludzi i na ich miejsce postawić sponsorów!**
- Dlaczego nie?**
- Dlatego że nie wystarcza sił i środków, dlatego że żaden sponsor nie poniży się do wycierania pupki ludzkiemu niemowlęciu. Wie, ile jest w nim jest mikrobow i całego tego świństwa.**
- Pani Jajbłuszko troszczyła się o mnie, nawet kiedy byłem chory!**
- Byłeś jej własnością, jej własnym pupilkiem. Zamiast dziecka. Niezbyt dobrze rozmnażamy się na Ziemi. Pupilki zastępują nam dzieci.**
- Podbiliście naszą planetę, wysysacie z niej soki i jeszcze likwidujecie ich mieszkańców!**
- Bzdura! Nic podobnego. Zapytaj dowolnego człowieka, czy jest niezadowolony ze swojego życia, czy cierpi? Dowiesz się, że ludzie są szczęśliwi.**
- Dlatego, że niewiele wiedzą?**

- Dlatego, że wiedzą tyle ile powinni. Mówimy im, że żyje się im lepiej niż wcześniej, i lepiej niż kiedykolwiek. Powtarzamy to od rana do wieczora. Mówimy jak źle żyli ludzie wcześniej, póki nie znaleźliśmy się tutaj i nie nauczyliśmy was wszystkiego. A oni wierzą. Jeśli teraz pojawisz się i zaczniesz krzyczyć do nich, że żyją źle, że są uciskani i nawet eksterminowani, to rozszarpią właśnie ciebie. Nikt nie potrzebuje prawdy. Wszyscy potrzebują jedzenia.

- A co z Markizą i Henrykiem? - zapytałem. - Też są ślepi?

- Im jest wygodnie, że Ziemia należy do nas. Świetnie się urządzili. To chwasty. Chwasty należy co jakiś czas pielnić.

- Pozwalacie im nosić ubrania?

- Oczywiście. Na wiele im pozwalamy. Żeby im się wydawało, że coś znaczą. Oddaliśmy im śmierdzące podziemia i nieprzebyte lasy, kopalnie i ciepłarnie, oddaliśmy im fabryki słodyczy i huty. Pozwalamy im wykorzystywać współplemieńców, ludzi, a oni zdzierają z nich trzy skóry. Jednocześnie drżą przed nami. Czyż nie jest to wygodny dla wszystkich model?

- Markiza była zła na pana.

- Nic podobnego. Twoja Markiza wystraszyła się. Zrozumiała, że pewnego pięknego dnia ją również można będzie zlikwidować. Ale jednocześnie była rada - zginęli niektórzy z jej konkurentów. Mam przy tym możliwość pocieszenia jej.

- Jak?

- Dawno temu obiecałem jej, że wyślę ją do Galaktycznego Centrum, gdzie poprawią jej ciało. W zamian będzie nam jeszcze wierniej służyła.

Wróciliśmy do betonowych budynków. Podbiegł Arseniusz i zaczął ocierać się o nogę sponsora - zaszczepiono w nim już miłość do sponsorów. Do wszystkich sponsorów. Widocznie we mnie szczepionka się nie przyjęła.

Sijniko potarł włosy Arseniusza.

- Nie odróżniam ich - powiedział. - Ale przyszłość Ziemi należy do nich. Ludzie nie powinni rozmnażać się jak popadnie. Każde dziecko powinno być zaprogramowane, żeby było przydatne dla nas. Dlatego ja osobiście jestem przeciwny działaniom gwałtownym. Po co zabijać? Za kilka dziesięcioleci Ziemia będzie idealną, harmonijną planetą. A gwarancją będą nasze stadniny.

Sijniko zadziwiająco dobrze mówił po rosyjsku, używając smakowitych słówek i zwrotów, bez akcentu, właściwego wszystkim sponsorom.

Wszedłem na schody i skierowałem się do willi.

- Co się dzieje? Dokąd idziesz? - krzyknął Sijniko.

- Mam dwa słowa do kucharek - odpowiedziałem.

Sponsor znalazł się w głupim położeniu - przecież nie mógł wejść do domu. Tak działa się ze wszystkimi sponsorami - im się wydaje że rządzą, ale nie mogą wejść ani do domu, ani do kopalni, ani - często - do fabryki słodczy. Póki ludzie nie zostali wytrzebieni i nie wszystko na Ziemi zostało przerobione na modłę czterometrowych żab, ludzie będą żyli swoim życiem. Żegnaj, mój panie!

Poszedłem do kuchni i kazałem kucharkom, które jeszcze zmywały naczynia, żeby Leonorze dawano od dziś podwójną porcję jedzenia. Kucharki zaczęły coś pleść o kanciarzu - szefie zaopatrzenia, o wskazówkach pana sponsora, ale nie wdawałem się z nimi w dyskusje, rzuciłem tylko, że jutro sprawdzę wykonanie polecenia.

Ku mojemu zdziwieniu Sijniko czekał na mnie przy schodach.

- Kto to jest Leonora? - burknął.

Trzymał w ręku komunikator. Jasne - słyszał wszystko, co mówiłem. Komunikatory słyszą przez ściany. Znowu zbyt uwierzyłem we własną przemyślność.

- Najpierw hodujecie mutanty, a potem zapominacie je karmić.

- Którego mutanta masz na myśli?

- Tę dwumetrową dziewczynę. Nie rozumiem, do czego wam się przyda?

- Do czego? Odpowiem ci. Sprawa polega na tym, że jesteśmy, jak zdążyłeś zauważyć, bardzo emocjonalni. Musimy w jakiś sposób wyładowywać swoją energię. Wszelkie zawody, zwłaszcza z elementami walki, są dla nas bardzo interesujące. Zapobiegliwi ludzie oprócz walk gladiatorów pracują, i to z sukcesami, nad odrodzeniem, zapasów, boksu i koszykówki. A ponieważ kandydatek jest mało, postanowiłem, że mógłbym wyhodować własną drużynę koszykarską. Tam - wskazał piętro budynku - w inkubatorach leży dwudziestka takich gigantów. Nie może być tak, że ciągle zyski będą spływały od kieszeni ludzi. Czas brać wszystko w swoje ręce. Za dziesięć lat moje koszykarki podbiją świat i przyniosą mi miliony.

- Ile lat ma Leonora? - zapytałem.

- Dwadzieścia. Jest najstarsza - powiedział sponsor. - Dobrze, że pilnujesz, żeby kucharze nie kradli. Wy, ludzie, macie straszne skłonności do złodziejstwa. Nie ma dla was niczego świętego. Ciągłe po coś wyciągacie łapy...

Sponsor zacisnął wargi, był przepelnięty wstrętem.

To była ostatnia taka szczerza rozmowa pana Sijniko ze mną.

Sponsor był zajęty w mieście, przylatywał późno. Od świtu wizytował laboratoria i pracownie projektowe. Pewnego dnia przyleciała śmigłowcem para sponsorów, wybrała i zabrała ze sobą hybrydę. Jeszcze przed tą wizytą wróciła

pani Fujke; ignorowała mnie zawzięcie - no i dobrze, w każdym razie mogłem też nie zwracać na nią uwagi.

W czasie, jaki spędziłem w stadninie dla pupilków, odpocząłem, najadłem się za wszystkie czasy - kucharki bały się mnie, a ja nie wyprowadzałem ich z błędu.

Sijniko miał niezłą bibliotekę. Pozwolił mi przeglądać ilustracje w książkach z jego gabinetu. Wiedziałem, że przy całej swojej mądrości, Sijniko choruje na tę samą przypadłość co i reszta sponsorów - nie mógł dopuścić do siebie myśli, że pupilki może umieć czytać, przy tym nie tylko po rosyjsku, ale również w języku sponsorów.

Mogłem więc nie tylko oglądać obrazki, ale także czytać. Co prawda ze książek sponsorów wiele nie dało się dowiedzieć - z reguły ich książki-harmonijki traktują o wojnach na nieznanymi mi planetach, w których to wojnach niejaki pan Kujbiwko wycina w pień mnóstwo smoków albo innego świństwa. Pani Jajbłuszko uwielbiała rozkładani o samotnej nieszczęsnej sponsorce, która ukrywa swoją urodę w oczekiwaniu na godnego narzeczonego, który, w końcu, przylatuje z gwiazd.

Kiedy byłem pupilkiem, czytałem te książki, uważając, że wszystko to - prawda, i nawet bolałem za biedną narzeczoną. Teraz zaś odrzucałem wszystkie te książki na bok i szukałem prac historycznych albo książek mówiących o nas, ludziach.

Ale o ludziach niczego nie było. Jakby nawet nie było takiej planety, Ziemi. Nie było kraju, Rosji, nie było innych krajów, widoki których trafiały się w telewizji, gdy mieszkalem u sponsorów.

Przywykłem do życia w stadninie, a stadnina - do mnie. Najpierw sponsor myślał, że będę pomagał Awtandilowi, ale genetyka mnie nie pociągała. Natomiast lubiłem zajmować się maluchami, graliśmy z nimi w różne gry, zacząłem prowadzić zajęcia z kultury fizycznej, strzelania z łuku i szermierki. Myślę, że byłem popularną osobą w stadninie.

Sponsor również przywykł do mnie. Gdy wracał z miasta często przywoływał mnie, razem jedliśmy kolację, a potem on zaczynał dywagować albo monologizować, a ja pokornie wysłuchiwałem ich. Zresztą, dowiadywałem się od niego nie tak znowu dużo. Wiedziałem, że sponsorzy mają sporo kłopotów z milicją, która nie mogła pogodzić się ze śmiercią milicjantów na stadionie, a bez milicji - jak na razie - sponsorzy sobie na Ziemi nie radzili. Trzeba było podnieść im pensje i przydzielić im specjalne przydziały. A z żywnością i tak było kiepsko. Ciężko. Żeby tylko nie trzeba było dobierać się do zapasów strategicznych!

Czasem Sijniko nie zauważał mnie. Pakowałem się do jego biblioteki, znajdującej się za gabinetem, czytałem albo oglądałem obrazki. Sijniko w tym czasie jadł, spał, odpoczywał, pisał listy, wydawał dyspozycje, wiedząc, że znajduję się obok, i nie zwracał na to uwagi.

Zima w tym roku była łagodna, ale śnieżna.

Każdy, kto mógł, wkładał na siebie ciepłe rzeczy, ale tak, żeby nie zauważyła tego nasza główna dręczycielka pani Fijke. Ludmiła, która nie dość że do mnie przywykła, ale nawet rzucała w moim kierunku powłóczyście zapraszające spojrzenia, zrobiła mnie na drutach kamizelkę, która świetnie grzała i nie wystawała spod kitla. To sponsorzy wymyślili tę legendę, że pupilki nie czują zimna. Zimna nie czują sami sponsorzy. A ludzie nauczyli się jak go unikać. Żal mi było maluchów, które w zimowe dni były wyganiane na śnieg boso. Sypialnie nie były ogrzewane, dlatego wielu z ich chorowało i umierało, a pani Fijke nazywała te zgony wynikiem selekcji naturalnej.

Kiedy zachorował mój przyjaciel Arseniusz, wściekłem się i powiedziałem do sponsora:

- Przypominacie kurę, która tłucze nogami własne jaja. Szkodzicie sobie jak wrogowie.

Taka wypowiedź zdziwiła Sijniko, oderwał wzrok od telewizora, żeby się wsłuchać w moje słowa.

- W ciągu zimy, jak się dowiedziałem, umiera niemal jedna trzecia maluchów. Każdy malec kosztuje pieniądze, Martwy maluch - to pieniądze, których nie dostaliście.

Sponsor wysłucha mnie i, skinąwszy głową, znowu odwrócił się do telewizora.

- Nie odpowiedział mi pan, panie sponsorze - powiedziałem.

- Mamy obowiązek dostarczać klientom towar o najwyższej jakości - powiedział w końcu Sijniko. - Po co nam reklamacje? Niech pupilki przechodzą twardą szkołę, a w świat wychodzi wspaniały materiał.

- Bzdura - powiedziałem. - Do zimna człowiek nie może przywyknąć. Człowiek może tylko nauczyć się go cierpieć. Nie więcej.

- Skąd to wiesz?

- Sam wymyśliłem. Siedemnaście lat przeżyłem jako pupilek. Myśli pan, że dom, w którym mieszkałem nie był ogrzewany? Nie wiem pan, że mój dywanik znajdował się w kuchni, gdzie zawsze jest ciepło?

- Nie wolno - powiedział Sijniko. - Reklamujemy swoich pupilków jako twory mrozo odporne.

- Nie są mrozo odporne. One cierpią.

- Jestem zdziwiony - powiedział Sijniko. - Obowiązkowo sprawdzę to.

Niczego nie zrobił, i maluchy dalej chorowały i umierały. Co prawda, Arseniusza wziąłem do siebie do boksu, który, jak i wszystkie pomieszczenia dla

sponsorów i laboratoria, były świetnie ogrzewane. Oddałem Arseniuszowi swój koc, a ze stołówki przynosiłem mu jedzenie. Arseniusz głośno kaszłał, jego skrzela były rozpalone, wybłagałem od bioinżynierów tabletki przeciwko kaszlowi i gorączce. Po dwóch dniach musiałem jeszcze bardziej się posunąć - ciężko zachorowała Leonora,

Ale Leonora nie przyszła sama - przyniosła przeziębioną dziewczynkę. Tak więc powstał mnie lazaret, który pracował aż do wiosny. Jak się okazało, kucharki, sprzątaczk i wychowawczynie również czasem brały do siebie do domów chore dzieci. Panią Fijke nie dziwiła niezgodność w wykazie dzieci z prawdziwym stanem osobowym. Zapewne wiedziała, co się dzieje, ale nie opowiadała o tym panu Sijniko. Ten by zaprowadził tu porządek.

Sponsor Sijniko nie był jakąś krwiożerczą istotą, nie był sadystą. Ale czasem widziałem w nim straszliwego zabójcę. Działo się tak, dlatego że było mu wszystko jedno, co się stanie z ludzkością, o ile tylko nie dotyczyło to jego interesów. Sprzeciwiał się masowym likwidacjom ludzi, ponieważ uważał, że sponsorzy żyją lepiej, gdy są obsługiwani przez ludzi. Ale gdyby ktoś go przekonał, że jeśli ludzie wymrą, to sponsorom będzie się lepiej żyło, jestem pewien - pierwszy zacząłby truć nas gazem albo obrzucać bombami. To, że wyróżniał mnie z tłumu ludzi, o niczym nie świadczyło. Zdawałem sobie sprawę, że rozstanie się ze mną równie spokojnie, jak ze stłuczoną żarówką. Ale póki co współpraca z ludźmi była mu wygodniejsza od ich śmierci.

Szczególnie widoczne stało się to, kiedy na początku maja do naszej stadniny przyleciało nagle kilka śmigłowców, z których wysiedli nieznani mi wysokopostawieni sponsorzy. Wśród nich byli nosiciele pomarańczowych kręgów ekologicznej obrony, niebieskich grzebieni ochrony porządku i czerwonych okręgów Ministerstwa Propagandy.

Byłem wtedy w bibliotece za gabinetem Sijniko i chciałem wyjść stamtąd, ale spóźniłem się - sponsorzy jeden po drugim wchodzili do gabinetu. Nie dla wszystkich starczyło foteli, więc dwoje - Sijniko i wysoki urzędnik z Ochrony Porządku, siedzieli, pozostali stali. Zresztą sponsorzy nie lubią siedzieć, wolą stać. Pomysł siedzisk został zapożyczony od ludzi, i Sijniko mówił mi, że do tej pory wśród konserwatywnych sponsorów istnieje trwały wstręt do foteli, jako do symboli moralnego rozkładu.

Widziałem stwory przez szparę w niedomkniętych drzwiach. Przytałem się. Byłem przekonany, że zawiodę zaufanie swojego protektora, jeśli wyjdę z biblioteki i pomaszseruję przez gabinet.

Sponsorzy byli przekonani, że nikt ich nie podsłuchuje, dlatego mówili głośno, nie przebierali w słowach, a ja słyszałem i rozumiałem wszyściutko do ostatniego słowa.

- Jesteśmy wszyscy bardzo zajęci - powiedział Sijniko. - I nie lubimy tracić nadaremnie czasu. Zaczynam od informacji, otrzymanej od Rady Najwyższej.

- Słusznie - pochwalił sponsor z czerwonym okręgiem Ministerstwa Propagandy. - Do rzeczy.

- W Radzie Najwyższej dyskutowano problem braku żywności i innych produktów, które wytwarzane są przez ludzi.

- Nie po raz pierwszy - zauważył drugi sponsor.

- Ale tym razem postanowiono przedsięwziąć kroki. Zgodnie z projektem dwanaście. Pamiętacie go?

Dwa zgodne pomruki - potem pojedynczy głos:

- Nie jestem na bieżąco.

- Przypominam: w ubiegłym roku rozpatrywano i odrzucono projekt, który objaśnia degradację ekonomiki i upadek produkcji tym, że pracownicy-ludzie coraz bardziej bezczelnieją i coraz większą część produkcji zostawiają sobie. To pozwala im opływać w dostatki i rozmnażać, podczas gdy my, sponsorzy, znajdujemy się w niewygodnej sytuacji, ponieważ kosmiczne dostawy napotykają na problemy, a kontrola Federacji została zaostrzona. Projekt numer dwanaście przewidywał likwidację połowy ludności Ziemi.

- Po co? - dał się słyszeć zdziwiony głos sponsora z Zarządu Obrony Ekologicznej,

- Istota projektu polega na tym, żeby zmniejszyć dwukrotnie ilość ludzi-konsumentów, i w ten sposób zwolnić masę produkcji dla zagospodarowania przez nas.

- Bzdura! - ryknął jakiś głos. - Czy oni nie rozumieją, że każdy konsument jest jednocześnie producentem?

- Proszę nie uważać Rady Najwyższej za głupszy niż jest naprawdę - delikatnie zaoponował Sijniko. - Świetnie to rozumieją. Ale też rozumieją, że w istnieniu ludzi zainteresowana jest tylko część sponsorów - ci, którzy zawiązali jakieś kontakty służbowe oraz prywatne. A to właśnie wydaje się szefom Rady bardzo niebezpieczne. Obawiają się demontażu naszej ideologii.

- To niedobrze - powiedział sponsor z Ministerstwa Propagandy. - To znaczy, że z żywnością i towarami będzie o wiele trudniej.

- O wiele - zgodził się Sijniko.

- Jednakże nasi kochani konserwatyści uczynią jeszcze jeden krok do ideału, do wzorcowej planety z jednym wzorcowym miastem dla inspekcji i komisji. Natomiast my zostaniemy pozbawieni wszystkiego.

- Niestety - ten punkt widzenia przeważał nad innym - powiedział Sijniko. - Obawiam się, że nie uda się tego zmienić.

- No to co mamy robić?

- Likwidacja połowy populacji Ziemi to trudne zadanie. Nawet ci najbardziej zdecydowani w Radzie rozumieją to. Wcześniej niż w sierpniu ta operacja się nie zacznie. To daje każdemu z nas czas na przygotowanie się, uprzedzenie potrzebnych ludzi., ukrycie tego, co się da ukryć...

- A wykazy do likwidacji, konkretne listy - gdzie, ile, w jaki sposób?..

- Dostarczą je departamenty.

- Samobójcy - powiedział propagandzista.

- Trzeba pilnie powiadomić Centrum Galaktyczne - powiedział ktoś.

- Ja nie zaryzykuję tego - powiedział Sijniko. - Są tu tacy, co tylko czekają aż się pomylę. A głowę mam jedną.

Długo jeszcze obgadywali, co powinni zrobić. Rozeszli się dopiero wieczorem. Słuchałem ich i ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Ani jeden ze sponsorów nie powiedział, że żał mu ludzi. Przynajmniej odrobinę. Żał im było tylko własnych korzyści i swoich dochodów.

Byłem tak zdenerwowany i przygnębiony, że popełniłem fatalny w skutkach błąd.

Kiedy sponsorzy odlecieli swoimi śmigłowcami, wyszedłem z biblioteki i poczekałem w gabinecie na sponsora Sijniko. Ten zdziwił się widząc mnie.

- Po coś przyszedł? - zapytał mnie.

- Naprawdę nie szkoda panu ludzi, których zabijecie? - zapytałem z kolei ja, odsuwając się do drzwi.

- Jakich ludzi? - zdziwił się Sijniko.

- Którzy zginą zgodnie z projektem dwanaście.

- Skąd wiesz?

- Byłem w bibliotece!

- Zrozumiałeś wszystko?

Sponsor zawisł nade mną.

- Znasz nasz język?

- Trochę - powiedziałem. Poczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa zmusiło mnie do skulenia się. - Odrobinę.

Kłamałem mając nadzieję, że słaba znajomość języka uratuje mnie.

- Uczono cię?
- Żyłem w odzienie i słuchałem.
- Tylko słuchałeś? Nic więcej?
- Oglądałem telewizję.
- A w domu wiadano, że rozumiesz nasz język?
- Nie sędzę. Wy, sponsorzy, uważacie, że jesteźmy zbyt tępi, żeby nauczyć się waszego języka.

- To wykluczone! - krzyknął sponsor. - Tego jeszcze nie było.

- Na pewno nie jestem taki jeden. Są przecież pupilku mądrzejsze ode mnie.

Sponsor usiadł w swoim fotelu, utkwil spojrzenie gdzieś obok mnie, jakby bał się patrzeć na mnie.

- Niebezpieczeństwo, promieniujące od ciebie - powiedział w końcu - jest większe, niż twoja waga jako świadka.

- Obiecał pan Markizie! - przypomniałem. W środku cały się trząłem.

- Tak!

- Dał pan słowo!

- Ja dałem, i ja wycofam!

- Wspaniale mówi pan po rosyjsku!

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Nie bój się - powiedział. - Zlikwiduję cię tak, że nawet tego nie zauważysz. Nikt tego nie zauważy. Nie bój się więc.

- A nie da się obejść bez takich środków?

- Idź spać - machnął ręką sponsor. - Jestem strasznie zmęczony i niezadowolony. Może mają rację ci, co optują za całkowitą likwidacją rasy ludzkiej.

- A są tacy?

- Oczywiście. Było by to higieniczne i rozwiązało wszystkie problemy ekonomiczne na Ziemi.

- Po co? Żeby przejąć Ziemię?

- W końcowym efekcie zawsze zwycięża silniejszy.

- I nikt nie stanie w naszej obronie?

- Obronie? Gdzie słyszałeś o obrońcach?
- Nie słyszałem.
- Ludzi są kłamliwi. A ty jesteś jednym z najbardziej załganych kłamców swojej rasy. Nie jesteście warci tego, by pętać się pod swoim niebem.
- Złości się pan? Boi?
- Co?.. - Wyjdz stąd, bo rozszarpie cię gołymi rękami.

Wyszedłem. Oczywiście, nie zabije mnie własnymi rękami, ale groźba w jego głosie brzmiała złowieszczo. Sponsor był racjonalny. Zacząłem się bać, ponieważ podsłuchałem ich tajemną rozmowę i byłem na tyle głupi, że się do tego przyznałem. Teraz sponsor powinien obawiać się, że rozgłoszę tę wiedzę.

Pogrążony w takich gorzkich myślach wróciłem do swojego boksu.

Zmierzchało. Niebo miało ten wiosenną ożywioną barwę, płynęły po nim obłoki. Od lasu ciągnęło chłodem, tam, w gęstwinie można było jeszcze trafić na placki śniegu. Pierwsze gwiazdy zapłonęły na wschodniej stronie nieba. Zatrzymałem się i zacząłem patrzeć w nieboskłon, ogarnięty niespodziewanym i niezrozumiałym dla samego siebie poczuciem szczęścia, jedności z tym światem. Pewnie z powodu tego niepojętego uczucia dźwięki stadniny, dobiegające do mnie, wydały mi się dźwiękami zwyczajnej Ziemi. Głosy istot, wyhodowanych dla uciechy sponsorów - wesołą muzyką zwykłych dziecięcych zabaw, terkotanie wyciągowego wentylatora w laboratorium genetycznym - postukiwaniem kół odległego pociągu, niskie głosy sponsorki Fujke, objeżdżającej kucharkę za niewpisaną stratę talerza - krzykiem sowy w gęstwinie lasu, krakanie wron... zresztą, krakanie wron zostało krakaniem wron, i niczym innym być nie mogło.

Obejrzałem się, daleko z tyłu pojawił się prostokąt światła - w jego centrum pokazał się kontur pana Sijniko, który podreptał do genetyków - jak zwykle wieczorem sprawdzał co zdziałałi przez dzień. Dlatego laboratorium jest takie wielkie, na wymiar sponsorów, żeby kontrolerzy zawsze mogli wpaść i sprawdzić czym zajmują się tam ludzie.

Rozbłysły reflektory na wieżach dokoła stadniny - zapalały się automatycznie, kiedy ściemniało się. Wiedziałem, że na wieżyczkach dyżurują milicjanci. Nagle pomyślałem złośliwie: was też, gołąbeczki, zlikwidują, Może nawet wcześniej niż innych. Przypomnijcie sobie stadion. Ten, gdzie zabiłem sponsora...

Słowo honoru - nie jestem okrutny i nawet nie szarpałem w dzieciństwie kotów za ogon, przeżyłem wiele lat w świecie, którym rządzą sponsorzy, nie podejrzewając nawet, że wcale nie są naszymi dobroczyńcami, a grabieżcami i zabójcami! Ale nawet kiedy poznałem prawdę nie powstała we mnie żądza mordowania. W końcu - jak można zabić oświeconego i rozumnego pana Sijniko, który, ryzykując wiele, ukrywa mnie w stadninie!

Zrobiło mi się zimno. Poszedłem do siebie do boksu. Moi chorzy, którzy czuli się już lepiej i w dzień wylazili pogrzać się w promieniach słońca, siedzieli przykrywając się jednym kocem i coś śpiewali. Na mój widok spłoszyli się i zamilkli. Wiedziałem, że śpiewy są zabronione, ale powiedziałem:

- Śpiewajcie, nie zwracajcie na mnie uwagi.

Ale już im się odechciało śpiewów. Powiedziałem, że zrobiło mi się zimno, i usiadłem obok nich. Dziwne radosne uczucie, które opanowało mnie na ulicy, nie opuściło mnie i tutaj. Z rozrzewnieniem patrzyłem na swój lazaret. Oto Arseniusz, chłopiec- amfibia, brązowooki, zawsze wesoły, przywiązał się do mnie, jak do starszego brata, i widziałem jak szczyrzył zęby, kiedy za coś obsztorcowywała mnie pani Fujke. Obok niego, złożona we troje albo i we czworo, siedzi Leonora - niewiarogodnie wysoka dziewczyna, cechą właściwą której jest zawstydenie. Wstydzi się swojego wzrostu, swojej chudości, swoich oczu, swoich rąk, wstydzi się samego życia na tym świecie. Czasem maluchy drażnią się z nią, a ona cierpi. Całe jej życie jest karą, i myślę, że nie pociągnie tu długo, jeśli nie wyślą jej do jakiejś drużyny koszykarskiej, gdzie dokoła będzie miała takie same tyki. Trzecie istota - najmilsza i najmniej skancerowana z całej trzódki - Marusia-ptaszek. Przygotowywano ją na specjalne zamówienie jakiejś znacznej rodziny, w której wcześniej żyła papuga. Dlatego głowę Marusi pokrywają nie włosy, a białe pióra, a całe ciało pokryte jest puchem. Marusia ma również skrzydełka, ale malutkie i latać na nich się nie da.

- Kiedy będzie lato? - zapytała Marusia.

- Za miesiąc - odpowiedziałem.

- Żeby już się skończył ten przeklęty miesiąc - powiedziała Marusia.

Chociaż ma dopiero cztery lata Marusia ma opinię mądrali i czasem wyrzuca z siebie wieloznaczne i nie zawsze zrozumiałe dla otoczenia sentencje.

Już w ubiegłym tygodniu, kiedy cała trójka leżała u mnie złożona temperaturą, kaszłąc i kichając, obiecałem im, że gdy tylko nadejdzie lato, namówię sponsora Sijniko, żeby puścił nas do lasu. Powędrujemy daleko i będziemy zbierali kwiaty i jagody; teraz więc moi podopieczni czekali lata jak święta. Patrzyłem na nich z radością i nie zauważałem ich okaleczeń. Jednocześnie wiedziałem, że są skazani na życie w charakterze zabawek istot, nie mających ani prawa, ani sumienia, żeby kaleczyć ludzi. A najgorsze, że kaleczą i zabijają nie ze złości, nie z powodu wrodzonego sadyzmu, a dlatego, że tak trzeba, tak jest wygodnie. Mniej więc tak, jak ludzie hodowali różne rasy psów... Niedawno rozmawiałem z Ludmiłą, z którą stopniowo zbliżyliśmy się i zaczęliśmy ufać sobie nawzajem, więc zapytałem ją, czy współczesna biotechnika jest w stanie przywrócić maluchom normalny stan. Ludmiła rozpostarła ramiona i odpowiedziała, że szans na to jest mało. Aby zakodować w komórce określone zmiany wystarczy ziemskie laboratoria, ale zmienić wygląd i wewnętrzną budowę istot, już stworzonych i żyjących... do tego trzeba technologii, o której nie możemy nawet marzyć. "A sponsorzy?" -

zapytałem. "Wątpię - powiedziała Ludmiła. - Sponsorzy wykorzystują cudze osiągnięcia - i to nie tylko ziemskie".

To nic, powiedziałem do siebie, wypędzimy tych sponsorów i wtedy, braciszku, naprawimy was.

Właśnie tę chwilę jestem w stanie odtworzyć w pamięci: ciszę w boksie, oddechy dzieci, i własny stan. Wtedy zrozumiałem, że mam już w życiu cel - przepędzić z Ziemi sponsorów. Ponieważ jeśli my tego nie zrobimy, oni stopniowo wytrzebią wszystkich ludzi, albo - jeśli nawet nie wybiją do nogi - zrobią z nas pupili i niewolników.

Nie miałem pojęcia, jak tego dokonam. Ale byłem przekonany, że los do tego celu wybrał właśnie mnie. Miałem pewność, wynikającą z nieświadomości i aluzji sponsorów, że na Ziemi wybuchały już powstania i spiski przeciwko sponsorom. Ale upadały one z dwu powodów: albo sponsorzy na czas dusili powstanie, ale znajdował się zdrajca. To drugie zdarzało się o wiele częściej - w ciągu stu lat panowania braci w rozumie ludzie nauczyli sprzedawać się i istnieć w błogostanie, jak świnię w rzeźni - prowadzą je na rzeź, a one śpieszą się jeszcze nażreć albo policzyć się z innymi. Jesteśmy szczęśliwymi świniami w szczęśliwej rzeźni!

Drzwi odrobinę się uchyliły i usłyszałem głos:

- Tim.

- Kto tam? - poderwałem się.

- Wyjdź na chwilę.

Dzieciaki niespokojnie kręciły głowami, szeptały do siebie.

Wyszedłem na korytarz.

W gęstym mroku, z którym walczyła jedna jedyna żarówka, stała Ludmiła.

Pociągnęła mnie za rękę, w głąb korytarza, pod zakratowane okno.

- Tim, strasznie się boję - szepnęła.

- Mów.

- Sponsor Sijniko przyszedł do nas. Rozmawiał z Awtandilem i profesorem. Mnie przepędzili z laboratorium. Nie spodobało mi się to, więc zaczęłam podsłuchiwać. Nie usłyszałam wszystkiego, ale rozmawiali o tobie.

- I co? - Starłem się wyglądać normalnie - że niby niech sobie gadają.

- Sponsor chce cię zabić.

- Jak?

- Otrują cię, otrują cię tak, że będzie to wyglądało na przypadek, dlatego że nasz sponsor jest humanistą. Będzie miał czyste ręce.

- Dziękuję ci - powiedziałem. - Ale chyba trochę przesadzasz. Po co miałby sponsor mnie zabijać?

- Wygląda, że mu przeszkadzasz. Muszę ci powiedzieć, że zdarzył się już tu taki przypadek. Nie wiem dlaczego, ale sponsorowi nie spodobał się doktor Hertz. Przestał być pokorny, chciał się zwolnić z laboratorium. A potem doktora znaleziono martwego. I powiedzieli, że się najadł trujących grzybów.

- Nie będę jadł grzybów - obiecałem biorąc Ludmiłę za rękę. - Obiecuję ci.

- Mogą wymyślić co innego.

- Będę ostrożny.

- Nie masz pojęcia, jacy oni są chytry!

Ludmiła była zdenerwowana. Wydawało się jej, że nie rozumiem grożącego mi niebezpieczeństwa. Była w błędzie - rozumiałem.

- Idź - powiedziałem. - Idź, póki nie zauważyli twojej nieobecności. Pogadamy jutro.

- Ale oni mogą do ciebie przyjść już dzisiaj w nocy.

- Niech przychodzą.

Odprowadziłem Ludmiłę do drzwi - pomknęła wzdłuż ściany. Miałem nadzieję, że nikt jej nie zauważy.

Miałem sporo do przemyślenia.

Stałem w zimnym pustym korytarzu.

Co oni mogą wymyślić? Czy naprawdę sponsor postanowił się mnie pozbyć? Kiedy? Pewnie jutro rano. Ale wszystko może się zdarzyć...

Wyjrzałem na zewnątrz i zerknąłem na gwiazdy. Było około dziesiątej. Stadnina już spała, ucichli przyszli pupilkowie; reflektory, tnące z góry ciemność, tylko podkreślały pustkę i ciszę.

Nie było na co czekać. Trzeba było działać.

Wróciłem do swojego boksu. Moi malcy, oczywiście, nie spali - cała trójka zaniepokojona i oczekująca mojego powrotu.

- Nic strasznego się nie stało - uśmiechnąłem się do nich. - Nie denerwujcie się. Ciocia Ludmiła powiedziała mi, że wychowawcy są źli, że tak długo mieszkacie u mnie. Chcą was za to ukarać.

- Nie chcę do pawilonu! - zawołał Arseniusz.

Mieszkali u mnie ciszej niż myszy, drząc przed koniecznością powrotu do willi i mając nadzieję, że dzisiaj do tego nie dojdzie.

- Jeśli się na nas rozzłoszcą - powiedziała mądrutki ptaszek-Marusia - zamkną nas w karczerze. I nie będziemy mogli chodzić do Tima.

- Może jutro? - zapytała Leonora.

- Nie - powiedziałem twardo. - Trzeba dzisiaj wrócić do pawilonu. Uwierzcie mi.

Dzieciaki powstrzymały się od płaczu i próśb.

- Ale do lasu pójdziemy latem? Obiecałeś - powiedziała Marusia.

- Pamiętam. I obiecuję, że pójdziemy.

Musiałem rozwiązać skomplikowane zadanie: Arseniusz z Leonorą mieszkali w willi, w wieloosobowych sypialniach. Marusia - w boksie za laboratorium, dlatego że proces jej metamorfozy jeszcze się nie skończył. To było w zupełnie innym końcu obiektu. Nie mogłem puścić ich samych na ulicę - w nocy w stadninie były spuszczone psy. Psy mogły wystraszyć dzieciaki.

- Poczekaj na mnie - powiedziałem do Marusi. - Odprowadzę Arseniusza i Leonorę, a ty nikogo nie puszczaj, siedź cichutko.

- Ja zawsze siedzę cichutko - powiedziała Marusia.

Wziąłem Arseniusza na rękę, Leonora szła obok mnie.

Poszliśmy nie na wprost, przez trawnik, oświetlony reflektorami, a przy płocie, przez krzaki. Nikogo nie spotkaliśmy, tylko przy ścieżce wiodącej do willi, z krzaków wyskoczył pies i zabierał się do szczekania, ale kazałem mu milczeć i pies pobiegł obok nas. Leonora bała się go i mocno trzymała mnie za rękę długimi palcami.

Obeszliśmy willę. Od tyłu było wejście do kuchni - tam wyładowywano produkty. Wiedziałem jak się otwiera zasuwka, nie raz już tamtędy wnikalem do kuchni, żeby gwizdnąć coś do jedzenia dla malców: skoro chorowały u mnie w boksie, to nie przysługiwało im wyżywienie.

- Cicho - szepnąłem. W kuchni zazwyczaj nie było stróża, ale czasem kucharki albo praczki też podkrażały jedzenie. Przecież wszyscy żyliśmy w półgłodzie. A w ostatnich dniach radio zaczęło powtarzać, że tyle się namnożyło ludzi, iż zaczynają oni podbierać żywność swoim współplemieńcom. Wiedziałem już, co oznacza takie gadanie.

Przeszliśmy przez kuchnię, i przy schodach do sypialni pożegnałem się z Leonorą i Arseniuszem. Obiecałem im, że rano odwiedzę ich i dogadamy się.

Wyszedłem z willi tą samą drogą, zamknąłem za sobą drzwi i, nie śpiesząc się, żeby co najważniejsze - nie podnieść alarmu, poszedłem do siebie.

Wydało mi się, że ktoś za mną idzie, nawet zatrzymywałem się kilka razy, ale nikogo nie zobaczyłem. Tylko wyczuwałem. Wiedziałem, że wydano na mnie wyrok, ale nie powiem, żebym bał się napaści. Bałem się tylko, że uda im się zabić mnie tak, że nawet tego nie poczuję.

Żeby zmusić do działania swojego prześladowcę przyspieszyłem i gwałtownie uskokyłem za pień dębu. Uważnie wpatrzyłem się w mrok za sobą. Tak, coś ciemnego, jakiś cień przemknął z tyłu. Ale nic więcej. Oczywiście, mogą również strzelać, w końcu i tak udowodnią, że zmarłem śmiercią naturalną. Jednakże najbardziej prawdopodobne jest, że to nie będzie strzał, a coś "czystsze". Zabijają mnie tak, żeby jutro można było wystawić ciało na widok publiczny, bez obawy, że ktoś coś zacznie podejrzewać...

Ruszyłem szybkim krokiem. Potem pobiegłem, chcąc oderwać się od ciemnego cienia. Jeden z wartowniczych psów pobiegł za mną, ale nie szczekał poznawszy mnie - często coś mu podrzucałem do jedzenia. Biegł więc obok mnie, podskakując i ciesząc się, że tak fajnie się bawimy.

Przed boksami zatrzymałem się. Coś tu było nie tak.

Po chwili zrozumiałem - w ciemnościach jasno świeciły dwa duże okna. Jedno w boksie pana Sijniko. To znaczy, że sponsor nie śpi, mimo że zawsze w tym czasie śpi. I jeszcze w jednym oknie się świeci - w laboratorium. Tam też ktoś czuwa.

Przygotowują się.

A ja za diabła nie wiem - co wymyślili?

Wymacałem wąski nóż w szwie skórzanych portek, jednocześnie uprzytamniając sobie, że urządzam przebieżki po stadninie odziany w biały fartuch - widoczny za kilometr. Całe szczęście, że postanowili nie strzelać do mnie - trudno wymyślić sobie lepszy cel!

Zrzuciłem fartuch i zrolowałem go. Przede mną rozciągała się otwarta przestrzeń, co chwila oświetlana reflektorem z wieżyczki. Wyczekałem aż promień skieruje się w bok od łączki i biegiem rzuciłem się do swojego boksu. Zdażyłem pomyśleć: dobrze, że u sponsora i w laboratorium pali się światło. Przynajmniej nie śledzą mnie.

Oto i mój boks.

"Stop!" - krzyknąłem do siebie. Wewnątrz mnie wyla syrena alarmowa. O co chodzi? Dokładnie zamknąłem drzwi, kiedy wychodziłem. Pamiętałem to dokładnie. Ktoś tu był już po mnie. Ale gdzie jest teraz? Czeka na mnie w ciemnym korytarzu?

Znajdowałem się w niewygodnym położeniu - między mną i wieżą nie było żadnego budynku, wiedziałem więc, że za minutę promień reflektora oświetli mnie.

Plecami czułem, jak skrada się ku mnie krąg światła. Ogarnęła mnie wściekła chęć działania - pognać gdzieś, rozwalić co wpadnie pod rękę. Tak się czułem na stadionie, kiedy zabiłem sponsora. Jeśli nie mogę stać i czekać śmierci, to lepiej spotka ją twarzą w twarz.

Najważniejsze - szybkość!

Dwoma skokami dopadłem drzwi, szybkim uderzeniem otworzyłem je i wpadłem w korytarz. Oczekiwałem uderzenia, strzału - ale nie przydarzyło się nic takiego. Walnąłem w ścianę z oknem, dzielącą korytarz i znieruchomiałem. Było nadzwyczaj cicho, brzęczał jakiś przedwczesny komar. Gdzieś w oddali zakrakała wystraszona czymś wrona.

Boks był pusty.

Ale odgłosu oddechu, ani jęku, ani ruchu.

Odetchnąłem, Postarałem się uspokoić. Drzwi mógł otworzyć wiatr. Niezbyt wiarogodne, ale możliwe.

A może pułapka czekała na mnie w moim pokoju?

Ale już byłem pewniejszy. Mogłem się nie śpieszyć, za plecami miałem betonową ścianę, korytarz - wąski, tu wrogowie nie mają nade mną przewagi.

Oparłszy się plecami o ścianę mocnym uderzeniem nogi otworzyłem drzwi do swojego pokoju.

Cicho. Pusto. Martwo. Tylko nieprzyjemny, uciekający z przeciągiem zapach... medyczny... martwy...

Przemknął obok mnie, wysysany przez przeciąg na korytarz, pozostawił po sobie pewną ociężałość w głowie i gwałtowny atak mdłości.

Wszedłem do pokoju. Był pusty. A gdzie mój ptaszek, gdzie jest Marusia?

Na podłodze, na moim materacu leżał koc, pod nim można było odgadnąć ciało dziewczynki.

Zasnęła.

Zapach wciąż jeszcze panował w pokoju i był wstrętny.

Kiedy pochyliłem się, żeby obudzić ptaszka i odnieść ją do boksu laboratoryjnego, zapach wydał mi się jeszcze silniejszy. Dotknąłem ramienia Marusi. Nie odezwała się - ramię poddało się naciskowi ręki.

Odrzuciłem koc. Marusia leżała na boku, we wpadającym przez okno świetle latarni widać było, że nigdy już się nie obudzi. Marusia była martwa.

Wziąłem ją na ręce i poszedłem do wyjścia.

Marusia była lekka, jakby miała ptasie kości. Jej głowa zwisała, twarz, obramowana białymi piórkami, była spokojna.

Ta woń - nieprzyjemna, dusząca - skąd ją znam?

Jej ślady wyczuwało się w laboratorium. W pewnej zlewce... Co powiedział Awtandił? Powiedział: "Nie możemy ograniczać się do badań. Powinniśmy hodować pupili, hodować i uśmiercać, jeśli okażą się niezdolni do życia". - "To chyba rzadko się zdarza" - przerwała mu Ludmiła. "Jeśli nawet zdarza się, to istnieją humanitarne sposoby. Pupilek nawet się nie domyśli, że umiera"...

Awtandił!

Wziął wtedy z półki stojak z szeregiem ampulek. W jednej była mętna biała ciecz...

Teraz już wiedziałem, jaką śmierć przewidział dla mnie pan sponsor: Awtandił albo jakiś inny równie posłuszny uczonek przedostał się do boks, rozbił w moim pokoju ampulkę, albo wduślił przycisk rozpylacza... Był przekonany, że śpię - dokąd niby miałbym pójść? Morderca puścił gaz, zamknął drzwi i wyszedł z boks. Rozpylona trucizna działała, jak sądzę, błyskawicznie - Marusia nic nie poczuła.

Ale ja czułem - i swoją śmierć, i śmierć dziewczynki.

Szedłem do wyjścia i myślałem: jak to dobrze, że wyprowadzałem stąd Leonorę i Arseniusza, Inaczej wszyscy byśmy zginęli.

Podszedłem do drzwi wyjściowych i znieruchomiałem.

Nie miałem planu na wypadek dalszych działań.

Odnieść ciało dziewczynki do sponsora? Oskarżyć go o zabójstwo? I co dalej? Ich moc polegała na tym, że śmierć któregokolwiek z ludzi nie mogła być powodem bólu czy przynajmniej wstydu. Im mniej pozostanie ludzi, tym lepiej.

Odnieść ją do laboratorium i oskarżyć uczonych?

Nie czują i nie poczują wyrzutów sumienia, ponieważ wykonali polecenie i wykonali je dobrze.

Trzymałem w ręku lekkie ciało ptaka i docierało do mnie, że odtąd mam w życiu cel i drogę - drogę wrogości i nienawiści do sponsorów. Nie dla tego wcale, że są okrutni i bez serc, wśród nich byli różni, a dlatego, że, jak się okazało, przed sobą mamy tylko dwie drogi - albo na Ziemi pozostaną ludzie, albo na Ziemi będą żyli sponsorzy ze swoimi pupilkami.

A skoro tak, to od dziś nie należę do siebie. Powinienem znaleźć sojuszników, bo chyba nie jestem sam na całej planecie! Powinienem mieć przyjaciół i towarzyszy broni! Nie Markizę i Henryka, którzy wspaniale się urządzili, a jacyś inni, jeszcze nieznani mi ludzie.

Przyląpałem się na tym, że stoję przy zamkniętych drzwiach i trzymam ciało Marusi zawinięte w koc.

Wróciłem do swojego boksu, ostrożnie ułożyłem Marusię na materacu, poprosiłem w myślach przebaczenia za to, że odchodzę. Potem wziąłem koc. Dwa razy mocno nim strzepnąłem, żeby pozbyć się resztek gazu, zwinąłem w rulon i owinąłem się nim. Tak było wygodniej niż trzymać go w ręku czy pod pachą. Potem wziąłem kilka sucharów, niedojedzonych przez moich wychowanków, wsunąłem do kieszeni spodni. Biały fartuch też wziąłem, mógł się przydać.

Powinienem natychmiast, póki jeszcze nie przyszli sprawdzić czy dobrze wykonali swoją robotę, póki nie zaczęło świtać, uciec ze stajni.

Mniej więcej wiedziałem jak powinno się to odbyć - w ciągu ostatnich tygodni nie raz w myślach uciekałem stąd.

W dębowym zagajniku, w największej gęstwinie krzaków, pod drutem kolczastym, zawsze podłączonym do prądu, psy wyryły przejście. Stało się to pewnie wtedy, kiedy jeszcze nie puszczono prądu, w każdym razie psom to nie szkodziło. Sam widziałem jak pies, wolno, jakby czuł prąd, przełaził pod płotem i pognął do lasu, pewnie na randkę.

Nie miałem innego wyjścia.

Księżyc zaszedł i straciłem kilka minut zanim znalazłem w ciemnościach to podziemne przejście. Położyłem się obok i zacząłem je pogłębiać, ponieważ jak dla mnie było za wąskie.

Wyrzucałem ziemię z podkopu jednocześnie sam stopniowo wsuwając się weń.

Niespodziewanie nad moim boksem zapaliło się światło. Potem rozdzwoniły się dzwonki. Domyśliłem się, że sponsor przyszedł popatrzeć na moje ciało - był uczonym cierpliwym i starannym i przywykł sprawdzać wykonanie polce przez ludzi, którym ciągle nie dowierzał.

Ktoś biegł przez polanę zwołując psy.

W gęstwinie dębowych gałęzi zaczęły miotać się promienie reflektorów. Zrozumiałem, że teraz będą szukać mojej osoby a ścigających wystarczy, by działać jednocześnie wszędzie: w willi, w boksach, wzdłuż płotu.

Zacząłem paznokciami drzeć ziemię i wyrzucać ją za siebie.

Głosy zbliżały się - strażnicy szli wzdłuż płotu!

Przerzuciłem na tamtą stronę koc i fartuch. Potem wolno, głową do przodu zacząłem wbijać się w podkop - najważniejsze, żebym przeszedł w pasie. Odpychałem się rękami, a zwisający przewód dyndał o centymetr od mojej twarzy.

Głosy były już tuż obok.

Ale spóźnili się - byłem już na wolności!

Zrobiłem krok, podniosłem się, otrząsnąłem.

I zrozumiałem, że nie jestem tu sam. Ktoś milcząc, starając się nie oddychać, pełził tym samym przejściem.

To było niewiarogodne. Czyżby mnie ktoś wyśledził?

Nie - to był ktoś niewielki.

Pies?

- Kto to? - zapytałem cicho.

- To ja - odpowiedział Arseniusz. - Pociągnij mnie za nogi, bo za wolno pełnę.

Pociągnąłem chłopca do siebie.

O nic go już nie pytałem - dlatego że kilka kroków od nas rozbłysły światła latarek. Dały się słyszeć głosy.

Chwyciłem pod pachę koc, pod drugą chłopca i pognałem do lasu. Plecami czułem, że strażnicy znaleźli przejście pod płotem i głośno rozmawiają o tym, ale zanim pójda w moje ślady muszą wyłączyć prąd. Znaczy się, że mam jakieś pięć minut forów...

Rozdział 7

Pupilek w lesie

Gnali za nami przez kilka kilometrów. Było im lepiej niż nam - mieli latarki. Ale udawało nam się zalec, zataić się w gęstwinie, najważniejsze - znieruchomieć w odpowiedniej chwili. Jeśli jesteś nieruchomy, ze śmigłowca nie da się ciebie zobaczyć. Zmęczyłem się niosąc małego. Niby był nieduży, ale jakiś taki nabity i ciężki. Sam poczuł, że jest mi ciężko i powiedział:

- Sam pobiegnę. Dobrze biegam, uwierz mi.

Postawiłem Sienię na ziemi. Nie miał butów, a gleba była zimno i mokra.

- To nic - powiedział. - Ja już się nie przeziębę. Jak się biega to jest ciepło, prawda?

Musieliśmy znaleźć jakąś kryjówkę, żeby się przyczaić. Ale nie znałem, niestety, okolicy stadniny, na dodatek pędzono nas jak nagonka pędzi zwierzynę na odstrzał.

Wyszliśmy nad brzeg niewielkiej rzeczki, nad która zwisały gałęzie wierzb, już pokryte kotkami. Raczej się ego domyślałem niż widziałem, Księżyc pojawił się, ale wąski i dawał zbyt mało światła. Przez cały czas się bałem, że malec skaleczy czymś nogę. Ja miałem lepiej - na stopach buciory, jeszcze tamte, gladiatorские.

Nieco niżej z prądem rzeczka rozlewała się szeroko i niezbyt głośno bulgotała na kamieniach, w miejscu gdzie był bród.

- Chodź, przeniosę cię - zaproponowałem.

Sienia roześmiał się.

- Lubię wodę - powiedział. - Idź tam, a ja wolę tutaj.

I skoczył do rzeczki w głębokim miejscu, zniknął z oczu, tylko kręgi rozeszły się po wodzie.

Wystraszyłem się najpierw, potem sobie przypomniałem: przecież maluch jest rybką.

Zdjąłem buciory i zacząłem przechodzić rzekę. Kamienie boleśnie kłuły w stopy. Przy drugim brzegu nieoczekiwanie zrobiło się głębiej - zanurzyłem się po pas i musiałem podnieść nad głowę moje skarby. Sienia, który już czekał na drugim brzegu, roześmiał się.

- Ciszej! - syknąłem na niego. - Chcesz nas zdradzić?

Malec obraził się i zamilkł. Szliśmy dalej w milczeniu. Powinienem był przeprosić Sienię, ale tej nocy strasznie byłem zmęczony i zdenerwowany. I ciągle widziałem błękitną w świetle księżycy twarz Marusi.

Brzeg, na którym się znaleźliśmy był wysoki, ale łagodnie się wznosił. Od brodu prowadziła szeroka, zarośnięta trawą i krzewami droga.

Zaczęło świtać. Powietrze zrobiło się błękitne i zimne. Sienia biegał dokoła mnie, podskakiwał, żeby się ogrzać - wcale nie był zmęczony. Uznałem, że pościg został z tyłu - minęło pół godziny od czasu, kiedy ostatni raz słyszałem hurkot helikoptera i krzyki myśliwych.

Droga, po której szliśmy, po pół godzinie doprowadziła nas do porzuconego ludzkiego osiedla. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że takie osiedla nazywają się wsiami.

Wieś składała się z jednej szerokiej ulicy, na której kiedyś wylegiwała się droga, a teraz wszystko zarosło krzakami i nawet solidnymi, o pniach, które ledwo dawały się objąć rękami, brzoźami i jodłami. Drewniane domy, otoczone niewysokimi parkanami, ukryły się w zaroślach, a ogrodzenia dawno temu zwały się i zniknęły w trawie. Niektóre domy miały rozwalone dachy, inne całe pochyliły się albo wręcz rozsypały. Ale jeden z nich, zbudowany z grubych bali, wydał mi się mocny. Chociaż szyby wszystkie miał wytłuczone.

- Chodźmy tu spać - powiedziałem do Sieni.

Sienia pokręcił nosem, węszył chwilę - węch ma diabelski.

- Dobra - zgodził się. - Nikt tu nie mieszka, oprócz jakichś małych zwierzątek, które pouciekały.

Przedarliśmy się przez krzaki do domu. Drzwi były uchylone i w takiej pozycji wypaczyły się i jakby wrosły w deski ganku. Ale wewnątrz była nawet podłoga.

Okna w domu były małe i podzielone na części, w jednej z części prawego okienka zachowała się szyba.

Zdziwiła mnie niegdyś biała konstrukcja, stojąca w pokoju. Z jednej strony była w nim wnęka, w której leżał zardzewiały arkusz żelaza, w drugiej niszy pod nim zachował się szary popiół.

- To był chyba piec - zakomunikował Arseniusz. - Na dole kładziono paliwo, a z góry garnki.

Wsunąłem rękę do niszy i natrafiłem palcami na jakiś okrągły przedmiot. Wyciągnąłem go, okazało się - garnek. Cały żeliwny garnek!

- Chodźmy spać - powiedział Sienia. - To jest dobre miejsce.

Wyjąłem dwa suchary i podałem jeden małemu.

- Jutro - zdecydował Sienia. - Pośpimy i zjemy. Będziemy strasznie głodni. A teraz bardziej chce mi się spać.

Miał rację.

Nogi mnie bolały, głowa pękała. Trzeba by było pójść na zewnątrz i narwać trawy i liści, żeby zrobić dla nas pduszki. Ale nie miałem na to sił. Rozłożyliśmy na podłodze fartuch, objęliśmy się i nakryliśmy moim kocem, żeby było ciepłej, i natychmiast zasnęliśmy.

Zbudziłem się dlatego, że ktoś na mnie patrzył.

Uchyliłem tylko lekko powieki - nie poderwałem się, niczym nie okazałem, że się obudziłem.

Na podłodze, metr ode mnie siedział niewielki puszysty zwierz. Miał krótkie trójkątne oczy, duże zielone oczy, szare plecy i głowa, ale białą pierś i białe łapy. Przypomniałem sobie, że widziałem tego zwierzaka w atlasie w bibliotece Sijniko. To było kiedyś domowe zwierzę i nazywało się kot. Wraz z likwidacją wiejskich osiedli i organizacją ludzi na innym poziomie koty zostały uznane za ekologicznie nie do przyjęcia i zostały skazane na wyginięcie.

A t kot wyżył i nawet przyszedł popatrzeć na ludzi.

Wcale się nie wystraszyłem tego zwierza - nie zamierzało nas atakować, zresztą jego zęby były dość małe. Wydało mi się wcale ładne.

Ostrożnie trąciłem przytulonego do mnie Sienię. Obudził się od razu, otworzył oczy i ucieszył się widząc kota.

Wstał. Kot zerknął na niego ze zdziwieniem i nieufnością.

Pozwolił Sience podejść na dwa kroki, a potem odstąpił od dwa kroki. Nie chciał widocznie, by ktoś go dotykał.

Sienia zatrzymał się. Kot wskoczył an parapet i uważnie przyjrzał się nam.

- Nie ruszaj go - powiedziałem. - Nie strasz.

- Wiem - odpowiedział Sienia. - On tu mieszka. Będziemy teraz mieszkać razem.

Kot siedział na parapecie, oświetlony porannym słońcem. Słońce przebijało się przez pączkujące liście drzew i cienie ich wyglądały jak koronki, które dziergała wieczorami pani Jajbłuszko.

Było ciepło, a w dzień będzie jeszcze ciepłej. Ucieszyłem się, że uciekliśmy w ciepłej porze roku. Zimą zamarzlibyśmy albo wytropiono by nas po śladach.

Sienia podbiegł do okna. Kot zeskoczył z parapetu i zniknął w zaroślach.

- Jakie ogromne słońce! - oświadczył Sienia. - Nie wyobrażasz sobie, jaki jestem głodny.

Jednocześnie i do mnie dotarło, że jestem głodny.

- A my nie mamy ani zapalek, ani zapalniczki - powiedział Sienia. - Będziemy tu jedli tylko zimne potrawy.

- Tak - musiałem przyznać mu rację. - Tak się śpieszyłem, że nie wziąłem jedzenia.

- No to dawaj suchary! - polecił Arseniusz. - A ja pójdę po wodę.

Chwycił żeliwny garnek i skierował się do drzwi.

- Idę z tobą - powiedziałem. - Daleko nie odchodź.

- Woda jest blisko - machnął ręką Sienia. - Wyczuwam wodę.

Uciekł. Wyszedłem na zewnątrz. Patrzyłem jak chłopiec biegnie wzdłuż ulicy - tam, jak się okazało, płynął strumyk.

Popatrzyłem wzdłuż drogi w drugą stronę. Szczyt wzgórza zajmowała podwójna kamienna budowla. Niższa część była podobna do dużego domu, a wyższa - do wieży. Czubek wieży zawalił się, ale nad niską częścią budowli widniała wieżyczka z jakąś ozdobą - czymś jak duża cebula, z której krzywo wyrastał krzyż.

Pewnie w tym budynku mieszkał naczelnik wsi, pomyślałem. Trzeba będzie przejść się tam.

Dotychczas nie zauważyłem śladów pościgu, nie wyczuwałem jej. Arseniusz, który wracał ze źródła z przyciśniętym do piersi garnkiem, również wyglądał na spokojnego. Kot maszerował w pewnej odległości za nim, jakby w biegu rozwiązywał trudne zadanie - uznać w nim przyjaciela czy ignorować.

Stałem na progu domu, patrzyłem na idącego chłopca i zastanawiałem się, co robić dalej. Nawet jeśli będzie ciepło, nie wytrzymamy tu dłużej niż kilka dni. Co będziemy jeść? No i co będziemy tu robić?

Musimy iść do miasta, do ludzi.

Tylko po co? Gdzie mam znaleźć ludzi, którzy myślą, jak i ja, którzy chcą przepędzić sponsorów i tych, którzy pomagają im rządzić nami? Czy może być, że tylko ja tak myślę? Może wszyscy są zadowoleni?

W sumie nie doszedłem wtedy do żadnych wniosków, odebrałem od Sieni garnek i skosztowałem wodę - była kryształowa, zimna. Potem Sienia połał mi ręce, opłukałem je. Mieliliśmy cztery suchary. Dwa zjedliśmy na śniadanie, dwa zostawiliśmy na wieczór. Położyliśmy suchary na półce, bo nie wiedzieliśmy co je kot - jeśli lubi suchary, to lepiej trzymać je od niej z daleka.

Potem poszliśmy z Sienią na wzgórze, do kamiennej budowli z krzyżem, ale po drodze Sieńka zobaczył, że rzeczka, którą przekraczaliśmy w nocy łączy się z inną - szeroką. Chłopiec powiedział, że skoczy tam, zobaczy co i jak, Obiecał być ostrożnym.

Wszedłem do kamiennego domu.

Było w nim zimno. Przez wyrwę w dachu nawiało śniegu i zaspą jeszcze nawet nie roztajała. Na ścianach budynku były namalowane obrazki, przedstawiające ludzi ubranych w prześcieradła. Usiłowałem zrozumieć sens obrazów, które opowiadały jakąś historię, ale nie potrafiłem. Było też tam kilka obrazów namalowanych na szerokich deskach. Tu namalowani byli starożytni ludzie. Na dwóch czy trzech - kobieta w chustce, trzymająca na ręku niemowlę.

Złościło mnie, że nie rozumiem, po co ludzie budowali takie domy.

Wewnątrz było bardzo cicho, szum wiosennego lasu docierał tu jako brzęczenie komarów. Usłyszałem jak trzasnęła jakaś gałązka pod stopą człowieka. Człowiek szedł wolno. To nie mógł być Sienia. Zrobiłem krok w kierunku ściany i zamarłem. Kroki były zbyt wolne by należały do naszych prześladowców, ale w obcym miejscu należy być ostrożnym. Wyciągnąłem do połowy nóż z pochwy.

Ciemna, przygarbiona postać z laską pojawiła się w drzwiach. Od razu było widoczne, że to stary człowiek.

Nie wołałem go, jeszcze się wystraszy. Niech robi sobie co chce.

Starzec podszedł na środek sali i zatrzymał się, jakby niezdecydowany.

Nie widziałem jego twarzy, jego czarny zniszczony strój kończył się kapturem, w którym się kryła. Widziałem tylko siwą brodę, zwisającą w dół, ale nie dotykającą piersi.

Patrząc na obraz, przedstawiający kobietę z dzieckiem, człowiek zaczął szybko i niezrozumiale mamrotać. Rozróżniałem poszczególne słowa, ale nie mogłem pojąć ogólnego sensu jego monologu. Starzec mówił i mówił... i nagle z zewnątrz rozległ się dziecięcy okrzyk:

- Tim? Gdzie jesteś? Wujku Lancelocie...

Odruchowo poruszyłem się, a starzec gwałtownie odwrócił się do mnie.

Widziałem jak się wystraszył, był taki słaby i stary...

- Proszę się nie bać - powiedziałem. - Nie życzę panu zła. Jesteśmy tu dwaj z chłopcem.

- Niech Bóg was strzeże - powiedział starzec. - Ja już się nie boję nikogo.

Promienie słoneczne przenikały przez wysokie okna i w ich świetle, kiedy starzec odwrócił się do mnie zobaczyłem, że ma wyniszczoną, pomarszczoną, żółtą twarz,

na której wyróżniały się czarne oczy. Dłoń, opierająca się na lasce, miała opuchnięte stawy i, podobnie jak twarz, była pokryta zmarszczkami.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Nazywam się Tim. Albo rycerz Lancelot. Razem z chłopcem Arseniuszem uciekliśmy ze stadniny i ukryliśmy tu. Nie wiedzieliśmy, że pan tu mieszka.

- Nie mieszkam tu, mieszkam w lesie - powiedział starzec. - Mieszkać w cerkwi jest niebezpiecznie - widoczna z daleka, miejsce odkryte, często tu wpadają.

- Kto?

- Milicjanci - powiedział starzec. - Przylatują na ryby tymi swoimi śmigłowcami.

- Ludzie? - zapytałem. - Nie sponsorzy?

- A co tu mają żaby do roboty? - skrzywił się starzec. - Żaby nie lubią naszych lasów.

- A my tu nocowaliśmy - powiedziałem.

Sienia, widocznie, usłyszał naszą rozmowę, wszedł do budynku, ale wcale nie wystraszył się nieznanego starca. Podbiegł do mnie:

- Patrz! - Obiema rękami przyciskał do piersi garnek wypełniony niemal po brzegi małymi rybkami. Niektóre jeszcze się poruszały.

- Skąd to masz?

Dopiero teraz zauważyłem, że chłopiec jest cały mokry.

- Tam jest duża rzeka! - triumfująco oświadczył Arseniusz. - Zanurkowałem - przecież wiesz, że potrafisz. Nawet lepiej jest mi w wodzie. Dogoniłem je, mamy teraz jedzenie.

Oczekiwał pochwały. Był dumny z siebie.

- Zuch - pochwaliłem go.

Chłopiec poprawił opadające na czoło mokre pasmo włosów. Starzec z niepokojem wpatrywał się w jego połączone błoną palce.

Zrobił dłonią dwa ruchy przed twarzą, od góry w dół, i od lewej do prawej.

- Boisz się mnie? - zdziwił się malec.

- Bóg z tobą - powiedział starzec. - Nie boję się nikogo. Ochroni mnie modlitwa.

Ale widać było, że boi się.

- Daj mi nóż - powiedział Sienia.

- Po co?
- Oczyszczę ryby, oskrobie, wypatroszę. Przecież nie jesteśmy dzikusami!
- Nie jesteśmy dzikusami - uśmiechnąłem się i podałem chłopcu nóż.

Sienia pomknął z domu, który starzec nazwał cerkwią.

- A pan gdzie mieszka? - zapytałem.
- Mam ziemiankę, w gęstwinie. Nie do znalezienia.
- Ktoś może pana skrzywdzić?

Starzec zdawał się nie rozumieć co mam na myśli. Potem nagle uśmiechnął się - a nie uśmiechał się o dawna i, moim zdaniem, zabołały go od uśmiechu zmarszczki.

- Ani ptaki, ani zwierzęta się mnie nie boją - powiedział. - Jedzą mi z rąk. W końcu przeżyłem tu niemal całe swoje życie.

- Jak to?

- Przybyłem tu, żeby objąć parafię - powiedział, wskazując ręką dokoła. - Ojczulek poprzedni umarł, a ludzie tu jeszcze żyli, a i w lesie jeszcze się wielu chowało. Potem jedni wymarli, innych zaszczuli, wytępilli jak szczury. We wsi już nie dało się mieszkać. No to stałem się pokutnikiem bożym. DO świątyni przychodzę tylko się pomodlić i wracam do lasu.

- Świątynia - powtórzyłem. - Pomodlić się...

Starzec przekrzywił głowę.

- Młody człowieku, chcesz wiedzieć gdzie stoisz?
- W świątyni, w cerkwi - powiedziałem. - Przecież powiedział pan.
- A co to jest świątynia?
- No, ten budynek. Dom z obrazami - odpowiedziałem.
- A o Bogu słyszałeś? - Starzec nagle spoważniał. Poczulem się winny.
- Nie wiem - przyznałem.
- Grzeszna, znaczy się, dusza - oświadczył starzec.

Nie sprzeczałem się. Powiedziałem:

- Chodźmy do naszego domu, pewnie Sienia już oczyścił ryby.
- Nie jem mięsa - powiedział starzec. - Od jakichś pięćdziesięciu lat nie jem.
- A co pan je?

- Co las da, co na grządce wyrosnie, czym się pszczoły podziela.

Mimo to namówiłem starca, żeby poszedł z nami. Widziałem, że starzec, mimo że odnosi się do nas z pewną nieufnością, a nawet z jakąś wrogością, szczególnie w stosunku do Sieni, z powodu jego dłoni, strasznie jednak stęsknił się za ludźmi. Poszedł ze mną.

Gdy przyszedliśmy Sienia jeszcze czyścił ryby, nie bardzo radził sobie z nożem. Wziąłem go sam zacząłem czyścić i patroszyć zdobycz. A starzec, nieco pewniejszy siebie, tym czasem wypytywał nas kim jesteśmy, skąd uciekliśmy i przed kim się ukrywamy. Nazywał się Mikołaj.

Oczyściłem ryby i jeszcze raz zapytałem starca, czy nie chce przyłączyć się do nas.

Sienia był dumny z siebie - co by nie mówić - zaopatrzeniowiec! Chwytał jedną rybkę i wpił się w nią zębami. Ja nie bardzo mogłem naśladować, ponieważ nigdy wcześniej nie jadłem surowych ryb. Poza tym krępowałem się starca.

Dziadek Mikołaj jęknął patrząc na Sienię.

- Co ty wyprawiasz, diable! - krzyknął.

- A co? Jestem głodny - zdziwił się Arseniusz.

- Surowe ryby? Bez soli? Co to - nie chce się usmażyć albo ugotować? Może nie jesteś człowiekiem?

- Taki sam jak ja i pan - powiedziałem. - Tylko zrobili mu operacje.

- I to udane! - z dumą przyznał chłopiec. - Gdyby nie ja, to kto by nałapał ryb? Jutro też nałapię.

- To grzech jeść surowe ryby - przekonująco oświadczył starzec.

- Nie mamy zapalek, nie mamy ognia - powiedziałem. - Nie możemy gotować ani smażyć.

Starzec zamyślił się. Malec przez ten czas schrupał trzy rybki i powiedział:

- Soli brakuje. To granda, trzeba było zwinąć trochę.

Nieoczekiwanie starzec oświadczył:

- Teraz idziemy do mnie. W ziemiance przenocujecie. Tam mam i ogień i coś do jedzenia.

- Nie, dziękujemy - powiedziałem. - Będzie panu za ciasno.

- Niech mieszka sobie - dodał Sienia. - A my sobie.

Starzec nie spodobał mu się, ponieważ nie potrafił ukryć niepokoju na widok dłoni i stóp chłopca.

Milczeliśmy. Zastanawiałem się. I nie wiem, co bym wymyślił, ale gdzieś z daleka dał się słyszeć dźwięk silnika śmigłowca. Pierwszy usłyszał go Sienia, poderwał się na równe nogi.

- Lecą - zakomunikował starzec. - Na pewno będą was tu szukać. Wieś to znane im miejsce. I będą sądzili, że tu znajdziecie schronienie. Chodźcie, ale szybko.

Chwyciłem koc i resztę moich rzeczy, Sienia, który wszystko w mig zrozumiał, złapał garnek z resztkami ryb.

Ojciec Mikołaj pierwszy wyskoczył z domu i postukując laską po ziemi zatruchtał do lasu, starając się nie wychodzić na odkrytą przestrzeń. Biegliśmy za nim.

Nie skierowaliśmy się na wzgórze, do cerkwi, a pobiegliśmy dołem, w kierunku brzegu dużej rzeki, pod sklepienie ciasno rosnących wiekowych jodeł. Na skraju lasu odwróciłem się i zobaczyłem, że helikopter wylądował obok świątyni, wyskakują z niego milicjanci i białe fartuchy - ludzie sponsora.

- Chodźmy, chodźmy - ponaglił mnie starzec. - Do mojej ziemianki mamy z pięć wiorst, i to przez bagno.

Gdy zapadając się w bagno, skacząc z kępki na kępkę, przedzieraliśmy się przez obszerne, porośnięte rzadką osiną bagno, zapytałem ojca Mikołaja, dlaczego ukrył się w takim wilgotnym miejscu? A on mi odpowiedział:

- Urządzali z psami obławy, tych, co ze wsi uciekli i krył się na suchych miejscach - migiem wytropili i wyłapali. A przez bagno się bali chodzić - ponoć nie ma końca.

Po godzinie dotarliśmy do suchego miejsca - nie niewielką wyspę pośród bagna.

Wyspa była piaszczysta i przykryta czapką potężnych sosen.

Tam właśnie ukryta była ziemianka ojca Mikołaja - sucha, dość obszerne, pełna zapasów, pozostałych jeszcze po zimie.

Sienia nie lubił siedzieć w ziemiance. Szlajał się po bagnach, po lesie, nurkował w bezdennych czarnych jeziorach w jodłowych borach, łowił ryby i raki. Nie interesowały go niekończące się opowieści ojca Mikołaja, który po raz pierwszy od trzydziestu lat znalazł dla siebie słuchacza.

A ja słuchałem. Opowieści starego były niczym wielki i różnobarwny kawałek mozaiki nazywanej Historia Ziemi. Starzec-pustelnik, proboszcz świątyni, w której nikt nie modlił się od pół wieku, opowiadał mi tę historię wieczór po wieczorze, albo siedząc przy ogniu, albo obrabiając małe poletka, porozrzucane po lesie tak, by nie wywołać podejrzeń u pilota patrolowego śmigłowca.

Usłyszałem o Bogu i świątyniach, o ludziach, którzy mu służyli. Zadziwiło mnie to, że przed przylotem sponsorów ludzie mile nie jednego Boga, a wielu. Niektórzy wierzyli we wszechmogącego boga Chrystusa, inni nazywali Boga

Mahometem, a jeszcze inni - Buddą, i wszyscy strasznie się między sobą sprzeczali i nawet walczyli, żeby ustalić który Bóg jest ważniejszy. Przy tym ludzie mieli jeszcze antybogów, których nazywali diabłami. Ojciec Mikołaj był głęboko przekonany, że sponsorzy - to diabelskie pomioty, a może i nawet same diabły, zesłane na Ziemię w celu ukarania ludzi, za to że żyli głupio, wojowali ze sobą, nie troszczyli się o swoją Ziemię i dokonywali przestępstw.

Ojciec Mikołaj cały znajdował się jeszcze w przeszłości, w tym czasie, który kończył się wraz z przybyciem sponsorów. On sam tego czasu nie pamiętał - miał około siedemdziesięciu lat - robił sobie karby na kijku, przechowywany w ziemiance, ale potem ten kijek gdzieś zgubił. Ale pamiętał z dzieciństwa te czasy, kiedy ludzi na Ziemi było dużo, kiedy wsie były jeszcze zaludnione. O przylocie sponsorów opowiadał mu jego ojciec, ale sami sponsorzy w jego wsi nie pokazywali się. Okazało się, że podbój Ziemi nie był sprawą jednorazową, jak sobie wyobrażałem, a trwał dość długo. Najpierw miało miejsce coś na kształt współpracy, a jeśli istniały jakieś konflikty, to jakoś były łagodzone. Przez wiele lat sponsorzy, mimo że znajdowali się na Ziemi i zajmowali się ratowaniem jej przyrody, to bali się czegoś. Dopiero stopniowo, rok po roku, rośli w siłę i zdecydowanie.

Wytrzebienia "niepotrzebnych" ludzi, którzy swoim istnieniem zagrażali przyrodzie, sponsorzy dokonywali rękami milicji. Pewnego fatalnego dnia na wieś czy osiedle spadało kilka helikopterów z milicją, która zabierała mężczyzn - powiadali, że do roboty na kontrakt, na rok, na dwa. No i więcej nikt tych mężczyzn nie widział. A w następnym roku czy po kilku miesiącach przytrafiła się ta sama historia sąsiedniej wsi. Wielka idea ratowania Ziemi realizowana była przez sponsorów konsekwentnie, spokojnie i nieodwracalnie. Ludzie zaczęli żyć biednie a nawet nędznie - nie można było jeździć do miasta, pociągi nie kursowały, samochody również - jeździć mogły tylko samochody milicji i wiernych przyjaciół sponsorów, ich pomocnikom. I nie wiadomo było - są jeszcze inne miasta, czy ich nie ma i czy są inne kraje czy się skończyły. Jesienią po wsiach latały milicyjne śmigłowce i odbierały plony. Mało kto uciekał do lasu - we wsi mieszkaly już właściwie tylko kobiety, a te miały dzieci. Wszyscy czekali na powrót mężczyzn, chociaż nie bardzo już wierzyli w ich powrót. Milicjanci i prelegenci przeprowadzali zajęcia. Baby i dzieci nauczyli się śpiewać podniosłe pieśni i deklamować wiersze o Wielkim Przyjacielu - sponsorze, o tym, że porta ratować Matkę Ojczyznę.

Ojciec Mikołaj pozostał w coraz bardziej pustej wsi aż do ostatniej chwili. W sąsiednich wsiach, gdzie jeszcze byli ludzie, też prowadził działalność - kogo chrzczył, kogo grzebał. Nie było tylko komu udzielać ślubów.

A potem stało się tak, że odwiedził Wysielki, dwadzieścia kilometrów od Polanowa, gdzie znajdowała się cerkiew. Wrócił do siebie - a we wsi nie ma ani jednego żywego ducha. Jakby wszystkich diabli gdzieś wzięli. Wywieźli. Rzucił się do Sierpuchowa, ale nie dał rady tam dotrzeć. Odwiedził tę wieś dopiero dwa lata później - kiedy była już pusta i zarastała trawą.

Przez ostatnie pół wieku widział ludzi tylko raz czy dwa. Ale to byli dzicy ludzie, niema zwierzęta. Bał się ich i krył się przed nimi pośród bagna.

Świątynię odwiedzał, żeby pomodlić się. Świątynia nie była potrzebna sponsorom - ani ikony, ani freski, nie były potrzebne. Sponsorzy jakby nie zauważali ich. Zresztą, starzec przyznał się, że żadnego sponsora nigdy na oczy nie widział. Bóg strzegł. Przeżył życie, a sponsora nie widział. Milicję widział, prelegentów widział, a prawdziwego diabła - nie.

Uważnie i cierpliwie słuuchałem staruszka. Mimo że się powtarzał i z każdym dniem w jego opowieściach było coraz mniej nowych dla mnie rzeczy.

Opowieści ojca Mikołaja przygniatały mnie. Okazało się, że jakieś pięćdziesiąt lat temu w tych okolicach zabrakło ludzi. Może to samo dzieje się w całym kraju i na całym świecie? Może spóźniłem się z urodzeniem? Kto jest moim towarzyszem broni: były sługa Jezusa Chrystusa i chłopiec, który może nurkować jak ryba? Nawet moi koledzy ze szkoły gladiatorów są już martwi...

A póki co mieszkaliśmy z Sienią w ziemiance ojca Mikołaja. Nadeszło lato, bagno podeszło i starzec stał się po trzykroć ostrożny - bał się, że z nieba mogą zauważyć dym naszego paleniska. Arseniusz mężniał, opalił się - i to mimo tego, że ciągle przebywał w wodzie, chyba więcej niż na powietrzu.

Starzec wiedział jakie drzyby są jadalne, a jakie trujące. Przekazał tę wiedzę i mnie - uważał, że ta wiedza może się przydać, jeśli znajdę się w lesie sam. Bez przyjaciół...

A ja sprawiłem sobie zapalniczkę - krzemień i krzesiwo.

Sienia i starzec przywykli do siebie, i ojciec Mikołaj już nie uważał chłopca za wysłannika piekieł. Sienia lubił starca, ale zupełnie się go nie słuchał.

Trwa już czerwiec, noce stały się krótkie, bardzo ładnie śpiewały małe ptaszki. Które ojciec Mikołaj nazywał słowikami. Do sierpnia, kiedy to sponsorzy mają zacząć eksterminację ludzi, zostało bardzo niewiele czasu. Nie mogłem dalej mieszkać sobie w ziemiance, ponieważ jeśli zginie Moskwa, to w Rosji zupełnie nie będzie już ludzi. Nie wiedziałem do kogo należy się zwrócić o pomoc, ale miałem nadzieję, że jak dotrę do Moskwy, to kogoś takiego znajdę. Miałem nadzieję znaleźć kogoś w metrze, może przedostać się do szkoły gladiatorów - przecież takie szkoły musiały pozostać. Powiniennem chodzić i opowiadać o niebezpieczeństwie i uprzedzać ludzi.

- Złapią cię - mówił mi na to ojciec Mikołaj. - Ludzie są słabi, wymieramy, jak mamuty, takie zwierzęta. Oni wydadzą cię władzom, będziesz męczennikiem.

- Nie chcę być męczennikiem - oponowałem.

Kiepsko staliśmy z solą, ojciec Mikołaj zamiast soli wykorzystywał popiół z paleniska, ale było tego mało, więc ryby i grzyby na drogę suszyliśmy. Mileiliśmy z Sienią całe swoje gospodarstwo, nawet niezłe. Zebraliśmy i różne rzeczy po

wiejskich domach - mieliśmy kubki, butelki, garnki, i rondelki. Gorzej było z ubraniem - tkaniny niemal nie zachowały się. Ale uszyłem Sieni długą koszulę z lekarskiego fartucha, który wyniosłem ze stadniny. Może ubranie nie było najpiękniejsze, ale Arseniuszowi się podobało.

Z resztek fartucha uszyłem torbę na ramię.

Sienia nie chciał puścić mnie samego, ale obiecałem mu, że szybko wrócę. Poprosiłem ojca Mikołaja i Sienie, by robili wielkie zapasy na zimę - wszak mogą przyprowadzić ludzi.

Byłem już niemal gotów do podróży, którą postanowiłem rozpocząć ją od miasta Sierpuchowa, ale wydarzyło się coś, co zmieniło moje plany.

Znalazłem dziwny ślad w niecce przy źródle.

Wracałem ze zdobyczą, po penetracji strychów. Na jednym znalazłem skrzynię, w której były pasy, wyschnięte, ale mocne i gumowe podeszwy. Cieszyłem się z takiego połowu.

Dzień był upalny, słońce stało wysoko. Zszedłem do źródła.

Ktoś tu był.

Cienkie gałęzie przy źródle były połamane, a w wilgotnej ziemi przy wodzie widoczny był dziwny ślad - jakby do źródelka podjechał samochód na wytartych oponach.

Zaniepokoiło mnie to. Dokoła trwała jednak głęboka, południowa gęsta cisza. Brzęczały owady, śpiewały ptaki. Jak mógł tu wjechać samochód?

Ostrożnie poszedłem się po śladach, musiałem dowiedzieć się co one znaczą. Każda niewiadoma to śmiertelne niebezpieczeństwo.

Znowu zobaczyłem wyraźny ślad, trawę zgmiotło takie samo koło, jak przy źródle. Przy tym stało się to niedawno ł przecież trawa szybko podnosi się i zapomina, że została przygnieciona.

Idąc po śladach nieznanego wyszedłem ze wsi i starymi ogrodami dotarłem do zarośniętego osikami pola. Intuicja mówiła mi, że niezajomy jest niedaleko.

Trzymałem w ręku sztylet. Znieruchomiałem przywarłszy bokiem do grubego pnia.

Wtedy usłyszałem głos:

- Proszę się mnie nie bać.

Głos był wysoki, jakby dziecinny, a jednocześnie nieprawdziwy - takie głosy słyszy się we śnie, gdzie kuszą by wejść w ciemną gęstwinę lasu.

Odwrociłem się w kierunku, z którego dochodził. Ściana listowia leszczyny trwała nieruchomo.

- Nie skrzywdzę pana - powiedział głos.
- No to proszę wyjść - powiedziałem. - Dlaczego się pan chowa?
- Dlatego że może się pan wystraszyć i zabić mnie.
- Dlaczego miałbym się wystraszyć?
- Dlatego że mnie pan wcześniej nie widział.
- To śmieszne - powiedziałem. - Wielu rzeczy wcześniej nie widziałem!

Między ścianą listowia i mną znajdowała się niewielka polanka, jakieś trzy metry, porośnięta wysoką trawą.

- Proszę wyjść - powiedziałem. - Bo wychodzi, że pan mnie widzi, a ja pana nie.

Liście rozsunęły się i na polankę wylądował się stwór, widok którego powinien nieuchronnie wywołać wstręt u każdego normalnego człowieka.

Odsunąłem się od ogromnej, wysokiej na półtora metra, a grubej jak ludzki tułów, szczeciniastej gąsienicy, która uniosła się na tylne nogi i poruszała przed błyszczącym pancerzem brzuszny kilkoma parami wyposażonych w pazury łap. Oczy stworzenia były ogromne, szklane i nieruchome.

Odsunąłem się, ale nie uciekłem,

- Boi się pan? - zapytała gąsienica. - Jestem całkowicie nieszkodliwy.
- Wiem - powiedziałem. - Po prostu - zaskoczenie. Nie wiedziałem, że jesteście takie duże... to znaczy, nie wiedziałem, że umiecie mówić! Diabli by to...

Pelzacz zgiął się, jakby usiadł na wygiętej w moim kierunku dolnej części ciała.

- Pan się mnie nie boi - stwierdził. - Pan mnie zna?
- Przecież jesteś pelzaczem!
- Tak nas nazywają tutaj - zgodził się pelzacz. - Ale jestem tu sam i jestem przekonany, że wcześniej się nie spotykaliśmy.

- Nie twierdzę, że się spotykaliśmy - przyznałem. - Ale jest pan pelzaczem, a ja nigdy nie podejrzewałem, że pelzacz są istotami rozumnymi. Przecież tysiące was przerabialiśmy!

- Co pan powiedział?

- Pracowałem wcześniej - powiedziałem - w fabryce słodyczy. Tam zabijaliśmy takie osobniki jak pan, tylko mniejsze. Ja nie zabijałem - ładowałem do kontenerów.

- Był pan tam! - Głos pełzacza wzniósł się do crescendo. - Widział to pan!
- Ale pełzacze nie są rozumne, są nieświadome - powiedziałem. - Widziałem to. Wiem.
- Pan tam był! - jęczał pełzacz.
- Wyglądało, że jest ze mnie niezadowolony.
- A pan tam też był? - zapytałem. - Uciekł pan, prawda?
- Po długiej pauzie pełzacz odpowiedział:
- Tak.
- A daczego pan jest rozumny, a tamci nie?
- Proszę mi powiedzieć... - Pełzacz odwrócił głowę o staną słupka, opierając się o ziemię dwoma parami mocnych szeroko rozstawionych łap. - Proszę mi powiedzieć - czy gdy urodzi pan malutkiego człowieczka, zupełnie malutkiego, i oda rzu zaniesie go do fabryki słodczy, to czy będzie on, pana zdaniem, istotą rozumną?
- To były wasze dzieci?
- To nasze maluchy - powiedział pełzacz. - Nie potrafią mówić. Nie potrafią jeszcze mnyśleć, muszą mieć cztery pięć lat, żeby móc mówić. Rozumie pan teraz?
- No to z tego wynika, że sponsorzy jedzą wasze dzieci?
- Wy też zjadacie cudze dzieci - powiedział ze smutkiem pełzacz. - Jecie ryby i zwierzęta, jecie jaja ptaków, a te jeszcze nie potrafią mówić.
- Ale nie zjadamy istot rozumnych.
- A skąd macie wiedzieć, że malutki pełzacz będzie kiedyś rozumny? Tego się nie rozgłasza. Nawet większość sponsorów tego nie wie. Istnieją inkubatory, w nich wykluwają się małe istoty. Potem się trochę je hoduje. Potem się je zabija. Tak powstaje bardzo pożywna żywność, sponsorzy ją jedzą, ale nie wiedzą, co jedzą.
- Wierzyłem tej gąsienicy i nie bałem się jej. Ale w końcu rzucałem zabite pełzacze do kontenerów!..
- Nie jest pan winny - powiedział pełzacz. - Nie wiedział pan. Sponsorzy zjadają wszystkich. Zjadają waszą planetę, zjadali naszą planetę.
- A matki... Gdzie są matki tych maluchów?
- Trudno jest mi objaśnić cały nasz system rozmnażania - powiedział pełzacz. - Trzeba to długo badać. Jeśli to pana interesuje opowiem później.
- Czy to znaczy, że dorosłych pełzaczy tutaj nie ma?

- Dorosły - to ja - oświadczył pełzacz. - Oni tu przywożą tylko zapłodnioną ikrę
- to jest ekonomiczne. I nikt nie wie.

- Ale po co? Czy na Ziemi jest mało żywności?

- Jest żywność i jest żywność optymalna - wyjaśnił pełzacz kiwając się jak kobra przed atakiem. - Nasze dzieci są idealnym jedzeniem. A teraz sponsorzy potrzebują go więcej. Ludzi będzie mniej, a jedzenia powinno być więcej.

- Pan wie o zmniejszeniu ilości ludzi?

- Trochę wiem.

- A co pan tu robi?

Pełzacz miał brzuch pokryty chitynowym pancerzem, błyszczący, trochę przypominający ogon raka. Na bokach i grzbiecie rosła sztywna sierść. Pełzacz nie był ładny, a nawet był przerażający. Ale byłem do nich przyzwyczajony. Poza tym, jeśli potwór rozmawia i nawet skarży się przed tobą - trudno się go bać.

Nie chciał odpowiadać na moje pytanie. Gdyby jego oczy nie były nieruchome powiedziałbym, że wpatruje się z uwagą w poszczególne źdźbła trawy.

- Idę - powiedział w końcu.

- Czyżby? Dokąd się pan wybiera?

- Do Arkadii - powiedział pełzacz.

Nic mi to słowo nie mówiło.

- Gdzie jest ta Arkadia? - zapytałem.

- Daleko - mruknął pełzacz.

- Pójdzie pan ze mną? - zapytałem.

- Dokąd?

- Mieszkam tu w pobliżu. Są tam moi przyjaciele.

- Nie odpowiem - powiedział pełzacz.

- Razem jest lepiej.

- Razem jest lepiej - powtórzył jak echo pełzacz, ale nie ruszył się z miejsca.

- No to idziemy?

- Nie, przepraszam - powiedział pełzacz i opadł na wszystkie kończyny, od razu stając się podobnym po prostu do gąsienicy, ogromnej, ale tylko gąsienicy.

- Idę - powiedziałem.

Pełzacza zaczął cofać się. Pomyślałem, że bardzo nie ufa ludziom - i nic dziwnego, na tej planecie morduje się jego dzieci.

- No to wszystkiego najlepszego - powiedziałem, choć rozstawałem się z nim z żalem. Każdy kogo spotkam może mi coś opowiedzieć. Pełzacz też. Przecież gdzieś się ukrywał po ucieczce z fabryki słodocy, czego byłem niemal pewien. Gdzieś się nauczył rosyjskiego, z jakiegoś powodu trafił do tego lasu, na kogoś czeka...

Pełzacz zniknął w zaroślach, a ja nie ścigałem go.

Odwróciłem się i zacząłem wychodzić z lasu. Za plecami panowała cisza.

Skierowałem się do źródelka, a stamtąd, zaspokoiwszy pragnienie, do cerkwi.

Minąwszy kilka domów, zatrzymałem się.

Jakie to lekkomyślne z mojej strony - nie dowiedziawszy się praktycznie niczego odejść! Przecież niedaleko stąd, za bagnem znajduje się nasza ziemianka. Starutki ojciec Mikołaj i małutki chłopiec. A jeśli pojawienie się pełzacza jest jedną z prób wyśledzenia nas? A ja tak łatwowiernie uwierzyłem w jego opowieści o mordowaniu małych pełzaczy?

Czy mogę mu wierzyć?

Oczywiście, odpowiedź powinna być negatywna.

Zatrzymałem się. Zarośnięta ulica schodziła w dół. Było cicho, pusto, gorąco.

Dlaczego pełzacz nie chciał pójść ze mną? Przecież samemu jest mu gorzej niż z nami? Jak trafił na to pustkowie? Bo gdyby nie śledził nas, to, może, powinien się z kimś spotkać?

Powinienem to wyjaśnić.

Przekonawszy się, że nie widać mnie od strony źródelka, przebiegłem do zapadniętego w ziemię, zrujnowanego domu. Obok niego rosła olbrzymia sosna, potężne gałęzie której zaczynały rosnąć niewysoko nad ziemią. Wdrapałem się po gałęziach w gęstwinę korony i wyszukałem dla siebie taką pozycję, z której, sam niewidoczny, mogłem niemal z lotu ptaka obserwować źródło i polanę dookoła niego. Każdy człowiek czy sponsor, który zbliży się do wsi od strony rzeczki, musi trafić w pole mojego widzenia.

Usiadłem możliwie wygodnie i postanowiłem czekać.

Dobrze wszystko sobie obmyśliłem. Minęło kilka minut, może z pół godziny, i z lasu, po chwili ostrożnej obserwacji prowadzonej z jego brzegu, wypełził pełzacz. Przemknął w dół, do źródelka - widocznie chciało mu się pić. Pił jak pies, uniósłszy nieco tułów na wydłużonych łapach, opuściwszy pysk do wody.

Napiwszy się pełzacz wolno podpełził pod krzaki. I nagle zamarł. Coś usłyszał - ja natomiast byłem daleko i nic nie słyszałem.

Jednym susem pełzacz dopadł krzaków. Ich liście drgnęły i znieruchomiały.

Przez szeroki bród, przeskakując z kamienia na kamień, w naszym kierunku przemieszczała się samotna ludzka postać, szczupła, szybka, zgrabna. Nie mogłem dojrzeć jej twarzy z tej odległości.

Człowiek ten przebył rzeczkę i pewnie skierował się do źródelka.

Gdy pozostało mu jakieś pięćdziesiąt kroków człowiek zatrzymał się. Nasłuchiwał.

Potem wsunął do ust dwa palce i gwizdnął. To znaczyło - wie, że ktoś na niego powinien czekać. A z tego wynika, że pełzacz nie przypadkowo to przyszedł.

Krzaki zaszeleściły i z nich, unosząc tułów na tylnych łapach, wyszedł pełzacz.

Niczym pingwin, kołyszając się przy każdym kroku, ruszył na spotkanie z człowiekiem, który wydał mi się strasznie znajomy, ale stał plecami do mnie i nie mogłem przyjrzeć się jego twarzy. Odwróćcie się do mnie profilem, prosiłem w myślach tego człowieka, chcę cię poznać!

Odwrócił się do mnie profilem, a ja wrzasnąłem:

- Hej, stójcie, nie uciekajcie!

Podrapawszy sobie całą pierś sturlałem się z drzewa i rzuciłem się do pełzacza i Irki, która stała obok niego, trzymając w ręku pistolet. Widziałem, że pełzacz coś do niej mówi, kiedy dopadłem ich, Irka schowała już pistolet rzuciła się w moim kierunku szeroko rozstawiwszy szczupłe ręce. Uwiesiła się na mnie i zaczęła ryczeć, trącając mnie mokrym nosem i głaszcząc szorstkimi dłońmi po plecach.

- Wiedziałam - mówiła przez łzy - wiedziałam, że żyjesz! Kłamią ci, co mówili, że cię zabili. Wiedziałem co robię, kiedy cię szukałam.

Włosy Irki pachniały dymem i słońcem.

Pełzacz stał za jej plecami i kołysał się, jakby nie mógł się zdecydować - uciekać stąd z całych sił, czy, na odwrót, cieszyć się, że podróż się skończyła.

Podczas drogi przez bagno Irka zdążyła mi opowiedzieć, że szukała mnie, nawet trafiła do stadniny, ale była bardzo ostrożna i nie wpadła w oczy sponsorom. Jedni mówili, że zostałem otruty wraz z ptaszkiem Marusią, inni - że mnie wywieźli. Ludmiła miała nadzieję, że uciekliśmy - tej nocy po niebie miotano się tam dużo śmigłowców z milicjantami. Gdyby mnie zabili - po co by wywoływali taki harmider?

- Wysłała cię Markiza? - zapytałem. - Czy sama to wymyśliłaś?

- Markiza wie, że cię szukam, ale ona jest teraz zajęta swoimi sprawami! Pan Sijniko wiezie ją do Arkadii - stamtąd wyślą ją do Centrum Galaktycznego!

Słowo "Arkadia" usłyszałem tego dnia po raz drugi.

- Po co? - zapytałem, mając na uwadze Markizę.
 - Żeby poprawić jej ciało.
 - A ja chciałem jutro pójść do Moskwy - oświadczyłem.
 - Szukać nas?
 - Szukać kogokolwiek, żeby powiedzieć - w sierpniu sponsorzy zaczną likwidację ludności Ziemi.
 - Wiem - powiedziała Irka.
- Pogłaskała mnie po rękę.
- Nie mogę jeszcze uwierzyć, że to ty - powiedziała. - Opaliłeś się, wyglądasz zdrowo. Trudną cię poznać. Włosy ci wyjaśniały.
 - A co to jest Arkadia? - zapytałem.
 - Arkadia to szczęśliwe miasto.
 - Szczęśliwie miasto? Na Ziemi?
 - Słyszałam o nim już wcześniej, ale nikt z naszych nie mógł się tam przedostać. Teraz Markiza tam trafi. My też się postaramy.
 - Po co?
 - Żeby odnaleźć prawdę - wyjaśniła Irka. - Wszystko ci opowiem.
- Zapomniałem zupełnie o pęzaczku. Przedzierał się za nami, starając się iść dokładnie za nami - nie znosił błota i otwartej wody. Od czasu do czasu wydawał z siebie wysokie skrzypliwe dźwięki, a wtedy Irka, nie odwracając się, uspokajała go.
- Kiedy przyjdziemy? - pisnął pęzacz z tyłu.
 - Niedługo - obiecałem i zapytałem: - Dlaczego ja nic nie wiem o Arkadii?
 - Sami od niedawna o niej wiemy. Sponsorzy dobrze jej strzegą.
 - Ale co to jest?
 - To jest szczęśliwe miasto, w którym mieszkamy razem.
 - Irka, nie pleć bzdur! Możesz wyjaśnić po ludzku?
- Było mi przyjemnie patrzeć na nią. Ani bliny na twarzy, ani wybite zęby nie psuły mi przyjemności patrzenia na nią. Wiedziałem, że jest dobra i ludzka. Być może Markiza jest tysiąc razy piękniejsza, ale Irka jest moim przyjacielem.
- Po coś tu przyszła? - zapytałem.

- Bo szukałam ciebie. Markiza chciała sprawdzić, jak ci się żyje, jak Sijniko dotrzymuje słowa.

- Ta ucieczka to moja wina - przyznałem. - Słyszałem, jak oni rozpatrują likwidację ludzi.

- A on się wystraszył? Na pewno się wystraszył. Ale Markiza myślała, że nie ośmieli się ciebie zabić. W końcu ona też coś tam wie.

- To ona cię posłała?

- Poszłam sama. Z pełzaczem.

- A byłeś w stadninie? Rozmawiałaś z Sijniko?

- Myślisz, że jestem całkowicie głupia, tak? Oczywiście, że nie rozmawiałam z Sijniko, ale rozmawiałam z Ludmiłą i dziećmi. Wiele z nich nie spało, wiele słyszało dużo. Niektórzy nawet wiedzieli, w jaką stronę poszliście. Postanowiłam więc, że poszukam was tu, we wsi i na bagnach. Więc poszliśmy. No i nie trzeba było szukać - sam wyskoczyłeś.

Radośnie trąciła mnie piąstką w bok.

- Ostrożnie! - krzyknąłem, przeskakując z kępki na kępkę, balansując ciałem. - Tu jest głęboko!

Mały Sienia spotkał nas na skraju bagna. Widząc pełzacza w strachu przygryzł własną piąstkę.

- Nie bój się, chłopcze! - zawołał Irka. - To mój przyjaciel.

Arseniusz nie uwierzył i tyłem, tyłem wycofał się w gęstwinę. Stamtąd obserwował nas.

Jeszcze bardziej wystraszył się ojciec Mikołaj, który pracował w swoim ogródku, podniósł głowę i zobaczył naszą trójkę!

Uznał, że odwiedził go diabeł we własnej osobie. Przeżegnał pełzacza trzymaną w ręku łopatką. Pełzacz, z natury delikatny, zawstydził się, że dostarcza ludziom tyle nieprzyjemnych chwil, i zaczął mówić o powrocie do wsi. Musiałem wygłosić krótką mowę o szlachetnej i nieszczęsnej rasie pełzaczy, których dzieci, ledwo co wyklute z jaj, zjadają sponsorzy.

Malec do tego czasu przyjrzał się już pełzaczowi, wylazł z krzaków i zaczął na dotyk sprawdzać sierść pełzacza, który znieruchomiał, żeby nie wystraszyć dzieciaka. Ojciec Mikołaj nie zbliżał się, często się żegnał i nijak nie mógł w sobie znaleźć współczucia do robaka. Chyba przez cały czas podejrzewał nas, że odgrywamy przed nim jakiś niedobry, okrutny żart, ale istoty tego żartu nie rozumiał i dlatego nie pchał się na pierwszy plan, a w raz z zapadnięciem zmroku oddalił się do ziemianki, gdzie chciał się pomodlić przed wiszącymi na ścianach

ikonami. Nie chcieliśmy mu przeszkadzać, odeszliśmy na bok, pod wysoką sosnę, Komarów było mało, ogniska nie rozpalaliśmy, żeby nie ryzykować bez potrzeby.

- Jesteś nam potrzebny - powiedziała Irka. - Nie myśl sobie, że cię szukałam, bo nie jesteś mi obojętny.

- Nie myślę. - Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

- Musisz nam pomóc przedostać się do Arkadii.

- Świetnie - powiedziałem nie zastanawiając się nad sednem powiedzianego.

- Mamy mało czasu. Musimy pokrzyżować ich plany.

- W każdej chwili - powiedziałem czując ulgę. Uczciwie mówiąc, przez ostatni tydzień zacząłem bać się, że jestem jedynym człowiekiem na Ziemi, który chce przepędzić sponsorów. Myślałem już, że wszyscy inni są zadowoleni. Wszyscy dostali kiełbasę, a rozstrzeliwują tylko w piątki.

- A on? - zapytałem wskazując pełzacza, którym zwinął się w ciasny krąg, wielkości mniej więcej opony ciężarówki.

- Pamiętasz jak pracowaliśmy w fabryce słodczy? - zapytała Irka.

- Nie da się zapomnieć!

- Niech ci się nie wydaje, że trafiłam tam przypadkowo. Kradliśmy tam jaja pełzaczy, pamiętasz? Dlatego że ten pełzacz był już z nami i wszystko opowiedział.

- Sponsorzy nie są dzikusami - odezwał się pełzacz unosząc głowę. - To są cywilizowani władcy. Nie podniosą ręki na rozumną istotę. Ale jeśli rozumna istota ma nierozumne dzieci, to można z nimi robić co się zechce - i zasady są przestrzegane i brzuch pełny.

Powiedziawszy to na długo zamilkł.

- Opowiem ci o Arkadii - zaproponowała Irka.

Okazało się, że daleko od innych miast i osiedli sponsorzy zbudowali szczęśliwe, wzorcowe miasto Arkadię. Żyją w nim ludzie, zadowoleni z faktu, że sponsorzy przylecieli na Ziemię i zajmują się naszymi ekologicznymi problemami.

Jeśli na Ziemię wybierają się jacyś goście, powiedzmy inspekcja z Galaktycznego Centrum czy jacyś uczeni z Bóg wie jakiej planety, wiezie się ich do Arkadii. Tam dokonują oni obserwacji Ziemi i Ziemian. Wszyscy są zadowoleni.

Oczywiście, pozostali mieszkańcy Ziemi nie powinni wiedzieć o Arkadii. Jeszcze by zechcieli się tam przenieść, albo spalić czy wysadzić w powietrze tą szczęśliwe miasto.

Za trzy dni przylatuje na Ziemię kolejna inspekcja. Musimy znaleźć się w środku Arkadii i za wszelką cenę spotkać się z inspektorami. Opowiedzieć im prawdę. Mamy tylko jedno podejście - drugiej szansy nie będzie.

- I jestem ci potrzebny?

- Jesteś nam potrzebny - potwierdziła Irka. - Jesteś odważny i silny, potrafisz walczyć białą bronią i nie boisz się sponsorów. Zabiłeś sponsora.

- Zabiłem sponsora - powtórzyłem cicho. Zabrzmiało to jak mgliste, odległe wspomnienie. Trochę już nie odnoszące się do mnie.

- Ale najbardziej jesteś potrzebny, bo byłeś w stadninie i znasz się na pupilkach.

- O Panie - doleciało z ziemianki, gdzie zaczął cicho modlić się ojciec Mikołaj. Jego życie, które miało przebiegać rozumnie i z pożytkiem dla ludzi, zmieniło się w siedemdziesiąt lat koszmaru, potworów, śmierci ludzi i zagłady jego świata. Nawet teraz nie mógł nam zaufać, dlatego że obok jego ziemianki siedzi chłopczyk z błonami pławnymi między palcami i gadający robak.

- Pójdę z wami - powiedział Sienia.

- Nie wezmę cię - odpowiedziałem.

- A ja poproszę ciocię Irę. Mam już dziewięć lat. Jak nałapać ryb - to jestem potrzebny. A jak do Arkadii to mnie nie bierzecie. A jak i tak za wami pójdę.

- A co potrafisz? - zapytała rzeczowo Irka.

- Nie wiesz? Jestem ziemnowodny. Mogę żyć pod wodą.

Irka trochę pomyślała i potem powiedziała, odwracając się do pełzacza.

- Przyda się nam.

- Przyda się - powiedział pełzacz.

- Dziękuję - ucieszył się Sienia.

Byłem przeciwny zabieraniu go. Był małym chłopcem i to nadmiernie odważnym. Tacy chłopcy łatwo giną - tym bardziej w tym cholernym świecie. Ale kto mnie posłucha? Nikt się mnie nie boi.

Noc były bezwietrzna, ciepła, bez komarów. Wszyscy prócz ojca Mikołaja, położyli się spać na zewnątrz. Pełzacz przez cały czas rzucał się we śnie, rozwijał się i znowu zwijał. Irka spała z głową na mojej piersi, w zagłębieniu gdzie pierś styka się z ramieniem. Oddychała niemal bezgłośnie i nie poruszała się.

Nie wyspałem się, ponieważ bałem się zasnąć, odwrócić się nieostrożnie i obudzić Irkę.

Spakowaliśmy się szybko, ale nie udało nam się wyruszyć rano - nad lasem nisko i natrętnie krążył śmigłowiec. Irka uznała, że musieli ją zauważyć w stadninie.

Kiedy śmigłowiec odleciał poszliśmy ścieżką, która dwie godziny później wyprowadziła nas na przesiekę. Wzdłuż niej stały kiedyś jakieś metalowe konstrukcje; Irka wyjaśniła, że wieże łączyły się przewodami, po których płynął prąd. Ale aktualnie przewody były zerwane, koronkowe konstrukcje powykrzywiały, a niektóre powywracały się.

Staralem się nie dyktować mocnego tempa - nie chciałem, żeby Irka się męczyła. Ale ona szła dziarsko. Malec też nie był zaważą. A pełzacz, kiedy się zmęczył pełzaniem, zwijał się w koło i toczył.

Szliśmy po przesiece, potem po drugiej, szerszej, aż do południa. Gdy las się skończył, zatrzymaliśmy się na biwak, posililiśmy się, zdrzemnęli trochę. Irka powiedziała, że ktoś ma tu wyjść nam na spotkanie. Ale nikt nie przyszedł. Wieczorem więc, kiedy upał zelżał, ruszyliśmy dalej sami. Przestałem już wierzyć, że Markiza przyśle kogoś po nas, ale przed zmierzchem zobaczyliśmy na leśnej drodze furmankę, zaprzęzoną w parę koni. Obok niej stali dwaj mężczyźni, ubrani biednie, ale czysto. Nie byli uzbrojeni.

Ci ludzie powiedzieli, że tych pierwszych, co mieli nas spotkać zatrzymali milicjanci.

Potem poszliśmy za nimi. Pełzacz był najbardziej z nas zmęczony, Irka chciała, żeby pozwolono mu jechać na furmance, ale mężczyzna, który kierował końmi, powiedział, że konie się płoszą, i żeby szedł z tyłu. Pomyślałem sobie, że to on pierwszy raz widzi pełzacza i boi się go, ale wstyd mu się przyznać i okazać wstręt.

Pełzacz to rozumiał - powiedział, że nie może jechać na furmance, bo go mdli.

Szedłem za furą i myślałem, jaka szkoda, że w fabryce słodyczy Irka nie opowiedziała mi o pełzaczach. Przecież umyślnie tam trafiła, żeby ratować je.

Mężczyźni z furmanką doprowadzili nas do porzuconej chatki na skraju lasu. Tam przenocowaliśmy. Malec skaleczył nogę, Irka opatrzyła ją, ale Sienia i tak kulał, a przez noc noga spuchła.

Rankiem do chatki podjechała stara kryta ciężarówka, jakby opleciona drutami, żeby się trzymała kupy.

Jechaliśmy nią aż do wieczora - zmęczyliśmy się bardziej niż gdybyśmy szli na piechotę; ciężarówka, według mnie, w ogóle nie miała resorów.

Ściemniło się już, gdy ciężarówka wyhamowała w miejscu, gdzie kiedyś było miasto, przy piętrowym murowanym domu. Dom miał duże pokoje, stały w nich malutkie stoły a obok ławeczki - przy każdym stole mogli siedzieć dwaj niewielcy

osobnicy. Irka wyjaśniła, że wcześniej była tu szkoła - tutaj uczono dzieci czytać i pisać.

Wszyscy położyliśmy się spać, a ja skorzystałem z tego że jeszcze nie było ciemno i poszedłem na piętro. Na podłodze w jednej z klas zobaczyłem kulę, na której były narysowane żółte, zielone i niebieskie plamy. Długo kręciłem kulą w rękę i czytałem malutkie napisy. Dopiero wtedy domyśliłem się, że jest to malutki model Ziemi.

Irka nie mogła zasnąć, przysłała do mnie na górę i kiedy zobaczyła kulę w moich rękach powiedziała, że to się nazywa globus.

- Kiedy ich przepędzimy - powiedziałem - zbudujemy dużo szkół, a w każdej będzie globus, żeby dzieci znały prawdę o swojej Ziemi.

- Wierzysz, w to że wkrótce wypędzimy sponsorów?

- To nie jest zajęcie dla kobiet - zażartowałem sobie. - Ale obiecuję ci, zrobię to. I do niedługo!

- Wiem. Powinniśmy dostać się do inspektorów, którzy przylecą z jakiegoś ważnego centrum, i opowiedzieć im prawdę, dobrze mówię?

- Dobrze.

- A sponsorom zrobi się tak głupio i wstyd, że odlecą?

- Nie wiem. Ale powinny istnieć na świecie jakieś przepisy. Przecież jeśli latają między gwiazdami, to musi istnieć jakiś porządek.

- Zobaczymy - powiedziała Irka.

Następnego ranka przyszedł do nas milicjant. Aż się wystraszyłem, kiedy otworzyłem oczy i zobaczyłem stojącego pośrodku pokoju milicjanta.

Milicjant zdjął furazerkę i wtedy poznałem w nim chudego pomarszczonego Henryka. Ucieszyłem się widząc go.

Henryk ścisnął mi dłoń i powiedział, że wyglądam jak zuch. Wiedział już, że w stadninie próbowali mnie zabić, ale zdołałem uciec.

- Jesteśmy zadowoleni z ciebie - powiedział.

W jego głosie zabrzmiały protekcyjnalne nutki.

Pomyślałem sobie, że nie potrzebuję takiej opieki, nie lubię takiego tonu. Ale, oczywiście, nic nie powiedziałem.

Poszliśmy za Henrykiem do klasy, gdzie znalazłem globus. My, to znaczy Irka, pełzacz i ja. Pełzacz bez trudu wchodził po schodach - jakby przelewał się przez stopnie.

Henryk wyjął z kieszeni złożony arkusz papieru. Rozwinął go na stole. To był plan miasta, miasta w kształcie szerokiego półksiężyca.

- Widzicie szczęśliwe miasto, zwane inaczej Arkadią. Słyszeliście o nim?

- Słyszeli - odpowiedziałem.

Pelzaczowi było niewygodnie patrzeć. Gdy na tylnych łapach jego oczy i tak znajdowały się zaledwie metr nad podłogą. Pazurami przednich łap trzymał się krawędzi stołu. Henryk objaśniał plan, a ja patrzyłem na pelzacza i myślałem o tym, jak trudno jest mi przyzwycząć się do myśli, że mam do czynienia z rozumną istotą, los której jest tak tragiczny. Przecież, sądząc z wszystkiego, on też był przeznaczony na ubój, ale przypadkowo czy też przy pomocy Irki uniknął lagi i przeżył w ukryciu kilka lat... Jak mało jeszcze wiedziałem o życiu na własnej planecie!

- Wewnątrz półksiężyca widzicie owal - kontynuował tymczasem Henryk. - To jest centrum obserwacyjne sponsorów. To tam musimy przeniknąć.

- A dookoła co jest? - zapytała Irka, wskazując palcem biały pas oddzielający półksiężyc miasta Arkadii od owalu.

- Fosa wypełniona wodą.

- Szerokość, głębokość?

- O ile wiem - niezbyt szeroka, ale głęboka. Najważniejsze jest to, że jeśli nawet pokonacie fosę, to i tak niczego to wam nie da. Znajdziecie się przed pionowym murem, wystającym z wody.

- A miasto jest chronione?

- Jeszcze jak! - zawołał Henryk.

- Kto pójdzie? - zapytała Irka.

- Mają iść tylko świadkowie - ty, pelzacz i Tim.

- A Sienieczka? - zapytała Irka.

- To jeszcze dziecko.

- Ma dziewięć lat.

- Dziwne, ja myślałem, że co najwyżej pięć. Ale i tak - myślę - nie warto, żeby szedł z nami.

Wygłaszał swoje opinie autorytatywnym tonem, zrozumiałem, że Henryk przywykł do posłuchu.

- On jest najważniejszym świadkiem - powiedziała Irka. - Ty tego po prostu nie wiesz.

- Czego nie wiem?
- Zrobili z niego człowieka-rybę. Kiedy będziemy mówili o doświadczeniach przeprowadzanych na ludziach to on będzie najlepszym dowodem.
- Niech idzie - zgodził się Henryk.
- Opowiedz, proszę, dokładniej o szczęśliwym mieście - poprosiłem Henryka. - Skąd ono się wzięło?
- Posłuchaj - zaczął Henryk. - Sponsorzy nie są piratami i zbójcami. To cywilizacja, która osiągnęła więcej niż cywilizacja ziemska. Sponsorzy cywilizują puste planety, urządzają, jak i inne cywilizacje, swoje bazy i naukowe posterunki na planetach, gdzie istnieje już życie rozumne. Ale powinny przy tym w miarę sił nie wtrącać się do życia miejscowej cywilizacji. A już w żadnym przypadku nie czynić jej krzywdy. Żeby nie powstawały nieporozumień, co jakieś określony odcinek czasu, powiedzmy - co kilka lat, na kolonizowane globy przybywa inspekcja centrum Galaktycznego. Taka właśnie inspekcja przylatuje jutro do Arkadii.
- Ale dlaczego właśnie tam? - zapytałem, rozumiejąc już, że odpowiedź na to pytanie jest najważniejszą rzeczą w tej rozmowie.
- Dobrze pytasz - Henryk uśmiechnął się, jak, zapewne, uśmiecha się nauczyciel do bystrego ucznia, - Miasto Arkadia zostało stworzone, wymyślone i zbudowane przez sponsorów specjalnie dla inspektorskich oczu! Oto w tym owalu - wskazał centrum miasta - jutro wylądują śmigłowce i okręty inspektorów, żeby mogli na własne oczy przekonać się jak żyją Ziemianie.
- Ni diabła nie rozumiem! - wykrzyknąłem. - Na co będą patrzeć?
- Na szczęśliwe miasto Arkadia, które sam zobaczysz jutro - oświadczył Henryk. - Najważniejsze, żebyście przeniknęli tu - jego palec znowu dźgnął owal w centrum miasta - doczekali się pojawienia inspekcji i spotkali się z nią, żeby opowiedzieć o tym, co się dzieje na Ziemi.
- A skąd wiecie, że przylecą jutro? - zapytałem.
- Naiwne pytanie, nie wymagające odpowiedzi - powiedział Henryk. - Teraz chodźmy spać, bo jutro czeka nas trudny dzień.

Spaliśmy wszyscy na parterze byłej szkoły, na podłodze. Ja z Sienią jak zwykle przykryliśmy się moim kocem; myślałem, że Irka przyjdzie do nas.

Kiedy obudziliśmy się rano jakaś nieznajoma leciwa kobieta przyniosła nam gorącą herbatę ziołową. Potem pojawił się kulawy starzec z dużym workiem. Wywalił zawartość worka na podłogę, a ja zdziwiony zobaczyłem, że są to piękne szaty. Takich pięknych i kolorowych ubrań jeszcze nie widziałem.

- Przymierzajcie - polecił Henryk. Przy pomocy starca wybrał ze sterty ubrań komplet dla każdego z nas. Irce przypadła długa do ziemi suknia, błękitna i wspaniała, pantofelki, jakich nigdy wcześniej nie widziałem, błękitny kapelusik z białymi piórami i torebeczka do kompletu kapelusika. Sienieczka omal nie pękł ze śmiechu, kiedy Irka wyszła, przebrana, z sąsiedniej klasy. Potem przyszła kolej śmiać się na mnie - Sienieczka dostał krótkie spodnie, kurtkę z wykładanym pasiastym kołnierzem i biały miękki kapelusik, który starzec nazywał panamką. Pełzacz, rzecz jasna, nie dostał żadnego ubrania, natomiast ja musiałem rozstać się ze swoimi krótkimi skórzanym portkami - zresztą, i tak już się niemal przetarły. Dostałem czarne wąskie spodnie, szarą koszulę, którą miałem wpuścić w spodnie, miękkie buty, w których może dobrze chodziłoby się po parkiecie, ale nie po lesie. Dostałem też kurtkę, która nazywała się marynarka. Jakoś udało mi się umocować swój nóż w spodniach, chociaż Henryk był niezadowolony i wołał, żebym poszedł do sponsorów bez broni. Ale po chwili poddał się - obiecałem mu bez potrzeby noża nie wyjmować.

Potem musieliśmy dość długo czekać. Ktoś miał po nas przyjechać, ale ciągle nie przyjeżdżał.

- A skąd jest to ubranie? - zapytałem.

- W takich ubraniach chodzą mieszkańcy szczęśliwego miasta - wyjaśniła Irka.
- Musimy wyglądać dokładnie jak oni.

Czekaliśmy dalej.

Potem zapytałem:

- A skąd je mamy?

- Z miasta - odpowiedziała Irka.

W długiej sukni i kapelusiku wyglądała zupełnie inaczej, bardziej kobieco, delikatnie. Podobała mi się taka jeszcze bardziej.

- A gdzie Markiza? - zapytałem.

- Zobaczysz ją - obiecała Irka.

- Nie wysłali jej do sponsorów? - zapytałem.

- Może dzisiaj odleci.

Wszedł szybkim krokiem Henryk.

- Wychodzimy - powiedział. - Wszystko gotowe.

Przed szkołą stał duży furgon, zaprzęzony w parę ciężkich koni. Furgon był zielony, na bokach miał wymalowane owoce i warzywa w naturalnych kolorach. Wyglądało to bardzo ładnie.

Na koźle siedział rumiany młody człowiek w ubraniu podobnym do mojego, tylko zamiast marynarki miał na sobie kurtkę. Prócz tego na głowie miał okrągły czarny kapelusz.

- Najważniejsze - powiedział Henryk - niezauważalnie przedostać się do szczęśliwego miasta.

- W tym furgonie? - zdziwiła się Irka.

Woźnica obejrzał się i uśmiechnął. Miał siwe zwisające wąsy.

Henryk podszedł do furgonu i otworzył jego tylne drzwi. Stały tam skrzynki z warzywami.

- A my gdzie się zmieścimy? - zapytała Irka. - Wybrudzę tu sukienkę.

- Nie tu - zgodził się woźnica. - Tutaj migiem was znajdą.

- No to gdzie się schowamy? - zapytałem.

Woźnica podszedł do furgonu od tyłu i gestem sztukmistrza przekręcił jakąś dźwigienkę.

Pod furgonem otworzyła się drewniana kłapa, zakrywająca długą skrzynię, przymocowaną do dna furgonu. Skrzynia miała mniej więcej pół metra wysokości.

- I my mamy tam wleźć? - zapytała przerażona Irka.

- Innego sposobu, żeby się do nas dostać, nie ma - oświadczył woźnica. - Posterunki na drogach - raz, pole siłowe - dwa.

- Może lepiej śmigłowcem? - zapytałem. Też mi się nie chciało włązić do ciemnej skrzyni.

- Śmigłowiec zestrzela po minucie lotu - prychnął woźnica.

- Nie traćcie czasu na puste gadanie - powiedział Henryk.

- Tobie to dobrze - odgryzła się Irka - ty nie musisz tam włązić.

- Następnym razem wleżę - uśmiechnął się Henryk.

Wleźliśmy do skrzyni, właściwie - wepchnięto nas. Było tam ciemno i ciasno, światło przenikało tylko przez wąskie szczeliny. Leżałem na brzuchu, Irka wolała ułożyć się na plecach. Pełzacz przylgnął do mnie - był chłodny, a ja bałem się, że może wczepić się we mnie pazurkami, którymi kończyły się jego krótkie łapy.

- Jak tam, Sienie? - zapytałem.

Chłopiec pierwszy wlaźł do skrzyni.

- Jeszcze żyję - padła odpowiedź.

Furgon wolno potoczył się po nierównej drodze, od razu odczuliśmy wszystkie niedogodności podróżowania w skrzyni.

- Po co komu taka skrzynia? - zapytałem.

- Do przemytu - wyjaśniał Irka. - Od dawna zajmują się kontrabandą. A nam udało się podłączyć do tego łańcucha dopiero niedawno.

Furgon nieśpiesznie, podskakując na wybojach i kiwając się na grubych żelaznych resorach toczył się po drodze. Zerkąłem w wąską szczelinę, która znalazła się akurat pod moim prawym okiem. Widziałem wiejską drogę, porośniętą między koleinami rzadką trawą. Kurz, wzbijany w powietrze kołami, trafiał w szczelinę, i musiałem mrużyć oczy, żeby nie zaśmiecić oczu.

- Powiedz mi - zapytałem odwracając głowę do Irki - jak się dowiedzieliście, że akurat jutro przyleci inspekcja?

- Dowiedzieliśmy - mgliście odpowiedziała Irka.

W tym momencie usłyszałem głos pełzacza, który kolejny raz zadziwił mnie swoją wiedzą.

- Wy, ludzie, jesteście bardzo chytry - powiedział swoim skrzypiącym głosem. - Markiza odlatuje dzisiaj do Centrum Galaktycznego. Sijniko powiedział, żeby była dzisiaj gotowa .

- Milcz! - niespodziewanie warknęła Irka. - To Tima nie dotyczy.

Zrozumiałem, że jest zazdrosna. Nie, nie chodziło o mnie, po prostu - Irka uważała siebie za potwora z powodu blizny na twarzy i wybitych zębów. Pewnie też chciała polecieć do Centrum Galaktycznego i stać się piękną. Tyle że nikt jej nie zaproponował. Tak przynajmniej dla siebie zinterpretowałem jej zdenerwowaną wypowiedź.

- Dlaczego Sijniko wysła ją? Czy innych ludzi też wysyłali?

- Wysyłali - krótko odpowiedziała Irka.

- Polecą statkiem kosmicznym? - doleciało do nas pytanie Arseniusza.

- Jeśli Markiza ma być gotowa, znaczy - przyleci statek z Centrum Galaktycznego - powiedział pełacz.

- Hej! - usłyszałem głos woźnicy. - Milczcie. Za chwilę punkt kontroli.

Trzęsło wcale nie mniej, ale trochę inaczej. Przez szczelinę widziałem okrągły bruk - furgon wyjechał na kocie łby. Dały się słyszeć niewyraźne głosy. Woźnica pogonił konie, wyobraziłem sobie jak naciąga lejce. Lubię konie - w szkole

gladiatorów chciałem być dobrym rycerzem i otrzymać konia; póki co sam zgłaszałem się do pracy w stajniach, do sprzątania boksów, czyszczenia koni, karmienia. Konie też mnie lubiły - konie wyczuwają ludzi.

Furgon zatrzymał się.

- Co tam wieziesz? - usłyszałem szorstki głos.

- Zobacz.

Furgon kiwnął się lekko. Domyśliłem się, że woźnica zeskoczył z kozła. Dokładnie nad nami deski nieco się wyginały - chodził nad nami człowiek, który przesuwał skrzynki, grzebał w kartoflach, rozrzucał głowy kapusty...

- Hej tam, trochę ostrożniej - powiedział woźnica stojący za furgonem. - Wiozę to do sklepu!

- Przymknij gębę, bo ja ci przymknę! - zagroził szorstki głos.

Ale kontrola wypadła pomyślnie. Wylazł z furgonu.

- Dwie główki to za dużo - powiedział woźnica. - Proszę wziąć jedną.

- Nie gadać! - rozżościł się właściciel szorstkiego głosu. - Wynocha mi stąd! Wszyscy się mądrzy porobili - jedna główka, dyni nie ruszać, kartofli - nie rusz! A ja ma troje do wykarmienia! Czym mam to zrobić?

- Już dobrze, dobrze - powiedział woźnica. - Spokojnie. Idziemy.

Poczułem, jak włazi na kozła.

- Wwwo! - krzyknął do koni.

Furgon poturlał się po brukowanej jezdni.

- Ale fajnie - powiedział Sienia - bo już mnie nos zaczął swędzieć, jeszcze trochę i bym kichnął.

- Teraz kichaj - powiedziałem. - Teraz możesz.

- Teraz mi się nie chce.

Jechaliśmy jeszcze jakieś pół godziny. Furgon potoczył się pod górę, potem gwałtownie zaczął zjeżdżać w dół i woźnica mocno osadzał konie. Kocie łby zmieniała kostka brukowa więc nieco mniej trzęsło. Od czasu do czasu słyszeliśmy odgłosy, jakby jadących na spotkanie powozów. W końcu furgon skręcił z głównej ulicy w wąską, niebrukowaną, zakręcił i trochę się cofnął. W skrzyni zrobiło się ciemno.

Woźnica zeskoczył z kozła i otworzył drzwi furgonu, a potem pokrywę skrzyni.

Pomagając sobie wzajemnie z trudem wypełziliśmy na zewnątrz.

Pełzacz był najbardziej z nas ruchliwy i pierwszy zeskoczył na ziemię. Woźnica, najwyraźniej, zapomniał jak wygląda jeden z pasażerów, odskoczył i zaklął.

- Taki duży a się boi - osądził go Sienia, który - z kolei - zapomniał jak sam bał się pełzacza.

Furgon stał tyłem do otwartych drzwi magazynu czy szopy.

- No to teraz odpoczywajcie - powiedział woźnica.

Uśmiechał się z ulgą.

- Bałem się - powiedział - że ktoś z was kichnie czy się poruszy. Ci na posterunkach są źli - wystarczy małe podejrzenie i już strzelają. Mieliśmy już takich zabitych.

- Kto zginął ? - zapytałem.

- Ci co się bawią w szmugiel.

Woźnica wyciągnął z kieszeni garść monet i banknot.

- To dla was - powiedział. - Jak zgłodniejecie, możecie przespacerować się po mieście. Tu, na ulicy Białych Róż, jest bar, niedrogi, a dają smacznie jeść. Tam sobie przekąście.

- Jak to - przekąście? - zdziwiła się Irka. - To nie jest niebezpieczne?

- Już nie - uśmiechnął się woźnica. - Już minęliśmy kontrolę. Teraz jesteśmy w Szczęśliwym Mieście. Tu wszyscy mają wszystko w nosie, jasne?

- Nie, nie jasne. Chyba lepiej siedźmy do wieczora w magazynie.

- Jak chcecie - powiedział woźnica. - Nie jestem waszą niańką. Tylko żebyście tu byli jak się ściemni. Ma po was ktoś przyjść, kto pokaże wam, jak można przedostać się do centrum. Ale bardzo wątpię.

Z tymi słowy odwrócił się i odszedł, zostawiając nas samych.

Szopa była pusta. Od dawna nie było tu żadnych towarów - w kątach szeleściły szczury, kąty i sufit zaciągnęły pajęczyny.

Odchodząc woźnica przymknął ciężkie drzwi szopy. Słyszeliśmy jak turkocą koła odjeżdżającego furgonu.

- Posiedzimy to do zmroku - powiedziała Irka, która dowodziła naszą drużyną.
- W nocy musimy przeniknąć do Wieży Obserwacyjnej.

- Dokąd? - głośno zapytał z kąta Sienieczenka - węszył już, w poszukiwaniu czegoś jadalnego. Stale był głodny. Zresztą, w mieście głód mu nie groził - mieliśmy cały worek jedzenia.

- Pamiętasz owal na planie? - zapytała Irka, ale nie Sienkę, a mnie. - To właśnie jest Wieża. Z jej szczytu sponsorzy i inspektorzy, a czasem i turyści z innych planet, mogą obserwować naturalne warunki życia typowego ziemskiego miasta. Tam właśnie musimy się dostać.

- Czy to znaczy, że oni nie przylatują do samego miasta?

- W żadnym wypadku! - oświadczyła Irka. - Państwo sponsorzy i ich goście twardo trzymają się zasady nieingerencji. Każda opóźniona cywilizacja powinna rozwijać się naturalnym sposobem. Można jej pomóc w przyspieszeniu rozwoju, ale w żadnym wypadku nie wolno przeszkadzać czy eksploatować planety - Galaktyczna Współistnienie stworzone zostało w szlachetnym celu.

- A jak się przyglądają? - zapytałem.

- Zobaczysz wkrótce - obiecała Irka.

- Ona sama nie wie - wtrącił się Sienieczka.

Podszedł do wrót i wyjrzał przez szparę.

- Nie ma tu nikogo - powiedział. - Mogę się przejść?

- Poczekaj - powiedziała Irka. - Na razie nie możesz.

Ale Sienieczka, rzecz jasna, nie usłyszał odpowiedzi i wymknął się przez szparę.

Irka podbiegał do drzwi i zaczęła wyglądać na zewnątrz.

- Już za późno - powiedziałem. - Już wyszedł.

- Pójdę po niego, może zepsuć całą akcję. Czy ty nie rozumiesz jakie to ważne?

Podszedłem do drzwi i też wyjrzałem.

Drzwi szopy wychodziły na krótką pustawą uliczkę, przy której znajdowało się kilka podobnych do naszego magazynów i innych pomieszczeń typu usługowego. W końcu ulicy widać było wodę - rzekę czy jakiś inny zbiornik wodny. W tamtą stronę podbiegł Sienieczka.

Po drugiej strony tafli wody pięła się w górę gładka betonowa czy też plastikowa biała wieża, pnąca się pod same niebo.

Wyszedłem na zewnątrz i skierowałem się do zbiornika wodnego, tropem chłopca. Opanował mnie niepokój, Od razu domyśliłem się, że mam przed sobą Wieżę Obserwacyjną, i malec, zdradziwszy swoją obecność, może zaważyć całą operację.

- Sienia! - krzyknąłem biegnąc. - Sienia, natychmiast wracaj!

Chłopiec nie słyszał, albo nie chciał słyszeć mnie. Dobiegł do wody i zatrzymał się. Wystraszyłem się, że zanurkuje, ale z jakiegoś powodu zawahał się.

Wypadłem z przejścia między magazynami i znalazłem się na płaskim, porośniętym miękką murawą i babką brzegu rzeki, która omywała gładką wysoką wieżę.

Nie byliśmy na brzegu sami - na skarpie siedzieli rzędem wędkarze, wszyscy trzymali wędki i wszyscy mieli - jak należy - białe albo słomiane kapelusze.

Nasz widok wcale nie wzniecił popłochu, jak się obawiałem; łowili dalej, tylko jeden z nich, facet zadartym nosem i siwym kompletem wąsów i bokobrodów, w pasiastym waciaku i pasiastych spodniach, przyłożył palec do ust, uprzedzając, żebyśmy nie straszili ryb. Kiwnąłem uspokajająco głową i kontynuowałem pościg za Sienieczką, którego udało mi się złapać w chwili, kiedy ten już szykował się do skoku do wody. Tak się śpieszyłem ze złapaniem go, że w rezultacie złapałem za ucho, chłopiec znieruchomiał i zaczął jęczeć.

Nie wiedząc co robić dalej odwróciłem się i zobaczyłem, że po brzegu, chwyciwszy w ręce długą niebieską spódnice, zgrabna jak marzenie, biegnie ślicznotka, na którą wytrzeszczam gały nie tylko ja, ale i wszyscy wędkarze.

Ślicznotka podbiegła do nas i otworzyła usteczka, ukazując brak przednich zębów, co, oczywiście, zburzyło jej idealny obraz w oczach tych, co blisko niej się znajdowali.

- Młody człowieku - powiedziała niezbyt głośno, ale zdecydowanie, zwracając się do Sieni. - Twoje szczęście, że Tim cię złapał wcześniej niż ja. Teraz, hultaju, o mało co nie zawałiłeś operacji, dla sukcesu której niektórzy ludzie już zginęli, a inni jeszcze zginą. Operację, od której zależy przyszłość Ziemi.

Mimo że mówiła cicho wydawało mi się, że od jej głosu kołyszą się betonowe ściany cytadeli sponsorów. Wędkarze powinni byli w panice uciec na te słowa. Ale wędkarze niczego nie słyszeli i nadal rozkoszowali się promieniami słoneczka.

Sienieczka zbladł ze strachu. Wydawało mi się, że nigdy jeszcze w życiu tak się nie wystraszył.

- Ja tylko przekąpać... i od razu na brzeg... nie myślałem, że... Nigdy więcej już nie będę - mamrotał malec. Zrobiło mi się go żal. Irka zobaczyła, że moja ręka kieruje się do jego głowy, żeby go pogłaskać i uspokoić; w mgnieniu oka runęła do przodu i szarpnęła mnie za rękę.

- Nie waż się - wrzasnęła szeptem. - Skoro robię dziecku reprimande, to ty, Lancelocie, bądź uprzejmy, pocierp chwilę i nie mieszaj się, jak babunia do procesu pedagogicznego! Pestalozzi cholerny!

Stanęliśmy z Sienieczką jak wmurowani - okazało się, że Irka zna takie uczone słowa!

- Chodźmy stąd - poleciła. - Wędkarze już nas zapamiętali. Na pewno ktoś pobiegnie i zakabluje nas.

Ruszyliśmy z Sienieczką pokornie i z poczuciem winy za nią po zielonym brzegu. Było już gorąco, choć dzień nie doszedł jeszcze nawet do południa. Lekkie kłębiaste obłoki tajały zbliżając się do słońca, jak gdyby jego ciepło wysuszało je.

Wróciliśmy pod magazyny i zatrzymaliśmy się, żeby przyjrzeć wieży.

Najbardziej przypominała betonowy pień. Jego średnica wynosiła jakieś sto metrów, wysokość - jeszcze więcej. W górnej części gładkich ścian widać było okna typu strzelnice, a górna krawędź wieży miała wyraźne zęby.

Podstawa pnia ginęła w wodzie - ciemnej, wartkiej rzeczce, szerokiej jak ulica, na której swobodnie mijają się cztery samochody. Wydało mi się dziwnym, że rzeczka jest taka wartka, przecież na planie miała kształt zamkniętego pierścienia - fosy. Rozumiałem, że będziemy musieli pokonać tę przeszkodę wodną, ale nie wyobrażałem sobie jak. Tym bardziej nie miałem pojęcia co potem - nie było mowy o wspięciu się na stumetrową betonową ścianę.

Jednocześnie ujawniła się jeszcze jedna przeszkoda.

Jeden z wędkarzy podniósł się, zobaczyłem, że jego spławik, odciągnięty do oporu w prawo przez prąd, zniknął od wodą, a wędkarz zaciął i pociągnął zdobycz do siebie. Srebrna rybko wyskoczyła z wody, ale w tej samej chwili z wody wysunęła się straszliwa paszcza, zakończona ostrym drapieżnym dziobem. Otworzył się pysk - potwór chwycił rybkę i połknął ją wraz z haczykiem i przynętą. Wędkarze jęknęli chórem i zbiegli się do kolegi wyrazić swoje współczucie. Ale widać było, że wcale nie są zdziwieni incydentem - widocznie wiedzieli, co się czai w otaczającej wieżę fosie. Jakaś lodowata dłoń chwyciła i ścisnęła moje serce: wyobraziłem sobie jak wejdziemy w nocy do tej wody i jak potwory pożrą Irkę i Sienieczkę. O sobie jakoś nie pomyślałem.

- Co to? - zapytał Sienieczka. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Ja też nie widziałem - przyznałem. - Ale sądzę, że w nocy one śpią.

- Tylko nie wpadajcie w panikę - powiedziała rozeźlony Irka. - Już macie ochotę zwać gdzie oczy poniosą.

- Nikt nie zamierza uciekać - powiedziałem.

- Pełzacz załatwi je jak kocięta - powiedziała Irka.

Miałem wrażenie, że ostatnie zdanie wymyśliła właśnie chwilę temu.

- Chodźmy, obejrzymy miasto - powiedziałem, żeby tylko zażegnać kłótnię.

- Im mniej będziemy spacerować, tym mniej wpadniemy w oko - zaproponowała Irka.

- Jestem ciekaw jak się żyje w szczęśliwym mieście Arkadia!

- Ja też jestem ciekaw - dołączył się Sienieczka.

- Dobrze - zgodziła się Irka. - Tylko niczego nie dotykajcie, nie ściągajcie na siebie uwagi, nie bijcie się i nie kłóćcie.

- Jasne - powiedziałem. - Nie ma sprawy.

Rozumiałem, że Irka nie mniej niż my chce się przejść po bajecznym mieście. Przecież nawet jeśli przeżyjemy, to nigdy tu już nie trafimy. Irka obejrzała nas krytycznie, kazał mi wyczyścić płamę na spodniach, a Sieniece strzepnąć czapkę i wyczyścić trawą buty.

- Jeśli ktoś was zapyta o coś - pouczyła nas - jesteśmy szczęśliwą rodziną: Becker-ojciec, Becker-matka i Becker-syn.

- A kto to Becker-syn? - zapytał Sienieczka.

- Ty, mój skarbie - powiedziała Irka i pstryknęła go paznokciem w czoło.

- Akurat! - oburzył się malec i chwycił mnie za rękę. - Wolę spacerować z Timem, on mnie nie tłucze - wyjaśnił swoją postawę.

Minęliśmy magazyny. Prowadząca do nich gruntowa ulica wlała się w prawdziwą ulicę, brukowaną.

Z obu stron ulica znajdowały się niewysokie płotki, w których kwitły bzy i tulipany. Za płotkami ciągnęły się parterowe przytulne domki kryte czerwonymi dachami, pomalowane na wesołe kolory. Z kominów wylały się dymy, a z kuchennych okien snuły się apetyczne zapachy. Gdzieś w ogródkach grzebały się w ziemi staruszki, sadyły rozsady, pielły grządki. Na nasz widok niektóre z nich prostowały swoje stare plecy i uprzejmie się z nami witały. My, rzecz jasna, witaliśmy się z nimi.

Z niektórych otwartych okien donosiły się przyjemna muzyka. Zajrzałem do jednego z nich i zobaczyłem, że tam, przy niewielkim pianinie, siedzi miła dziewczynka z kokiem na głowie i gra.

Sienieczka szedł z rozdziawioną buzią - nikt z nas niczego podobnego nie widział, ale my z Irką ukrywaliśmy jak mogliśmy swoje zdziwienie, a Sienieczka nawet nie zamierzał ukrywać oszołomienia.

Kiedy krótka willowa ulica skończyła się skręciliśmy w inną, gdzie z reguły nie było płotków przed domami, a i same domy były większe, piętrowe, murowane. Na parapetach wychodzących na ulicę okien stały doniczki z kwiatami oraz akwaria i klatki ze śpiewającymi ptakami. Czasem spomiędzy nich wyglądała głowa babci czy dziadka i uśmiechała się do nas. My uśmiechaliśmy się w odpowiedzi.

Wszystko co wpadło nam w oko miało cechy zadowolenia, sytości i uporządkowania.

Na końcu tej ulicy, która - sądząc po tabliczce na pocztowej skrzynce pierwszego domu - nosiła nazwę Jabłoniowej, znaleźliśmy bar "Przytulny", który zajmował parter niedużego różowego domu. Przed otwartymi drzwiami na chodniku stały pod pasiastymi parasolami dwa stoliki przykryte obrusami w kratkę. Zajrzeliśmy do wnętrza, w nim znajdowały się również stoliki. Przy jednym siedział blady chudy człowiek w czarnym garniturze. Na podłodze obok niego leżał kłębek sznura i wysoki czarny kapelusz, który, jak się dowiedziałem później, nazywa się cylinder. Czarny człowiek jadł dużą łyżką lody owocowe z kryształowej wazy.

Zewnętrzna ściana baru była przeszklona, widzieliśmy przez nią wieżę. To był ładny widok.

- Dzień dobry - powiedziała Irka, która szybciej niż ja przystosowywała się do nowej sytuacji. - Możemy zjeść tu śniadanie?

- Jestem kominiarzem - uprzejmie wyjaśnił człowiek w czarnym garniturze. - Jem teraz drugie śniadanie. Czekam na mnie praca. Ale zaraz jakoś państwu pomożemy. Jeleno! Jeleno Konstantino!

Natychmiast zasłonka, kryjąca tylne drzwi, otworzyła się i do pomieszczenia wbiegła na paluszkach młoda pulchna kobieta w różowej długiej do podłogi sukience z falbankami, z wysoko upiętymi włosami, spiętymi na górze grzebieniem obsypanym cekinami.

- Ach, przepraszam - powiedziała pulchna damulka. - Tak się w kuchni zaczytałam. Nowa powieść Turgeniewa! Podoba się państwu Turgeniew?

Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie - czy otaczają nas prawdziwi ludzie? Może to tylko organiaki, szczęśliwe roboty?

- Na co mamy apetyt? - zapytała damulka.

- A co jest? - zapytała Irka.

- Wszystko zależy od tego, czy mocno się śpieszycie czy umiarkowanie. Jeśli mocno to proponuję kanapki z serem, kawę z mlekiem i herbatniki.

Sienieczka głośno przełknął ślinę.

- Ale my się nie śpieszymy za bardzo - znalazła się Irka.

- No to - jajecznicę z trzech jaj na wędzonce dla każdego. Używacie państwo wędzonki? Jest nieco tłustawa dzisiaj.

- Niech będzie! - zadysponowała Irka.

- Już za chwilę, cieszę się, że mogę być pomocna.

Damulka pobiegła na zaplecze podśpiewując w biegu. Czarny kominiarz wstał od stołu, położył na nim banknot i wyszedł nie żegnając się.

- Chcę mieszkać w tym mieście - oświadczył Sienieczka.
- Pewnie śnię - powiedziała Irka. - Trzy jajka na głowę. Chyba przez całe swoje życie nie zjadłam trzech jaj.
- Ja też! Ja też! - roześmiał się Sienieczka.
- Jestem tylko ciekaw czy wystarczy nam pieniędzy? - uświadomiłem sobie. - Bo inaczej możemy zawalić całą operację.
- Pewnie wystarczy - powiedziała Irka.
- Jeszcze chwila! - zawołała, wysuwając głowę zza zasłonki, właścicielka baru, - Jeśli państwo chcecie proszę usiąść na ulicy, przyniosę tam państwu zamówienie,
- Właśnie, tam jest lepiej - powiedział Sienieczka i wyszedł pierwszy.

Usiedliśmy przy stoliku. Z zadowoleniem przyjrzałem się swoim współtowarzyszom. Zadziwiające - jak szybko ludzie przyzwyczajają się do sprzyjających warunków. Siedzieliśmy, niczym szczęśliwa rodzina z jakiejś przeczytanej przeze mnie książki. Świeciło przyjemne słońce, ulica, wybrukowana równymi, starannie dobranymi kostkami, były czysta, jak podłoga w mieszkaniu. Nie daremnie każdy, kto słyszał o Szczęśliwym mieście, marzy by zamieszkać w nim.

Po ulicy szli ludzie, niektórzy witali się z nami. Wyglądali staromodnie i byli podobni do aktorów ze starej sztuki.

- Ciekawe - powiedział Sienieczka. - Jak żyli ludzie przed sponsorami?
- Różnie - wymijająco powiedziała Irka.

Zrozumiałem, że ona też nie bardzo wie, jak to było.

Gospodyni baru zbliżyła się do nas z tacą.

Postawiła na środku naszego stołu dużą patelnię z jajecznicą, po czym rozstawiła talerze i rozłożyła noże i widelce. Zabierała się już do odejścia, ale nagle zauważyła jak Sienieczka usiłuje widelcem zahaczyć kawałek jajecznicy.

Błyskawicznie sympatyczna kobieta spurpurowiała i syknęła:

- Zwariowaliście! Nie ruszać! Nie wolno!

Zdziwiony Sienieczka schował ręce pod stół, sądząc, że kobietę zdenerwowały jego błony. Ale przyczyna jej zdenerwowania kryła się gdzie indziej.

Kobieta plasnęła pulchnymi rękami:

- Czy wy jesteście pierwszy raz w barze?
- Czym zdenerwował panią chłopiec? - zapytałem.

- No bo gdzie dźga widelcem, co? Kopię chce zmarnować? Gdzie ja zdobędę nową, pytam się was? A bez kopii zamkną mi zakład.

- No to co mamy jeść? - zapytała Irka.

- Zaraz przyniosę chleb - odpowiedziała pulchna kobieta. - A jak kto jest głodny, to mogę dać herbaty, z owsianką. Ode mnie nikt głodny nie wychodzi, nie to co z "Savoya". Tam mają tylko kopie, wyobrażacie sobie?

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jajecznicę. Była zimna i śliska. Wykonano ją z plastyku.

- Ale po co nas pani oszukuje? - zdziwiłem się. - Przecież pieniądze za jajecznicę pani weźmie?

- Jasne, a co mam brać - za prosiaka? Nie podawałam prosiaka!

- Kogo pani oszukuje?

- Nikogo nie oszukuję! - rozgniewała się pulchna kobieta. - Wykonuję zarządzenie Rady Żywienia Społecznego Arkadii, które mówi: "W przypadku braku artykułu spożywczego lub towaru nakazuje się zastąpienie go odpowiednią atrapą o zewnętrznym podobieństwie".

- Ale po co?

- Po to, że mogą stamtąd zobaczyć! - Gospodyni ściszyła głos i ruchem głowy wskazała więź.

- Jasne - powiedziała Irka, która kojarzy szybciej niż ja. - Proszę przynieść herbatę i owsiankę. Nie ruszymy tej pani jajecznicę. A dużo rzeczy brakuje?

- Ach, szkoda gadać! Niczego nie dostarczają!

Gospodyni ukloniła się i z widoczną ulgą odeszła od naszego stolika. Przyniosła nam po chwili lepką owsiankę i ciepłą wodę - herbatę, po czym stanęła pod ścianą i nie odrywając od nas wzroku przyglądała się. Napotkawszy moje pytające spojrzenie oznajmiła:

- Muszę patrzeć. W ubiegłym tygodniu ukradli talerze. A co się tyczy filiżanek to po prostu katastrofa. Nie, nie oskarżam nikogo, ale tak brakuje filiżanek, że ludzie posuwają się do przestępstw. Prawda?

- My jesteśmy przyjezdni - mruknąłem ponuro. Owsianka była niedosolona, niesmaczna, jakby przygotowana z opilek.

- Znamy takich przyjezdnych - odpowiedziała gospodyni.

Skasowała od nas za niesmaczne śniadanie po sześć rubli - prawie wszystkie pieniądze, jakie dał nam woźnica.

- W końcu - powiedziała Irka - to jest nawet śmieszne. Czy rzeczywiście uwierzyłeś w to, że w naszym kraju może istnieć szczęśliwe miasto?

Nie odpowiedziałem.

- To dlaczego obiecała jajka? - zapytał Sienieczka.

- Dlatego, że ona bawi się w bar - opowiedziała mu Irka.

Pomyślałem, że ma rację. Przecież jesteśmy w mieście wymyślonym i zrealizowanym przez sponsorów, a co sponsorów obchodzi, czy naprawdę szczęśliwi są mieszkańcy tego miasta.

"Delikatesy 'Obfitość'" głosiła wywieszka nad parterem innego domu.

Wchodzili tam ludzie z pustymi torbami a wychodzili z pełnymi. Nawet torby były ładne i miały wymalowane na ściankach najprzeróżniejsze artykuły spożywcze.

Przednia ścianka sklepu była przeszklona, a wewnątrz sklep był dobrze oświetlony, przypominał więc akwarium, w którym pływały rybki.

Staliśmy na zewnątrz, nie wchodząc do sklepu, i przyglądaliśmy się, jak ludzie wchodzi do delikatesów, podchodzą do gablot, przyglądają się leżącym tam towarom.

Nabrałem ochoty by obejrzeć sklep od wewnątrz, zaproponowałem więc reszcie, żeby poszli ze mną.

Niewielka kolejka składająca się z porządnie ubranych mieszkańców Szczęśliwego Miasta stała obok gabloty, w której leżały kielbasy różnej grubości, długości i koloru. Ekspedientka w białym fartuszk i białym koronkowym czepeczku uśmiechając się sympatycznie ważyła wędliny.

- Co to jest? - zapytał Sienieczka, który nigdy w życiu nie widział kielbasy.

Ja byłem, w końcu, od niego starszy i raz kiedyś w szkole gladiatorów poczęstowano mnie kielbasą.

- Zaraz ci kupię - powiedziałem. - To jest kielbasa.

Przedemną stał mężczyzna w średnim wieku w długim zielonym płaszczu i miękkim kapeluszu na głowie. Odwrócił się słysząc moje słowa.

- Jesteście przyjezdni? - zapytał uprzejmie.

- Tak, jesteśmy tu od niedawna - powiedziałem, a Irka uśmiechnęła się nie otwierając ust.

Mężczyzna pieszczotliwie pogłaskał Sienieczkę po głowie.

- Dzisiaj jest niespecjalnie udany dzień - powiedział. - Jutro przywiozą mortadelę i serwolatkę. Dostałem poufną wiadomość. Na waszym więc miejscu kupowałbym jutro.

- Timek - Sienieczka pociągnął mnie za rękaw. - Tam leży nieprawdziwa kielbasa - wskazał gablotę. - Ona jest namalowana.

Nasi sąsiedzi z kolejki udawali, że nic nie słyszą, ale Sienieczka nie ustępował, a wtedy starucha w mantylce poprosiła:

- Proszę kazać milczeć swojemu chłopcu. Możemy mieć przez niego nieprzyjemności. A nie chcielibyśmy tego.

- Sienia! - warknąłem.

Teraz dopiero zobaczyłem, że ludzie, których kolejka nadeszła, wskazywali którąś z kielbasianych atrap, leżących w jasno oświetlonej gablocie, ale ekspedientka, miło się uśmiechając, odcinała niewielki kawałeczek od jedynego kawałka grubej prawdziwej kielbasy, leżącej przed nią.

Kiedy doszła kolej do starszawego mężczyzny w zielonym płaszczu, podał ekspedientce kwadratowy kawałek papieru, i też dostał kawałek kielbasy.

Ogarnęło mnie przeczucie czego nieprzyjemnego.

I miałem rację.

- Kartka? - powiedziała ekspedientka, zawiesiwszy nóż nad kawałkiem kielbasy.

- Mamy pieniądze - powiedziałem.

Irka milczała. Sienieczka wysuwał nos ponad ladę.

- Powiedziałam - kartka! - podniosła głos sprzedawczyni.

Jednocześnie uśmiech nie zniknął z jej oblicza.

- Obywatele, nie wstrzymujcie kolejki - powiedział ktoś z tyłu.

Szacowna starucha w mantylce odepchnęła Irkę i zaczęła odpychać mnie od lady.

Mężczyzna w zielonym płaszczu, który po odejściu od lady zatrzymał się, by obwąchać swoją kielbasę, powiedział pouczająco:

- Przecież nie możemy dzielić się kielbasą z każdym przyjezdnym.

- Ale my też chcemy jeść! - wtrącił się Sienieczka.

- Jedzcie u siebie w domu - powiedziała starucha w mantylce; zdążyła już odebrać swój kawałek kielbasy.

Leciwy mężczyzna wyszedł wraz z nami. Chyba bało mu niezręcznie. Na oko był dobrym człowiekiem.

- Powinniście nas zrozumieć - powiedział on. - Znajdujemy się w kleszczach deficytu. Na szczęście wystarcza nam żywności, by zagwarantować potrzeby ludności. I teraz, muszę to powiedzieć głośno, sytuacja nasza stale się polepsza.

Starucha w mantylce poszła w prawo, on - na lewo.

Ciągle staliśmy pod sklepem. Sienieczka obejrzał się na wystawę - była bogato udekorowana plastikowymi kopiami różnych artykułów żywnościowych.

- Kogo oni oszukują? - retorycznie zapytała Irka.

- Kochana - powiedziałem - zapomniałaś, że nasza planeta od stu lat cierpi pod buciozem przybyszy. Gdybyśmy to my rządili Rosją, kiełbasy byłoby do woli.

Spacerowaliśmy jeszcze około godziny po mieście, które okazało się niewielkie.

Zwróciłem uwagę na to, że wszystkie ściany, wychodzące na betonową Wieżę, były przezroczyste a pomieszczenia za nimi były jasno oświetlone, jak delikatesy czy dział skarpet i pończoch w domu towarowym.

Ale prócz sklepów przezroczystą ścianę miał zakład usługowy, gdzie dziewczęta wyśpiewując wesołe pieśni, szyły sukienki i inny zakład, w którym stolarze produkowali krzesła. Stolarze byli jeden w drugiego, chłopcy malowani, młode zuchy. Uśmiechali się do nas przez szklaną ścianę tak niewymuszenie, że odruchowo uśmiechaliśmy się do nich.

W końcu trafiliśmy na dworzec. Dworzec nie był duży, prowadziła do niego tylko jedna nitka torów. Pociąg, składający się z dwóch otwartych wagoników i połyskującego miedzianymi elementami parowozu z długim lejkowatym kominem, czekał na nas przy peronie, po którym tragarz popychał wózek z walizkami i spacerował dyżurny ruchu w czapce z czerwonym otokiem.

Stadko dziewcząt w jednakowych brązowych sukienkach i białych fartuszkach wyfrunęło na peron i szczebiocząc zajęło miejsce w pierwszym wagoniku.

Ładna kobieta ze złożoną parasolką w ręku patrzyła na pociąg nie zamierzając jednak wsiadać do niego.

- Jedziemy? - zapytał Sienia.

- Ale nie wiemy dokąd jedzie ten pociąg - powiedziałem. - Nie wiadomo dokąd może nas zawieźć.

- Proszę mi powiedzieć, dokąd jedzie ten pociąg? - zapytała uprzejmie Irka dyżurnego ruchu.

- Macie bilety? - zapytał w odpowiedzi.

Nie wiem co spowodowało, że popatrzyłem w prawo, frontowa ściana dworca była ze szkła.

- Na kartki? - zjadliwie zapytał Sienieczka.

- Bez kartek - odpowiedział mężczyzna w czerwonej czapce.

Parowóz gwizdnął.

- Właźcie, właźcie! - poleciała czerwona czapka. - Zapłacie w środku.

Odwróciłem się do ładnej kobiety. Przeczytała w moim wzroku nie zadane pytanie i odpowiedziała na nie:

- Proszę się nie martwić, wróci na ten sam peron.

Weszliśmy do drugiego wagonu. Zabytkowy wagon, pozbawiony ścian, podzielony był na niewielkie przedziały. Zajęliśmy jeden z nich, a Sienieczka zaczął skakać po miękkim siedzeniu. Naczelnik stacji w czerwonej czapce pogroził mu berłem i zagroził:

- Przestań chuliganić, bo cię usunę z pociągu!

Potem uniósł berło, parowóz jeszcze raz gwizdnął i, gwałtownie ruszając szarpnął wagonem tak, że musieliśmy trzymać się ławek i siebie nawzajem. Dziewczęta w sąsiednim wagonie zaczęły tak piszczeć, że niemal nas ogłuszyły.

Za drugim razem parowóz zdołał ruszyć pociąg, ciężko dysząc pociągnął wagony wzdłuż peronu. Ładna kobieta podniosła rękę z chusteczką, żegnając nas. Pomachałem do niej, zrobiło mi się jej żal.

Pociąg potoczył się nabierając prędkości. Przy torach znajdowały się niewielkie ogródki, w których pracowali ludzie. Ale te ogródki raczej nie były widoczne z Wieży - pomyślano je tak, żeby kryły się w cieniu domów. W ogóle przed naszym wzrokiem pokazało się jakby drugie oblicze Arkadii. Od poszewki miasto nie było już takie wesołe, czyste i ładnie pomalowane.

Z drugiej strony torów ciągnął się zielony nasyp, świetnie widoczny z Wieży. Na nim nie było budynków ani ogrodów, ale co jakiś czas zdobiły go kwietniki. Następnie długo jechaliśmy wzdłuż ułożonego z betonowych płyt olbrzymiego stumetrowego napisu "Chwała ekologii!"

Po kilku minutach na nasypie, który stał się bardziej stromy i wyższy, rozgościł się jeszcze jeden, nie mniejszy od poprzedniego, napis: "Ozdobimy Ojczyznę sadami!"

W tym czasie pociąg zatoczył już obszerny półokrąg, i Wieża Obserwacyjna została z tyłu. Tory coraz bardziej zagłębiały się w ziemi, i nagle w wagonie zapanowała ciemność - wjechaliśmy do tunelu. Od razu odgłos kół stał się głośniejszy i gwałtowniejszy, parowóz zahuczał i zapachniało dymem.

- Daleko jesteśmy - oświadczyła Irka. - Jak wrócimy?

- Wrócimy! - radośnie odezwał się Sienia. Jak i my nigdy dotąd nie jechał pociągiem, ale podczas gdy my z Irką ukrywaliśmy swoje uczucia, udając, że taka podróż nie jest niczym dla nas nowym, Sieniecza nie krył swojego zachwytu.

W wagonie było zupełnie ciemno. Wyciągnął rękę i odszukałem szczupłe palce Irki. Opanowało mnie dziwne uczucie, jakbym zlatywał z jakiejś góry.

- Jesteś kochana - wyszeptalem. Nie wiem, czy mnie Irka usłyszała, ale mocno zacisnęła palce na moich. A Sieniecza, nie rozumiejąc co się dzieje, zapytał:

- Co powiedziałeś? Co się stało?

- Jeszcze jesteś za mały, żeby to wiedzieć - opowiedziałem.

Irka roześmiała się.

Tunel skończył się tak samo niespodziewanie, jak się zaczął. Z lewej pokazały się sady, domki od tyłu, wąska ulica, zwrócona do nas swoją niemalowaną stroną. Nieopodal nich i nad nimi ciągnęła się do nieba twierdza Wieży.

To znaczy, że kolej prowadzi wzdłuż zewnętrznej granicy półksiężyca, tworzącego miasto, następnie na końcu rogu weszły pod ziemię i ominąwszy Wieżę wyszły na powierzchnię przy drugim rogu półksiężyca, wykonawszy pełną koło.

Z drugiej strony torów znowu pojawiło się olbrzymie hasło: "Swoją pracą umacniajmy czystość Ojczyzny!"

- Widziałeś dużo książek - powiedziała Irka. - Wszyscy ci ludzie jakoś nie po naszymu są ubrani. Suknie do ziemi, kapelusze, i ten pociąg dziwny taki. Co to wszystko znaczy?

- I konie! - wtrącił się do rozmowy bystry Sieniecza. - Czy może tak być, że nie ma samochodów? Ani jednego samolotu?

- Konie - powtórzyłem. - Konie były używane wcześniej, przed samochodami i samolotami.

- Wiadomo, że wcześniej! Poza tym - kto będzie w wolnej woli nosić taką suknię! Ani w nim pobiec, ani podskoczyć. Już nie wspomnę o walce na noże? - uzupełniła Irka.

- Albo jak uciec przed gliną? - dodał Sieniecza i roześmiał się.

Na podwórku domku, którego tyły wychodziły na tory, siedział w pasiastym waciaku starzec z drewnianą protezą nogi. Pogroził nam pięścią i krzyknął coś. Dziewczeta w sąsiednim wagonie głośno coś śpiewały. Wróciliśmy do centrum miasta. Po głównej ulicy jechała wysoka czarna karoca, siedziała w niej dama;

machała przed twarzą różowym wachlarzem. Obok karocy jechał na koniu młody człowiek, który rozmawiał z damą, pochyliwszy się w jej stronę.

Na centralnej ulicy przed największym w mieście dwupiętrowym budynkiem z kolumnami przed wejściem stała inna karetka, bez koni. Grubas w niebieskim fartuchu malował ją na niebieski kolor, a na balkonie piętra stał inny grubas w czerwonym fartuchu i udzielał mu wskazówek. Trzej dozorczy szeregiem zamiatali ulicę. Za nimi szedł człowiek w mundurze ze złotymi guzikami, który pilnował, żeby ulica była dobrze pozamiatana. Przed sklepem stała długa kolejka.

Niski budynek dworca odciął nas od widoku ulicy.

Oto i peron. Tyle że tym razem podjechaliśmy do niego z drugiej strony. Naczelnik stacji w czerwonej czapce podniósł berło. Witając nas. Kobieta ze złożonym parasolem w ręku stała na peronie, Popatrzyłem na słońce - podróż trwała pół godziny.

Dziewczęta z wycieczki szkolnej hałaśliwie wysypały się z sąsiedniego wagonu. Pomknęły do wyjścia, omywając niczym burzliwy strumień samotną kobietę.

Wyszliśmy również z wagonu.

- Konduktor był? - zapytał naczelnik stacji.

- Nie, nie było - odpowiedziałem.

- To nic, jutro będzie - powiedział naczelnik stacji. - Na razie możecie zapłacić u mnie. Po sześćdziesiąt kopiejek.

Wziął pieniądze, przyłożył palce do daszka czapki i pośpieszył do parowozu, z którego wysiadła zmęczony maszynista.

- Nikt więcej nie przyjechał? - zapytała kobieta z parasolem.

Jej uroda była złowieszcza i - powiedziałbym - fatalna. Miała bladą cerę twarzy, jakby posypaną mąką; na tej twarzy rozpaczliwie jarzyły się czarne oczy.

- Przecież pani wie - powiedziałem.

- Nic nie wiem! - krzyknęła kobieta. - Czekam już całą wieczność!

- Moim zdaniem jest pani jedynym nieszczęśliwym człowiekiem w tym mieście - powiedziała Irka, jakby zapraszając kobietę do odpowiedzi. Ale ta odpowiedziała nie od razu, popatrzyła ponad ramieniem Irki wzdłuż pociągu, składającego się, w końcu, tylko z dwu wagonów, jakby naprawdę miała nadzieję coś zobaczyć.

Następnie przekonawszy się, że i tym razem nikt nie przyjechał, kobieta zwróciła się do Irki:

- Jestem szczęśliwa. Mam dobrą pracę, świetną wypłatę. Mam własny pokój. Czego jeszcze mogę chcieć?

- A na kogo pani czeka? - zapytała Irka.
- Co za głupota! - rozłościła się kobieta. - Na kogo mogę czekać?
- Proszę się uspokoić Mario Osipowno - powiedział zbliżając się naczelnik stacji. Za nim szedł maszynista niosąc w rękę małą walizeczkę. - Nikt nie chce pani skrzywdzić. Nie chcecie przecież skrzywdzić Marii Osipownej?
- Skoro pracuję, uczciwie zapracowuję na swój chleb, skoro uczciwie witam pociągi i nikomu nie przeszkadzam - to nie ma chyba powodu, żeby czynić mi zarzuty.
- Nikt pani nie czyni zarzutów - powiedział naczelnik stacji. - To po prostu naturalna ciekawość przyjezdnych. Jesteście przyjezdni, prawda? Zaraz sprawdzimy wasze dokumenciki i dowiemy się, dlaczego chodzicie po mieście i zadajecie prowokacyjne pytania.
- Naczelnik uśmiechnął się chytrze, a ja się poczułem niepewnie.
- Przepraszamy - powiedziała twardo Irka - ale nie mamy czasu z wami rozmawiać. My też pracujemy. Sprawdzamy sekretnie, jak pracuje kolej żelazna. Rozumiecie to?
- Tak zaakcentowała słowo "to", że naczelnik stacji wszystko zrozumiał.
- Proszę o wybaczenie za zatrzymywanie was - powiedział.
- Nie uwierzył Irce, ale też nie zamierzał kusić losu i sprawdzać nas.
- Wyszliśmy na ulicę. Ogon długiej kolejki do piekarni przecinał jezdnię. Z trudem przecisnęliśmy się przez tłum. Tłum był wesoły, uśmiechnięty, pełen nadziei i nawet pewności, że chleba dla wszystkich wystarczy.
- Minąwszy kolejkę, zobaczyliśmy spokojną staruszkę, która szła po ulicy, wlokąc plastikową torbę, z której wysuwały się dwa bochenki chleba.
- Musimy dojść do pustych magazynów - zaczęła ją Irka. - Jesteśmy przyjezdni i trochę zabłądziliśmy!
- Chodźmy - radośnie odezwała się staruszka. - To po drodze.
- A dlaczego taka kolejka po chleb? - zapytała Irka.
- Jutro sponsorzy będą pokazywali inspekcji nasze miasto. - Babunia wskazała wznoszącą się do nieba twierdzę. - A ludzie nasi - jak to ludzie? Żadnej wdzięczności! Jakby coś dawali - ustawią kolejki, że nie daj Bóg!
- To znaczy - dzisiaj sprzedają wszystko na dwa dni na przód? - domyśliła się Irka.
- A jutro jak zawsze! - Babunia chytrze się uśmiechnęła. - Lepiej się nie pchać!

Poznałem uliczkę magazynów zbiegającą do rzeki.

Pożegnaliśmy się z babcią, która jeszcze stała na szczycie wzgórza.

- Ciekawa jestem - powiedziała Irka - skąd oni biorą takich ludzi?

- Może hodują w probówkach? - podpowiedział Sienieczka.

- Myślę - powiedziałem - że nałapali w różnych miejscach i przywieźli tu. Mieszkają tu od dawna, przyzwyczaili się. Są szczęśliwi, że mają kielbasę.

- Masz rację - zgodziła się ponuro Irka. - Ciągłe im się powtarza, że za granicami miasta kielbasy nie ma.

- A jest? - zapytał Sienieczka.

- Ja tam próbowałem - przyznałem się. - W szkole gladiatorów.

- Szkoła gladiatorów - to nietypowe miejsce - powiedziała Irka. - Mają kontakty ze sponsorami, są na listach spec zaopatrzenia.

- A ja w końcu tak i popróbowalem kielbasy - powiedział Sienieczka i przełknął ślinę.

- Spróbujesz, na pewno spróbujesz. Daję ci słowo - powiedziała Irka.

Rozdział 8

Pupilek w wieży

Zapadł zmierzch, ale nikt nie przychodził.

W magazynie zrobiło się zimno, myszy i szczury krzątały się po kątach, jakby przeprowadzały się z mieszkania do mieszkania i przenosiły meble.

Sienieczkę dobijała beczynność, kilka razy wybiegał z magazynu, potem wracał i przybitym głosem komunikował, że nikogo nie widać.

Dokończyliśmy nasze zapasy, rozumiejąc, że jutro mogą zapomnieć nas nakarmić.

Żeby nie siedzieć w ciemnościach, wyszliśmy na ulicę, aż do pierwszych domków. W domach płonęły świece i lampy naftowe. Nad wysokim domem była naciągnięta girlanda lampionów, ale elektryczności w Szczęśliwym Mieście nie było. Jacyś ludzie przemierzali ulicę rozmawiając głośno i pijackimi głosami; na wszelki wypadek skoczyliśmy za róg i tam przeczekaliśmy. Wracać do magazynu nikomu się nie chciało - zimno tam było jak pod ziemią.

Straciwszy nadzieję, że doczekamy się przyjaciół, wróciliśmy do magazynu i usiedliśmy w rogu, objąwszy się, żeby było cieplej.

Otworzyły się drzwi i woźnica, zerknąwszy do środka zapytał ochrypłym szeptem:

- Żyjecie?

Rozmawialiśmy tak cicho, że nikt nas nie słyszał.

Woźnica powiedział, że wieści o jutrzejszym przylocie inspekcji potwierdziły się - wieczorem na Wieży lądowało kilka milicyjnych śmigłowców.

- W mieście wszyscy wiedzą o jutrzejszej inspekcji - powiedziałem.

- Nie da się ukryć - wzruszył ramionami woźnica. W ciemnościach nie widziałem jego wąsów, ale sądząc po tym jak mamrotał wyobrażałem sobie, że żuje koniuszek wąsów. - Zawsze w przeddzień przyjazdu inspekcji na talony wydają artykuły. W dniu inspekcji - pusto.

- Dlaczego w ten sposób? - zapytała Irka.

- Bo jeśli coś jest w sklepie od razu tworzy się kolejka. Nie da się zabronić ludziom ustawiać w kolejce, skoro jest towar. A z Wieży widać bałagan.

- Czyli brakuje żywności?

- Nie skarżymy się - powiedział woźnica. - Jakoś zdobywamy, kręci się. Przecież ludzie wiedzą, że w innych miastach z zaopatrzeniem jest w ogóle krucho.

- Skąd wiecie? - zapytała Irka.

- Jak to - skąd? Wychodzi tu gazeta - oznajmił woźnica uśmiechając się. Rozumiałem, że choć jest miejscowym i szczęśliwym mieszkańcem Arkadii, ale już toczy go robak zwątpienia spowodowany kontaktami z Henrykiem i z nami - mieszkańcami innego świata, zepsutego sceptycyzmem i nieufnością.

- A sklepy będą jutro zamknięte? - zainteresowałem się.

- W żadnym wypadku! Jutro jest dzień tymczasowego wydawania atrap. Każdy z nas jest przypisany do sklepu, a niektórzy przypisani są do targowiska. Każdy weźmie, co się należy i odniesie do domu. A potem będzie karnawał.

- Jaka szkoda! - powiedziała Irka. - Nigdy nie widziałam karnawału.

- A ja nawet nie znam takiego słowa! - dołączył się Sienieczka.

- O której wychodzimy? - zapytała Irka.

- Wkrótce - obiecał woźnica.

- Jak pan się nazywa? - zapytałem. Wydało mi się czymś niestosownym nie zapamiętać człowieka, który tak wiele dla nas zrobił.

- Gustaw - powiedział woźnica. I kontynuował: - Zaraz pójdziemy do fosy. Tam już nie wolno rozmawiać. Na Wieży jest pełno milicjantów. Sponsorzy nie życzą sobie jakichś przypadkowych komplikacji.

- A jak my na nią wleziemy? - zapytałem.

- To odpada. I tak się nie da.

- No to jak?

- Pod wodą jest wejście do wieży. Jest wykorzystywane gdy spuszcza się wodę z fosy, podczas czyszczenia czy remontu. Nikt o nim nie wie, sami dowiedzieliśmy się przypadkowo - w archiwum ktoś szczęśliwie trafił na polany budowy Wieży.

W wieczornej ciszy rozległo się dzwonienie zegara na budynku dworca.

- Czas na nas - powiedział Gustaw. - Zaraz przyniosą nam ponton.

W milczącej procesji udaliśmy się nad fosę. Woda w niej rwała jak w górskiej rzece.

- Dlaczego tak to wygląda? - zapytałem szeptem.

- Mają tam włączoną maszynę - Gustaw dla pewności wskazał Wieżę. - Żeby nikt nie mógł podплыć do Wieży.

Kościany łeb jednego z potworów, zamieszkujących fosę, wysunął się na mgnienie oka z wody i zniknął, jak uniesiony prądem.

- A te potwory? - zapytałem. - Smoki?
- Smoki? - Gustaw nie zrozumiał co miałem na myśli.
- Jeśli wejdziemy do wody, to nie wyjdziemy z niej żywi - szepnęła Irka.
- Tu nie ma smoków - powiedział Gustaw. - Nie rozumiem, o czym mówicie.
- Nie widziałeś tej głowy?

Woźnica uśmiechnął się - w półmroku byłsnęły jego białe zęby.

Wyciągnął z kieszeni chleb, oderwał kawałeczek i zamachnąwszy się cisnął do wody nieco powyżej miejsca, gdzie staliśmy.

Niemal natychmaist z wody wysunęła się głowa potwora, obok druga. Kawałek chleba zniknął.

- Co to było*?
- To duże żółwie - powiedział woźnica. - Są nieszkodliwe. Ale jeśli się o tym nie wie mogą prezrazić. W mieście wszyscy myślą, że one pożerają ludzi, a są tacy, co starają się, by te plotki ciągle były żywe.
- Gdzie jest wejście do Wieży? -zapytałem.
- Widzicie wydrapany na Wieży krzyż, tuż nad wodą? - odpowiedział pytaniem na pytanie Gustaw.
- Przyjrzałem się i chyba zobaczyłem krzyż.
- Pod nim jest wejście do Wieży. Tuż nad dnem. Zasłania go kraty, zamknięta na zasuwę.

Czas płynął. Wyszedł księżyc; w małym miejskim parku pod girlandami naftowych latarek grała niewielka orkiestra.

- Gdzie nasz ponton? - zapytała zniecierpliwiona Irka.
- Sam chciałbym wiedzieć - odpowiedział woźnica. - Już pół godziny temu powinni byli go przynieść.
- Czekaliśmy. Straciliśmy ochotę do rozmowy. Coś się wydarzyło.
- Może trzeba pójść i sprawdzić? - zapytała w końcu Irka.
- To na drugim końcu miasta - powiedział Gustaw. - Za dworcem. A za pół godziny w mieście zaczyna się pora nocna. Nie wolno po nim chodzić. Tego przepisu surowo się przestrzega.

- No to się pośpiesz i dowiedz - powiedziałem.

Gustawowi nie chciało się iść, ale rozumiał, że mamy rację.

- Nigdzie się nie ruszajcie - powiedział przesadnie poważnie.

- Nie martw się.

Ucichły jego kroki. Było cicho. Z parku docierała do nas muzyka, ktoś wysoko nad naszymi głowami roześmiał się głośno. Wieże wznosiła się czarna i nieprzystępna. Na jej szczycie zapłonął mały, ale jasny płomyk. Potem rozszerzający się stożek światła prześliznął się po murze w dół - widocznie ktoś wychylił się poza parapet i oświetlił ścianę od góry. Promień latarki nie sięgnął wody, a ta pędziła u naszych stóp niemal bezgłośnie i szybko. W świetle księżycy zobaczyłem jak tuż pod powierzchnią wody pojawił się olbrzymi żółw.

Nie wiem ile czasu minęło - ale, chyba, co najmniej godzina. Gustaw nie wracał. Sienieczka wiercił się z nudów - dziecko nie może tyle siedzieć bez ruchu.

Orkiestra w parku przestała grać, ogień w domkach gasły jeden po drugim. Gustawa nie było.

Nagle z daleka, od strony dworca, rozległ się krótki ostrzegawczy okrzyk. Zamarliśmy wyęzając uszy. Jeszcze jeden okrzyk. Wydało mi się, że usłyszałem szybkie kroki - ktoś uciekał, Potem gwałtowny krótki trzask - jeden, drugi, trzeci...

- Strzelają - cicho powiedziała Irka.

Podniosła się z trawy. W mieście zrobiło się cicho.

- Pójdę w górę nurtu - powiedziałem i zanurkuję. Tak obliczę, żeby mnie prąd zniósł pod kratę.

- Nic z tego - powiedział Sienieczka. - Wsadź rękę do wody to się przekonasz.

Podszedłem do samej wody i wsadziłem do zimnej wody rękę. Prąd uderzył w nią z siłą wodospadu. Moja ręka została dosłownie wyrzucona z nurtu.

Nie sądziłem, że prąd jest aż tak mocny.

Irka też spróbowała zmierzyć się z nurtem.

- Nic z tego - powiedziała smutno. - To głupie - tyle czasu się przygotowywaliśmy i nic z tego nie wyjdzie.

Staliśmy jeszcze chwilę nasłuchując i mając nadzieję, że usłyszymy kroki Gustawa. Ale nikt nie zbliżał się do fosy.

- W magazynie widziałem linę - powiedział Sienieczka.

- Po co ci?

- Przedostanę się do drzwi, do kraty i przywiążę do niej linę. Wtedy wy się przedostaniecie trzymając sznura.

- Łatwo powiedzieć - uśmiechnąłem się ironicznie. - Masz pojęcie gdzie cię wyniesie woda?

- Dużo jest tam tej liny? - zapytał Sienia.

- Dużo - przytaknęła Irka.

- To dobrze - powiedział Sienieczonek tonem doświadczonego życiem człowieka, który nie zamierza tracić czasu na kłótnie ze mną - chłopciakiem. - Potrzebujemy dużo liny. Musicie mnie tylko słuchać i nie dyskutować.

Kiedy ludzie nie mają nadziei, to nawet mały Tomcio Paluch może stać się jej źródłem - najważniejsze, że on był pewien siebie.

- Powiedz, po co ci dużo sznura? - zapytała Irka.

Sienieczonek nie odzywając się skierował do magazynu.

- Nie mamy czasu - powiedział. - Jeśli ten wasz Gustaw wpadł w łapy glin, to wycisną z niego do kogo i poco szedł.

To nie było głupie, więc Irka nie zadawała więcej pytań. Poszliśmy do magazynu.

Był ciemny. Krzesalem ognia i zapaliłem zapalniczkę, którą podarował mi ojciec Mikołaj. To była zapalniczka na olej, jej ogienek kopcil i niemal nie dawal swiatla.

Ale udało się przy tym mizernym swietle znaleźć liny i malec poukładał je i wyjaśnił nam swój pomysł.

Sienia nie będzie przepływał fosi - i tak go zniesie. Ale w odróżnieniu od nas, którzy nie mogą oddychać pod wodą, dla niego woda jest jak powietrze. Tak więc, jeśli znajdziemy wystarczająco ciężki kamień, to mały może dojść do kraty po dnie, co będzie o wiele łatwiejsze niż przepłynięcie fosi po powierzchni. Weźmie ze sobą linę i przywiąże ją do kraty w Wieży - powstanie most. Trzymając się liny będziemy mogli przepłynąć fosę.

Na szczęście wszystko wyszło tak, jak przewidział mądry Sienieczonek. Owinięty liną, trzymając w ręku ciężki głaz, wszedł do wody. Szarpnęło go i poniosło w bok.

Luzowałem linę, której drugi koniec przywiązany był do wkopanego w ziemię słupa. Lina prężyła się pod ostrym kątem, Sienieczonek zniknął pod wodą. Z jednej strony - świetnie wiedziałem, że chłopiec jest amfibią, z drugiej - z trudem

powstrzymałem się, że by nie skoczyć za голуśkim dzieciakiem do czarnej wody, w której zniknął.

Lina wysuwała się z moich rąk zrywami. Irka podbiegła, chcąc mi pomóc trzymać sznur. Pomoc była niewielka, ale nie mówiłem jej tego...

Widziałem jak po powierzchni wody przemknęło opływowe ciało żółwia. Dobrze jest mówić o nieszkodliwości żółwi - ale tam, w fosie, znajduje się po prostu mały chłopiec.

Lina to naprężyła się, wrywała z rąk, to nagle luzowała. Wydawało mi się, że Sienieczka powinien był już dawno pokonać przeszkodę wodną, ale nie pojawiał się z drugiej strony. Czyżby coś mu się stało?

Irka dotknęła mojego rękawa, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili powstrzymała się.

Teraz linę ciągnęło z nurtem, ale nagle zrozumiałem, że jest już umocowana do czegoś po drugiej stronie fosy. W jakby w odpowiedzi na moje rozważania z wody, przy podstawie Wieży wysunęła się głowa Sienieczki, który z trudem utrzymywał się w jednym miejscu.

- Ciągnij linę, naciągaj - polecił mi. Wydało mi się, że mówił zbyt głośno, że zaraz na górze zapłoną latarki.

Ale nic takiego się nie stało. Irka pomagała mi ciągnąć linę.

Sienieczka zniknął z powierzchni wody. W końcu sznur został naciągnięty nad samą wodą, swój koniec przywiązałem do słupa.

Irka zrobiła z naszych ubrań toból, który umocowała sobie na plecach, a ja, przy jej pomocy, przywiązałem sobie do pleców pełzacza. Pełzacz zaczął się bać, zaczął nagle mówić, że jeśli utonie, to trzeba będzie koniecznie powiadomić kogoś tam... Ale nie słuchaliśmy go - baliśmy się, że nie zdążymy.

Irka jako pierwsza weszła do wody chwyciwszy się mocno liny. Prąd odciągał ją, odrywał od sznura, ale ona wolno przekładała ręce na nim. Sznur naciągnął się pod kątem, woda pieniało się wokół Irki, stopniowo przesuwał się w stronę Wieży. Pełzacz, przywiązany do moich pleców, drżał.

- Nie ruszaj się, kiedy popłyniemy - uprzedziłem go starając się, by zabrzmiało to zdecydowanie.

- Wiem - odezwał się pełzacz.

Ale kiedy Irka zatrzymała się u podnóża budowli i pomachała mi ręką, na znak, że teraz moja kolej przechodzenia przez rwącą rzekę, pełzacz zaczął zachowywać się oburzająco. Wiercił się i wbijał mi w plecy swoje pazury, a ja niemal byłem gotów go zrzucić - tak bolesne były jego wyczyny.

Ale środkiem nurtu omal nie oderwało mnie od sznura, niczego nie widziałem, woda pieniała się wokół mnie, zimny wał uderzał mnie w bok, i nie pamiętam, w sumie, jak dotarłem do ściany. I dopiero kiedy moja ręka uderzyła w twardego betonu, z wielką ulgą zrozumiałem, że przepłynąłem.

Ktoś szarpnął mnie za nogi, chciałem się sprzeciwić i omal nie zachłysnąłem wszechobecną wodą, dopiero po chwili zrozumiałem, że to Sienieczka chce mi pomóc zanurkować. Powiedziałem do pelzacza, choć nie miałem pewności że słyszy:

- Nurkujemy, nie miotaj się.

Potem, nabrawszy do płuc powietrza i wciąż jeszcze trzymając się liny, drugą ręką zacząłem obmacywać ścianę i moja ręka, jakiegoś pół metra niżej wpadła do wnętrza Wieży, a ktoś mocno mnie za nią pociągnął. W tej właśnie chwili pelzacz, wystraszony i dezorientowany, tak mocno wbił mi pazury w kark, że prawie już wrzasnąłem z bólu, ale woda trafiła mi do ust; przestałem kojarzyć co się dzieje, nawet nie mogłem wypuścić trzymanej w ręku liny, i Irka zmuszona była siłą wyłamywać mi palce...

Wodą rozstąpiła się.

Wypląnąłem w centrum czarnego, wypełnionej wodą studni, Dokoła mnie pionowo wznosiły się wewnętrzne ściany wieży. Na ścianie, w pionowym szeregu paliły się mętne lampki. Po ciemnościach, jakie otaczały mnie wcześniej, wydawały się mimo wszystko jasne, w ich świetle od razu odnalazłem wzrokiem Sienieczkę, który pomógł mi wygramolić się na brzeg studni.

Pomieszczenie na dnie Wieży było ogromne, oprócz studni, z której wynurzyliśmy się znajdowały się maszyny, miarowo pomrukujące podczas obracania ogromnych okręgów. Pomyślałem, że być może to właśnie one rozpędzają wodę w fosie.

Po wyjściu na brzeg zacząłem od razu uwalniać się od pelzacza, przeklinając go na czym świat stoi. Sienieczka i Irka pomagali mi, a pelzacz, usprawiedliwiał się nieudolnie, czuł, że jest winien, ale twierdził jednocześnie, że nie pamięta, jak starał się mnie okaleczyć.

- Nieźle cię poharatał - powiedziała Irka patrząc na moje plecy.
- Przydałoby się opatrzeć - odpowiedziałem. - Może jego szpony są jadowe.
- Nie dawałem wam powodu, by tak o mnie myśleć - nie wiadomo dlaczego obraził się pelzacz.
- Opatrzmy później. Wytrzymasz? - zapytała Irka.
- Pocierpnię - powiedziałem. - Ale żebym kiedyś jeszcze targał na sobie pelzacza - w życiu!

W Wieży było cieplej niż na zewnątrz, i - gdyby nie zadrapania na plecach - powiedziałbym, że pierwszą część podróży odbyliśmy bardzo udanie.

Z tym, że nie wyobrażałem sobie, co mamy robić dalej.

Coś nawaliło na tamtym brzegu fosy - miał przyjść ktoś z pomocą. A tu? Kto nam pomoże?

Rozejrzawszy się w poszukiwaniu drogi, jaką trafiali do maszynowni sponsorzy i ich słudzy, zobaczyłem, że do ściany przytwierdzona jest wąska metalowa drabina, która wznosiła się, zakręcając i, i kończyła się gdzieś pod sufitem placykiem z metalowej kratownicy. Było to jedyne wyjście z pierwszego piętra Wieży.

Pozostawiwszy swoich współtowarzyszy na dole szybko wbiegłem po schodach do góry i spróbowałem otworzyć drzwi - drzwi były zamknięte. Zresztą, należało tego oczekiwać.

Z góry moi partnerzy wydawali się małutkimi, nieszczęsnymi i bezsilnymi, dowolny sponsor mógłby zgnieść ich jednym palcem. Na szczęście, nie było w pobliżu takiego nieżyczliwego sponsorskiego palca.

Nie mieliśmy odwagi głośno rozmawiać - nie wiedzieliśmy, czy ta sala nie łączy się z innymi pomieszczeniami niewidocznymi dla nas kanałami.

Irka złożyła ręce w tubę i zapytała głośnym szeptem:

- No i co?

Rozłożyłem ręce pokazując, że drzwi nie otwierają się. I że tu się kończy droga.

Sienieczka zręcznie jak małpka wbiegł po schodach i stanąwszy obok mnie zaczął ostrożnie poruszać klamką, jakby oczekiwał, że dzięki tym manipulacjom otrzyma jakiś sygnał, który ułatwiłby otwarcie drzwi.

Przestępowaliśmy przed tymi drzwiami z nogi na nogę jak jakieś głupie zwierzaki, a na dole pełzacz i Irka stali przy obszernej studni, i zadzierali głowy w oczekiwaniu dobrych wiadomości.

I nagle usłyszeliśmy, jak ktoś z tamtej strony przekręca klucz. Ja i Sienieczka odskoczyliśmy w bok i przywarliśmy plecami do ściany. Uniosłem rękę z nożem gotów zadać cios człowiekowi, który zamierzał wejść do sali.

Drzwi otwierały się wolno, jakby ten, kto znajdował się po drugiej ich stronie, też nie był pewien swego i bał się.

Napiąłem mięśnie ręki trzymającej nóż, ale kiedy w końcu drzwi otworzyły się, głowa przybysza znalazła się nie tam, gdzie się spodziewałem ją zobaczyć. W pierwszej chwili pomyślałem, że na metalowy balkon wyszło jeszcze jedno dziecko, podobne do Sienieczki.

I dopiero gdy z dołu dotarło do nas radosne westchnienie Irki i na dodatek zobaczyłem bujną szopę włosów, domyśliłem się, że drzwi otworzyły nam Markiza.

Markiza, którą Sijniko ściągnął na przyłot inspekcji, trafiła do specjalnego pokoju na szczycie Wieży już rano tego dnia. Ale nie miała żadnego kontaktu z miastem, wiedziała tylko, że ma w nocy zejść na dół i otworzyć drzwi, łączące najniższe piętro budowli z piętrami wyższymi.

Nie było to w sumie trudne - wszystkich niepełnosprawnych, przywiezionych tu w ramach realizacji programu Pomocy milicjanci zaprowadzili do pokoju, a sami szczęśliwie poszli spać. Markiza nie mogła poruszać się po Wieży w swoim fotelu i dlatego kuśtykała na kulach, co nie było dla niej łatwe.

Otworzyłyby te drzwi już wcześniej, ale, jak na złość, kilku milicjantów zasiadło do gry w kości akurat przed jej pokojem. Markiza nie czekała aż zasną, wyszła z pokoju i odważnie przeszła obok nich, jakoby za potrzebą. Milicjanci nawet nie zwrócili uwagi na okaleczoną karlicę.

Teraz należało wejść na szczyt Wieży i to tak, żeby nikt tego nie zauważył.

Po tych wszystkich przejściach ogarnęło mnie jakieś histeryczne podniecenie, jakie ogarnia żołnierza po trudnym, ale udanym szturmie wrogiego miasta, gdy stają otworem wszystkie kramy i mieszkania - można grabić!

Nie czułem nóg i najchętniej pobiegłbym po schodach do góry, byle szybciej usiąść, ale Markiza, rzecz jasna, nie mogła wchodzić po schodach szybko i odpoczywała co pięć schodków.

- Może wniosę panią? - zaproponowałem.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała chłodnym tonem. - To już niedaleko.

Weszliśmy na ostatnie piętro budowli, wyżej była już tylko widokowa platforma dla inspektorów. Ta kondygnacja była podzielona na kilka pomieszczeń i przygotowana dla tych ludzi, którzy obsługiwali Wieżę Obserwacyjną. Tu znajdowały się sypialnie dla milicjantów, izba dla kalek, jadalnia, toalety, magazyny, dyspozytornie...

Teraz panował tu cisza. Przekonani o niedostępności Wieży milicjanci spali snem sprawiedliwych. Sponsorzy zaś przyjdą dopiero jutro - nie widzą potrzeby nocowania tutaj.

- Znalazłam dla wad cudowne miejsce - powiedziała szeptem Markiza. - Aż trudno uwierzyć, że miałam tyle szczęścia.

Pokazała niewielką pokrywę.

- Na górę? - zdziwiła się Irka. - Na samą górę?

- Właśnie - powiedziała Markiza. - Im bliżej gniazda orła kręci się wróbel tym jest bezpieczniejszy. Tam, w każdym razie, nikt was nie będzie szukał.

Weszliśmy na samą górę. Szczyt Wieży był obszernym placikiem, który - tak się wydawało - płynął w niebie tuż pod gwiazdami. Było tu pusto i panował taka cisza, jaka króluje chyba tylko w górach albo na pustyni, gdzie nie ma nic żywego.

Zupełnie nisko przelatwały lekkie pierzaste obłoki, gwiazdy były jasne. Nietoperz przeciął powietrze nad naszymi głowami - mknął bezszelestnie, nie płoszył - jak i wszystko na tej wysokości - ciszy na Wieży.

Markiza zaprowadziła nas do niskiej nadbudówki w malutkimi okienkami - było ich kilka od strony przeciwnej do miasta.

- Nie wiem, co tu było wcześniej - powiedziała. - Ale sądząc po wyglądzie - nikt tu nie zagląda.

Markiza otworzyła niskie drzwi, weszliśmy do nadbudówki.

- Tu będziecie czekać - powiedziała. - Dowodzi wami Irka. - Szcupłymi dłońmi poprawiła włosy i popatrzyła na niebo. - Szkoda - powiedziała.

- Co powiedziałaś? - nie zrozumiała Irka.

- Marzyłam, że przewiozą mnie do Galaktycznego Centrum...

- Też bym tam chciała - przyznała się Irka.

- Jeśli wszystko pójdzie tak, jak sobie zaplanowaliśmy - oświadczyła Markiza - to polecimy tam jeszcze kiedyś.

Zaczelśmy rozglądać się po ciasnym pomieszczeniu wypełnionym rulonami sztywnej tkaniny.

- Wiem, co to jest - szepnęła Irka. - Kiedy pada deszcz rozciągają nad platformą tent.

W mokrym ubraniu spać się nie dało. Próbowałem zasnąć, wierciłem się, kilka razy zaczynałem drzemać, ale od razu zaczynały mnie prześladować jakieś koszmary, budziłem się więc. Sienieczka mamrotał coś przez sen, Irka też nie spała błogim snem. Nie mogą nic powiedzieć o pełzaczu, ponieważ nie wiem czym się różnie jego spokojny sen od niespokojnego.

O świcie obudziłem się na dobre.

Z zewnątrz, na widokowej platformie było cicho. Wyjrzałem przez okienko. Słońce jeszcze nie wstało, ale już było jasno, gwiazdy pogasły - czerwcowe noce nie są długie. Wyszedłem na platformę i zaczął podskakiwać, żeby się zagrzać.

Na brzegu platformy między zębami mury, do parapetu przymocowane były różnego rodzaju lunety i ekrany. Znajdowały się na wysokości nie przeznaczonej dla człowieka i wycelowane były w miasto.

Ekranu łączyły się z jakimś urządzeniem optycznym. Wspiąłem się na palce, żeby móc coś zobaczyć. Jeden z ekranów pokazywał część miasta powiększoną wiele razy. Wydawało się, że patrzę na ulicę z okna domu.

Ulica była pusta, tylko zamiatał ją samotny dozorca. Obok przeszedł mężczyzna w czarnym ubraniu i czarnym cylindrze z motkiem liny przez ramię - znajomy mi kominiarz.

Ekran był ruchomy - udało mi się go odwrócić.

Patrzyłem teraz na główny plac przez dużym budynkiem. Trzej mężczyźni ustawiali na nim wysoki słup. Pomyślałem, że widocznie przygotowują się do karnawału...

A tu mamy dworzec. Na ławce przed nim, podkurczywszy nogi, śpi ładna kobieta, parasol wypadł jje z rąk i leży na chodniku. Obok przejechała wysoka karoca i na sekundę zakryła sobą ławkę z kobietą.

Głośno zabrzmiały kuranty na miejskiej wieży.

- Tim! - usłyszałem ostrzegawczy syk.

Odwróciłem się - na platformę spinali się milicjanci.

Rzuciłem się do kryjówki. Udało się.

Moi partnerzy ułożyli się na zrolowanym płótnie kopuły i przyglądali się platformie przez wąskie szczeliny znajdujące się pod samym dachem. Przyłączyłem się do nich.

Milicjanci w grzebieniastych hełmach wybiegli na platformę, szybko rozejrzał się po niej, jeden nawet zajrzał do nas, zamarliśmy, ale milicjant nie spodziewał się zobaczyć tu kogoś - zatrzasnął drzwi i pobiegnął dalej.

- W porządku! - usłyszeliśmy okrzyk milicjanta, a odpowiedziały mu z różnych stron takie same okrzyki:

- W porządku!

- W porządku... w porządku!

Grzmiały podkute obcasy - widziałem jak milicjanci, popychając się i śpiesząc, schodzą w dół.

W tej samej chwili powietrze nad Wieżą ściemniało - jeden za drugim lądowały na platformie śmigłowce. Z każdego wychodził sponsor, a śmigłowiec natychmiast startował, zwalniając miejsce dla następnego.

Naliczyłem ponad dziesięciu sponsorów. Wszyscy należeli do wierchuszki ziemskiej społeczności - byli to dowódcy zarządów i departamentów. A oto i nasz stary znajomy... pan Sijniko. Gdyby widział kto leży na zwiniętych rulonach o jakieś dwadzieścia metrów od niego!

- To on! - szepnął Sienieczka leżący obok mnie. - Poznałem go.

Położył dłoń na ciepłym czubku głowy chłopca, żeby go uspokoić.

- To ja będę mówić - uprzedziła nas Irka.

- Wiem.

Nad platformą zawisł pasażerski flyer. Z jego błyszczącego brzucha wysunęły się płaskie schody.

Jako pierwszy zszedł nieznajomy mi sponsor w mundurze zarządu wojskowego.

- Będę służył - wyszeptałem do ucha Irki. - I kiedy nastąpi właściwy moment dam ci sygnał.

Irka skinęła głową.

Jeden po drugim z flyera wyszli na platformę trzech inspektorzy. Najpierw zobaczyłem ich nogi, jak pojawiały się z luku i od razu próbowałem wyobrazić sobie jak będą wyglądali, ale ani razu nie odgadłem.

Każdy z nich był zupełnie inny.

Pierwszy wyszedł człowiek, właściwie istota przypominająca człowieka, ale o wzroście ponad dwa i pół metra. Miał żółtą, szeroką, okrągłą i płaską twarz. DO takiej twarzy pasowałyby skośne oczy, ale ten człowiek miał oczy całkowicie okrągłe, ptasie. Człowiek ten opierał się na cienkiej lasce, wysadzonej drożocennymi kamieniami. W promieniach dopiero co obudzonego słońca kamienie rozbłysły strzelając różnokolorowymi zajaczkami po całej platformie.

Następny inspektor poruszał się wolno. Miałem wrażenie, że w ogóle nie ma w nim kości - coś kisielowatego, zapakowanego w jędrną tkaninę, kiwało się nad schodami nie mogąc się odważyć na pierwszy krok. Człowiek z laską odwrócił się i podał towarzyszowi rękę.

Mięczak oparł się na rękę, przelał się w stronę człowieka. Widziałem, jak trudno mu było utrzymać tę galaretowatą masę.

- One są bardzo mądre - szepnął pełzacz. - To palliotowie. Ciężko im.

- Co im ciężko? zapytałem wcale nie zdziwiony wiedzą pełzacza.

- Ciężko chodzić. Oni żyją w środowisku ciekłym.

- Jak ja - wtrącił się Sienieczka.

Ledwo widoczne lśnienie wokół głowy palliota okazało się przezroczystym hełmem.

Po zejściu ze schodów na powierzchnię platformy palliot z ulgą - albo to ja poczułem za niego ulgę - rozpląnął się po nawierzchni i domyśliłem się, że gdyby nie skafander inspektor przekształciłby się w kałużę.

Tymczasem z góry zszedł trzeci inspektor. Ten był zręczny, niewiarygodnie szybki, na owadzi sposób chudy; na pasie, który mógłbym objąć palcami dłoni, wisiał szeroki miecz w pomalowanej na różne kolory pochwie. Istota ta miała wąską twarz, jakby ściśniętą pod prasą, wysuniętą do przodu. Oczy skierowane na boki w stosunku do błyszczącego garbatego nosa, wydawały się być oczami owada. Jego ubraniem był szeroki, z mnóstwem pionowych fałd płaszcz, lekki i kołyszący się przy każdym ruchu owada czy powietrza. Trzeci inspektor nie był wysoki, ustępował nawet pod tym względem Irce.

Sponsorzy ustawili się w szeregu przed inspektorami i po kolei występowali do przodu; dobrze słyszałem jak się przedstawiali i prezentowali swoje stanowiska. Używali w tym celu języka sponsorów, inspektorów to nie dziwiło - widocznie taka była umowa.

- Rozumiesz ich? - zapytała szeptem Irka.

- Tak.

- Nie będziemy zajmowali waszego drogiego czasu - powiedział Sijniko po zakończeniu wzajemnych uprzejmości. - Proszę podejść do ekranów i lunet, zobaczycie odpowiedzi na wiele interesujących was pytań.

Inspektorzy w towarzystwie sponsorów skierowali się do parapetu. Ale owadopodobny chudy inspektor w płaszczu wychylił się najpierw przez parapet i przyglądał się miastu i widocznemu na horyzoncie lasowi, jakby chciał przekonać się, że to naprawdę istnieje.

- Kto to? - zapytałem pełzacza.

- Między władca legionu - odpowiedział pełzacz, nie przejmując się zupełnie czy zdołam go zrozumieć.

- Skąd jest?

Pełzacz dziwnie prychnął, jakby zdziwiony moją ignorancją.

- Z krainy Duchów Zórz - zakomunikował w końcu.

- Dzięki - powiedziałem nie kryjąc ironii.

- Jak już wiecie - kontynuował tymczasem Sijniko - nasza misja przybyła tu akurat w chwili, kiedy wrzały tu, i nie pierwszy rok, niszczące wszystko atomowe wojny, które praktycznie zrównały z ziemią wszystkie najważniejsze zasiedlone

punkty globu i znacznie zmniejszyły populację planety. Ci, natomiast, którzy pozostali przy życiu, w większości wypadków byli nosicielami różnych chorób.

- Radioaktywnych? - zapytał palliot.

- Chemicznych, genetycznych... Mieliśmy przed sobą bardzo trudne zadanie. Trzeba powiedzieć, że niczego podobnego wcześniej nasza cywilizacja nie spotykała.

Sponsorzy gestami i kiwnięciami głów wyrazili aprobatę co do słów pana Sijniko.

- Leczymy tych, których nie mogą wyleczyć miejscowi lekarze. Jeśli natomiast wyleczenie jest w ogóle na Ziemi niemożliwe, odwozimy chorych do nas, do naszych klinik. Przy okazji, po zakończeniu inspekcji miasta zapraszamy was na dół, tam czeka na spotkanie z wami piątka kalek, oczekująca wysłania do Centrum Galaktycznego.

Tam jest Markiza, pomyślałem. Siedzi teraz w niepewności, nie wiedząc czym skończy się nasze starcie ze sponsorami.

- Wszystkie niezbędne dokumenty i taśmy, dokumentujące sytuację na planecie, będą przekazany do dyspozycji szanownym inspektorom po powrocie do głównej bazy - kontynuował Sijniko. - Teraz powiem tylko, że postawiliśmy przed sobą zadanie - odtworzyć życie na Ziemi, co okazało się zadaniem o wiele bardziej skomplikowanym niż sądziliśmy.

- Z tym również zapoznamy się w bazie - powiedział wysoki człowiek, którego zachowanie świadczyło - jak mi się wydało - o tym, że jest szefem inspektorów. Wykonywał gwałtowne gesty i widać było, że się niecierpliwi.

- Oczywiście - od razu zgodził się Sijniko. - Przywieźliśmy was tutaj nie po to, żeby wspominać przeszłość i opowiadać jakich środków i wysiłków kosztuje nas odrodzenie planety. Ale każdy rozmowa, każda dyskusja będzie próżna, jeśli nie poznacie z pierwszej ręki tego, co reprezentuje sobą cywilizacja Ziemi, jak żyją, do czego dążą, jak spędzają swoje dni szeregowi jej mieszkańcy.

Palliot przelewając się podpełzł do parapetu.

- Przestrzegając surowe reguły - w żadnym wypadku nie mieszać się do życia Ziemi - zbudowaliśmy tę wieżę obok zwyczajnego typowego miasta. Jego mieszkańcy, zwyczajni Ziemianie, nawet nie podejrzewają, że są stale obserwowani w celach naukowych. Już od wielu lat nasza ekspedycja, którą w danej chwili mam zaszczyt kierować, stale obserwuje to miasto. Nazywamy je między sobą Typowym miastem.

- A jak oni je nazywają? - zapytał nagle chudy inspektor.

- Jak? - Sijniko nagle stracił wątek, pytanie zaskoczyło go. Odwrócił się do sponsora z Resortu Propagandy, stojącego obok niego. Tamten wolno pochylił głowę, udekorowaną małymi czarnymi okularkami, i odkasznął.

- Połowę dochodów, uzyskiwanych przy eksporcie z Ziemi niektórych pożytecznych kopalin, inwestujemy w rozwój planety...

- W jaki sposób? - zapytał nagle palliot.

- Przekażemy dokumentację - powiedział Sijniko. - Istnieje cały szereg programów, takich "Czyste powietrze". "Źródło", "Ocean". Wielu naszych uczonych owocnie trzodzi się, pomagając naszym młodszym braciom w rozumie.

- A to jest typowe miasto? - zapytał wysoki człowiek.

- Właśnie!

- I ludzie nigdy nie widzieli żadnego z was?

- Staramy się nie pokazywać im na oczy. Oni nie są jeszcze gotowi do kontaktów międzyplanetarnych - powiedział Sijniko.

Krótkim ruchem grubego łapska Sijniko skierował uwagę inspektorów na ekrany i lunety.

- Możecie sami przekonać się na podstawie pewnych charakterystycznych szczegółów powszedniego życia Ziemi, że dopiero niedawno przeszli do epoki pary i zbudowali pierwsze koleje żelazne.

Inspektorzy skierowali spojrzenia na ekrany.

- Jak daleko sięga ta kolej? - zapytał owadopodobny inspektor w długim płaszczu,

- Łączy to miasteczko z innym, podobnym do niego - wyjaśnił Sijniko. - Wszak dużych miast nie Ziemi praktycznie nie ma. Stały się ofiarami wojen i nie były odtworzone. Myślę, że z czasem pojawią się nowe. Chociaż my, z punktu widzenia ochrony przyrody, niezauważalnie dla Ziemi i nienatrętnie propagujemy ideę preferencji małych osiedli.

- Proszę o przedstawienie dokumentacji o sposobie propagowania tej idei - powiedział palliot.

Sijniko przejechał paluchami po grzebieniu, co było wyrazem niezadowolenia.

- Oczywiście - powiedział. - A teraz możemy kontynuować naszą nienatrętną wycieczkę po mieście. Macie prawo zajrzeć do każdego domu.

Najbliższy do mnie ekran pokazywał wnętrze delikatesów, w dniu dzisiejszym dosłownie zawałone różnymi gatunkami kiełbasy i serów. Ludzie wchodzili do sklepu, a ekran pokazywał jak się uśmiechają ekspedientki, odcinając kawałki atrapy i pakując je w papier.

- Czy u nich istnieje system monetarny? - zapytał wysoki człowiek.

- Tak i był o wiele bardziej rozpowszechniony w okresie krwawych wojen. Wtedy istniały również duże banki. Teraz wszystko jest o wiele prostsze i pożyteczniejsze dla życia Ziemi.

Ciekawe, pomyślałem, nie wydaje się inspektorom dziwne, że sklepy, punkty usługowe i nawet domy są podobne do akwariów, że tak usłużnie spoglądają na Wieżę szklanymi ścianami. Ale, być może, inspektorzy przypisali tę ciekawostkę do listy dziwactw Ziemi i nie dziwiło ich to.

Ekran pokazywał centralny plac.

Pomost był gotów. Podskoczyłem tak mocno, że uderzyłem głową o niski sufit pomieszczenia. To była szubienica.

Dokoła pomostu zebrał się już liczny tłum ubranych według przestarzałej mody obywateli. Na pomost wyszedł mężczyzna w czerni, który rozwinął zwój papieru i zaczął coś z niego czytać.

- Co tam się dzieje? - zapytał chudy inspektor.

- Nie wiem - odpowiedział Sijniko. - Jesteśmy dopiero w trakcie poznawania ich życia. Ziemię czasami zadziwiają nas.

Nie śpieszył się, żeby przesuwać ekrany i lunety na inny widok. Nabrałem przekonania, że sam jest ciekaw, co się dzieje na placu.

- Nie, nie wiem - powtórzył. Pozostali sponsorzy tym bardziej nie wiedzieli co się tam dzieje. Myślę, że widzieli miasto po raz drugi czy trzeci w życiu i zupełnie ich przy tym nie bawiły karnawałowe pomysły Sijniko.

Na pomost wszedł brodac w czerwonej koszuli z podwiniętymi rękawami. Spróbował czy mocno trzyma się sznur.

- Dzisiaj odbywa się karnawał - powiedział Sijniko. - Ale to nie wygląda na karnawał.

Inspektorzy, chyba podobnie jak ja, odczuli dramatyzm i ukryte napięcie sceny. Stali nieruchomo i czekali co się będzie działo dalej.

Na plac wyjechała czarna kryta karoca, zaprzężona w parę koni. Karoca zatrzymała się przy pomoście zasłaniając go przed nami, i, dopiero gdy po minucie odjechała, zobaczyliśmy, że na pomoście stoi nasz woźnica Gustaw, który zaginął poprzedniej nocy.

- Ojej! - pisnęła Irka.

Ścisnąłem jej rękę.

Gustaw miał ręce związane za plecami. Człowiek w czerwonej koszuli poprowadził go do szubienicy. Pętla lekko kołysała się na wietrze nad jego głową.

- Czy oni aby nie zamierzają go zabić? - zapytał palliot.
- Zupełnie możliwe - powiedział sponsor Sijniko. - Myślę, że ma pan absolutną rację. W ten okrutny sposób ludzie karzą swych przestępców.
- Co on zrobił? - zapytał wysoki chudy człowiek.
- Tego nigdy się nie dowiemy - westchnął Sijniko. - Nie mamy łączności z miastem.

Widziałem, jak kat kazał Gustawowi stanąć na ławce.

- Co mamy robić, co robić? - szeptała gorączkowo Irka.
- Milcz - powiedział pełzacz. - Nie możemy teraz narazić całej operacji.
- Czy to nie wszystko jedno? - zapytałem. - Teraz czy za pięć minut? Jedyna różnica to ta, że Gustaw będzie absolutnie martwy.

Po tych słowach wyskoczyłem na zalaną słońcem platformę.

Wszyscy usłyszeli jak wybiegam z budki. Wszyscy odwrócili się i odskoczyli ode mnie.

Jeden ze sponsorów wyszarpnął pistolet, ale, na swoje szczęście, zobaczyłem te ruch wcześniej niż on zdążył wystrzelić i odskoczyłem w bok.

- Stać! - krzyknąłem w języku sponsorów. - Zatrzymać! To oszustw!
- Ach ty przestępco! - Sijniko również próbował wydobyć pistolet.

Nie wiem, czy udałoby mi się powiedzieć jeszcze choć jedno słowo, ale nagle z tyłu usłyszałem gwałtowny głos pełzacza, krzyczącego w nieznanym mi języku.

Pełzacz stał na tylnych łapach, podobny do atakującej kobry.

- Nie ważcie się strzelać! - krzyknął w odpowiedzi na jego krzyk wysoki człowiek. Jak zrozumiałem posiadał on pewien dar oddziaływania na inne istoty żywe - w tym samym momencie poczułem się sparaliżowany. Nie mogłem poruszyć ani ręką, ani nogą. Usłyszałem ciężkie uderzenie metalu - pistolet wypadł z ręki Sijniko.

Następnie atak paraliżu skończył się.

- Kim jesteś? - zapytał wysoki inspektor.
- Najpierw proszę powstrzymać kaźń! - krzyknąłem.
- To niemożliwe - powiedział Sijniko. Patrzył prosto na mnie swoimi czarnymi okularami i marzył o tym, żeby mnie zabić. Ale nie śmiał.
- To możliwe! - Zwróciłem się do inspektorów: - To miasto to fikcja. To miasto to dekoracja wymyślona przez sponsorów. Wszystko, co tam się odbywa,

wymyślono, wyreżyserowano i przetestowano. Ale odgrywają dla was te rozczulające scenki ludzie, którzy służą sponsorom. Oni mają łączność z miastem. Mogą wydać rozkaz, posłuchają ich.

- Czy to preawdca? - Palliot wolno owdrwócił się do grupy sponsorów.

- To kłamstwo! To wymysł szaleńca! - powiedział nieznajomy sponsor.

- Ale zróbcie coś! - wrzeszczałem. - Przecież oni chcą powiesić Gistawa tylko za to, że pomógł nam przedstać się tutaj.

- Wstrzymać zabójstwo - rzekł chucdy inspektor w długim płaszczu. - Inspekcje jest z was niezadowolona.

- Wierzycie awanturnikom, mieszkańcom chorej, zacofanej planety. Stawiacie ich słowo ponad słowa członków Galaktycznej Wspólnoty. To przekracza nasze pojęcie i jest obażliwe. I niech sprawa zostanie rozpatrzona w Sądzie Galaktycznym! - rzucił gniewnie jeden ze sponsorskich szych.

Szybko, nadal w nieznanym mi języku, wypowiedział kilka zdań pełzacz.

Inspektorzy patrzyli na niego, następnie palliot poiwezdiał:

- Nie wierzymy wam.

Mój wzrok przesunął się na ekran.

Przerażenie ścisnęło mi serce: Gustaw był martwy. Kiwał się na sznurze szubienicy, a jego nogi, wyciągnięte czubkami palców w dół, w ostatniej rozpaczliwej próbie sięgnięcia ziemi, wolno kręciły się nad podestem. Kat odsunął się o krk do tyłu.

- Jesteście mordercami! - oznajmiłem.

Irka zrobiło krok do przodu.

- Szanowni panowie inspektorzy - powiedziała. Dziwne, nigdy nie pomyślałbym, że również zna język sponsorów. -Proszę o pięć minut waszego czasu.

- Te wystąpienia to obraza dla nas i naszego zdrowego rozsądku - krzyknął Sijniko.

- Niestety - kontynuowała Irka. Mówiła wolno i z dostojeństwem, naet wydała mi się wyższą niż w rzeczywistości. - Nasez pojawienie się przed wami wygląda zbyt dramatycznie, ale nie mieliśmy okazji zbliżyć się do was wcześniej. Przecież wy jesteście trzymanym w centralnej bazie sponsorów, dokąd zawiozą wa również i dzisiaj po tej wycieczce, tłumacząc tę izolację niebezpieczeństwami czyhającymi na was na Ziemi. Ale to wszystko jest kłamstwem. Chcemy przedstawić zarzuty wobec sponsorów, którzy, wzięwszy na swoje barki prawo do dysponowania naszą Ziemią, nie pokazali cech cywilizowanych istot.

- Czas ukrócić te drwiny z nas! - krzyknął Sijniko.

Popatrzył na ekran. Kat w czerwonej koszuli i kominiarz w czarnym cylindrze zdejmowali z szubienicy ciało Gustawa.

- Nie będziemy zajmować waszego czasu i opowiadać o tym, co się wydarzyło na Ziemi w czasie ostatnich dziesięciolecie.

- Macie zartzuty? - zapytał palliot.

- Ja oskarżam - powiedział pełzacz. - Oskarżam sponsorów o to, że przywożą na Ziemię jaja moich współplemieńców, czekają aż wyklują się z nich larwy i zabijają je, żeby zjeść.

- Potwarz! - wrzasnął Sijniko.

- Potwarz - zawtórowali pozostali sponsorzy.

- Widziałem to - powiedziałem. - Pomagałem zabijać malutkie pełzacze. Oskarżam sponsorów o to, że otruli przy pomocy gazu i zabił kilka tysięcy ludzi tylko za to, że taci widzieli śmierć sponsora.

- To ty go zabiłeś! - ułyszałem głos Sijniko.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, ponieważ na czoło wysunął się malutki Sienieczka.

- Oskarżam - powiedział chłopiec - sponsorów o to, że dla rozrywki sponsorów przeprowadzają oni doświadczenia nad nami, nad małymi dziećmi, żeby robić z nas domowe pupilki.

- Czy to prawda? - Palliot odwrócił się do Sijniko.

- Potwarz! - powiedział ten.

- Potwarz! - chórem potwierdzili pozostali sponsorzy.

- Możemy polecieć na tak zwaną fabrykę słodczy, gdzie morduje się małe pełzacze - zaproponowałem.

Jakby wyczuwaszy wahanie inspektorów Sienieczka zrzucił ze siebie swoją błękitną kurteczkę. Wszyscy zobaczyli głębokie blizny skrzeli na jego plecach. Tak go właśnie zapamiętałem - pod jasnym słońcem stoi mały chłopiec, rozpostarłszy złączone błoną palce rąk i wolno obraca się, żeby każdy mógł zobaczyć skrzela na jego plecach.

Właśnie Sienieczka okazał się tą kroplą, dzięki której inspektry przestali się wahać.

- Żądamy, żeby natychmaist zawieziono nas do ośrodka, gdzie wykonuje się operacje na dzieciach.

- Takie ośrodek nie istnieje - powiedział Sijniko.

Opanował się już i nie krzyczał.

Na ekranie, zerkającym do maista, widać było jak mieszkańcy zaczęli dekorować pomost i samą szubienicę girlandami i lampionami - przygotowywali się do święta.

- Możecie wskazać drogę do ośrodka? - zapytał Irkę chudy inspektor o twarzy mrówki.

- Ja mogę - powiedziałem. - Mieszkałem tam. Tam również mieszka sponsor Sijniko.

Wszyscy odwrócili się do niego.

Po krótkiej przerwie on nieczekiwanie dla mnie powiedział:

- Jestem gotów obalić tę pżotwarz. Zaraz zawołam śmieglowiec.

Odwrócił się i szybko zszedł z platformy. Za nim pośpieszył jeszcze jeden sponsor w mundurze ochrony ładu.

- Nie dajcie im odejść! - krzyknąłem. - Uciekną.

- Nie odważą się - powiedział palliot.

Na platformie zapanowało oczeki3wnaie. Doliczyłem do stu. Inspeltorzy byli całkowicie spokojni. Palliot i wysoki człowiek podeszli do parapetu i zaczęli zmieniać widok na elkranach, przyglądali się życiu w mieście.

- To wszystko kłamstwo - powiedziała Irka. - Myśllicie, że to żywność? To kopie artykułów żywnościowych!

Inspektorzy nijak nie mogli zrozumieć po co luziom "sprzedaje się" atrapy żywności.

Kilku sponsorów, którzy pozostali na platformie, cicho rozmawiało ze sobą; czułem jaka bije od nich nienawiść.

Pełzacz podszedł do niewysokiego chudego inspektora z obliczem mrówki i rozmawiał z nim.

I w chwili, kiedy zrozumiałem, że Sijniko nigdy już nie wróci, jego zielona żabia głowa wysunęła się z luku.

- Zaraz przyleci śmieglowiec - zakomunikował on. - I polecimy tam, gdzie wskaże ten zabójca! - Oskarżającym gestem wskazał palcem na mnie.

A ja zastanawiałem się - co dalej? Dobra, uwirerzą nam inspeltorzy, a co oni mogą zrobić? Czy nie za bardzo naiwną był nasza akcja? Pędziłem w strumieniu zdarzeń i wydarze: i ani razu nie zastanawiałem się jakie mogą być prawdziwe wyniki naszego działania.

Palliot przelał się do mnie i pytał o życie pupilka, ale nie potrafiłem mu dobrze wszystkiego przekazać, ponieważ nie zgadzały się nam proste życiowe pojęcia.

Dopiero po dwudziestu minutach po powrocie Sijniko zawisł nad nami duży śmigłowiec, ten sam, którym przylecieli inspektorzy.

Wsiedliśmy do niego. Staraliśmy się stać tak, żeby między nami i sponsorami byli inspektorzy. Zawzse baliśmy się sponsorów. Ja też się boję.

Poszedłem do przodu do pilota. Obok mnie, jakby dodając mi ducha, stał inspektor z obliczem mrówki.

Powiedziałem pilotowi-sponsorowi dokąd ma lecieć. Ten nie chciał mnie słuchać i nie podporządkował się inspektorowi. Dopiero kiedy do kabiny przyszedł Sijniko śmigłowiec wziął kurs na dworek i stadninę pupilków.

Nie było trudno je znaleźć.

Po kolejnej pół godzinie nieśpiesznego lotu przed nami pokazała się znajoma willa z kolumnami.

- Tutaj! - krzyknąłem.

Śmigłowiec wolno wylądował na dużej polanie. Z prawej była willa, z lewej - betonowe kostki laboratoriów i domów.

W stadninie było tak cicho, że najpierw pomyślałem, że dzieci leżakują po obiedzie. Ale do obiadu było jeszcze daleko.

Poprowadziłem porocesję do willi.

Sponsorzy szli z tyłu, pan Sijniko udawał, że trafił tu pierwszy raz w życiu.

Wszystkie jadalnie, sypialnie, korytarze były puste. Nie tylko że nie było tu wychowanków, nie było też kucharek, pomywaczek i wychowawczyń.

- Gdzie oni są? - zapytałem Sijniko. - Coście z nimi zrobili?

Sijniko był niewzruszony.

Nie powiedział ani słowa również podczas drugiego przemarszu po stadninie, kiedy prowadziłem inspektorów do laboratorium, gdzie pracowali Ludniła i Awtandił.

Buło puste.

Co prawda jakieś przyrządy stały pod ścianami i na stołach. Ale ani śladu człowieka...

Po następnej pół godzinie zebraliśmy się na polanie przy śmigłowcu.

- Teraz się przekonaliście? - zapytał Sijniko.
 - Tak - powiedział inspektor palliot. - Przekonaliśmy się. Tu nie ma nikogo.
 - Rozumiecie więc, że ci ludzie łąą?
 - Nie - powiedział inspektor z twarzą mrówki - tego nie rozumiemy, ponieważ mieliście możliwość przez tę godzinę wywieźć stąd wszystkich mieszkańców.
 - No to szukajcie! - krzyknął Sijniko.
 - Nie - powiedział wysoki człowiek. - Nie będziemy szukali. Dlatego, że w ten sposób życie tych nieszczęsnych istot będzie naprawdę zagrożone. Myślę, że jeszcze nie zdążyliście ich pozabijać i ukrywanie w lesie. Natomaist jeśli zaczniemy ich szukać zabijecie ich.
 - No to co będziemy robić? - zapytał Sijniko.
 - Lecimy z powrotem do waszej centralnej bazy.
 - A kłamcy? - zapytał Sijniko.
 - Kłamców zostawicie tutaj - polecił palliot.
 - Nie, powinni być ukarani.
 - Traktujemy wątpliwości na korzyść słabszego - rzekł wysoki inspektor. - I prosimy dać im szansę.
 - Ależ oni są niebezpieczni dla otoczenia!
 - Tym nie mnie... Zaraz startujemy. Odlecimy wszyscy. Prócz tych ludzi.
- Byłem tak przygnębiony katastrofalnym ko:cem naszej misji, że nawet nie zauważyłem, jak wystartował helikopter.

Usiadłem na trawie, zrezygnowany i rozgoryczony.

- Uciekajmy! - krzyknął Sienieczka.
- Dokąd?
- Oczywiście, że uciekajmy - powiedziała Irka. - Przecież Sijniko zawiadomi o nas milicję, tych, którzy uprowadzili ze stadniny wszystkich ludzi. Dogonią nas i zabiją, żadni inspektorzy nam nie pomogą...

Pobiegliśmy.

Biegliśmy, oczywiście, w stronę wsi i bagien, gdzie mieszkał ojciec Mikołaj. Przez cały czas się oglądaliśmy oczekując pościgu, w wyniku czego omal nie wpadliśmy na zaginioną stadninę.

Zapędzono ich do gęstego osikowego zagajnika, w parowie. Siedzieli przytuleni do siebie; strzgli ich nie tylko milicjanci, ale i ludzie w białych fartuchach - wychowawcy, uczeni i kucharze. Tak starali, tak się bali, że w lesie malcy mogą się rozbiec, że nawet nas nie zauważyli, chociaż podeszliśmy do nich na pięćdziesiąt metrów.

- Szkoda, że teraz nie możemy zawołać inspektorów - powiedziałem.

- Nawet nie marz - odlecieli - powiedziała Irka.

- Tim - poprosił Sienieczka - bardzo cię kocham. Proszę cię - uwonijmy ich. Widzisz tam Leonorę? No zobacz, Timeczku!

- Cicho - powiedziała Irka. - Czy tobie się wydaje, że ich nie uwolnimy?

- Kiedy?

- To zależy od nas wszystkich, również od ciebie - wtrącił się milczący do tej pory pełzacz.

Odeszliśmy od parowu, której drżeli ze strachu i chłodu pupilki. Czas było iść dalej, do ojca Mikołaja, ale zwlekaliśmy. Zupełnie jakbyśmy nie mogli zdecydować się iść dalej czy postąpić jak szaleńcy i zaatakować ochronę.

Ale los zdecydował inaczej. Niespodziewanie milicjanci i laboranci zaczęli się krzątać - otrzymali sygnał. Zaczęli poganiać dzieciaki i pognali je, ganiając dokoła niczym owczarki z powrotem do stadniny.

Szliśmy dalej w kierunku bagien.

Ledwo się wlokłem ze zmęczenia i smutku. Smutek zawładnął mną tak mocno, że kolana się pode mną uginały i zataczałem się.

Przebierałem w pamięci wydarzenia dzisiejszego dnia szukając gdzie popełniliśmy błąd. Gdzie postąpiliśmy niewłaściwie? Dlaczego nie potrafiliśmy przekonać inspektorów? Co teraz będzie? Przecież sponsorzy zemszczą się na nas i innych ludziach.

Pełzacz poruszał się z moją prędkością - podciągając ogon i wysoko wyginając grzbiet. Zaczął mówić, a ja drgnąłem, ponieważ jego głos dobiegł do mnie niemal z ziemi.

- Wydaje ci się, mój przyjacielu - powiedział on - że wszystko na nic. Że niepotrzebnie pchaliśmy się na Wieżę i że bez sensu zginął Gustaw.

- Podślułaś moje myśli.

- Nietrudno to było zrobić, bije od ciebie rozpacz na sto metrów - powiedziała Irka, która bez śladu zmęczenia szła na czele.

- Nic strasznego się nie stało - kontynuował pełzacz. - Inspektorzy wszystkiego wysłuchali i wyciągnęli wnoiski.

- Wnioski - odlecą do siebie i zostawią nas na pastwę losu!
- A co jeszcze mogli zrobić? - zapytała nie odwracając się Irka.
- Oni... oni powinni byli zostać i razem z nami szukać pupilków w stadninie - uparł się Sienieczka.
- Póki by szukali, uduszono by ich gazem - powiedział pełzacz. - Poprosiłem inspektorów, żeby nie robili nic.
- Ty?
- Poprosiłem ich, żeby odlecieli nie wy żadnym wnioskiem zostawiając sponsorów w niepewności. Uwolnienie Ziemi to sprawa wielu lat. Muszą to zrobić sami ludzie. Komu są potrzebni posłuszni niewolnicy sponsorów?
- My - niewolnicy?
- Tak - oświadczył pełzacz. - Ludzie są niewolnikami, i - co gorsza - w dużej części są niewolnikami z wyboru.
- Chciałem się odgryźć, pokłócić, ale wyprzedziła mnie Irka:
- Jestem zadowolona z tego co się stało. Bałam się, że inspektorzy przejmą się tym kłamstwem.
- A wtedy co? - nie zrozumiałem.
- Wtedy? Najpierw statek inspektorów uległby katastrofie, wobec czego nie wróciliby do siebie.
- Kto by się odważył?
- Stawka jest bardzo wysoka... Natomiast teraz Federacja została uprzedzona. Sponsorzy zaś stracili zaufanie. Będą teraz o wiele ostrożniejsi.
- Myślisz, że Markiza poleci do nich?
- Oczywiście - powiedziała Irka. - Sponsorzy nie będą ryzykować.
- Zazdrościsz jej?
- Irka szeroko otworzyła usta, żeby zobaczyć czarną dziurę - wybite zęby.
- Podobam ci się? - zapytała ze złością.
- Czasami - odpowiedziałem.
- Kiedy Irka wpadała w złość jej blizna, przecinająca brew i policzek, purpurowiała.
- Odwróciła się i pognęła do przeodu. Sienieczka biegł obok niej i opowiadał coś wesołego. Potem Irka roześmiała się i wzięła go za rękę.

Po dwóch godzinach dotarliśmy do ziemianki ojca Mikołaja. Ucieszył się i nakarmił nas zupą grzybową.

Zamierzaliśmy rano ruszyć dalej. Irka wiedziała dokąd.

Przed świtem obudziłem się. Dygotałem z zimna. Próbowałem owinąć się kocem, ale dreszcze nie mijały. A rano miałem gorączkę. Trzęsło mnie jak w febrze.

Opuściłem trzy czy cztery dni swojego życia. Pamiętam tylko jak przy mnie krzatali się i siedzieli ludzie, których znałem, ale których imiona nie pamiętałem. Przez cały czas odczuwałem mocne pragnienie. Wydawało mi się, że pojawili się milicjanci, żeby zabrać nas do stadniny i wszczepić nam skrzela. Ktoś strzelał z karabiny maszynowego; potem powiedziano mi, że to było burza z piorunami.

Kiedy ocknąłem się to zobaczyłem Leonorę. Siedziała obok mnie zgięta we troje. Uznałem, że Leonora też mi się śni, ale gdy gorączka spadła, ojciec Mikołaj powiedział mi, że dziewczyna uciekła ze stadniny i opeikowała się mną. Irka powędrowała i zabrała ze sobą Sienieczkę. Nie mogła czekać dłużej. Zostawiła pełzacza, który zanł drogę do podziemi, pozostawionych przez stare zapomniane wojsko. Tam Irka miała na nas czekać.

Przeleżałem jeszcze tydzień. Potem zacząłem wstawać, wychodzić za potrzebą, rozmawiałem z pełzaczem. Wiedział dużo o tym, jak zbudowany jest Wszechświat, jakie go zamieszkują rasy i jak się komunikują między sobą.

Wkrótce okrzepłem na tyle, że siedziałem na słoneczku przed ziemianką z kubkiem ziołowej herbaty w ręku. Siedziałem rozebrany, żeby słońce swoimi promieniami mogło dotykać mojego ciała. Pełtacz wygrzebywał dżdżownice i zjadał je patrząc na to nie było przyjemnie.

Pomyślałem, że od dawna jesteśma razem, ale nie zaprzyjaćniliśmy się tak jak zaprzyjaźniłem się z Irką. Może dlatego, że pełtacznie była człowiekiem, pochodził z innej planety i - wśród nas - też czuł się samotnie.

- Nie wierzę, że jesteś z fabryki słodocy - powiedziałem kiedyś do pełtacza. - Gdyby cię Irka stamtąd wykradła jako larwę, to nic byś nie wiedział.

- A ja właśnie nic nie wiem - odpowiedział pełtacz.

- Nie łzyj, od dawna cię obserwuję - powiedziałem. - Znasz jakiś zupełnie obcy mi język - używałeś go w rozmowie z inspektorami, a sponsorzy cię nie rozumieli.

- To mój język - powiedział pełtacz.

Żeby pokazać, że rozmowa ze mną mu się znudziła odpełtł w bok i zaczął spulchniać ziemię w poszukiwaniu robaków.

- Nie miał kto cię nauczyć.

- Irka pomogła.

- Od dawna się ukrywasz?

- Od niedawna - odpowiedział pełzacz.

- I tak ci nie wierzę.

- Jeśli nie jestem z fabryki słodczy, to skąd? - zapytał pełzacz odwracając się do mnie. Z jego ust zwisał długi tłusty różowy robak, pełzacz upychał go do paszczy ostrymi pazurami.

Odwrociłem się.

Potem, kiedy dopiłem herbatę, a on się najadł, pełzacz wyrównał kawałek ziemi przy ziemiance i zaczął rysować mi mapę, według której dojdziemy do sztabu sił powietrznych, gdzie na nas czeka Irka.

Narysował rzekę, las, wieś i miasteczka, przez które mieliśmy iść czy których należało unikać. Rysował z niezachwianą pewnością, co jeszcze bardziej przekonało mnie, że nie jest tym, za kogo się podaje. Ale nie miałem pojęcia kim może być naprawdę.

Kiedy zarzuciłem mu, że gąsienica z fabryki słodczy nie może znać ziemskiej geografii, pełzacz nie spierał się ze mną, a tylko powiedział:

- Skoncentruj się, Tim. Chcę, żebyś zapamiętał drogę.

- Po co, skoro ty znasz?

- Jeśli mnie zabiją albo zachoruję to znajdziesz się w sytuacji bez wyjścia - powiedział mentorskim tonem pełzacz. - Słuchaj więc, co ci mówią mądrzy ludzie.

- To ty niby jesteś tym mądrym człowiekiem?

- Przepraszam, zażartowałem - powiedział pełzacz.

Rysował i rysował, a ja zrozumiałem, że nasza trasa wiedzie przez znane mi miejsca, że znajdziemy się na tym wysypisku, gdzie po raz pierwszy spotkałem w podziemiu Markizę i Irkę, a to znaczy... To znaczy, że będziemy zupełnie blisko mojego rodzinnego miasta.

I jak tylko to sobie uświadomiłem, od razu strasznie zachciało mi się zajrzeć do domu państwa Jajbłuszko, przejść się po ulicy, na której marzyłem o nowej obroży, a najważniejsze... Nie od razu przyznałem się sam przed sobą - najbardziej chciałem zobaczyć młodą pupilkę z sąsiedniego domu.

Minął ponad rok od czasu, kiedy uciekłem od Jajbłuszków. A wydawało się, że minęło już całe długie życie.

W ostatnich miesiącach nawet nie wspominałem o domu, ale kiedy przypomniałem go sobie, ścisnęło mi się serce.

Słuchałem roztargniony pełzacza, udając, że zapamiętuję wszystkie ścieżki, a pełtacz czuł, że bijam w obłokach. Z włściwym mu nudziarskim uporem zmusił mnie, żebym przeszedł po mapie od ziemianki ojca Mikołaja do sztabu Sił Powietrznych, i musiałem trzykrotnie zaczynać podróż, zanim wszystkiego nie zapamiętałem. Wtedy pełtacz ułożył się na plecach na nagrzanym przez słońce stoku. Pazurki jego krótkich łap sterczały na boki pancenrego tułowia. Policzyłem: trzy pary rąk, trzy pary nóg. Nieładnie. Brzuch żółty, pasiasty, oczy przykrywa biała błona, nicyzm u śpiącej kury. I z tą istotą mam kilka dni przemierzać wrogą krainę? I mieć nadzieję, że uratuje mnie, jeśli noś pójdzie nie tak?

- O czym myślisz*? - zapytałem pełzacza.

- Śpię - odpowiedział. - Nie przeszkadzaj.

Powiedziałem pełtaczowi, że przespaceruję się. Pełtacz odpowiedział: "Tylko ostrożnie". Całym sobą wyczuwał niebezpieczeństwo. "Spokojna głowa" - powiedziałem mu, chociaż też czułem niebezpieczeństwo. Ale nie chciałem się przyznać, tym bardziej przed sobą.

Nasza kryjówka znajdowała się pod ogromną stertą chrustu, tam znajdowało się wejście do pokrytej darnią ziemianki. Rozebrałem się do naga.

- Nie weźmiesz broni? - zapytał pełtacz.

- Jeśli w misteczku zobaczą ubranego człowieka zastrzelą go bez ostrzeżenia. Przecież wiesz, jak się nas boją.

- Bez broni niebezpiecznie - nie ustawał pełtacz.

- Wrócę około dwudziestej trzeciej - powiedziałem. - Jakby co nie szukaj mnie.

- Nie pouczaj mnie, nie jestem dzieckiem - obraził się pełtacz i zwinął się w kłębek na klepisku.

Nie lubię paradować nago, jak domowy pupilek... Przemknąłem, czasem upadając w wysoką zachwaszczoną trawę, czasem przebiegając między porośniętymi burzanem kupami śmieci, do peryferii osiedla, udekorowanego zmierzchem i nielicznymi latarniami. Dalej, za pasmem krzewów zaczynały się betonowe i tytanowe czapy umocnionej bazy.

Wyszedłem na ulicę miasteczka i poszedłem po chodniku, ocierając się plecami o płoty i ściany domów, pochylając się i starając pozostać niezauważonym. Tak właśnie powinien zachowywać się mieszkaniec śmietnika, któremu udało się do tej pory nie trafić do rakarni, ale przygotowanemu na taki los. Nawet kulałem z lekka i powłóczyłem nogą.

Szedłem ostrożnie ale pewnie. W tej godzinie zmierzchu miałem mało szans spotkać sponsora - nie lubią zmroku i kryją się przed nim za stalowymi żaluzjami

w swoich betonowych domach. Zawsze jednak pozostawała możliwość spotkania z milicjantem czy ruchomym patrolem.

Udało mi się przejść centrum szybko i bez przygód. Dom towarowy był już zamknięty, ale w oknach jeszcze paliło się światło - podliczano utarg. W sali dla pupilków, gdzie sponsorki zostawiają swoich udomowionych pupilków, w czasie gdy zajmują się zakupami albo siedzą w kawiarni, panował ciemność. Oczekiwałem, że coś we mnie drgnie - nostalgia, czy po prostu wspomnienia, ale nic takiego się nie stało. Zresztą - kto lubi wspominać o swojej zwierzęcej przeszłości? Pytałem o to wielu swoich towarzyszy, ale nikt nie chciał pamiętać. Tego nie było. Tego być nie mogło...

A oto mój dom!

Boże, jaki szkaradny! Betonowy sześcian z wąskimi oknami, dokoła zapuszczony trawnik i basen bez wody z warstwą mułu na dnie. W oknach światło. Nie podchodziłem do drzwi - tam działało pole ochrony. Wystarczy podejść, by uruchomić syrenę na całe miasto.

Przeskoczywszy przez niski żywopłot, poszedłem przez trawnik do okna salonu i popatrzyłem do środka.

Salon - jakże umowne to określenie! - był, jak się należy, szarym i pustym pokojem. Z jednej strony na ścianie - ekran. Na nim pokazywany są oficjalne wiadomości i oficjalny program rozrywkowy. Z drugiej strony pokoju szeroka metalowa ława, na której obok siebie siedzą sponsorzy - pan i pani Jajbłuszko. Jednakowi, pokryci łuskami, zieloni, masywni, dwukrotnie przewyższający człowieka wzrostem i dziesięciokrotnie siłą. Ich pyski pozbawione są mięśni i dlatego sponsorzy nie wiedzą, co to mimika. Wydaje się więc, że są posągami, statuami bliźniaków w stanie katatonii.

I te kreatury były kiedyś moją panią i moim panem?! Tymi, przed którymi drżałem? To były wzorce mądrości? Chciałbym się uśmiechnąć, ale nie mogłem - wszak to ja byłem żaloszny, ponieważ byłem ślepcem.

Nagle pani Jajbłuszko poruszyła się - coś, co znajdowało się na podłodze zwróciło jej uwagę. Zielone cielsko wolno pochyliło się, łapa opadła do podłogi. Wstałem na czubki palców i zobaczyłem, że u stóp pani Jajbłuszko stoi kołyska, a w niej, zadarłszy ku górze nóżki, upaja się rozkoszą niemowlę. Ozdobiona pazurami łapa Jajbłuszko delikatnie dotknęła głowy chłopczyka i pogłaskała go; wargi malca drgnęły, pani wyciągnęła do niego butelkę.

Czy to byłem ja? Ja - sprzed wielu wielu lat?

Z góry doleciał mnie cichy terkot. Po incydencie na Wieży milicja demonstrowała swoją czujność. Można było być pewnym, że nie zaniechają lotów aż do nocy. Co prawda, niełatwo im będzie nas odnaleźć, zwłaszcza kiedy występuję w postaci domowego pupilka - ani jednego metalowego przedmiotu na ciele. Czujniki nie wyróżnią mnie z otaczającej przyjaznej sponsorom przyrody.

Mimo to nie zamierzałem ryzykować - skoczyłem w krzaki i zaległem w nich.

Patrol odleciał. Siedziałem na trawie, objąwszy rękami kolana, patrzyłem na wąskie strzelnice mojego domu... Paradoksalne, ale te żaby są właściwie moją byłą rodziną - wychowywał mnie, karmiły, kąpały i leczyły gdy chorowałem... I pani Jajbłuszko mogła odczuwać coś na kształt uczuć macierzyńskich do mnie, chyba tak? Jak mało o nich wiemy! Po co wzięli nowego malca? Czy dom wydaje im się pusty bez obecności człowieka?

Trzeba wracać. Pełzacz będzie się niepokoił.

Popatrzyłem na sąsiedni dom. ten za żywoplotem. Mógłbym do końca świata przekonywać siebie, że przyszedłem tu popatrzeć na ściany rodzinnego domu, ale w rzeczywistości ciągnęło mnie do domu sąsiadów. Pierwsza w moim życiu emocjonalna eksplozja, która wyrwała mnie ze świata domowych pupilków, miała swoje źródło właśnie tu, w tym betonowym sześcianie, za gęstymi zaroślami burzanu. Tam też widać było światło w strzelnicach, płynęło uporządkowane życie.

... (KIR?) Uchyliły się drzwi, żółty prostokąt światła cisnął na ziemię czarny cień zgrabnej figury Inny. Stało się to tak nieoczekiwanie i nagle, że nie zdążyłem opanować się i odskoczyłem. Inna usłyszała mnie, zamarła w progu i zapytała:

- Jest tu kto?

Nie ruszałem się, nawet nie oddychałem. Bałem się, że wystraszy się, zatrzaśnie drzwi i schowa się za nimi.

Stała jednak chwilę, wsłuchiwała się i - widocznie - uznała, że hałasował jakiś ptak... Porzuciła oświetlony prostokąt drzwi i weszła na trawę. Teraz mogłem się jej przyjrzeć.

W półmroku jej ciało wydawało się mieć błękitny odcień, a włosy - kolor bzu. Kiedy popatrzyła w moją stronę jej oczy były dla mnie niczym czarne okna w rozgwieżdżonym niebie. Jej figura straciła w pewnym stopniu dziewczęcą gibkość i kanciastość, piersi stały się cięższe, biodra szersze, ale były to naturalne przemiany w stronę kobiecej doskonałości.

Inna szybko, jakby się obawiała, że w domu dostrzegą jej nieobecność, przebiegła trawnik, przeskoczyła przez płot i już ostrożniej, oglądając się za siebie jak złodziej, podbiegła do domu Jajbłuszków. Obok okna do salonu zatrzymała się i wczepiwszy długimi palcami w parapet, uniosła się na palcach, żeby lepiej widzieć, co się dzieje w salonie.

I wtedy wszystko zrozumiałem. Wszystko to było proste, choć niezwykle i niedozwolone.

Maluch, który zajął moje miejsce w rodzinie Jajbłuszków jest synem Inny i Wika. Według przepisów noworodka odbiera się matce, gdy tylko przestanie go karmić. Jeśli z punktu widzenia rasy zadowala selekcjonerów, wysyła się go do

sekcji przydziałowej. A dalej - jak pokieruje los. Może się poszczęści i dostanie się do jakiegoś domu, jako pupilek. W tym przypadku... najprawdopodobniej, kiedy się urodził, zrozpaczona moim zniknięciem pani Jajbłuszko zdecydowała się wziąć to dziecko do siebie. Ktoś dostał prezent, ktoś został przekonany i doszło do dziwnego złamania przepisów - matka i syn znajdują się w jednym mieście, i - co najważniejsze - matka wie, gdzie mieszka jej syn.

Nie sądzę, by pozwalali jej kontaktować się z maluchem, pewnie izolacja była jednym z warunków... Zresztą, to mogę sprawdzić.

- Inna - powiedziałem cicho.

Odskoczyła od okna, jak ukąszona przez węża. Przywarła plecami do głuchej betonowej ściany i patrzyła przerażona jak zbliżam się do niej.

Wyciągnąłem przed siebie rękę, otwartą dłońią ku górze.

- Nie bój się - powiedziałem. - To ja, Tim. Pamiętasz mnie? Mieszkałem tutaj.

- Tiiim? - powiedziała przeciągając głoskę. - Przecież nie żyjesz.

- Jestem kilka razy nieżywy, ale żyję - powiedziałem uśmiechając się.

- To nie ty! Nie zbliżaj się do mnie!

- Mieszkałem tutaj, siedzieliśmy raz w tych krzakach i rozmawialiśmy, powiedziałaś mi, że znałaś swoją matkę, a ja ci nie uwierzyłem. a potem zamierzali mnie zaprowadzić do weterynarza, a do ciebie przyprowordzono Wika...

- Tiiim!

- Chodźmy gdzieś dalej. Mam mało czasu. Mogą mnie wytropić.

Posłusznie poszła za mną w kierunku ciemnego masywu krzaków, ale zatrzymała się nie wchodząc w ich cień. bała się. Nie do końca wierzył, że ja - to ja.

- A gdzie teraz jesteś? - zapytała. - Kim są twoi sponsorzy? Czy może jesteś włóczęgą?

W jej głosie rozbrzmiała normalna u pupilków pogarda.

- Chcę, żeby nie było już nigdy żadnych sponsorów.

- Jak to - nie było?

- Żeby odlecieli. Albo zginęli.

- A my? - Cofnęła się o krok ode mnie.

- A my będziemy żyć.

- A kto nas będzie karmił? Kto będzie wyprowadzał na spacer?

Już przywykłem do takich szczerych pytań. Czego można wymagać od ludzi, którzy nie wiedzą o niczym prócz jedzenia, spaceru i pańskiego kija lub marchewki?

- Brzydko pachniesz - oświadczyła Inna. - Jakbyś się nie mył.

- Rzeczywiście - nie myłem się od tygodnia - przyznałem. Sprawiało mi przyjemność droczenie się z nią, taką małą, słabą, pachnącą domową pupilką. - A jak się czuje twój żabczak?

- Kto?

- Twój pan, ten żabczak, któremu wrąbała pani Jajbłuszko.

- Tim. nie wolno tak mówić o sponsorach.

Powiedziała to tonem doświadczonej leciwej babuni.

- Dobrze - zgodziłem się. - Zajmę się tobą. Obowiązkowo wrócę, żeby poważnie z tobą porozmawiać. Szkoda mi zostawiać cię w zwierzęcym stanie.

- Jestem w szczęśliwym stanie! - odpowiedziała pośpiesznie.

Była strasznie podenerwowana i marzyła tylko o jednym - żebym jak najszybciej odszedł, zniknął z oczu, żeby mogła wykreślić mnie z pamięci.-

- To twoje dziecko? - Wskazałem okna domu Jajbłuszków.

- Milcz! - Podskoczyła i zamknęła mi usta dłonią. Gwałtowny ruch spowodował, że jej bujne włosy w kolorze brązu rozsypały się po ramionach. Była bajecznie piękna! Dla takich kobiet popełnia się szaleństwa, z ich powodu upadają królestwa... Tyle że Inna nie wiedziała o swojej potędze.

- A kto jest ojcem? - zapytałem. Przez zasłonę jej palców pytanie zabrzmiało niewyraźnie. Moje palce natknęły się na ścianę palców i pocałowały je. Inna szybko odsunęła dłoń.

- Nie wolno ci tak mówić! Jeśli ktoś usłyszy - mnie też stąd wywiozą! Milcz, milcz, milcz!

- Pewnie Wik - nie ustawałem.

- Chorował cały tydzień, po tym jak tak bestialsko go pobiłeś.

- A potem wyzdrowiał. I znowu go przyprowadzono do ciebie.

- Potem wyzdrowiał. I przyprowadzono go...

- A gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Jego sponsorzy przeprowadzili się do innej bazy. Nie powiesz nikomu, Tim? Co wieczór chodzę popatrzeć na chłopczyka. Widziałeś go?

Rozkoszowałem się jej widokiem, a ona nie zauważała mojego spojrzenia.

- A pani Jajbłuszko jest bardzo dobra, nie bije go wcale. Bo ja to najpierw płakałam, ale powiedzieli mi, że go nie wywiozą.

- Kiedy wyrzucimy już stąd w diabły - powiedziałem - to najpierw zwrócimy ci twojego malucha.

- Nie mów tak! Nie myśl nawet, to niebezpieczne!

- Czyżbym i ja był taki?

- Jaki?

Pogłaskałem ją po ramieniu, odsunąłem ciężkie pasma włosów.

- Nie waż się mnie dotykać!

- Zaraz sobie pójdę, nie bój się.

- Będę krzyczała! Nie waż się mnie dotykać! Jesteś brudny!! Brzydko pachniesz!

Jej głos wzniósł się do niebezpiecznej wysokości - nie kontrolowała swojego strachu przede mną, strachu utrefionej pudliczki przed podwórzowym kundlem.

- Odejdź, odejdź, odejdź!

Ogarnięty goryczą zacząłem wycofywać się, wiedząc, że jej głos już zaalarmował sponsorów. Mają zadziwiający słuch - żeby tak ludzie mieli taki!

Pierwszy pojawił się podrośnięty żabczak. Rozgniewani czy wystraszeni sponsorzy poruszają się z szybkością pantery. Żabczak przemknął przez trawnik jak czarny pocisk, wystrzelony z olbrzymiej armaty.

Nie usłyszałem go, ale zdążyłem się usunąć.

Nie wyhamowawszy żabczak wyrznął w ścianę, i, mimo że ta była z grubego betonu, miałem wrażenie, że dom kiwnął się.

Póki żabczak odwracał się wpadłem w krzaki i zamarłem tam.

Otworzyły się drzwi. Mój zastępczy ojciec, pan Jajbłuszko, który, zresztą, nigdy mnie nie kochał, ponieważ nie kochał niczego, co nie było pokryte zieloną łuską, pojawił się w progu. Widząc coś matowo połyskującego w jego dłoni zrozumiałem, że tatunio wyszedł na spacer dobrze uzbrojony. A ze mnie niezły sentymentalny kretyń, powiedziałem sobie. Niekiepskie sobie wymyśliłem spotkanie z lekkomyślną młodością.

Sponsorzy zamarli. Jeden z łbem przytulonym do ściany, drugi na progu. Czekali czy nie westchnę, nie poruszę się, żeby wykorzystać każdy odgłos i zakończyć mój żywot.

Nie ruszałem się, nie kichałem i nie oddychałem. Do takiego życia już przyzwyczałem się. I wszystko był się upiekło, gdyby nie sprytny żabczak, który całym cielskiem odwrócił się do Inny i, niespiesznie sunąc na nią, zażądał:

- Gdzie? Gdzie on? Mów! Mów, nie milcz, bo cię ukarzę!

W powieściach wierna ukochana zaciska śnieżnobiałe ząbki i milczy mimo tortur.

- W krzakach! Tam! - wrzasnęła Inna. - On chciał na mnie, chciał mnie... Szybciej, boję się go!

Rzeczywiście była potwornie wystraszona! W nienawiści do mnie też była szczerą, ponieważ chciała przypodobać się sponsorom i uratować swoje widzenia z synem.

Zobaczyłem, że tatunio Jajbłuszko przesuwa dźwigienkę na lufie z ognia skumulowanego na szerokie pasmo - zamierzał wypalić krzaki wraz ze mną, i nikt nie zamierzał się z nim o to wykłócać.

Jeszcze sekunda i będzie za późno na ratunek...

Na czworakach, jak chart, rzuciłem się w prześwit wzdłuż żywoplotu.

Wieczór rozjarzył się oślepiającym zielonym światłem strzału.

Stożek zabójczego promienia sięgnął gwiazd, spalając na swojej drodze wszystko, co mogło się poruszać i oddychać - motyle, ptaki, komary... Następnie usłyszałem głuche tąpnięcie. Kontur sponsora zniknął z oczu...

Z powodu tej zawieruchy za plecami zatrzymałem się dopiero za śmietnikiem, w burzanie. Zatrzymałem się i zacząłem zastanawiać - dlaczego papcio strzelał nie we mnie a w niebo? Sponsorzy nie popełniają takich błędów.

Obok mnie brzęknęła puszka po konserwach.

- Kto? - zapytałem samymi wargami.

- Ja - odpowiedział pełzacz. - Cudem zwialiśmy.

- To ty tam byłeś?

- Znudziło mi się czekać, poszedłem za tobą. Zdążyłem go złapać za nogi i zsarpnąć. Dobrze wyszło?

Pełzacze są strasznie silne. W niektórych rzeczach mogłyby nsawet rywalizować ze sponsorami.

- Bomba - powiedziałem.

Leżałem bez sił.

- Czas wiać - oświadczył pełzacz. - Będą przeczesywali okolicę.

- Chwila.

Usiadłem. W głowie mi się kręciło - widocznie biegłem szybciej, niż mope normalny człowiek.

- Fajna dziewczyna - powiedziałem. - I synka kocha.

- Opowiesz mi kiedyś - rzerkł pełzacz. - Zawsze mnie dziwiły wasze ludzkie obyczaje.

Poczuliśmy się bezpieczni dopiero kiedy oddaliliśmy się jakieś 5 kilometrów od miasteczka.

Odpoczęliśmy na starej szosie. Jej asfalt długo walczył z roślinnością, ale w końcu poddał się, popękał, powstały w nim dziury, z których wyrastały trawa i krzewy; w większych zapadliskach pojawiły się drzewa. Ale na pewnych odcinkach asfalt trwał w całości i po szosie i tak łatwiej było iść niż po dziewiczym lesie.

Po godzinie znaleźliśmy się nad rzeką. Kiedyś jej brzegi spinał żelazny most, ale środkowe przęsła zapadły się, przejść po nim się nie dało.

- Możemy przepłynąć trzymając się belki - powiedziałem. - Widzisz, tam leży na brzegu?

Pełzacz nie odpowiedział.

Odwróciłem się. Pełzł wolno po szosie, odstawał ode mnie o niemal sto metrów.

- Co z tobą? - zapytałem. - Zmęczałeś się?

Pełzacz nie odpowiedział. Pełzł miarowo, podciągając ogon do przednich łap i podnosząc środkowy segment ciała. Duże oczy patrzyły do przodu. Bura szczecina na plecach nastroszyła się.

Uznałem jego milczenie za wynik niewystarczającego wychowania, jakie przeszedł w fabryce słodczy. Zacząłem szuwać się w dół, do belki. Ale w połowie odległości odwróciłem się do pełzacza i zapytałem:

- Słuchaj, nawet nie wiem - możesz trzymać się belki?

Nie wątpiłem w pozytywną odpowiedź - przecież razem przedostaliśmy się do Wieży, trzymając się liny, przeciągniętej przez Sienieczkę. Co prawda, do dziś miałem jeszcze blizny na plecach.

- Czekał - powiedział pełzacz. Jego głos brzmiał dziwnie.

Chciałem wspiąć się do niego, ale pełzacz sam zsunął się do mnie.

- Co ci jest?

- Nie... mogę - powiedział. - Nie mogę iść!

Jego słowa mnie zmartwiły - trzeba będzie szukać tratwy albo czegoś wystarczająco pewnego, żeby przewiźć go na drugi brzeg.

Pełzacz zwlaił siź bez sił umoich stóp, z przrażeniem zobaczłem, że sieć na jego grzbiecie częściowo wypadła. Przejechałem dłonię po grzbiecie pełzacza suche źdźbła szczeciny kruszyły się i opadały na brzeg. Zrozumiałem, że najbardziej podobne to jest do napromieniowania atomowego - weidzałem to od Jajbłuszków. Zawsze bali się napromieniowania. Pani Jajbłuszeko mawiała:

- Poczekaj, trafisz pod wiązkę promieniowania - wypadną ci wszystkie włosy.

- Pełzacz - powiedziałem. - Źle się czujesz?

- To nic - odpowiedział z wysiłkiem. - Pomóż mi tylko dostać się do sztabu. Nie porzucaj mnie.

- Bzdury pleciesz - powiedziałem. - Dlaczego mam ciebie porzucać?

- Nie mogę iść...

- Leź i odpoczywaj - poleciłem. - Leź i nie choruj, a ja poszukam, na czym się przedostaniemy się na drugi brzeg.

Ale nie było na czym się przedostać. Jasne jak słońce, że nie ma żadnego środka przeprawy. Belka? Może pójdę wzdłuż brzegu aż znajdę drugą? Chociaź z dwu belek i tak nie zbuduję statku.

A lina? Nie mam sznura!

- Nie ma rady - powiedziałem. - Będziesz musiał płynąć na belce.

- Co mówisz? - Z trudem mnie rozumiał.

- Popłynę za belką, a ty wdrapiesz się na nią, chwycisz pazurami i będziesz się trzymał. A ja będę popychał. Jasne?

- Jasne - odpowiedział pełzacz. - Nie porzucaj mnie...

- Pełnij w dół.

Mój towarzysz starał się pełznąć, ale nic mu nie wychodziło, poruszał się z trudem, jakby ktoś nadział go na trzpień, przez co nie potrafił się zgiąć.

Musiałem go objąć, oderwać od ziemi i ciągnąć w dół. Prościej byłoby po prostu poturlać go, jak kłodę, ale bałem się uszkodzić mu jakiś organ wewnętrzny.

Ułożyłem go na piasku nad wodą. Potem zzułem buty, wsunąłem je do worka, koszulę - też. Zaciągnąłem mocno sznury.

- Słyszysz mnie? - zapytałem pełzacza.

- Tak - odezwał się.

Spróbowałem czy belka łatwo oderwie się od brzegu. Na szczęście nie osiadła mocno na piasku. Podniosłem pełzacza i ułożyłem na belce.

- Trzymaj się teraz! - poleciłem.

Usłyszał mnie - jego szpony wysunęły się do oporu i wczepiły w korę.

- Pomęcz się trochę.

Dno zapadło się zaraz przy brzegu.

Pchnąłem belkę i zrobiłem krok za nim. Ale nie obliczyłem dobrze jak szybko opada dno - krok i już nie poczułem dna! Wypuściłem koniec belki i zapadłem się z głową pod wodę.

Gdy wypłynąłem zobaczyłem, że belka dość szybko oddala się ode mnie i wolno obraca się wokół osi podłużnej, tak że pełzacz jest już nie na wierzchu, a z boku - jeszcze chwil i znajdzie się w wodzie.

- Tim! - dobiegł mnie wystraszony głos pełzacza.

Jestem kiepskim pływakiem, ale tak mocno zacząłem walić rękami o wodę, że dogoniłem belkę szybciej, niż zdążyła zanurzyć pełzacza w wodzie.

Płynąłem machając nogami i popychając belkę przed sobą, a ona ciągle starała się okręcić i utopić pełzacza. A drugi brzeg jakoś się nie przybliżał. Zmęczyłam się tak, że wydawało mi się - jeszcze chwila i puszcę tę cholerną belkę z tym zniechęconym pełzaczem-symulantem, któremu po prostu nie chce się płynąć.

Na szczęście te jadowite myśli nie zdołały opanować mojej świadomości - nieoczekiwanie belka uderzyła w dno. W następnej chwili poczułem je kolanami. Okazało się, że drugi brzeg był płaski, a mielizna ciągnie się niemal od połowy nurtu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziałem do pełzacza, ale ten się nie odezwał. Miła zamknięte oczy, szczecina na plecach niemal całkowicie wypadła, odsłaniając jego chitynowy pancerz.

Z trudem oderwałem pełzacza od belki. Wcale mi nie pomagał, był całkowicie skostniały. Jego ciało było gorące, a usta pulsowały.

- Tim... - usłyszałem zbliższy ucho do jego ust. - Nie porzucaj!..

Obułem się, włożył koszulę i spróbowałem zarzucić sobie pełzacza na plecy. Nie odzyskałem jeszcze po chorobie pełni sił i dlatego dwudziestopięciokilowy pełzacz wydał mi się strasznie ciężki.

Znalazłem na drugim brzegu była drogę asfaltową i powlokłem się po niej, omijając dziury i szczeliny.

Pomyślałem: jak to dobrze, że pełzacz zmusił mnie, żebym zapamiętał marszrutę. Wiedziałem, że musimy iść tą drogą aż do dużego białego słupa, przy

którym trzeba skręcić na drogę gruntową, a ta zaprowadzi nas przez las do ruin osiedla, gdzie powinien na nas czekać samochód.

Do białego słupa było z dziesięć kilometrów. Ale mnie wydało się, że ze dwa razy dalej. W każdym razie wlokłem się tam ponad trzy godziny. Z każdym krokiem przekłety pełzacz stawał się coraz cięższy, a ja coraz częściej waliłem się bez sił na pobocze drogi, a postoje stawały się coraz dłuższe.

Zacząłem się obawiać, że pełzacz zemrze zanim doniosę go do sztabu. I wcale, zresztą, nie byłem pewien czy tam znajdzie się lekarz, który zna się na tajemniczych chorobach pełzaczy. Ale póki co pełzacz żył - był gorący i czasem po jego ciele przebiegał skurcz. Jednocześnie zeszywniał jak pal i jakbym nim nie obracał i tak uciskał mnie w ramię.

Przestałem już wierzyć w biały słup, kiedy w końcu go zobaczyłem. Zwalilem się obok niego i odpoczywałem chyba z pół godziny, łudząc się nadzieją, że Irka pomyliła się i przyśle samochód właśnie do słupa, a nie do zrujnowanego osiedla.

Było gorąco, męczyło mnie pragnienie. Rozumiałem, że leżąc tu pogarszam tylko swój stan i dodatkowo męczę biednego pełzacza. W końcu więc przeklinając przez zęby wciągnąłem go sobie na plecy i zataczając się, poszedłem do lasu po wąskiej wijącej się ścieżce, z głębokimi koleinami, pomiędzy którymi rosła bujna trawa.

Stopniowo okolica obniżala się i wionęło wilgocią. Ale upał nie zmniejszał się, dokoła mnie, boleśnie kłusząc, kręciły się końskie muchy. Nawet nie miałem jak się od nich opędzać.

Nagle zobaczyłem, że z prawej ode mnie mignęła woda. Zrzuciłem dobijający mnie ciężar i rzuciłem się do malutkiego jeziora, otoczonego turzycą. Z trudem dotarłem do wody - brzeg był tak grząski, że ugrzęzłem niemal po pas, zanim mogłem się napić. Piłem z rozkoszą, ale nie mogłem wziąć ze sobą zapasu, co prawda, według moich obliczeń, cel wędrówki był już blisko.

Namoczyłem koszulę, żeby przynajmniej zwilżyć mokrą tkaniną ciało mojego nieszczęsnego współtowarzysza podróży, odwróciłem się, wyciągając jednocześnie nogi z czarnego bagna...

I z przerażeniem zauważyłem, że mój pełzacz nie jest już sam.

Nad nim, pracowicie turlając nieruchome ciało łapą i usiłując otworzyć go jak ostrygę, stał brunatny niedźwiedź. Mruczał i jakby mamrotał coś do siebie, najwyraźniej zły, że nie może dostać się do smacznego mięsa.

- Ach, ty bydlaku! - wrzasnąłem wymachując koszulą. - Ty go tu przywlokłeś? Noś go?

Z niewiadomego powodu właśnie ten mój wyczerpujący wysiłek wydały mi się w tym momencie najpoważniejszym argumentem, żeby nie pozwolić niedźwiedziowi na porwanie zdobyczy.

Niedźwiedź zwrócił na mnie uwagę, kiedy zacząłem wymachiwać koszulą jak sztandarem. Moje koszula gonie wystraszyła. Wstał na tylne łapy i ryknął ponuro; pokazał przez to, że nie zamierza dzielić się ze mną swoją zdobyczą.

Zwierz ruszył w moim kierunku, a ja dopiero wtedy przypomniałem sobie o swoim nożu.

Wyszarpnąłem go. Akurat na czas, ponieważ czerwony pysk, okolony żółtymi zębami, był tuż-tuż, więc wbiłem nóż w brzuch niedźwiedzia, ale nie udało mi się ustać na nogach - drapieźnik z rozpędu zwałił mnie z nóg i wytrącił z ręki nóż.

Po uderzeniu o ziemię na kilka sekund straciłem przytomność, ale zaraz ją odzyskałem, nie w brzuchu niedźwiedzia, a na swobodzie. Czy to wystraszyło go moje uderzenie, czy zrobiło mu się żal mnie i pełzacza - usłyszałem tylko trzask gałęzi i, odwróciwszy się, zobaczyłem plecy tył niedźwiedzia, ginącego w zaroślach.

Z trudem podniosłem się, odszukałem nóż - krwi na nim nie było, pewnie nie zdołałem przebić warstwy tłuszczu. Poszedłem do pełzacza.

Niedźwiedź nie zdążył zrobić mu krzywdy. Odwrócił tylko na bok.

Pochyliłem się nad pełzaczem. Krew z mojego podrapanego ramienia kapiała na jego ciało. Przycisnąłem do rany koszulę, zapomniawszy, że przyniosłem ją, żeby ochłodzić pełzacza, wziąłem go na ramię i poszedłem dalej, ponieważ w tym czasie sens życia i bodziec do poruszania się polegały tylko na tym, żeby donieść tego przeklętego owada.

Nie zauważyłem jak wyszedłem na lukę w lesie - ulicę zrujnowanej wsi. Zresztą, nie różniła się ona specjalnie od leśnej drogi - takie same drzewa i krzewy dokoła. Nie bardzo nawet widać, że tu akurat pod drzewami kryją się ruiny.

Samochodu dla na nie było. Nie było go w sztabie. Na szczęście znalazła się furmanka. I dwaj ludzie,

Zobaczyli mnie z daleka. Ale nie od razu domyślili się, że jestem tym szlachetnym rycerzem, którego mają tu spotkać. Z lasu wyszedł na nich jakiś wysmarowany od głów do stóp stwór z żółtą kłodą na ramieniu, na dodatek zataczający się, niczym ktoś śmiertelnie ranny.

Kiedy domyślili się w końcu co się dzieje ułożyli mnie na furmance i powieźli do sztabu. W furmance były sterta świeżej słomy, więc niemal natychmiast zasnąłem kamiennym snem. Spałem niemal do samego sztabu - to znaczy dwie godziny.

Kiedy obudziłem się zapytałem kierującego koniem człowieka czy pełacz jeszcze żyje. Nie mogliśmy się dogadać, ponieważ pełacz zupełnie nie przypominał samego siebie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi zasnąłem ponownie.

Przeniesiono mnie do lazaretu, gdzie opatrzono moje rany. Nie obudziłem się.

Obudziłem się dopiero rano, umieszczony pod ziemią lazaret był oświetlony skąpo. Do pokoju weszła kobieta w białym fartuchu, podobny do Ludmiły, ale o czarnych włosach. Zapytała jak się czuję. Odpowiedziałem, że dobrze. Potem kobieta zapytała, czy przynieść mi jedzenie do łóżka, czy dam radę wstać.

Odpowiedziałem, że spróbuję się podnieść. Z trudem wstałem, walcząc z zawrotami głowy. Jakiś mężczyzna przyniósł drewniany stolik i ławeczkę. Kobieta postawiła na stole dużą filiżankę kawy i położyła kromkę chleba. Zjadłem śniadanie.

Zapytałem co się dzieje z pełzaczem.

Kobieta odpowiedziała, że miał szczęście. Wszystko z nim dobrze.

Wszedł mężczyzna w skórzanym obraniu, podobnym do ubrania ochrony Markizy w metrze. Zapytał mnie czy jestem w stanie pójść do głównodowodzącego. Odpowiedziałem, że mogę. Dopiliśmy kawę i poszedłem za przewodnikiem po podziemnych korytarzach. Wcześniej była tu wojskowa baza. Tutaj przed wieloma laty wojskowi oczekiwali na atomowe uderzenie. Ale wojna nie nastąpiła, a pojawili się sponsorzy.

W korytarzu spotkaliśmy pochód małych pełzaczy. Prowadził ich nastolatek z patyczkiem w ręku. Pełzacze miarowo i jednakowo garbiły swoje owłosione plecy.

- Czy my ich hodujemy w kradzionych jaj? - zapytałem.

Mój przewodnik wzruszył ramionami, albo nie wiedział, albo nie chciał zdradzać sekretów. Przepuścił mnie przed sobą w jakieś drzwi.

Za nimi znajdował się pokój oświetlony lepiej niż inne pomieszczenia. Przy dużym biurku siedziała Irka, przed nią stał komputer, dokoła walały się porozrzucane papiery.

- Żyjesz? - zapytała Irka i uśmiechnęła się.

Miała na sobie również skórzane ubranie, włosy uczesała do tyłu.

- Ty tu dowodzisz? - zapytałem.

- A jak ci się wydaje?

- Moim szefem też jesteś?

- Póki nie wróci Markiza - uważaj! - Uśmiechają się odruchowo zakryła usta dłonią.

- A co z pełzaczem? - zapytałem chcąc zmienić temat. Jakoś nie ucieszyło mnie, że Irka okazała się nie tą osobą, którą przywykłem widzieć.

- Żyje - powiedziała Irka. - Dzięki tobie.
- Natknęliśmy się na niedźwiedzia - poinformowałem ją. - Chciał do pożreć.
- Jak zobaczyłam twoje rany na ramieniu od razu domyśliłam się, że obejmowałeś się z niedźwiedziem.
- A ja nie domyślałem się, że jesteś tu szefem.
- Ktoś musi być...

Wszedł Henryk. Położył jakieś papiery na biurko przed Irką. Popatrzyła na nie i podpisała, a Henryk podszedł do mnie i powiedział, że jestem zuch, i że rad jest mnie widzieć.

Henryk poszedł sobie, a ja ze smutkiem pomyślałem, że teraz nie będą mógł już całować Irki. Nigdy. I zrobiło mi się smutno.

- Gdzie jest pełzacz? - zapytałem. - Chcę go zobaczyć.
- Zaraz sam przyjdzie - uspokoiła mnie Irka.

W tym momencie wpadł do pokoju Sienieczka, objął mnie za nogę swoimi błoniastymi rękami. Pyszczyk miał zapłakany.

- Rycerzu Lancelocie! - zawołał. - Przyszedłeś w końcu, tak się cieszę! Wiesz, że Leonora też tu jest? Pójdziemy do niej dobrze?

- No to pójde sobie? - powiedziałem. Nie wiedziałem, czy powinienem pytać Irkę o pozwolenie.

Irka odsunęła papiery i wstała. Chciała podejść do mnie, ale nagle do pokoju wszedł inspektor, którego widziałem na Wieży. Ten smukły, z obliczem mrówki, w długim tęczowym płaszczu. Dziwne, dlaczego został na Ziemi?

Inspektor skierował się w moją stronę. Zesztywniałem. Biła od niego surowość i precyzja ruchów doprowadzona niemal do dokładności mechanizmu.

- Nie poznasz? - zapytał głosem pełzacza.
- Pełzacz?

Inspektor podszedł i wyciągnął do mnie szczupłe twarde dłonie.

Podąłem mu swoje. Zrozumiałem wszystko.

- Jesteś jak motyl? - zapytałem.
- To metamorfozy - powiedział pełzacz. - Ale stadium larwy nadchodzi niespodziewanie, chociaż trwa krótko. W takiej chwili obok powinien być ktoś bliski. Albo przyjaciel. Bo mogło się zdarzyć - krótkim ruchem przejechał kantem dłoni po swoim chudym gardle; jego mrówcze oczy pozostały nieruchome - że zginąłbym. Dziękuję ci za wszystko.

- Pokaż mu, pokaz! - zażądał Sienieczka. - On jeszcze nie widział. Wszyscy widzieli tylko nie on.

- Pokaż - zgodziła się Irka. - To piękne.

Pełzacz machnął rękami i jego długi tęczyowy płaszcz, jak bajkowy nieważki parawan, otworzył się, rozciągnął - i zobaczyłem przed sobą ogromnego perłowego motyla.

- Umiemy latać! - zakomunikował Sienieczka.

Kiedy odeszli Irka podeszła do mnie, wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek.

- Witaj, Lancelocie! - powiedziała.